

Byzia Katarzyna

Pogryziona przez wiewiórki

Edzia jest zadowoloną z życia autorką scenariusza najpopularniejszej telenoweli w Polsce. Opowiada w niej historię dwóch zwaśnionych rodów, które z pokolenia na pokolenie rywalizują ze sobą o sławę, władzę i pieniądze. Niedozwolone uczucia, nieślubne dzieci oraz egzotyczne choroby odzwierzęce są tu na porządku dziennym. A Edzia komplikuje, gmatwa i świetnie się przy tym bawi. Kiedy nie pracuje, prowadzi bujne życie towarzyskie. Spędza czas z Maurycym, drag queen, ginekologiem Słodkim i Niką, detektywem od zdrad małżeńskich. Trudno także przeoczyć uzależnioną od telenowel mamę Edzi.

Edzia jest właścicielką pewnej blizny. Ma ją od zawsze, zdążyła się więc przyzwyczać. I tak już by pewnie zostało, gdyby nie aktor Marian, z którym Edzia chce przeżyć romansik bez zobowiązań. Mariana brzydzi blizna Edzi, więc Edzia postanawia jej się pozbyć. Jednak chirurg zasiewa w Edzi ziarno podejrzeń... Tknięta nagłym przeczuciem Edzia wyrusza po swoją wielką przygodę, która przerasta wszystkie scenariusze, jakie do tej pory napisała. Jak potoczą się losy Edzi? Czy odkryje rodzinną tajemnicę? Czy w końcu się zakocha? Co dalej z blizną, Marianem i innymi bohaterami?

Tego dnia białym stateczkiem o wdzięcznej nazwie „Red Sea Star” rzucało po falach jak groszkiem ptysiowym po zupie, kiedy zamieszać w niej zbyt gwałtownie.

Na wyścielonym pasiastymi derkami pokładzie wszystko, od dziobu po rufę, kołysało się rytmicznie, uparcie odbierając oczom punkt zaczepienia. Bujali się pasażerowie, bujały się ich pozwijane w kule ręczniki, podręczniki nurkowania w weekend i kolorowe płetwy. Bujała się załoga, złożona z kilku grubych, gęsto owłosionych i rozebranych do rosołu Arabów oraz jednego bardzo przystojnego przewodnika, niestety ubranego. On, w przeciwieństwie do tamtych, na pewno nie miał na plecach ani jednego włosa. Miał za to piękne, długie nogi, których pozazdrościć mu mogła niejedna kobieta.

Tak. Nogi przewodnika to było coś, co najbardziej rzucało się *w oczy*. Może dlatego, że wszystkie podziwiające go kobiety i kilku zachwyconych mężczyzn obserwowali go sprowadzeni do parteru. Z nienaturalnie poskręcanych i bardzo niewygodnych pozycji, jakie zmuszeni byli zająć na pasiastych derkach.

Należałoby jednak oddać sprawiedliwość całej, niesłusznie pominiętej bo niezauważalnej w trudnych warunkach, reszcie przewodnika. A był on piękny w całości. Od stóp do głów. Piękny i szczupły. Pomiędzy tamtymi wyglądał jak Apollo wśród paczki kartoflowatych krasnoludków.

- Ale nie był Marianem. - Westchnęła Edzia, przyznając Marianowi kolejny punkt za ciałokształt.

Tymczasem włochata załoga bujała się zawodowo. Mężczyźni pewnie stali na nogach a kołysaniu poddawali się jakby mimochodem, ani na moment nie przerywając swoich zajęć. Widać było, że błędni im nie wariują i nic, oprócz gardłowych, arabskich słów nie podchodzi im do gardła.

Zupełnie inaczej niż grupie kilkunastu nieszczęśników, leżących pokotem gdzie się dało. Oni wcale nie uważali, że wszystko gra. Przeciwnie, mieli wspólne, rzec by można, międzynarodowe wrażenie, że nabito ich w butelkę.

Piękny przewodnik dał im przecież słowo honoru w języku angielskim, że tam, gdzie popłyną, morskiego dna nie dotknie ludzka stopa! Ze wszystkich stron miał ich otoczyć Wielki Błękit, jak to widzieli na filmie z Leonem Zawodowcem, a barakudy i płaszczki miały ustawiać się do zdjęcia wśród koralowców!

I żeby to wszystko przeżyć, wystarczy „only thirty dollars”.

A tu skucha. Nie dość, że wyżej wymienione stworzenia zobaczyli jedynie w posztukowanym taśmą atlasie, rozłożonym przez przystojnego przewodnika na wolnym kawałku pokładu, to nawet nie zdążyli założyć wypożyczonych na tę okazję profesjonalnych, szpanerskich skafandrów! Ani pobawić się przymocowanymi do nich pokrętełkami... Szkoda! Nic zdążyli, ponieważ już w polowie drogi byli kompletnie uziemieni i wszyscy leżeli na pokładzie ledwie żywi, wydając z siebie jęki w różnych językach.

Ci nieliczni, którzy mieli tyle samozaparicia i woli walki, żeby nie rezygnować tak od razu ze zrobienia następnego kroku, stali w kolejce. Do miejsca o wdzięcznej nazwie kingston.

Znaczy - do kibelka.

Tego dnia miał on szalone powodzenie. Mimo brudnej, zatłuszczonej podłogi, grożącej gwałtownym poślizgiem połączonym z bolesnym wybiciem zębów. Mimo konieczności ręcznego pompowania wody z rezerwuaru po każdym razie.

I mimo tego, że woda w którymś momencie ot tak, po prostu, przestała lecieć. Mimo wszystko - Kingston był ciągle zajęty.

Jednak zza jego zamkniętych drzwi nie dobiegały żadne odgłosy, co najprawdopodobniej oznaczało, że chociaż sytuacja jest bardziej niż ciężka, każdy tam w środku stara się jednak zachować jak kulturalny człowiek.

Savoir vivre przestawał obowiązywać, kiedy tylko następny w kolejce dochodził do wniosku, że poprzednik okupuje przybytek zdecydowanie za długo. Zaczynał wtedy pukać w drzwi, łomotać, wreszcie szarpać klamkę i wyrzaskiwać coś wściekle.

Dopóki stary Arab, ten najbardziej zarośnięty i przewiązany ścierką w pasie, co było jego jedynym ubraniem, nie poklepał go dobrotliwie po ramieniu, mówiąc „don't, don't” w ostatniej chwili litościwie podstawiając nogę, zardzewiałą miskę.

Trzeba przyznać, że Arab miał naprawdę niezły refleks. Za każdym razem.

Na górnym pokładzie, tuż przy schodach, leżały dwie rumiane rosyjskie lesbijki w średnim wieku, niepokojąco podobne do matrioszek, tyle że bez chustek. Musiały być bardzo zakochane, bo żołądkowa niedyspozycja nie przeszkadzała im w wymianie namiętnych pocałunków na podwójnym ręczniku frotte.

Obserwowanie godowych rytuałów lesbijek to niekoniecznie było coś, co Edzia lubiła najbardziej, ale z nudów popatrywała i na nie spod swoich czarnych okularów, szczelnie pokrytych filtrem UV.

Popatrywała tak samo jak mały chłopczyk obok niej, tyle że on gapił się na kobiety przez dyskretną szparę w kocu. Chłopiec czuł się nieswojo i było mu trochę wstyd, ale... musiał patrzeć. Te panie całowały się zupełnie inaczej i dużo ciekawiej niż tata i jego piękna sekretarka Monica... Chłopiec podpatrzył ich kiedyś z okna, jak długo, bardzo długo żegnali się w samochodzie. Oni też go dostrzegli i może

dlatego tamten dzień był pierwszym z szeregu dni odmierzanych górami słodczy...

Jednak wspomnianie słodkości nie było w tym momencie dobrym pomysłem. To był zdecydowanie zły pomysł. Pomysł, który wywołał efekt najbardziej możliwy do przewidzenia.

Mały zwrócił głowę tam, gdzie miał najbliżej. A wszystko, co w sobie miał, trafiło prosto do słomkowego kapelusza Edzi.

- *Mamma mia!* - krzyknął ktoś z oburzeniem.

Matka chłopca ocknęła się z letargu. Cały czas leżała odwrócona plecami do synka, zgięta w znak zapytania, walcząc ze sobą jak cała reszta, a jedynym jej marzeniem było, żeby nikt niczego od niej nie chciał. Jednak dramatyczne odgłosy, jakie dochodziły teraz z głębi jej rodzzonego dziecka, nie pozwalały dłużej udawać, że nie słyszy.

Była to duża, czterdziestoparoletnia kobieta z potarganymi, pozlepianymi w cienkie kosmyki włosami. Spojrzała na kapelusz i złapała małego za ucho, wykręcając je boleśnie.

Chłopiec zaskowyczał, próbował się wyrwać, ale kobieta trzymała mocno, spoglądając spod oka na Edzię, która siedziała nicporuszona. W końcu puściła chłopca, wygrażając jeszcze palcem za uciekającym smykem, ale tylko tak, z rozpędu, bo gniew już z niej uszedł.

A potem wzięła kapelusz w dwa palce. Trzymając go jak najdalej od siebie i starając się nie pokazać, jak bardzo ją to brzydzi, usiłowała czyścić rafię kawałkiem jakiejś gazety, chociaż i dla niej, i dla Edzi było jasne, że nic z tego nie będzie. Po chwili westchnęła z rezygnacją i złożyła kapelusz tuż przy stopach właścicielki, jeszcze raz przepraszając ją szczerze i po włosku.

Tymczasem Edzia miała na głowie coś znacznie ważniejszego niż jakiś tam zarzygany kapelusz, choćby nawet jej własny. Kapelusz to kapelusz! Najwyżej wciśnie go gdzieś pod ławkę.

Kolejny raz podziękowała sobie w duchu, że posłuchała Maurycego. I z rozpędu połknęła nawet więcej, niż mówił. Trzy czy cztery pigułki, na wszelki wypadek.

Bo Maurycy rok temu przeżył mniej więcej to samo, co ci poskręcani w supły niedoszli nurkowie. Może nawet na tym samym statku? Wszystko jedno. Najwyraźniej wspomnienie było wciąż żywe i zostawiło głęboką koleinę w zrównoważonej na ogół psychice Maurycego, ponieważ przed wyjazdem niepokojącą ilość razy przypominał Edzi o proszkach.

Edzia podejrzewała wtedy, że to tylko histeria faceta, który co wieczór przebiera się w damskie ciuchy i śpiewa z playbacku piosenki MM lub J.Lo. Ale Maurycy wiedział, co mówi. Dzięki niemu Edzia wyszła z tej opresji na własnych nogach i z resztkami własnego śniadania w żołądku. I obiecała sobie, że w dowód wdzięczności kupi Maurycemu coś naprawdę ekstra. Rzuciła okiem na plakat, wiszący przy wejściu do kabiny. Plakat z erotycznie wygiętą, prawie nagą arabską tancerką. I już wiedziała - Maurycy dostanie od niej strój do tańca brzucha, żeby mógł rozszerzyć swoje emploi. Będzie to najbardziej jak to możliwe błyszczący strój, obwieszony kilogramem brzęczących seksownie cekinów... Edzia aż się zaśmiała, wyobrażając sobie Maurycego, potrząsającego ozdobionym złotymi monetami stanikiem.

Przewróciła się na drugi bok, naciągając na głowę ręcznik, który dzięki kilku zmyślnie umieszczonym sznureczkom mógł być również torbą plażową albo poduszką. No i oczywiście ręcznikiem, jak w tej chwili. W sumie trzy kombinacje, bardzo praktyczne. A Edzia lubiła praktyczne rozwiązania, i to nie tylko w podróży.

Ale nawet przez gruby materiał czuta plamy gorąca na twarzy. Tymczasem w środku Edzi, lam, gdzie według podań ludowych znajduje się dusza, a według medycyny - trzon mostka, kłębiło się całe morze wątpliwości. Koloru zdecydowanie niesłonecznego. Decyzja, którą miała podjąć, wcale nie była łatwa. Z całą pewnością nie. Była za to ostateczna i raczej nieodwracalna w skutkach. I dla kogoś, kto nie był Edzi jakoś szczególnie obojętny, oznaczała być albo nie być. Ale Edzia wiedziała, że trzeba ją w końcu podjąć, tę decyzję. Trzeba i już! Odkładanie jej w czasie nic posuwało sprawy do przodu i nie wróżyło dobrze na przyszłość. Nie mówiąc już o fatalnych skutkach ubocznych. I tak, na pokładzie turystycznego stateczku, w egzotycznej scenerii cierpiących na chorobę morską pasażerów Edzia podjęła decyzję co do Mariana. Najpierw pójdzie z nim do łóżka, a potem go zabije. Tak. Dokładnie w tej kolejności. Trzeba zaznaczyć, że Edzia zawsze zabijała z ciężkim sercem. No... może w kilku przypadkach nie, ale to były naprawdę wyjątki. Normalnie to był dla Edzi nic lada problem, ponieważ okrucieństwo zupełnie nie leżało w jej naturze. Była dobrym człowiekiem, wrażliwym na niedolę ludzi i zwierząt. Płakała na *Pożegnaniu z Afryką* oraz na prawie wszystkich komediach, z wyłączeniem polskich. Żałowała kaczek w parku Skaryszewskim, którym zimą nóżki wmarzały w lód. Z przerażającą łatwością pozbywała się drobnych na rzecz podejrzanych koleśków z rozbieganymi oczkami, zbierających na piwo w okolicach Galerii Centrum. Bezdomne psy, koty piwniczne... wzruszał ją nawet los przydeptanej niechcący mrówki.

Można by powiedzieć, że w Edzi zawsze brały górę ludzkie uczucia. Ale potrafiła je stłumić, kiedy było trzeba. Właśnie tak, jak teraz. Ponieważ Marian musiał zginąć. Po prostu musiał! Za bardzo namieszai u Morcnów i w ogóle, w całej ekipie. Wszyscy mieli go już serdecznie dość.

Wszyscy oprócz Edzi.

Ale nawet ona musiała przyznać, że Marian nagle, z dnia na dzień, przestał się rozwijać. Przeciwnie, nawet zaczął się tak jakby... zwijać? W każdym razie zdecydowanie za dużo żądał, a za mało dawał z siebie.

Właściwie to już niczego z siebie nie dawał...

W dodatku Jeżyna bardzo naciskał, żeby zrobić to jak najszybciej. A kto jak kto, ale to właśnie Jeżyna miał tutaj ostatnie słowo. Natomiast zawodowym obowiązkiem Edzi było po prostu to zrobić. Bez kręcenia nosem i zbędnych słów.

Wszystko, co Edzia mogła zrobić dla Mariana, to przedłużyć mu życie o jakieś dwa, najwyżej trzy tygodnie. Tak czy siak, wybór był nic między zrobić - nie zrobić, ale jak to zrobić.

- Edzia, to ty? Dobrze, że już jesteś! Jak było? Opowiadaj! Nika znowu siedziała w toalecie. Przez mleczną szybkę w drzwiach hotelowej łazienki przeświecało słabe światło. Głosik miała jakiś cienki i mało szczęśliwy. Zupełnie, jakby przesiedziała tam cały dzień... Chyba rzeczywiście nic było z nią najlepiej.

- Beznadziejnie! - powiedziała jej na pociechę Edzia. - Nie masz czego żałować! Ty wiesz, że nawet nie weszliśmy do wody? Ta wycieczka to jakaś... totalna porażka! I nawet nie było na kim oka zawiesić! Tylko jeden nie miał włosów na plecach..., Jeden jedyny! A wiesz, że ja lubię mieć wybór!

Zrzuciła z siebie plecak, ale zrobiła to zbyt energicznie i z niedokreślonej butelki woda chlusnęła na leżący na podłodze dmuchany materac. Shit! I to akurat tam, gdzie leżała

książka, którą Nika od dwóch dni osładzała sobie samotne godziny walki z „zemstą faraona”. Edzia pośpiesznie strzepnęła wodę z materaca.

- No co ty?! Nic puścili was do wody?! Serio? - Ucieszyła się Nika przez drzwi. - Czy tak tylko mówisz, żebym się lepiej poczuła?

Biedaczka, w hotelowym pokoju nie miała zbyt wielu atrakcji. W telewizji non stop leciały programy po arabsku i były to przeważnie dokumentalne filmy o wybuchach. W radiu to samo, tyle że bez obrazu.

- Serio! - przytaknęła Edzia. - Mówili, że wiatr jest za duży i może rzucić nami o rafę... A w tym miejscu podobno rosną wyjątkowo jadowite koraliki... I mówili... że nie będą ryzykować...

- A kasę oddali? - Nika miała to do siebie, że nigdy nie przestawała myśleć logicznie i praktycznie. Nawet w chorobie.

- A wiesz, że nie...? - Edzia była zaskoczona. Nie przyszło jej do głowy, żeby się o to upominać. Jak również żadnemu z pasażerów,

- Dlaczego? - zdziwiła się Nika. - Nic było nurkowania, to kasa L powrotem! I co, nikt nie protestował?

- Protestował! - prychnęła Edzia. - Wszyscy tam rzygali jak koty! Chociaż nie, przepraszam, trochę też protestowali... Jak kibel był zajęty!

- No tak... - powiedziała Nika z zastanowieniem. - Ale ty chyba dobrze się czułaś? Proszki wzięłaś... czy nie?

Edzia wolała nie odpowiadać, bo już przeczuwała, dokąd zmierza ten wywód.

- Wzięłaś... To przecież mogłaś upomnieć się o kasę!

- Oj tam! - machnęła ręką Edzia. - I co takiego się stało... Człowiekowi trzeba pomóc, nie? A oni, tubylcy znaczy, to wiesz... tacy raczej biedni są...

Edzia miała dobre serce i niezłe rozwiniętą zdolność do wychodzenia z kłopotliwych sytuacji.

- No to załoga pewnie była happy! - Nika domyślnie pokiwała głową.

- Pewnie tak... - przytaknęła Edzia. - Zresztą wiesz... oni przez cały czas byli bardzo mili! No i bardzo serdecznie nas pożegnali... bardzo!

- Nie wątpię - skwitowała Nika nawet nie bardzo złośliwie. Może dlatego, że była solidnie wyczerpana chorobą.

- A żebyś wiedziała! I każdemu z osobna życzyli zdrowia i długiego życia! I to po angielsku... A ty? Jak się czujesz? - Edzia wolała na wszelki wypadek zmienić temat. Porażająca dociekliwość Niki była czasem trudna do zniesienia. Zwłaszcza po dniu spędzonym na kiwaniu się w czterdziestu stopniach w cieniu. - Wychodziłaś gdzieś może?

- Tylko na balkon... dalej nic miałam odwagi. Czytałam trochę...

Książka Niki leżała grzbietem do góry. Edzia zerknęła na tytuł: *Miłość w czasach zarazy*. Była to najbardziej odpowiednia lektura w tej sytuacji.

- Ale wiesz co? - ożywiła się Nika. - Może wieczorem skoczmy do miasta? Bo jak jakoś czuję, że powoli mi przechodzi...

Zaprzecząc sama sobie, znów pobiegła do toalety. I to klusem. A kiedy w końcu wyszła, co wcale nie nastąpiło tak prędko, wyglądała jak kobieta po przejściach. Miała podkrążone oczy i rozczochrane włosy, które bez powodzenia próbowała ułożyć jak trzeba.

- No... wypadaloby wyskoczyć - podjęła Edzia, patrząc na nią ze współczuciem. Przełożyła jeden z kosmyków przyjaciółki na to miejsce, gdzie zazwyczaj się znajdował. - Po jakieś pamiątki, nie? Bo to już ostatni moment... Ale pod warunkiem, że do wieczora będziesz na chodzie.

- Nic, naprawdę mi lepiej,, naprawdę! Czuję, że lekarstwo pomaga... - zapewniła gorliwie Nika, na którą perspektywa zakupów podziałała jak placebo. - Słowo daję! - dodała trochę nieszczerze. - No co tak patrzysz?!

- Zastanów się jeszcze.

- Bo co?

- Bo wiesz... jak już pojedziemy to na zakupy, a nie szukać kibla - zawołała Edzia do zamykających się błyskawicznie drzwi toalety. Nika była najlepszym dowodem na to, że z „zemstą faraona” nie ma żartów.

„Zemsta” była jedną z plag egipskich, czyhających na turystę w wodzie z kranu i niedomytych owocach oraz we wszystkich innych miejscach, czego na pierwszy rzut oka wcale nie było widać. Powodowała ona swobodny przepływ treści pokarmowych w odwrotnym kierunku niż ten ustalony przez naturę. Albo nawet i zgodnie z naturą, za to dużo szybciej niż zwykle. Brało się toto nie wiadomo skąd i spadało nagle na losowo wybrane osoby. Nawet takie jak Nika, co było żabim rechotem losu, bo akurat ona zachowywała wszelkie środki ostrożności. Wszelkie! Zdaniem Edzi, grubo przesadzała. Na przykład z tym płukaniem zębów wodą mineralną i polewaniem owoców wrzątkiem. No i co? Nic. Nawet to nie pomogło. Z tej prostej przyczyny, że przed „zemstą faraona” ucieczki nie było.

No, chyba że samolotem, do siebie.

Ratunek natomiast był. Leżał na półeczkach w arabskiej farmacji, a jego nazwa dla każdego potrzebującego brzmiała jak muzyka anielska. Albo nawet jeszcze piękniej. Ratunek był bez recepty i kosztował od siedmiu do dwudziestu pięciu funtów egipskich. W zależności o tego, jak bardzo kupujący był zdeterminowany i jak szybko musiał do łazienki.

Nikt nawet nie próbował się targować.

Na szczęście Edzia przywiozła ze sobą wszystko, co trzeba. A nawet trochę więcej. Prawdę mówiąc, mogła wykurować ze dwie autokarowe wycieczki Orbisu, w całości zarażone tym i owym. Wypchaną do granic możliwości apteczkę zawdzięczała Edzia zapobiegliwości swojej mamy, uroczej eme-

rytki. Edzia mogła jej podziękować za dwanaście paczek aspiryny (w razie czego, bo aspiryna pomaga na wszystko, a zresztą jedzicie we dwie, więc tylko po sześć), syrop na kaszel (przeciagi, no i gdyby aspiryna jednak nie pomogła), spray odstraszający owady (mrówki faraona!) oraz kilka innych bardzo potrzebnych rzeczy, które Edzia była zmuszona zabrać dla świętego spokoju. Spokoju mamy, oczywiście.

- Faktycznie musiało nieźle bujać! - Nika wyłuskiwała z listka kolejny proszek. - Skoro nawet nie zeszliście do wody...

- Bujało jak cholera - potwierdziła po raz kolejny Edzia.

- No popatrz...! - Nika spojrzała z podziwem na Edzię.

- A ty nic! Może ty jesteś cyborgiem?

- Tak. Cyborgiem na prochach! - zaśmiała się Edzia, zrzucając z siebie wszystko na środku pokoju. A nie było tego wiele. - Przeżyłam wyłącznie dzięki Maurycemu i jego skłonności do przesady...

- Jak to?

- A tak! Powiedział, że jak tego nie wezmę, to się odwodnię w piętnaście minut, a twarz mi się wysuszy i pomarszczy tak... - Edzia zawinęła się w hotelowy ręcznik i wygrzebała szampon z kosmetyczki - ... że moja mama pomyli mnie ze swoją koleżanką z podstawówki... No i co, nie wzięłabyś?

- Jasne, że bym wzięła! - zaśmiała się Nika. - Zeżarłabym od razu całe opakowanie, jak nic!

- No widzisz. To i ja parę łyknęłam... na wszelki wypadek. Bo wiesz, jak wygląda moja mama. I ile ma lat.

- Ze... sto? - z grubsza obliczyła Nika.

Na szczęście Edzia umiała śmiać się i z siebie, i z własnej mamy.

- Prawie! Siedemdziesiąt osiem. No i popatrz, pomogło! Przynajmniej na nierzyganie.

- To dobrze, że zostałam w hotelu! - pocieszyła się Nika.

- Z Bazylkiem. - Przytuliła do piersi kudłatego miśka Edzi

w tym najbardziej iysym miejscu. Łysym miejscu miśka, rzecz jasna. Bazylek mial niezły przebieg. Edzia zabierała go ze sobą w każdą podróż i może dlatego procent zużycia był spory. Misiek porządnie przełysiał w kilku miejscach od przytulania i noszenia w za ciasnych torbach. I naprawdę nie wyglądał twarzowo. Szczerze mówiąc, przypominał kloszarda, a przy tym nie pachniał fiolkami i lepiej było nie pokazywać go obcym. Ale Edzia miała to gdzieś - jej zdaniem Bazylek wyglądał po prostu jak prawidłowo kochany miś.

Ale nie był Marianem, westchnęła trochę bez sensu.

Edzia kupiła go kiedyś synkowi Klusków, Fryderykowi, na czwarte urodziny, ale Bazylek patrzył na nią tak błagalnie, że nie miała serca go oddać. Zosta! więc u Edzi, która szybko pozbyła się wyrzutów sumienia za pomocą okazałego alfa romeo 156 w skali 1:24, co Fryderyk potrafił należycie docenić, bo mimo młodego wieku był już w pełni ukształtowanym znawcą motoryzacji.

- No a co z Marianem? - zapytała Nika. - Zdecydowałaś się? I nie czekając na odpowiedź, znów pobiegła do łazienki, wyprzedzając Edzię o pół kroku. Wyszła po minucie, a po jej minie widać było, że stoczyła kolejną przegraną bitwę.

- Sorry... To co z Marianem?

Edzia pokazała jej odwrócony do dołu kciuk.

- Kill Bill!

- No nareszcie! - Nika opadła na krzesło przesadnie omdlewającym ruchem i westchnęła z udawaną ulgą. - Bo już myślałam, że nigdy się nie zdecydujesz! Kamień spadł mi z serca!

- Ale łatwo nie było... - mruknęła Edzia. - To nie jest takie sobie hop-siup!

- Domyślam się. A jak to rozegrasz?

- Nie wiem jeszcze. Może... wypadek samochodowy...?

- rzuciła Edzia ot tak.

Nika skrzywiła się z niesmakiem.

- Eec, no co ty... wypadek? Żartujesz?!

Edzia akurat nie żartowała. Jednak zde gustowana mina Niki sprawiła, że postanowiła przemyśleć to jeszcze raz. Znaczy ten wypadek. Bo może nic jest to jednak najlepszy pomysł?

- To co... nie wypadek?

- Nic! Wypadek jest taki obrzydliwie., banalny! Wymyśl coś lepszego! Stać cię, nie?

- Może i tak... - zgodziła się Edzia. - To słońce wypaliło mi dziury w mózgu, jak nic. Wypadek! - Zrobiło się jej głupio, że coś tak skrajnie konwencjonalnego w ogóle przyszło jej do głowy.

- Zresztą ostatnio w wypadku zginął senior Vatzlav... dobrze mówię? I to chyba jakoś niedawno, nie? Dwa miesiące temu? - Nika faktycznie miała niezłą pamięć do ludzi. Zwłaszcza tych zamieszanych w kryminalne historie.

- Trzy - obliczyła z grubsza Edzia. - Racja, kraksa odpada... Odpada też ukąszenie przez węża...

- ... przygniecenie przez słońcę...

- ... no i podpiłowanie lin w drabince.

- — Same najfajniejsze rzeczy! - zmartwiła się Edzia.

- No... A Mariana to chyba trzeba załatwić niestandardowo. Bo on sam jest taki bardziej... niestandardowy! No nic?

Konkluzja Niki była jak najbardziej słuszna.

- Niestandardowo - zgodziła się Edzia. - I sprytnie.

- Oryginalnie.

- Z wyczuciem.

- Z polotem.

- Z odlotem!

- Zabawnie.

- Zabawnie? Nieee... bez przesady! - zaprotestowała Edzia. - To ma być po prostu fajna, w miarę widowiskowa

śmierć! No i ten... i niewzbudzająca podejrzeń. Bo nie chcę się potem za diugo w tym babrać.

- Śmierć przeważnie jest podejrzana. A już na pewno nagły zgon faceta w sile wieku. W dodatku przystojnego.

- Stwierdziła Nika, a w jej głosie zabrzmiała stuprocentowa pewność. Edzia nadstawiła uszu, ponieważ liczyła się ze zdaniem fachowca. A Nika jak najbardziej była fachowcem, to znaczy detektywem od zrad. Stąd pseudonim - od Nikity. Chociaż tak naprawdę Nika miała na imię Barbara, a jej nazwisko kończyło się na -ska.

Przedmiotem jej zainteresowania byli zazwyczaj zdrazani, zdrażający oraz powody zdrady, czyli przeważnie tzw. Ktoś Nowy. Nika tropiła, wykrywała i stale się doksztalała. Każdy świeżo wydany kryminał musiał przejść przez jej ręce i wychodził jako przenicowany i wypunktowany zbiór mniej lub bardziej logicznych działań. Równie namiętnie Nika oglądała kryminalne seriale. Uwielbiała je jak leci, z wyłączeniem polskich, w których wszystko było albo zbyt łatwe do przewidzenia, albo zwyczajnie nieśmieszne. Jej mistrzem był Hitchcock, a ulubionym filmem *Okno na podwórze*. Nika miała dziwne przecucie, że jej się to kiedyś przyda. Do Czegoś Naprawdę Ważnego. Tymczasem mogła pomóc przyjaciółce, a to w końcu też było coś.

- Nagły zgon, mówisz... ale to właśnie ma być nagły zgon! Rany, zobacz, jak sobie dzisiaj ramiona spaliłam...

- zmartwiła się Edzia. - Na tym cholernym statku. W cieniu, czujesz?! A specjalnie posmarowałam się setką!

Nika wzruszyła swoimi, nicprzypalonymi słońcem ramionami.

- Skup się może! To ty masz go zabić czy ja?

- No... Ja go muszę zabić, ale ty lo... lubisz! No to doradź mi coś... znasz się na tym, nie? O, tu zaraz będzie mi, skóra schodzić! Zobacz! No dobra, dobra... - poddała się.

widząc wyczekujące spojrzenie Niki. - To może niech on... utonie? W wannie.

- Zwariowałaś? Kto dzisiaj tonie w wannie!

- Mógłby! - zapaliła się Edzia, starannie rozsmarowując na przysmażonych ramionach grubą warstwę kremu. - Spokojnie by mógł! U Laury! Ona ma takie stare mieszkanie, przedwojenne. Wiesz, wysokie sufity, stiuki... idealne miejsce, żeby utonąć!

- Co za Laura? - chciała wiedzieć Nika.

- Kochanka. Jego ostatnia, ha ha! - Edzia aż zatarła ręce z radości. - Jeszcze jej nic widziałaś. Pojawi się za jakieś dwa tygodnie. Wypatrzy go z widowni, przez lornetkę, przyśle kosz kwiatów... no i wiesz. Jest doradcą inwestycyjnym, okulary, taka trochę końska uroda...

- Ale...

- Wannę można by podłączyć do prądu! To musiałyby być stara, metalowa wanna, na takich przygiętych nóżkach... Pasuje do takiego mieszkania, że hej! - nakręcała się Edzia, Już to widziała. Marian, nagi w metalowej, rozżarzonej do czerwoności wannie, wszystko wokół rozżarzone do czerwoności, a on taki bezbronny,.. No i nagi. Jest ugotowany. Czuje zdradę, to musiała być Laura, kochanka zazdrosna ponad normy grzewcze! Marian chce wyjść, uwolnić się, ale wszystko wokół niego jest gorące, to piekło! Palce Mariana, zaciśnięte na brzegach wanny, która nie jest już wanną, tylko płonącym rydwanem, czernieją w oczach.,.

- Twarzy nie pokazujemy, żeby nie wzbudzać niesmaku - powiedziała Edzia w rozmarzeniu. - Bo to pora kolacji i odrabiania lekcji.

- Co, byłyby protesty?

- I to jakie! - zachnęła się Edzia. - Nie możemy aż tak zniesmaczać przy jedzeniu, bo nam zaraz siądzie oglądalność!

- Wanna raczej odpada... - Nika pokręciła głową, a Edzia natychmiast wróciła na ziemię. - Moim zdaniem za bardzo naciągane.

- Tak uważasz? - Edzia z żalu wydłużyła się twarz.

- Hmm... szkoda... Bo mógłby się ugotować na fest!

- Na twardo?

- Na śmierć... - próbowała zachęcić Edzia.

Ale Nika dalej miała minę, jakby zjadła sześć kremów sułtańskich jeden po drugim.

- Ale dlaczego?! - chciała wiedzieć Edzia.

- Kochanie, przecież to na kilometr śmierdzi ścierną! Nie czujesz? To w ogóle nic jest współczesne! Coś takiego mogło się zdarzyć, bo ja wiem... w latach trzydziestych, kiedy...

- ... metalowe wanny były bardziej na topie? Może, może...

- weszła jej w słowo Edzia, a po jej twarzy przemknęło galopem kilka myśli, z gatunku tych bardziej refleksyjnych. - Bo teraz taka Laura to już by sobie na pewno wymieniła na akrylową, no nic? Nie ma w niej za grosz romantyzmu... Może i masz rację... Jaka szkoda! - westchnęła szczerze. - Marian mógłby się pięknie ugotować! Ciekawa śmierć... i rzadko używana.

- E tam, nie żałuj! - pocieszyła ją Nina. - Coś innego się wymyśli, nie?

- Jasne, jasne... - Edzia podrapała się w głowę. - Wiesz co... To ja się jeszcze zastanowię...

- Tak. - Nika przyłożyła sobie Bazyłka do brzucha, jakby był kojącym workiem z lodem. - Pomyśl, jaka śmierć będzie ci bardziej na rękę.

- Pomyślę, pomyślę... ale... później! - zdecydowała Edzia, ziewając szeroko. - Bo teraz to bym się może... zdrzemnęła? Co? Tak. Ja pośpię, a Marian niech sobie jeszcze pożyje... póki co. A ty?

- Wyjdę na taras - powiedziała Nika. - Poczytam trochę... Mogę włożyć twój kapelusz? Ten, no wiesz... słomkowy.

- Nie, nie możesz - Edzia rozłożyła ręce. - Przykro mi!

- Dlaczego nie?? To ja ci pożyczyłam moje perfumy, które mi bezczelnie wypsikałaś do połowy... a ty...
 - Ale ja już go nic mam! Serio.
 - Zgubiłaś - pokiwała głową Nika. - To już trzeci! Trzy kapelusze na dwa tygodnie... Niezły wynik!
 - Wcale nic zgubiłam! Wyrzuciłam.
 - Zwariowałaś?!
 - Musiałam! Jeden mały narzygał mi do środka.
 - Żartujesz!
- Ale po minie Edzi było widać, że nic.
- Mały chłopiec na statku. Taki wiesz, włoski bambino... Puścił mi tam pawia...
- Nika zakrzlusila się śmiechem.
- Biedaku! - w jej głosie zabrzmiało prawdziwe współczucie, ale tylko przez chwilę. - Spokojnie, zaraz kupimy ci nowy! - zawołała w stronę zamykających się z trzaskiem drzwi łazienki.
 - No to co? Kolacja, prysznic i jedziemy? - zarządziła Edzia dwie godziny później. - To znaczy kolacja dla mnie. Dla ciebie suchary. Dwa...? Nie, może lepiej jeden.
 - Dobra, dobra... - Nika z rezygnacją machnęła ręką. Suchar czy tiramisu, chwilowo było jej wszystko jedno. I tak finał był ten sam.
 - Gotowa jesteś? To dzwonię po taksówkę. - Edzia podniosła słuchawkę hotelowego telefonu, w której, jak zwykle hałaśliwie, grała elektronicznie podkrecona arabska muzyka. Nika co chwilę powtarzała, że czuje się całkiem dobrze. Zdążyła powiedzieć to tyle razy, że w końcu obie prawie w to uwierzyły.
 - Dobra. Dzwon! - powiedziała Nika z determinacją, a minę miała taką, jak prawie każdy tuż przed skokiem na bungee. - A ja jeszcze wezmę procha. Jednego. Tak tylko wiesz.,. na wszelki wypadek.

- Szkoda wyjeżdżać, no nie? - Edzia rozejrzała się po pokoju. Wszędzie wały się ciuchy, stosy kosmetyków, gliniane talerze, wisiorki i szklanki z surowego, zielonego szkła. No i kilka podrabianych papierusów, które musiały kupić, pokonane rażącą siłą argumentów arabskiego handlarza.
- Trzeba będzie to wszystko poupychać, ale gdzie? Musimy kupić dodatkową torbę! - zatroszczyła się Edzia.
- Mnie tam wcale nie szkoda wyjeżdżać - stwierdziła Nika z godnością. - O mało nie umarłam z tej choroby!
- No co ty, to była przecież zwykła sr... - machnęła ręką Edzia.
- Przestań, dobrze! Leżącego kopiesz? To była poważna, tropikalna choroba, niebezpieczna dla zdrowia i życia. I tak masz mówić, jasne?
- To lepiej już jedźmy - Edzia złapała swój plecak. - Kupimy jeszcze trochę pamiątek... Przywieziemy ludziom coś konkretnego, oprócz dziwnych opowieści.

Taksówka czekała przed hotelem. Przyjechał ten sam kierowca co zwykle, chudy Arab z wystającymi zębami. Na głowie miał niezbyt czysty turban, len sam, co poprzednim razem. Ten, co obiecał, że już go więcej nie założy. Ale ponieważ było ciemno, postanowiły nie zwracać na to uwagi. Z taksówki wydobywała się ta sama muzyka, podrasowane na zachodnią modłę arabskie granie. Wszystko było jak poprzednio. Z wyjątkiem ceny. Musiały targować się od nowa, bo kierowca, szczerząc zęby w uśmiechu i kiwając potakująco głową, nie przyjmował do wiadomości tego, że skoro wczoraj zapłaciły dwadzieścia funtów za kurs do Naama Hay, to i dzisiaj chcą tyle samo.

Dla taksówkarza z jakiegoś powodu wcale nie było to oczywiste. Powtarzał z uporem „ferty pounds, ferty po-

unds". Dopiero, kiedy powiedziały „good bye” i odeszły kilka kroków, wściekłe i zdecydowane zamówić inną, bardziej uczciwą i mniej arabską taksówkę, krzyknął w ich stronę „okej, okej, tłenty”. Pokręcił głową, mamrocząc pod nosem coś, co z całą pewnością nie było życzeniami wszystkiego najlepszego, i otworzył przed nimi drzwi.

Musiał je otworzyć, bo w starym, siedmioosobowym peugeocie jedynie drzwi kierowcy miały klamkę. Klamkę uniwersalną. Trzeba było tylko wsadzić ją w otwór drzwi, które chciało się otworzyć. Proste. I kierowca tak właśnie zrobił. Nie widział w tym nic nadzwyczajnego. Nie rozumiał też, co takiego pasażerki komentowały w swoim dziwnym języku.

- A kiedy się z nim bzykniesz? - przypomniała sobie Nika.

- Z Marianem?

- No!

- Bzykniesz, bzykniesz. - zakręciła się Edzia na swoim miejscu. - Zaraz bzykniesz... - Ich spojrzenia spotkały się za plecami kierowcy i obie roześmiały się w jednej sekundzie. Co tu było mówić.

- Jak najszybciej!

- No co ty? - ucieszyła się Nika. - Serio? Edzia wzruszyła ramionami.

- Wracam i działam! Sama zobaczysz. A on... - To, co teraz przemknęło Edzi przez głowę, czuła, zamykało sprawę. To było rozwiązanie. - ...

Wiesz co? Niech on popełni samobójstwo!

- Tak? A dlaczego? - zdziwiła się Nika.

- A dlaczego nie? - Edzia wzruszyła ramionami. - Będę go miała z głowy. On zrobi to sam! A ja mu tylko podsunę pomysł.

- Będzie miał powody?

- Powody się znajdują, o to jestem spokojna. Powody to moja specjalność.

- Nie będzie zadowolony...

- Trudno. Jakoś to przeżyje - wzruszyła ramionami Edzia i wyciągnęła portfel.

Wysiadły w bocznej uliczce, przylegającej do rynku.

Był środek nocy - idealna pora na zakupy. Żadnych egipskich ciemności, wszystko wokół świeciło setkami lampek. Na kolorowych dywanikach w równych rzędkach stały bogato zdobione fajki wodne, rzeźbione taborety i wielbłądy ze skóry. Uśmiechnięci mężczyźni w kolorowych galabijach hałaśliwie zachęcali, żeby wstąpić do którejś z niezliczonych arabskich kafejek na haust fajki o smaku jabłka i mięty. Migotliwie świeciły neony, angielskie napisy mieszały się z niemieckimi. Nika i Edzia przeciskały się przez tłum tych, którzy tak jak one zaraz wyjeżdżają, i tych, co przed chwilą przylecieli. Jedni i drudzy różnili się między sobą kolorem mniej lub bardziej opalanej skóry, ale w oczach wszystkich płonęła ta sama żądza zakupów.

Fo dwóch godzinach znalazły to, czego szukały, a kupiły po następnej godzinie targowania się.

Objuczone jak wielbłądy wróciły do hotelu. Wypiły jeszcze pół butelki whisky, żeby nie targać jej do Warszawy. Wylać było im trochę żal, szczęśliwie Edzia doradziła Nicc, żeby ta zdezynfekowała sobie przewód pokarmowy i wybiła resztę niepożądanych bakterii, co Nika uznała za bardzo dobry pomysł. Sama z kolei wypiła profilaktycznie, żeby pod sam koniec czegoś nie złapać.

Edzia rozejrzała się po pasażerach. Wszyscy byli mocno opaleni, a z większości złaziła skóra. Z niektórych całymi płatami i na czerwono. Wyglądali, jakby mieli tyfus plamisty. No ale coś za coś - teraz to już nikt nie powie, że nie byli w tropikach.

Najwspanialszym okazem slyfusienia była łysa głowa, równomiernie pokryta różowymi plamami o zmiennej średnicy.

Wyglądała jak przepiórcze jajo w powiększeniu. W bardzo, bardzo dużym powiększeniu. Głowa była łysa, duża i umieszczona na cienkiej, pomarszczonej szyjce oraz równie niepozornej reszcie. No i tkwiła tuż za Edzią.

Facet nie tylko brzydko wyglądał - to jeszcze dałoby się jakoś znieść. Wystarczyło nie oglądać się za siebie bez potrzeby i poprzestać na widokach za oknem. Niestety, dodatkowo śmierdzał.

- Cholera, koleś nie mył się co najmniej tydzień! - skrzywiła się Edzia, wstrzymując oddech.

Nika przytaknęła bezgłośnie, ponieważ również starała się raczej nie oddychać.

- Jak można pójść do ludzi z takim smrodem na sobie? No ja rozumiem, przysnął facet na słońcu raz czy dwa... bez czapeczki... Trudno! Zdarza się. Ale chyba mógł się umyć? Przynajmniej przed podróżą, nie?

Nika, nadal nie oddychając, kiwnęła głową, że tak.

Edzia rzuciła na niego jeszcze dwa lub trzy niechętnie spojrzenia i doszła do wniosku, że facet nie zmieniał leż koszulki. I to od dość dawna.

Wskazywały na to okazałe zacieki, rozpierające się dumnie pod pachami. Ohyda!

Mężczyzna przechwycił spojrzenie Edzi i najwyraźniej zinterpretował je po swojemu, bo odruchowo i nawet nieco zalotnie przeczesał dłonią swoją łysą czaszkę. I ustawił się do Edzi lewym profilem, prawdopodobnie tym lepszym. Edzia, również odruchowo, wzruszyła ramionami, ale wcale nie zalotnie, tylko z dużym niesmakiem.

Rozejrzała się w poszukiwaniu torebki. Kiedy po dłuższej chwili okazało się, że siedzi na niej Nika, Edzia nadal starając się nie oddychać, chociaż to był już naprawdę ostatni moment, wydobyła ją spod przyjaciółki mocnym szarpnięciem. I pogrzebała w środku dość nerwowo.

Po omacku natrafiła na kilka podłużnych fiolek i wyciągnęła jedną z nich. Tym razem padło na gaultiera. Męskie, to

nawet lepiej. Edzia zawsze miała je w torebce, ponieważ ciągle zapominała wyjąć. Super! Niech teraz posłużą słusznej sprawie. Odwróciła się do śmierdziela i z zaskoczenia psiknęła kilka razy w jego stronę.

Przepiórcze Jajo nie wiedział, jak zareagować. Więc w ogóle nic zareagował. Jedynie usta zatrzymały mu się w półuśmiechu, a dłoń, czule głaszcząca łysinę, znieruchomiła na czaszce. Nozdrza, z których wystawało kilka pojedynczych włosków, nerwowo łapały obcy zapach.

- Co też pani! Co pani! - Kobieta siedząca obok miała najwyraźniej jakieś prawa do śmierdziela. Może to była nawet żona, bo zaczęła tak gwałtownie machać rękami, odganiając pachnącą chmurę od mężczyzny, jakby to była jakaś zaraza.

- Zostaw, Dankaa... się nie stało przecież! Pani niechący, prawda? - uśmiechnął się Przepiórcze Jajo i wtedy wydało się, że ma poważne braki w uzębieniu. On sam widać doskonale o tym wiedział, ponieważ błyskawicznie zakrył usta dłonią. Kobieta, a była to tleniona blondynka z karminowymi

ustami i sporą nadwagą, fuknęła gniewnie:

- Niechący! Sama widziałam, specjalnie to zrobiła!

- Danuta! - powiedział z wyrzutem Przepiórcze Jajo.

- Strzeliła w ciebie! A jakby tak rewolwer miała?!

- Danuta!

- Przecież mogłeś oko stracić!

- D a n u t a !

- Ale tam spirytus jest!

- Ale mało... - westchnął ze smutkiem Przepiórcze Jajo i rozłożył ręce z rezygnacją.

Jego kobiety wcale to nie rozbawiło.

- Elegantka jedna! - w uszmińkowanych ustach blondyny zabrzmiało to jak ciężka obelga. Kobieta jednym szarpnięciem wyciągnęła gazetkę, wystającą zza oparcia fotela,

na którym siedziała Edzia. Po czym zaczęła sprawiać wrażenie osoby niezwykle zainteresowanej bogatą ofertą sprzedaży bezcłowej na pokładzie, ze szczególnym uwzględnieniem kremów przeciwzmarszczkowych.

Aha, i jeszcze dwa razy kopnęła ten fotel, oczywiście niechcący.
- Ale to nawet ładny zapach jest... - Przepiórcze Jajo nie dawał za wygraną - Jaki to zapach, proszę pani? - zawrócił się bezpośrednio do Edzi, śmierzząc teraz zdecydowanie mniej.

Edzia nie raczyła odpowiedzieć.

Zaczęta już wprawdzie oddychać, tak samo jak i Nika, ale zapadła się w swoim fotelu i sięgnęła po batonik Bounty. Jednym ruchem rozerwała opakowanie i pochłonęła go raz dwa, mieląc w ustach kokosowe wiórki i słowa, powszechnie uważane za obraźliwe. Znów wzięła mini gaultiera, wsunęła go delikatnie pomiędzy fotele i psiknęła dyskretnie jeszcze raz, a smużka zapachu powędrowała tym razem w okolice kolan Przepiórczego Jaja. Na wypadek, gdyby przyszło mu do głowy zdjąć buty.

A potem stewardesy pokazały, co trzeba zrobić w razie wypadku, co nadmuchać i gdzie przyczepić rurkę, wszyscy się pozapinali jak trzeba i samolot wystartował.

Nika dla pewności łyknęła jeszcze jeden proszek, żeby zminimalizować niebezpieczeństwo nawrotu choroby, bo whisky, niestety, już nie było. I poleciały.

Już z daleka rozpoznała szary prochowiec mamy.

Było duszno jak diabli, chociaż wentylatory w hali przylotów kręciły się jak oszalałe. Wszyscy czekali na swoich bliskich porozbierani jak należy.

Wszyscy oprócz mamy. Mama wyglądała na ich tle jak żaglowiec, przyłapany w tym smutnym momencie, kiedy chwilowo nie ma wiatru. Edzi zrobiło się jakoś ciepło na sercu, chociaż po raz kolejny zadała sobie

pytanie, czy nie jest aby za staia, żeby mama odbierała ją z lotniska. I że może mama jednak przestałaby w końcu tak ją odbierać i odbierać

- Jesteście, kochane! Nareszcie! - Mama rzuciła się na Edzię. - Nareszcie!
- Mamo! Zgnieciesz mi krtań!

- Ojej, pokaż się, jaka opalona! Ale skóra ci złazi, sama zobacz! Widziałaś to?! Tu, na ramieniu! I na drugim też! Coś podobnego! A prosiłam, żebyś smarowała się filrami, ale co tam, tobie można mówić...! Dawaj bagaż! Bagaż daj! Czyja to torba, twoja? Nic? Jak było, dobrze się bawiłyście? Wypoczęłyście? Nika, ty jakoś mizernie wyglądasz... Schudłaś czy co? Co, jedzenie było niedobre? A może mało?

- Nic, mamo, to „zemsta faraona”! - Szeptnęła jej do ucha Edzia bardzo dyskretnie, próbując równie dyskretnie wyjąć swoją walizkę z rąk rodzicielki. Walizka była na kółkach i naprawdę nie trzeba było jej nieść.
- Mrówki cię pogryzły? - Zmartwiła się szczerze mama Edzi. - A przecież dałam Edzi coś na mrówki, ale co tam, pewnie nawet nie wyjęła z walizki...!

Przez całą drogę mama mówiła mniej więcej to samo. Raz mniej, raz więcej, ale przeważnie więcej. Rozważania mamy dotyczyły tego, co Edzia mogła zrobić, a nie zrobiła, i dlaczego. Były to rozważania czysto teoretyczne, ponieważ mama ani przez moment nie czekała na odpowiedź.

Taksówkarz, który je wiozł, nie mógł się nadziwić, ile można gadać o tym samym. A z tego, co mówiła mama Edzi, wynikało, że naprawdę długo. Że właściwie bez końca.

Taksówkarz starał się nie słuchać i zwracać większą uwagę na znaki drogowe, ale nie było to takie proste. Zerkał współczująco na dziewczyny, ale one były chyba uodpornione, bo siedziały, jakby nigdy nic popatrując w okno, podczas gdy z kobiety w prochowcu płynął monotematyczny słowotok.

Taksówkarz zaczął się zastanawiać, czyja to matka. Której z nich. A może babka? Żar leje się z nieba, a ona w płaszczu przeciwdeszczowym...

Taksówkarz westchnął z dezaprobatą i jeszcze szerzej rozchylił kołnierzyk swojej koszuli. No to na którą z nich padło?

- A co u ciebie, mamó? - zapytała ta ciemniejsza. Dziwne, pomyślał taksówkarz, który raczej obstawiałby tę drugą... E tam, bzdury jakieś! Zresztą to nic jego sprawa. Podkręcił głośniej radio, bo już miał dość tego jazgotu. *God is a giń*. Może być, wszystko może być. Wszystko jedno.

- Może by pan tak ściszył?! - odezwała się gderliwie ta w płaszczu. - Porozmawiać nie można, własnego głosu nie słyszę! Córka dopiero co wróciła, całe dwa tygodnie jej nie widziałam!

Taksówkarz demonstracyjnie wyłączył radio.

- Tak może być?

- Może być - zgodziła się łaskawie kobieta. - O, tutaj niech się pan zatrzyma. Ta pani tu wysiądzie! Jeszcze niech pan bagaże pomoże wyjąć, dobrze?

Taksówkarz pomógł.

- No, to na razie! Dzięki za wszystko, było super! Zdzwo-nimy się jutro, okej?

Nika znikła za drzwiami swojego bloku, a mama zdecydowała dość kategorycznie:

- Musztardowa sześć.

- Nie, na Mokotów! Chcę do domu! - zaprotestowała Edzia.

- Kochanie, przecież właśnie jedziemy do domu! Ja mam obiad dla ciebie! - Powiedziała stanowczo mama. I do kierowcy: - Proszę jechać Musztardowa sześć.

- Ale ja nie chcę obiadu!

- Ale ja już ugotowałam! - Mama popatrzyła na Edzię z wyrzutem i szczerzej otuliła się płaszczem.

To magiczne zdanie za każdym razem zamykało dyskusję. Sprawa była przesądzona i Edzia wiedziała, że wszelki opór

nie zda się na nic. Ponieważ mama zawsze, ale to zawsze, wiedziała lepiej. Wszystko, a zwłaszcza to, czy Edzia powinna zjeść obiad, czy też nie.

Mama doskonale sprawdziłaby się jako kluczowy negocjator w Unii Europejskiej. Bez wątpienia zawsze postawiłaby na swoim, stosując bardzo prostą taktykę niesłuchania tego, co mówi przeciwnik, i prezentowania bezustannie swojego punktu widzenia. Jako jedynie słusznego, oczywiście.

- Nie jestem głodna! - Edzia mimo wszystko zaprotestowała, żeby nie poddawać się tak całkiem bez walki.

- Zjesz, zjesz, tam na pewno nie było mielonych z buraczkami! - Mania chytrze mrugnęła okiem.

Edzia została ostatecznie pokonana, i to wcale nie dlatego, że do mielonych z buraczkami czuła jakiś szczególny sentyment. Wręcz przeciwnie. Ale spróbowała jeszcze raz:

- Nie było i bardzo dobrze! Przecież wiesz, że się odchudzam!

Nie była to prawda, ponieważ Edzia wcale się nic odchudzała. Ale nie miało to w tej chwili większego znaczenia.

- Odchudzasz się? Znowu? Wszystkie się odchudzają i odchudzają jak głupie! Co to za moda jakaś?! No i z czego ty się odchudzasz? - obruszyła się mama. - Z czego? Z kości na ości! O, skóra ci wisi tutaj! Tu ci wisi, na podbródku! Sama zobacz!

Edzia siedziała bez ruchu. Woląa nie ryzykować, sięgając ręką do swojego podbródka, w obawie przed natrafieniem na trzy fałdy obwisłej skóry.

- No, gdzie pan jedzie? Za daleko! Proszę cofnąć! - prychnęła mama Edzi oburzona, że taksówkarz nie zatrzyma! się dokładnie tam, gdzie ona chciała wysiąść. - O, tu proszę się zatrzymać, pod tym drzewem...

Taksówka odjechała, a one zostały same.

- Zjesz spokojnie, posiedzisz, odpoczniesz, a potem obejrzymy sobie *Cyrki* - powiedziała ochoczo mama, otwierając furtkę.

Weszły do domu, który wyglądał tak samo, jak inne domy na tej ulicy. Czyli nie za dobrze. Był to nieotynkowany klocek z czerwonej cegły, z płaskim dachem. Niewielki ogródek pełen żółtych i fioletowych kwiatków, zielona brama. Nad furtką żeliwny łuk, po którym z trudem wspinały się ciemnoczerwone róże. Rodzinny dom Edzi.

- *Cyrk?* Na pewno nie! - zaprotestowała Edzia. - Nie oglądam tego! Mama Edzi tylko wzruszyła ramionami.

- Oj tam, nie oglądasz! Wszyscy oglądają, a ty nie oglądasz... Ale wiesz co? Rostkowa założyła się ze mną, że Marian niedługo zginie! Mówiła, że tak jej w kartach wyszło... wyobrażasz sobie?! No i założyłam się z nią, a co... Że nie zginie Marian! O pięćdziesiąt złotych! Dobrze zrobiłam? A ty jak myślisz, zginie czy nie?

- Mamo, ja się nie muszę domyślać. Ja to wiem!

- A skąd ty to możesz wiedzieć, kochanie! - powiedziała mama z powątpiewaniem, żwawo krzątając się po kuchni. - Swoją drogą to ciekawe... zginie czy nie...

Kuchnia była niewielka i trochę zaniedbana. I taka jakby smutna.

Wyglądała, jakby mama Edzi nie przebywała w niej za często.

- Zginie - wymruczała Edzia, nalewając sobie kompot śliwkowy do kubka z utłuczonym uchem.

- Zginie, zginie! - zaczęła mama gderliwie. - A ty niby skąd wiesz...? Już podaję obiad, tylko zagrzeję... Usiądź sobie na kanapie, tylko najpierw umyj ręce! I telewizor włącz! I dobrze podkreć głos, żebyśmy z kuchni słyszała!

Mama kręciła się po kuchni, aż furczało. Tu wstawiła, stąd wyjęła, jednocześnie włączyła gaz, nogą domykała lodówkę, już kroić pomidory... Nadawała by się do *Cyrku* na zonglera, pomyślała Edzia. I zapytała na wszelki wypadek:

- Pomóc ci?

Mama machnęła ręką między jednym a drugim plastrem pomidora:

- Nie, nie ma w czym... Już wszystko gotowe... Tylko ten telewizor włącz!

- Ale *Cyrk* dopiero za dwie godziny! - zauważyła Edzia.

- No tak, ale w Polonii dają stare odcinki! Polonię włącz!

- Ale przecież już je oglądałaś!

- No to co, niech sobie lecą! Nic zaszkodzi przypomnieć... Swoją drogą ciekawe, czy z tych Orskich ktoś wreszcie zdejmie klątwę... No i co dalej z Marianem... ale ty mówisz, że nie oglądasz...

- Jasne, że oglądam. Muszę. W montażowni... - mruknęła Edzia, ruszając w stronę pokoju.

- No widzisz, jednak oglądasz...! A mówiłaś, że nie... - w głosie mamy zabrzmiała lekka nutka triumfu. - Ale co tam się u nich dzieje! No mówię ci! Tam to już każdy z każdym... krzyżują się jedni z drugimi! Już się wydawało, że nic nowego nie można wymyślić, bo przecież wszystko już u nich było, a to choroby, cięża, zdrady, zemsty, jak nic u jednych, to u drugich... A tu masz! Ciągłe coś nowego wyskakuje... Kto to wymyśla, ja nie wiem...

W kuchni rozległo się skwierczenie tłuszczu. Edzia z daleka poczuła jego zapach. No nie, mama znowu smaży na smalcu, westchnęła z rozpaczą. Chyba trzeba będzie komuś w *Cyrku* podwyższyć poziom cholesterolu... może żonie świętej pamięci Vatzlava? Tego, co ostatnio zginął w wypadku? Kompletnie się spalił, biedaczek, ale należało mu się za długi... Włączyła telewizor, leciały jeszcze jakieś reklamy.

Tak, żona Vatzlava będzie idealna na postrach. Może to przemówi mamie do rozsądku i przestawi się w końcu na oliwę...?

- A, bym zapomniała! Ciotka Jadzia była tu w zeszłą niedzielę. Pozdrawia cię! - Mama weszła do pokoju z dymiącym talerzem w ręku. Zerknęła w telewizor. *Cyrk* jeszcze się

nie zaczął. - Siadaj i jedz! Pytata, co u ciebie! No wiesz...

- mama poruszyła znacząco brwiami - czy masz kogoś...

- Faceta? - pokiwała głową Edzia. Pod tym względem wszystkie mamy są niepokojąco jednomyślne.

- Narzeczonego - sprostowała mama z godnością.

- I co jej powiedziałaś?

- A co ja tam wiem, ja nic nie wiem... A masz? - spojrzała na Edzię z nadzieją.

- Noo... mam - przytaknęła Edzia ostrożnie. - W planie.

- Tak? - ucieszyła się mama. - A kto to? Znam?

- Znasz! I to bardzo dobrze!

- Ale to chyba nie Maurycy? - zaniepokoiła się mama.

- Boja tak do końca nie jestem pewna, czy on... no wiesz... czy to jest prawdziwy mężczyzna! Dlaczego tak dziubiesz? Tam nic ma nic efustego! Nie dziub, tylko jedz!

- Też się czasem nad tym zastanawiam... - powiedziała Edzia, ukradkiem zagrzebując w ziemniakach co tłustsze kawałki kotleta. - Ale możesz spać spokojnie. To nie Maurycy.

- No to kto? Słodki? Tak? Nie byłby zły, a i lekarz w rodzinie by się przydał... prawda? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Nic mamo, to nie on. Może już nie zgaduj... bo i tak nie zgadniesz!

- No przecież mówisz, że go znam... Ale chyba nie żonaty? Ojej - zerwała się nagle - zapomniałam odsmażyć buraczki! - i pobiegła do kuchni.

- Znasz, ale nie z tej strony... - odpowiedziała Edzia nieco wykrętnie. - Zresztą... Może nawet sama zobaczysz? Mam nadzieję.

Zadzwoił telefon. W telefonach dobre jest to, że w filmie zawsze, a w życiu czasami, odzywają się w samą porę.

- Odbierz! - krzyknęła mama z kuchni. - Zaraz przyjdę! Edzia podniosła słuchawkę.

- Halo? Stenia, to ty? - W słuchawce zabrzmiał charakterystyczny, niski głos, jakby z przydchem.

Była to Zdzisia, sąsiadka mamy z domku obok. Zdzisia, jej astma i mama Edzia lubiły się bardzo i miały to szczęście, że oddzielał je od siebie jedynie żywopłot. Edzia zaś darzyła panią Zdzisię umiarkowaną sympatią i z racji astmatycznego przydechu nazywała ją w myślach Lordem Vaderem.

- Tu Edzia - powiedziała Edzia. - Dzień dobry, pani Zdzisiu! Mama nie może podejść, bo odsmaża.

- Aha... - pani Zdzisia świszcząco westchnęła. - No tak... Dzień dobry! Co, już wróciłaś? Co tak prędko?

- Owszem - potwierdziła lakonicznie Edzia - wróciłam. Pani Zdzisia przyjęła ten komunikat do wiadomości.

- Aha... - westchnęła ciężko i znacząco, co było jednym z objawów astmy.

- No to mam prośbę. Przypomnij mamie, proszę!

- Tak? - zagadnęła Edzia niezbyt zachęcająco.

- Że dzisiaj u niej, po *Cyrku* - zaświszczała tamta konfidencjonalnie.

- Tak?

- Tak. Że dzisiaj u niej! - zabrzmiało to bardzo tajemniczo.

- Dzisiaj u niej - powtórzyła Edzia dla pewności.

- Tak - potwierdziła pani Zdzisia ze świstem i naprawdę nie zabrzmiało to zdrowo. - Ja przyniosę ciasto, placek ze śliwkami. A Kostkowa wino.

Jakieś takie, nie wiem... słodkie czy nie... ale czerwone! Ale ciasto to na pewno słodkie będzie, na pewno. Z rabarbarem! To powiesz, tak?

- Tak - obiecała jej Edzia i odłożyła słuchawkę.

- Kto dzwoni? - zainteresowała się mama znad patelni.

- Zdzisia! - odkrzyknęła Edzia. - Ale już się wyłączyła! - P a n i Zdzisia.

Mogłaby być twoją matką - sprostowała

mama, wnosząc do pokoju dymiące buraczki.

- Ale na szczęście ty nią jesteś - Edzia cmoknęła mamę w policzek. - Prawda?

- Prawda, prawda... Umyłaś ręce?

- Mamo, ty wiesz, ile ja mam lat? A ty mnie pytasz, czy umyłam ręce? I to teraz, po jedzeniu? - Edzia z dezaprobatą pokręciła głową. Mama najwyraźniej postarzała się przez te dwa tygodnie o parę milionów lat świetlnych.

- A umyłaś?

- Nie.

- A widzisz. - W głosie mamy zabrzmiał triumf. - Jedz buraczki!

Edzia nie znosiła buraczków prawie tak samo jak cynade-rek i mama doskonale o tym wiedziała.

- Ale...

- Jedz! Buraczki są zdrowe i mają witaminy! Na przykład... eeee... Mama Edzi zastanawiała się przez chwilę, jakie konkretnie, ale szybko dała sobie z tym spokój. Zniecierpliwiona machnęła ręką. - Dużo witamin mają! No... a czego chciała Zdzisia?

Edzia spojrzała na nią znad buraczków.

- Prosiła, żeby ci przypomnieć, że dzisiaj u ciebie - powiedziała znacząco.

- Że u ciebie, no wiesz. Wiesz?

- Wiem, wiem! - odparła mama, nagle zadowolona nie wiadomo z czego.

- Ale później pogadamy, dobrze? I opowiesz mi o wakacjach... Teraz jedz, bo ci wystygnie...

I wlepiła oczy w telewizor, a tam któryś z Orskich właśnie podkładał świnie seniorowi rodu Morenow.

- Ale o co tu chodzi? Marno, urządzasz dzisiaj imprezę? I mnie nie zaprosiłaś? - Edzia szturchnęła mamę widelcem w bok.

Nie było jednak żadnej reakcji. Mama Edzi siedziała jak zahipnotyzowana. Wpatrywała się w telewizor, z otwartymi ustami i śledziła spojrzeniem każdy ruch na ekranie. Edzia machnęła jej ręką przed nosem. Zero reakcji. Złodzieje mogliby wynieść teraz cały dom, z mamą w środku.

Na pewno by nie zauważyła.

- Mamo! - huknęła Edzia tuż nad jej uchem tak, że mania nerwowo podskoczyła na kanapie. - Halo, to ja! Edzia!

Nie jestem z Orskich! Ani z Morenów! Ale - jestem - twoją - córką!!!

- Co ty tak krzyczysz?! Nic nie słyszę, co mówią... Nie krzycz, jedz... buraczki jedz, dokładnie wszystkie wyjedz... bo witaminy...

- A co z tą imprezą?

- Oj tam, z imprezą zaraz... żadna tam impreza! Spotykamy się ostatnio po prostu... zawsze po *Cyrku*... no i tak... - mama nieuważnie wzduszyła ramionami. Znow była t a m.

- Wywołujecie duchy? - spytała podejrzliwie Edzia. - Palicie trawę?

- No co ty? Zwariowałaś? - Mama była tak zde gustowana, że aż oderwała wzrok od ekranu. AJe tylko na sekundę. Za ro wyjątkowo jadowitą.

- To co, hazardzik? W karty gracie? Mama cmoknęła z niesmakiem.

- To już nie wiem... - poddała się Edzia. - A może założyłyście kółko naukowe? Ty, pani Zdzisia i kto jeszcze? Co? Są jacyś panowie?

- Nie, same panie - odpowiedziała mama całkiem na poważnie. - Zdzisia, Rostkowa, Kowalska i ja.

- Aha. I o czym tak rozmawiacie?

- No, różnie... o życiu, o Orskich, i w ogóle... I o Morenach.

- Aha... o *Cyrku* gadacie - domyśliła się Edzia. - O rany... a zakłady jakieś robicie?

- Skąd wiesz? To znaczy... dopiero pierwszy raz! O tego Mariana... AJe tak dla przekonania, bo wiesz, ta Rostkowa tak obstaje, że Marian zginie... rozumiesz? Zupełnie jakby mu źle życzyła...! Jeszcze jakieś nieszczęście na niego sprowadzi... - Mama Edzi złapała się za głowę i zatopiła wzrok w Marianie, jakby to miało go ocalić. A Marian nie mając pojęcia o tym, jakie budził emocje, w najlepsze ro-

mansował po drugiej stronie ekranu jak przystało na normalnego, zdrowego i prawidłowo reagującego na bodźce faceta.

- Ja nie mogę tego słuchać! Tych... tych kalumnii! Ja po prostu nie mogę! No to się założyłyśmy - proszę bardzo, straci pięćdziesiąt złotych, to popamięta! - Mamie Edzi z oburzenia aż zaświeciły się oczy. Do telewizora.

- Ale ty raczej nie powinnaś brać w tym udziału... - ostrożnie zaczęła Edzia. - Moim zdaniem.

- A to dlaczego?! - oburzyła się mama Edzi. - Przecież to ja wszystko wiem o Orskich, o Morenach, kto z kim! Ja jestem na bieżąco! Od samego początku!

- Bo to by było nie fair. Mogliby podejrzewać, że masz jakieś przecieki...

- Przecieki? - nie zrozumiała mama.

Na ekranie Orski właśnie tresował słonia i nie bardzo mu szło.

- Że wiesz więcej, niż one.

- Taak? A niby skąd?

- Ode mnie. Bo ta ja piszę scenariusz do *Cyrku*. Mamo.

Życie jest pokręcone jak chiński makaron.

I może nic w tym dziwnego, że dzień, w którym kilka razy wydarzyło się coś istotnego i człowiek liczy na chwilę wytchnienia, nie chce się skończyć tak po prostu. Nic chce i już! Może to wcale nie jest dziwne. Za to jest na maksa wkurzające.

Pod drzwiami mieszkania Edzi stało pudło. Duże, kartonowe, jak po telewizorze średniej wielkości. Było starannie obwiązane plastikową, różową wstążką i miało gęsto podziurkowane wieczko. Coś tam w środku najwyraźniej potrzebowało powietrza.

- Bomba - powiedziała Edzia sama do siebie. I w zasadzie bardzo się nie pomyliła.

Była jednak zbyt zmęczona, żeby bardziej się dziwić. Poza tym w żołądku miała trzy kilo gotowanych buraczków z mnóstwem witamin, co dodatkowo zubożniało ją na bodźce z zewnątrz. Przemknęło jej tylko przez głowę, że z leniwego wieczoru, który chciała spędzić kompletnie niezobowiązująco, prawdopodobnie nici.

- O nie - zaprotestowała w nagłym odruchu samoobrony. - Co to, to nie! Nie ma mowy!

Pudełko poruszyło się lekko. Coś zaszeleściło w środku, a Edzia zmelfa w ustach brzydkie słowo i zazgrzytała kluczem w zamku.

Drzwi ustąpiły, trzeszcząc przyjaźnie. Edzia wciągnęła walizkę jednym szarpnięciem, kółka na moment zawahały się na drewnianym progu.

Ostrożnie, żeby nie zawadzić o to nieoczekiwane pudło.

Mieszkanie pachniało znajomo. Drzewem sandałowym, jabłkami, Edzią. Zamknęła za sobą drzwi. No, to jestem, odetchnęła z ulgą. Już wszystko okej. Jestem u siebie.

Miała zamiar zostawić pudełko, jak stało. Ktoś się nim pewnie prędzej czy później zainteresuje. Może nawet ten sam dowcipniś, który rozdaje takie prezenty. Kto to mógł być? Edzia miała nadzieję, że nikt, kogo zna i lubi, bo nie chciałyby przestać z powodu głupiego pudełka. No i jego zawartości, rzecz jasna.

Mogła więc zostawić pudełko przed drzwiami, mogła też wynieść je przed kamienicę, żeby zwiększyć prawdopodobieństwo trafienia tego czegoś w dobre ręce. A jeżeli to waż? Przecież może być jadowity albo, co gorsza, dusiciel... Mogła też zwyczajnie udać, że nic nie widziała, i jak gdyby nigdy nic wskoczyć do wanny... Ale przecież nie mogła. No jakoś nie mogła.

Otworzyła drzwi. Pudło stało w tym samym miejscu, skromne i jakby trochę zawstydzone. Nie odzywało się. Edzia przez chwilę miała wrażenie, że wstrzymało oddech. Pochyliła się nad nim i próbowała zajrzeć przez jedną z dziurek, ale wszystkie były za małe.

- K... mać! - powiedziała trochę do siebie, a trochę do pudełka. A potem ostrożnie wzięła je w ręce, było całkiem lekkie. I wniosła do środka.

- No i co teraz? - w jej głosie zabrzmiała nutka irytacji. Pudełko nie odezwało się ani słowem.

- Gucio - odpowiedziała Edzia sama sobie.

Pudełko było zaklejone taśmą, musiała więc pomóc sobie trochę nożyczkami.

Usiadła na kanapie i czekała, co będzie dalej. I czy to jednak nie wąż. Na wypadek węża Edzia uchyliła lekko drzwi wejściowe, żeby mieć w razie czego wolną drogę. Widziała kiedyś na filmie, jak szybko potrafi dopadać taki wąż. Szczególnie jadowity. A z filmu wynikało, że im bardziej jest jadowity, tym szybciej dopada.

Znow usiadła na kanapie, ale tym razem po zewnętrznej, na samym brzegu.

Długo nic się nie działo. No ale, jak mówi ludowe przysłowie, kto czeka, doczeka się. Przysłowie to zostało pozytywnie zweryfikowane również i w tym przypadku. Wieczko poruszyło się w końcu, raz i drugi. W kartonie coś zaszeleściło, a Edzia zamarła w oczekiwaniu, gotowa do ucieczki.

Z pudełka wyjrzały spiczaste uszy. Zdecydowanie nie węzowe. Raczej kocie. A zaraz potem oczy, też kocie. Bursztynowe. I cała kocia głowa. I cała reszta. Trochę trwało, zanim cały kot odważył się wyjść ze swojej tekturowej skorupki.

Był rudy i całkiem duży. Nie spuszczał z Edzi czujnego wzroku, zupełnie jakby lo Edzia była wężem.

Edzia pomyślała, że kot ma niezbyt inteligentne spojrzenie, jakby był na prochach albo na kacu. Na pierwszy rzut oka wyglądał na kota drugiej kategorii.

Ale tak naprawdę to Edzia wcale nie знаła się na kotach.

Pies, kanarek... to i owszem. Instrukcję obsługi tych zwierzątek miała Edzia w małym palcu. Wiedziała na przykład, kiedy kanarek już naprawdę nie może fruwać, i to

mimo znacznego ułatwienia, jakim było podrzucanie go. Kiedy wczepiał się kurczowo w firankę i za nic nie chciał puścić, Edzia wiedziała, że już naprawdę należy przestać.

Albo pies Korek, rasy przekarmiony jamnik, który w ukryciu podgryzał łądygi łubinu w ogródkach sąsiadów. Tylko Edzia wiedziała dlaczego. Korek był wegetarianinem, do czego jemu jako psu głupio było się przyznać. Tak więc sprawa łubinu jak również ukradkiem wyjadanej z ogródka Kostkowej marchewki pozostała między nimi. Znaczą między Korkiem a Edzią.

Ale z kotem to co innego. Kota Edzia nigdy nie miała i mieć nie zamierzała, bo kotów po prostu nie znosiła. Uważała, że są wredne, fałszywe i do bólu interesowne. A już najgorsze ze wszystkich są te rude. Kto jej tak bardzo nie znał, że dał jej kota w prezencie ?

A kot, rudy i prawdopodobnie też interesowny, najpierw obwąchał pudełko. A potem to, co było najbliżej - niebieskie krzesło Edzi i metalową nogę od stołu. Przysuwał pyszczek bardzo blisko, prawie dotykał nosem, raz za razem. Nie śpieszył się. Może ma słaby węch, pomyślała Edzia. Albo katar.

Przyszło jej do głowy, że kot może mieć również pchły. Robaki.

Toksoplazmozę. Koty przecież uwielbiają przenosić toksoplazmozę na kobiety w ciąży! Można nawet powiedzieć, że to ich hobby... Edzia wyczytała to w poradniku medycznym, kiedy szukała jakiejś ciekawej dolegliwości do *Cyrku*. Sama co prawda chwilowo nie była w ciąży i w najbliższej przyszłości nie zamierzała być, no ale nic miała też zamiaru mieć kota!

- Jesteś tu do jutra - poinformowała rudego, sprzątając mu sprzed nosa plastikowe jabłuszko, które kot przed chwilą strącił z kuchennej szafki i zamienił w piłkę. Pac, pac i jabłuszko potoczyło się po podłodze, prosto pod jej nogi.

Edzia spojrzała na pudełko. Coś ją tknęło i zajrzała do środka. A tam, w trocinach, zagrzebana do połowy leżała ko-

lorowa pocztówka. Edzia wyciągnęła ją ostrożnie, jakby to dopiero była bomba. Na kartce, oprócz okazałego, choć dość konwencjonalnego bukietu kwiatów, ciągnął się wstążką złoty napis: Happy birthday! Tylko tyle, lecz serce Edzi zaczęło błyskawicznie rosnać, jak dobrze wyrobione ciasto na pączki. Spojrzała na kota z sympatią i gwałtownie wzbierającą czułością.

- No widzisz, kot! - podetkała mu pod nos kolorową kartkę, którą kot obwąchał równie uważnie, jak wcześniej wszystko inne. - To pomyłka! Sam zobacz! Happy birthday! Ja dzisiaj nie mam urodzin! Urodziny ma ten ktoś, kto ma dzisiaj urodziny! Czyli ten, kto miał cię dostać! Jutro się to wszystko wyjaśni! Hopsasa! Ktoś się zwyczajnie pomylił!

Kot siedział pod stołem i patrzył na nią uważnie. Edzia miała wrażenie, że on słucha i rozumie. Już nie wyglądał na ćwierćinteligenta, chociaż rudy... Edzi zrobiło się trochę głupio. A może przykro mu patrzeć, jak ona cieszy się na myśl, że się go pozbędzie...? Może nawet w duchu łyka łyzy? Nic na to nie wskazywało, ale... Pogrzebała w torebce.

- Tu masz dowód! Widzisz? - Zastukała paznokciem w dowód osobisty, otwarty na pierwszej stronie. - Ja mam urodziny dwudziestego czwartego, a dzisiaj jest dopiero czternasty!

Kot mrugnął lewym okiem, co Edzia uznała za wyciągnięcie ręki na zgodę.

- Czyli tak. Jesteś tu do jutra - powiedziała do kota jeszcze raz, na wypadek, gdyby tamto mu umknęło. - Więc proszę, za bardzo się nie zadamawiaj. Okej? Jutro pójdziesz w dobre ręce i ktoś się z ciebie ucieszy. Bo z prezentów należy się cieszyć, nie? Zresztą, jakby nic patrzeć, to wiesz... całkiem fajny z ciebie kot!

Ustaliwszy w ten sposób pryncypia, poszła się kąpać. A kiedy wyszła, w odbudowanym płaszczu lipidowym i z nową ochotą do życia, kota nie było.

Raczej nie zniknął na dobre, ale Edzia ucieszyła się w duchu, że przynajmniej chwilowo zszedł jej z oczu. I przez moment mogła się poczuć tak, jak najbardziej lubiła. Sama w domu.

Niestety, nie na długo, ponieważ kot bardzo szybko się znalazł. Spał na łóżku Edzi, a dokładniej - na jej ulubionej poduszce z czerwonego pluszu. Tej w kształcie serca, pamiętce po jednym niepoprawnym romantyku. Jego unie dawno wywietrzało Edzi z głowy, ale poduszka, owszem, została. Tylko to wcale nie znaczyło, że miał się na niej teraz wylegiwać jakiś obcy i najprawdopodobniej zapchlony kol.

Ty skurczybyku, pomyślała sobie Edzia, a do kota powiedziała:
- Nagrabiłeś sobie, koleś!

Przepędziła kota, ale dla pewności postanowiła spać dzisiaj w salonie. A jutro - wszystko z łóżka do prania, dezynsekcji i deratyzacji.

Usiadła przy biurku i włączyła komputer. Uśmiechnęła się, słysząc znajome mruczenie. No! To jest dopiero domowe zwierzę! Oswojone ze mną, a ja z nim. Rozumiemy się w pół słowa, prawda? Edzia czule pogłaskała szarą obudowę, chwilowo pokrytą solidną warstwą kurzu. Od jutra się zacznie... Edzia narobiła sobie trochę zaległości, przecież wisiła Jeżynie kilka ładnych odcinków. Hmm... prawdę mówiąc zaległości było tyle, że powinna zacząć od razu.

Ale to absolutnie nie wchodziło w grę ze względu na kota, zmęczenie, no i ciągłą obecność buraczków wewnątrz Edzi. Buraczki... Tak, to był chyba główny powód.

Weszła więc tylko do internetu i odszukała forum „depresja”. Pomyślała chwilę, popatrzyła w sufit i chyba coś zabawnego przyszło jej do głowy, bo ochoczo się zalogowała, dziarsko stukając w klawisze. Popatrzyła na tytuły wątków, ale żaden jakoś jej nie pasował.

No to założyła swój własny:

Jak najlepiej popełnić samobójstwo? Konkrety mile widziane.

Desperado.

Marian całował Edzię namiętnie, dziko, żarłocznie.

Jego usta, rozpalone do czerwoności, ślizgały się po kusząco wygiętym ciele równie, a może nawet jeszcze bardziej, rozpalonej Edzi. Łóżko aż roztapiało się z zachwytu i pragnienia, by chociaż prześcieradłem, choć rąbkiem kołdry dotknąć tej cudownie kotłującej się pary kochanków.

Edzia momentami nie mogła oddychać z wrażenia, przygnieciona wspaniałą, brutalną, męską siłą. Siłą Mariana - supersamca o rozbudowanych mięśniach i rozkręconej erotycznie wyobraźni. Mariana, który był zdolny do wszystkiego. Mariana, który nie zawahał się przed najbardziej wyuzdaną pieśczęcią... Mariana bardzo, ale to bardzo nakręconego na Edzię.

Tak! Tak! To było coś! Coś naprawdę wielkiego.

Tak!

No tak, ale... od dłuższej chwili coś jednak... jakby nie grało.

Marian za bardzo koncentrował się na twarzy Edzi, a przecież miał do dyspozycji całą dość sporą i jakże erogen-ną resztę! Edzia nie chciała go stresować, ale... trochę jednak byto jej szkoda. Postanowiła więc skierować uwagę kochanka na inne części ciała. Strąciła Mariana z twarzy, jak mogła najdelikatniej. Żeby go nie urazić, no i żeby nie naba-wił się seksualnych uprzedzeń.

Jednak Marian uparcie wracał.

Raz, drugi, trzeci.

Edzia machnęła ręką bardziej zdecydowanie, Niestety, zdecydowanie niepotrzebnie. Niepotrzebnie, bo zamiast dotknąć gładkich, silnie umięśnionych pleców Mariana, poczuła pod palcami kosmate futerko. Takiego Marian na pewno nie miał. Ani z przodu, ani z tyłu.

I niezwykłość chwili pełnej ekscytacji rozwiąła się w jednej sekundzie. A zamiast sprężonego do ostatecznego natarcia Mariana nad Edzią pochylał się kot. Też sprężony. Też samiec, ale co z tego. Dotykał jej twarzy mokrym nosem. Raz, drugi, trzeci. Muskał wąsikami czoło, obwąchiwał policzki. Normalnie, jak to kot. I jak to kot, wcale się nie śpieszył. Oczywiście, nie miał złych intencji i badał twarz Edzi z czystej ciekawości. No i może też trochę z głodu. Zresztą Edzia sama była sobie winna. Nic podała mu jeszcze śniadania, a ponieważ pod lewym okiem zostało jej trochę nawilżającej maseczki z wczoraj, kot nie pogardził nią i zlizął raz dwa. Nie była specjalnie pożywna ani lekkostrawna. Ale zawsze to coś.

Edzia zerwała się na równe nogi. Kol czym prędzej czmychnął z kanapy, słusznie wybierając dla siebie miejsce poza zasięgiem jej rąk. Edzia zdążyła jeszcze rzucić w niego kapciem, ale trafić już nie trafiła. Pobieгла do łazienki i zmyła ze swojej twarzy resztki maseczki oraz kota no i, niestety, cały przemiły sen.

Nagle niepokój zapukał jej do głowy.

Przecież ten kot musi się gdzieś odsikać!

Normalnie, jak to kot.

Ile to już godzin minęło? Policzyła z grubsza. Wyszło jej, że... sporo. Zdecydowanie nie była to uspokajająca myśl. Ale może nie będzie tak źle? Pocieszała samą siebie, miotając się gorączkowo po pokoju w poszukiwaniu szlafroka lub czegoś w tym rodzaju. W końcu wczoraj specjalnie nie dała kotu nic do jedzenia, żeby się za bardzo nie przyzwyczajał. Kot nic miał więc zbyt wiele do przerobienia... No, to może faktycznie nie ma się czym denerwować!

Rozejrzała się dookoła. Wszystko leżało na swoim miejscu.

Porozrzucane, ale suche ubrania, walizka i torba z wakacji, kolorowe czasopisma, stare i nowe. Też suche i bez plam. No! Nie jest źle... Ale kota nigdzie nie było. Widać

poszedł po rozum do giowy i schował się gdzieś na wszelki wypadek. Edzia weszła do sypialni, bo przypomniała sobie, że wczoraj widziała tam i szlafrok, i kota. No tak... miała nosa. Kot już sobie poradził. Spojrzała na stosik czystych ręczników, które jeszcze przed wyjazdem zapomniała schować do szafy. No, to już teraz nie miała co chować. Kota w sypialni też nie było. No pewnie, kto by chciał siedzieć w pokoju śmierdzącym kocimi sikami.

Edzia, z wyraźnym obrzydzeniem na twarzy, wzięła ręczniki w dwa palce i wyrzuciła na balkon, żeby na początek trochę wywietrzały. A potem złapała za telefon. Najwyższy czas z tym skończyć - powiedziała do siebie, czy raczej do kota, wciskając klawisz z napisem „Maurycy”. Nie od razu odebrał. Ale Edzia nie dawała za wygraną.

- Maurycy?! - ryknęła do słuchawki. Trochę trwało, zanim w odpowiedzi usłyszała niemrawe mlaskanie. W pierwszej chwili, bo potem te mało apetyczne odgłosy ułożyły się w całkiem przytomną wypowiedź.

- Co... co...? Edzia...? To ty? Co się stało? Wróciłaś już? Bo dzwonicz o tej porze... stało się coś?

- Stało, stało! Twój kot nasikał mi na ręczniki!

- Kot...? Jaki kot? Masz kota? - zdziwił się uprzejmie Maurycy, jeszcze nie całkiem dzisiejszy. - Bo ostatnio to... jakoś chyba... nie miałaś? No tak... To przykre, przykre... współczuję... - Z wielkim trudem stłumił potężne ziewnięcie.

Edzia dobrze знаła Maurycyego. Była pewna, że mentalnie tkwi on jeszcze w fazie REM i tylko kombinuje, jak bezboleśnie zakończyć rozmowę i walnąć się z powrotem do wyrka. No i mogła się założyć, że teraz się czochra po głowie. Zawsze tak robi, kiedy nie ma nic sensownego do powiedzenia, a musi zabrać głos.

- Nie świruj! – najechała na niego z góry. - Ten od ciebie kot! I głupia jestem, bo już wczoraj powinnam ci go odesłać!

Teraz to Maurycy naprawdę się zdziwił. Nawet jakby trochę bardziej oprzytomniał.

- No co ty? Edzia?! Błagam cię! - W jego głosie zabrzmiało absolutnie trzeźwe zdumienie. - Niczego ci nic przysyłałem! A już na pewno nic kota!

Edzi nieco zrzędała mina. Liczyła na to, że Maurycy jednak się przyzna. Zwłaszcza o tak wczesnej porze, kiedy człowiekowi naprawdę trudno naprędce wymyślić jakieś sensowne kłamstwo.

- Taak...?

- Słowo daję! Honoru, słyszysz?! - Maurycy owszem, czasem rzucał słowa na wiatr, ale zazwyczaj byty to słowa zdecydowanie mniejszego kalibru..

- Maurycy, proszę cię... Przestań się wygłupiać! Przecież ja jestem... Nie wiem, co robić! Nie chcę go! Przyznaj się, dobrze? - poprosiła Edzia. - Bo on tu chodzi cały czas kolo mnie! Jak gdyby nigdy nic! Zupełnie jakby... jakby był u siebie w domu!

Ale Maurycy nadal nie chciał się przyznać.

- Edziu, kochanie! Kota? Ja??? - I zabrzmiało to zupełnie szczerze. - A skąd bym go wziął?! Zwariowałaś?! I co to za kot w ogóle?

Ręce opadły Edzi razem ze słuchawką. No, tego to się już zupełnie nic spodziewała! Zakładała, że Maurycy może trochę się powygłupia, pościemnia, ale w końcu powie: Okej, to był żart. Nic się nie martw. Zaraz go zabieram, tego skunksa. Tylko wstanę.

Czuła, że łzy nabiegają jej do oczu. Jeszcze tego brakowało! Żeby się rozplakała ze złości! No ale przecież może się okazać, że kota wcale nie będzie tak łatwo zwrócić. Nawet prawowitemu właścicielowi.

- To... naprawdę nie ty...? - spróbowała jeszcze raz, ale obie strony już wiedziały, że starcie skończone i że to Maurycy wygrał. No bo to nie on. Po prostu.

- Pewnie że nie! Słyszysz? - przystawił słuchawkę do piersi.

Edzia usłyszała głucho postukiwanie. Typowy odgłos przysięgania, przesyłany Edzi telefonicznie przez Maurycego nie pierwszy raz.

- Przysięgam na... moje płuca! A wiesz, że jestem genetycznie obciążony, bo mój wujek...

Edzia westchnęła z rezygnacją. Racjonalne argumenty zawsze kończyły się właśnie tutaj. Dokładnie w tym miejscu, w którym Maurycy zaczynał powoływać się na wujka i jego płuca, na które wujek zszedł był jakiś czas temu.

- No to... w takim razie kto? KTO? Jak myślisz? Muszę to jak najszybciej wyjaśnić! Bo ja tu zamiast... załatwiać Mariana, jakimś obcym kotem się zajmuję!

Maurycy był już poza podejrzeniem, mógł się więc wyluzować.

Postanowił pomóc, chociaż... Szczerze mówiąc... Wczoraj dał trochę czadu po występie... Solo przyniósł do klubu coś nowego. .. Mówił, że daje niezły odlot. No i trzeba to było sprawdzić... A Maurycy potrzebował akurat trochę natchnienia, żeby skończyć swój poemat metafizyczny o uprawianiu seksu w ukryciu. A przynajmniej tę najgorszą, pierwszą część... Kiedy główne i poboczne wątki trzeba nakreślić bardzo precyzyjnie, bo później cały czas wylażą niedoróbki. I rzecz się nie klei. Do tego wszystko musi być z polotem. A połączyć jedno z drugim naprawdę nie jest łatwo! No i ten... tak naprawdę to nie do końca był pewien, czy nie miał z tym nic wspólnego... Z tym kotem. Niby żadnego kota nie kojarzył, ale... nie, głowy by nie dał.

- Edzia, może powiedz mi, co się właściwie stało? - zachęcił ją uprzejmie.

- Jeszcze raz. I nie krępuj się, ja naprawdę już wstałem. Wcale mnie nie obudziłaś.

Edzia wytarła nos w rękaw szlafroka i opadła na kanapę. Kot zdążył uskoczyć w ostatniej chwili. Dzięki temu prawdopodobnie uniknął śmierci przez zagniecenie, a już na pewno trwałego kalectwa. Przycupnął sobie na oparciu, ale Edzia natychmiast zepchnęła go stamtąd nogą. I to wcale nie niechcący. Wzięła głęboki oddech.

- Wczoraj, jak wiesz, wróciłyśmy z Egiptu...
- Wiem, wiem! Nika już dzwoniła. Podobno coś dla mnie macie? - upomniał się Maurycy mało dyskretnie. - Podobno to coś erotycznego... to jest egzotycznego! Co to jest, powiedz, plis, plis!!! Bo z Niki nic nie mogłem wyciągnąć!
- .., no i ten - zignorowała go Edzia. - PTzcd moimi drzwiami stało pudełko. Tekturowe takie. Zgadnij, co było w środku?
- Kot? - Zgadł od razu Maurycy.
- Owszem. Z kokardą i życzeniami. Urodzinowymi. Maurycego najwyraźniej to rozbawiło. I to bardzo.
- No co ty?! Serio? - zaśmiał się prosto w słuchawkę. - Czy w kulki lecisz?
- Serio - zmroziła go Edzia. - Gdzie tu powód do śmiechu?
- Yyyy... No tak... - zmitygował się Maurycy. - Tak... No, ale może ktoś podarował ci taki... przedwczesny prezent urodzinowy?
- Przedwczesny! - prychnęła Edzia. - Dobrze sobie! Przedwczesny to może być wiesz co... ale na pewno nie kot! To był po pierwsze prezent nie dla mnie, bo sam wiesz, kiedy mam urodziny. Prawda? Zawsze robię imprezkę. A rok temu... pamiętasz? A może nie? - Tu już Edzia stała się trochę złośliwa.
To nie było fair. Edzia wcale nie musiała przypominać Maurycemu, że na jej ostatnich urodzinach straż pożarna musiała ściągać go z drzewa, ponieważ Maurycy, sobie tylko wiadomymi sposobami, wprowadził się w stan świętego przekonania, że jest kukułką i wołał z drzewa „kuku kuku”. I jeszcze pluł z góry na ludzi, wołając chrypliwie, że jest ptakiem modyfikowanym genetycznie.
- A po drugie - ciągnęła Edzia - ja nie chcę kota! Nie chcę! Bo jakbym chciała, to już bym go miała. A, nie mam. Nie znoszę kotów! On tu nie zostanie! - oświadczyła w końcu kategorycznie. - Jest u mnie od wczoraj i już mi narobił!
- Taaa... no to jest problem... Chociaż w pewnym sensie jest to też normalne... W pewnym sensie oczywiście.

- Co takiego? - nie rozumiała Edzia.
- No, że narobił. Koty tak mają, wiesz. Czasami. Czasami po prostu... robią.
- No tak.
- Ale wiesz co... - Maurycemu nareszcie coś przyszło do głowy - ja chyba mam pomysł!
- No? - W głosie Edzi zabrzmiała nadzieja.
- Zadzwoń do Niki!

Nadzieja uleciała jak przekłuty balonik. I to nawet z podobnym odgłosem.

- Do Niki? A po co? To nie ona! Ona nie jest świnią, co to, to nie. Zresztą sam wiesz... przez dwa tygodnie miałam ją na oku...! Nie. To nie ona - powtórzyła stanowczo Edzia.

- Wiem, wiem...! - zgodził się pogodnie Maurycy - że nie ona! Ale mogłaby ci pomóc! Jest w końcu detektywem, no nie? Możesz jej... ten... zlecić tę sprawę.

- „Zlecić sprawę”? Zwariowałaś? No, co ty, podpuszczasz mnie? - wkurzyła się Edzia.

Nika i jej detektywistyczna działalność! To był zawsze świetny powód do żartów, natomiast nigdy do rozważań pod kątem użytkowym. Nikt ze znajomych jeszcze nie odważył się jej wynająć. To jest... hmm... zlecić sprawę...

- Poważnie mówię! - powiedział Maurycy rzeczywiście dość poważnie. - Ja bym tak zrobił. No, bo skąd wiesz? Może ktoś ci tego kota nie przypadkiem „podarował”? Nie przyszło ci to do głowy? Edzi nie przyszło.

- Jak to „nie przypadkiem”? - zaniepokoiła się trochę.

- No tak. Jakiś czarny charakter z *Cyrku* na przykład. Szantażysta czy co... A może ten kotek jest chory? I ma za zadanie... przenieść na ciebie śmiertelnego wirusa?

Kot kichnął. Akurat w tym momencie! Czy to też nie był przypadek? Edzia spojrzała na niego podejrzliwie. Nieee,

wyglądał zupełnie zwyczajnie. Tak, jak wczoraj i piętnaście minut temu. Zwyczajny rudy kot. Może tylko trochę głodny. Spokojnie, nie dajmy się zwariować z powodu zwykłego kota!

- Przestań, Maurycy! Wkręcasz mnie, jak jakąś głupią...

- ... którą oczywiście nie jesteś.

- Którą nie jestem - przytaknęła Edzia. - A zawracać głowę Nice? Nieee... najpierw musiałabym być pewna, że ten kot był dla mnie. A na razie jestem pewna, że nie.

- Chciałem dobrze... - Maurycy po drugiej stronie słuchawki jakby trochę posmutniał. Ale może po prostu jeszcze trochę spał. - Jak nic chcesz, to przecież nie dzwoń...

- No dobrze, dobrze! Jeszcze zobaczymy... W każdym razie jedno jest pewne: to nie ty. Prawda? A nie byłeś wczoraj w jakimś... odmiennym stanie świadomości? - zapytała Edzia już na sam koniec, tak dla świętego spokoju.

- Nie, no dlaczego, byłem... Byłem, a jakże...! Ale cały czas siedziałem w Sekslerminacji... - przypominał sobie Maurycy na bieżąco. - Solo mnie tam widział. Zresztą... razem siedzieliśmy! Możesz go zapytać.

- Dobra, dobra - machnęła ręką Edzia. - To na razie. I dzięki za dobre rady.

- No, to co, zobaczymy się niedługo, tak? Mógłbym wtedy dostać mój prezent... - Maurycy pożądlawie przełknął ślinę.

- Tak. Na pewno! Jak tylko pozbędę się kota.

Na sto procent nie Maurycy... Ponieważ Maurycy w ogóle nie umiał zmyślać, chociaż był niezrealizowanym poetą. Ale może właśnie dlatego ciągle był niezrealizowany?

Kto jeszcze wchodził w rachubę? Z całą pewnością Słodki, no i Kluski. Wszystkie trzy Kluski, ze szczególnym uwzględnieniem Fryderyka, bo Fryderyk bardzo lubił robić kawały.

Do nich wszystkich Edzia zaraz zadzwoniła. Nastąpiła masowa wymiana pozdrowień, całusów, pytań o wrażenia z podróży oraz umawiania się na wino. Nastąpiła również seria zaprzeczeń co do kota.

- Edzia, jak ty w ogóle możesz?! - zapytała Kluskowa z takim wyrzutem w głosie, że Edzi natychmiast zrobiło się głupio i od razu poczuła się winna... - Że też coś takiego przyszło ci do głowy... że to my... no, naprawdę... Nie spodziewałam się, wiesz...?

- My? Zwariowałaś. - Kluska postawił sprawę jasno. - A może masz zwidy? Fatamorganę z Egiptu przywiozłaś? Edzia - poradził jej w końcu życzliwie - ty lepiej obserwuj, czy nie masz wymiotów albo zawrotów głowy, bo wiesz... w takich tropikach to nigdy nic nie wiadomo... Bo może faktycznie coś podłapałaś... I lepiej za bardzo nie oddalaj się od domu...

- Chyba cię pogięło - dodał jeszcze Fryderyk.

- Ja? - zdziwił się Słodki. - Kota? Nie, to nie ja... Naprawdę nie ja, słowo... Hipokratesa! Żeby wziąć? Ja??? Nie, to bez sensu, przecież mnie nigdy nie ma w domu...! Kot, też coś! A swoją drogą... - westchnął refleksyjnie - życie jest jak źle leczona rzeżączka. Nigdy nie wiadomo, co nowego wyskoczy.

Z tych wszystkich rozmów jasno wynikało, że to również nie oni podrzucili jej kota. Niestety. Chociaż Słodkiego Edzia nie była do końca taka pewna... Słodki był starym ściem-niaczem oraz ginekologiem. I też lubił robić niespodzianki, prawie tak, jak Fryderyk. Kiedyś przysłał jej na imieniny śpiewający telegram w osobie długowłosego chippendalesa, ubranego w majtki Tarzana... Tak, że Słodkim wszystko było możliwe, i Edzia postanowiła mieć to na uwadze.

Edzia mieszkała w starej kamienicy przycupniętej przy cichej mokotowskiej uliczce. Na jej piętrze było pięć mieszkań. Jedno było Edzi. Drugie zajmowała przygłucha staruszka, u której zawsze w środku nocy włączało się radio.

Staruszka była przygłucha, lecz dość sprytna - o tej porze musiała wziąć lekarstwo, a że przysypiała bez żadnej kontroli,

radio budziło ją hałaśliwym śpiewem. I dzięki temu mogła zażyć na czas. Radio budziło również Edzię. Zdarzało się, że Edzia w środku nocy dzwoniła do drzwi sąsiadki, która po kilku takich alarmach zorientowała się wreszcie, że jednak wypadaloby ten budzik trochę ściszyć. Edzia zapukała nieśmiało do jej drzwi. Staruszki nie było albo może nie słyszała. Zapukała jeszcze raz, mocniej. Brak odzewu. Postanowiła spróbować później.

Następne mieszkanie wynajmowali Wietnamczycy, którzy właśnie się wyprowadzali, ponieważ dopiero co zostali doszczętnie okradzeni sposobem „na wyprowadzkę”... Na widok kota zrobili wielkie oczy, na ile oczywiście w ich przypadku by to to możliwe.

Czwarte mieszkanie należało do pewnego małżeństwa z ośmioletnią córeczką, która ubierała się wyłącznie na różowo, I często podbierała mamie perfumy, co można było wyczuć już na korytarzu, kiedy, jak co rano, wychodziła razem z tatą do szkoły.

Ich też nie było. Może wyjechali na wakacje i na jakiejś plaży mała zadaje teraz szyku swym różowym bikini? Nieważne. Tylko że... Edzia pomyślała, że ten kot pasowałby do niej. I że jest duże prawdopodobieństwo, że to właśnie jej kot. Urodzinowy kol. I że kot może skończyć jako wyczesany, wyperfumowany i ubrany w różowe getry kot! No i że... biedny kot...

Ostatnie mieszkanie było poza podejrzeniem. Jego właściciel, miły architekt w średnim wieku wyjechał rok temu do Emiratów budować zamki z piasku. Zostawił Edzi klucze, bo nie wiedzieć czemu, po kilku rozmowach na temat przepalanej żarówki na korytarzu odniósł wrażenie, że Edzia jest osobą odpowiedzialną i zrównoważoną. Poza tym pracuje w domu, przy okazji może więc popilnować jego mieszkania...

Edzia zgodziła się od razu, ponieważ miała dobre serce. Podlewała kwiatki w kawalerce architekta i od czasu do czasu pozwalała przenocować lam komuś, kto tego potrze-

bował, jak koleżanka, którą reanimowała po niezwykle toksycznym związku z żonatym. O tym wszystkim architekt nie miał oczywiście zielonego pojęcia.

Kot zniecka dotknął jej ogonem, aż Edzia wzdrygnęła się w przestraszu. Wszedł za nią cichaczem, skubaniutki, na korytarz. No, popatrz ty! Co za bezszelestna bestia.

- No dobra, koleś - powiedziała z westchnieniem. - Czyli co? Dalej nic z tego nie wynika! Nadal nie wiemy, czyj ty jesteś... Wracamy!

Kot wcale nie wydawał się przejęty swoją bezdomnością. I wbiegł do mieszkania Edzi z zadartym wesoło ogonem.

Z radia sączyła się jakaś bossa nova.

Edzia, starając się nucić w miarę poprawnie po portugalski!, robiła sobie śniadanie. Bulka, serek topiony, zielona herbata. Kot kręcił się przy kuchennych szafkach, dreptał w kółko, ocierał się o nogi Edzi oraz nogi od stołu. W końcu zamiauczał wymownie. I jeszcze raz. I jeszcze.

- Nic dla ciebie nie mam, skunksic - powiedziała Edzia z uprzejmym uśmiechem. - Zresztą nie zasłużyłeś. Ręczniki! - wycedziła jadownicę i na tyle wyraźnie, że kot po prostu nie mógł nie zrozumieć.

Zjadła przy komputerze, śledzona przez pełne milczącego wyrzutu oczy kota. Ale to jej wcale nie popsuło apetytu.

Po ekranie komputera błąkały się bajecznie kolorowe rybki o motylich kształtach. Takie same jak w Morzu Czerwonym. Edzia już wiedziała, że one istnieją naprawdę, nie tylko w telewizji, ponieważ dopiero co oglądała te cuda na własne oczy. Kot również był nimi zainteresowany, traktując je prawdopodobnie jako potencjalne śniadanie. Łowił to jedną, to drugą głodnym wzrokiem. Edzia ugryzła kęs ostatniej kanapki.

Weszła na forum i odszukała swój wątek. No proszę! Ktoś się dopisał. I to nawet nie jeden ktoś. Na ekranie rozwinęła

się całkiem spora lista. Jak najlepiej popełnić samobójstwo? Zaraz zobaczymy. Klik klik. Otwórz wszystkie wiadomości.

Koko:

Zrobić coś takiego to zwykle tchórzostwo! Uważam, że samobójstwo oznacza przegraną, porażkę. Nic łatwiejszego, jak się poddać. Dużo trudniej jest żyć i walczyć, trzeba żyć! Nikt nie obiecał, że będzie różowo. No tak... westchnęła Edzia znad kanapki. Ale widzisz, my tu pilnie potrzebujemy konkretów... A od ciebie najwyraźniej niczego się nie dowiemy... Chociaż generalnie to się z tobą zgadzam. Koko. W pryncypiach. No, dalej, dalej! Kto ma coś sensownego w zanadrzu?

Bum per:

Podcinanie żył, to jest niezły sposób. Trzeba mieć tylko trochę wprawy. Sam próbowałam i wiem, że jeszcze spróbuję.

No, proszę. Edzia zanotowała sobie na kartce sposób numer jeden. To mogłoby być niezłe. Dość romantyczne i w miarę widowiskowe. W miarę, bo trzeba by pokazać sporo krwi. I to w porze największej oglądalności... Postawiła na marginesie znak zapytania.

Koko:

A rodzina? Rodzice? Co z nimi? Co z tymi wszystkimi, którzy zostaną i będą płakać?

Douak:

Podcinanie? Tak uważasz? Napisz coś więcej, plis, bo też jestem zainteresowana.

Tak mi coś ostatnio podcinanie po głowie chodzi... chodzi i chodzi.

Tiramisu:

Ja też, ja też! Czekam na info.

Fisherman:

Muszę stanowczo zaprotestować. Podcinanie żył to jedna wielka ścierna, rodem z hollywoodzkich filmów! Mam brata chirurga. Od niego wiem, że to w ogóle nie działa. Prędzej w wannie umrzesz z głodu, nim się wykrwawisz.

Tiramisu:

No, to co w zamian, mądralo? Rzuć jakąś propozycję. W sumie z głodu też można paść, tylko to trochę za długo trwa. Jeszcze by mnie mama nakryta... gołego w wannie! Trochę głupio, nie?

Fisherman:

Lepiej jest zaatakować tętnicę szyjną. Szybciej i pewniej. Tylko wiesz, do tego trzeba odwagi. A nie każdy ją ma... No i przydałby się jeszcze skalpel chirurgiczny.

Tiramisu:

Nie mam skalpela... wiesz może, gdzie można kupić? W aptece? Czy w papierniku?

Fisherman:

Zwariowałaś? W papierniku... jak nie masz chirurgicznego, kup nożyk do papieru albo chociaż samo ostrze. Powinno wystarczyć, chociaż o jakimkolwiek komforcie zapomnij...

Tiramisu:

Dzięki, Fisherman, prawdziwy z ciebie przyjaciel! Spróbuję na pewno :)

Zazula:

Dlaczego w ogóle podejmujecie tak drastyczne tematy? Boga się nie boicie!

Bumper:

Bo to jest forum depresja, dziecinko. Może dlatego? Chyba tak.

Fisherman:

Nas to po prostu interesuje. Można powiedzieć, że tym żyjemy, prawda koledzy?

Jeśli cię to gorszy, proponuję udać się na forum poradnik domowy.

Maniucha:

To nie jest tatwe, ale możliwe. Podcinanie znaczy. Jak ja to robiłam. Przy pierwszym nacięciu zemdlałam. Nóż był do niczego... IMo to na drugi raz spróbowałam z żyłkami. Cięłam się, przyciskałam. Bolało i piekło, ale krew nie płynęła strumieniem, jak należy. Byłam w rozpaczy, potem tylko strupy i gorzki śmiech. Teraz myślę, że tętnica szyjna to doskonały pomysł.

Jarosław:

Szukasz pomocy, ale nie tędy droga. Pozbawić się życia nie jest żadnym rozwiązaniem. Pomyśl, może są ludzie w gorszej sytuacji od ciebie, którym mógłbyś pomóc?

Fisherman:

Nacinasz najpierw wierzchnią warstwę naskórka. Dalej to już idzie samo... tylko nie śpiesz się! Jak będziesz to robić powoli, nie grozi Ci zbyt wielkie uszkodzenie ciata.

Maniucha:

Ale to jeszcze nic. Ja natykałam się raz wszystkich podejrzenie wyglądających albo przeterminowanych leków, jakie znalazłam w domu. A potem okazało się, że to była witamina Ce i kwas foliowy. Niezłe, co?

Koko:

Opisujesz to tak, jakbyś była z tego dumna. A nie ma z czego.

Tiramisu:

Koko! Co Ty tu jeszcze robisz? Spadaj na forum, gdzie opowiadają kawały! Rozbawić nas chcesz czy wychować? Bo nie wiem, jak mam traktować Twoje posty. Chyba tylko jako żart...? Ze niby co, mamy umrzeć ze śmiechu? Buahahaha!

Maniucha:

Ale w kolo jest wesolo, oooo! n/t

Koko:

Nie chcę tu nikogo wychowywać, tylko zwrócić uwagę, że samobójstwo jest ostatecznością. I nie można się już potem wycofać ani tego zmienić. Nie żyjesz sobie i już. Masz wszyst-

ko gdzieś. A ta decyzja nigdy nie dotyczy tylko ciebie, zostają przecież bliscy... Ja to odbieram jako tchórzostwo. Ucieczkę!!!

Maniucha:

Koko, kochanie. Chodzi o to, ŻE MY TO WIEMY. Wiemy, rozumiesz? I dlatego właśnie, że to rzecz nieodwracalna, jest taka kręcąca!!! Ale nie sądzę, żebyś to zrozumiała. Prezentujesz wyjątkowo zaściankowy, zamknięty na eksperymenty punkt widzenia. Bez odbioru.

Koko:

No tak. Za to Twój punkt widzenia jest niezwykle otwarty na eksperymenty i przyjęcie do wiadomości, że ktoś może mieć inne zdanie.

Fisherman:

Z Wami to tylko się pociąć © POCHLASTAĆ.

Debugger2:

Podcinanie? Chyba nacinanie. Żyły są bardzo głęboko! Za pierwszym razem dobrze będzie, jak się potniesz do pierwszej krwi. Potem polecam Ci wprowadzanie do krwioobiegu różnych substancji: woda, aspiryna, denaturat, aviomarin... Powodzenia!

Maniucha:

Ale co konkretnie? Jaką dawkę? Jaki jest lek dostępny bez recepty i ile trzeba go zażyć, żeby na 100% umrzeć bez bólu?

Cracker:

Masz rację, Debugger! A myślałem, że nacinanie nadgarstków to będzie pryszcz i łatwizna. Pomyliłem się. Dziś mam pełno ran, a żeby dokopać się do żyły, muszę kupić żyłkę albo skalpel.

Leoncjo:

Ja stawiam na podcięcie żył w gorącej kąpieli. Z tego, co wiem, stosowali to już starożytni. Stara szkoła. Czytałem, że objawy przypominają zasypianie. Niestety, trudno to potwierdzić :)

Kukuła:

A myślałeś o „exit-bag”? To torebki, które zakłada się na głowę i zamyka dopływ powietrza. Podobno bezbolesne, chociaż chyba dosyć obrzydliwe.

Ma ni u cha:

Powiedz coś więcej o tym.

Moniax:

Tabletki nasenne też są niezłe,, ale tylko takie, żeby się nie chciało rzygać... No i rodzina zawsze może powiedzieć, że to zawał. I po kłopotcie. Nie ma wstydu przed sąsiadami.

Cracker:

Jeszcze od siebie dodam. Złoty strzał - męka i nic z tego. Podcinanie żył - nic z tego. Pigułki, duszenie się - straszna męczarnia. Wszystkiego próbowałem i nic. Jestem, kurwa, nieśmiertelny?

Magilla:

Ja myślę o zatruciu się gazem. Mam pytanie: jak szybko następuje zgon, no i czy na pewno mnie to zabije? Jak przy okazji nie wysadzić bloku w powietrze?

XXL66:

Polecam Ci zaczadzenie. Idealnie jest, jak masz garaż. Upychasz szmaty w drzwiach, włączasz silnik, czekasz 15 min. Aż zaśniesz, a potem spoko, już jesteś trup. Tylko uwaga! Niedotlenienie mózgu przerwane w krytycznym momencie - paraliż!

Dudek3:

Cieniasy! Dzisiejszy gaz jest nietrujący!!!!!! Nietrujący, kapujecie dzieci? Za to wybuchowy. Moglibyście zrobić niezłe fajerwerki dla całego bloku! Tacy z was fachowcy, jak...

Gość:

Idź się utop.

XXL66:

To raczej nie najlepsza metoda. Trudno znaleźć miejsce, żeby cię ktoś przypadkiem nie uratował. Dobrze jest najpierw obciążyć się czymś, np. plecakiem wypchanym kamieniami. Ale uwaga! Zimna woda spowalnia metabolizm i wydłuża czas śmierci mózgowej, więc jest większa szansa na „uratowanie”...

Resztki śniadania utkwily Edzi w gardle.

Czegoś takiego się nie spodziewała, czegoś takiego na pewno nie... Ale... właściwie to czego się spodziewała? Raczej żartu, porady z dużym, duużym przymrużeniem oka, ale nie na serio... Z całą pewnością nie! I na pierwszy rzut oka to nawet wyglądało jak żart. Owszem, może i dość koszmarny, ale jednak żart. Jednak dla wielu chyba wcale nim nie było... Niektórzy pewnie się wygłupiali, podpuszczali resztę i nieźle się bawili, ale inni... inni raczej nie... Wyglądało na to, że niektórzy z nich naprawdę szukali sposobu na pożegnanie się z życiem. I to całkiem na serio. Żeby to wypróbować na sobie. W prawdziwym życiu. A Edzi przecież chodziło tylko o Mariana...

Całkiem nad ranem (co za chora godzina! trzecia czterdzieści pięć) dopisał się jeszcze ktoś. Na samym końcu. I była to jedyna osoba, która zwróciła się bezpośrednio do niej.

Oyama:

Znam najlepszy sposób. Ale plis, plis! Na razie nic nie rób! Poczekaj do jutra!

Oyama? Brzmiało jakoś wschodnio i przemądrzale... I niby dlaczego ma czekać do jutra? Z samobójstwem?... Naprawdę mało psychologiczna zagrywka... Świr jakiś i tyle. Już miała zamknąć temat, ale nagle, powodowana nie wiadomo czym, no bo przecież miała już pomysł na Mariana, i to nawet niejeden, wystukała jednym palcem:

Desperado:

A jaką masz propozycję?

Poczekala chwilę, ale nic odpisał. Nie tonie! Edzia odczekala dokładnie tyle, tyle uznala, ze wypada poczekac. Czyli nie za dlugo. A potem wstala od komputera, zaczepiajac

krzesłem o blat biurka. Z monitora spadła szklana rybka, która, o dziwo, nie stukła się. Edzia była już tak skołowana, że nie wiedziała, czy to dobry znak, czy wprost przeciwnie. I człapiąc przydeptanymi kapciami z żółtego misia, dowlokła się do łóżka.

Kot, mruczając głośno, wskoczył na łóżko zaraz za nią, przycupnął tuż obok i zaczął metodycznie obwąchiwać jej włosy, na co Edzia *machnęła* ręką. To znaczy machnęła tylko w przenośni, bo tak naprawdę nie miała w sobie ani dzuła energii, żeby go odgonić i uniknąć tym samym zarażenia toksoplazmozą. Kot skorzysta! z tego ochoczo, moszcząc się ostatecznie w nogach Edzi i zasypiając z podejrzaną szybkością. Przy czym ani na chwilę nie przestawai mruczeć jak mocno używana, podstarzała wiertarka.

Najlepsza pora na sen minęła już jakiś czas temu, w związku z czym Edzia przewracała się na łóżku wte i wewte, a pod powiekami uparcie wyświetlały się jej różne metody podcinania sobie żył, z których jedna była lepsza od drugiej, oraz rozmaite i dość perwersyjne sposoby praktycznego użycia plastikowych torebek.

Wczesnym rankiem obudziło Edzię niewiadomego pochodzenia bzyczenie, niskie i metaliczne, a kiedy tylko bzyczenie ustało, zadzwonił telefon. Edzia nic miała zamiaru go odbierać, ale telefon dzwonił i dzwonił jak jakiś kretyn. Zupełnie, jakby osoba po drugiej stronie słuchawki nie przyjmowała do wiadomości, że Edzi zwyczajnie może nie być w domu. Albo że na przykład śpi.

- Halo...

- Edzia? Śpisz jeszcze?

- Teraz już nie.

Edzia westchnęła głęboko. Mama... Nawet dobrze się składa, bo Edzia miała jej coś do powiedzenia. Chociaż może niekoniecznie o tej porze.

- Obudziłam cię? - zapytała mama ze szczerą troską.

- Nie, no co ty... - odpowiedziała Edzia w taki sposób, żeby mama sama domyśliła się, że tak. Ale mama raczej się nie domyśliła.

- A to dobrze, bo już się bałam, że może za wcześnie dzwonię... Że może jeszcze śpisz... No, ale widzę, że nie... A co robisz? Pewnie pracujesz... pracujesz, biedaku, prawda? No to co, zajęła jesteś? Ja tylko na chwilę, nie będę ci przeszkadzać, skoro pracujesz... prawda? - zapytała mama Edzi z nadzieją, że Edzia jednak powie, że nie.

- Nie, mamu. Jeszcze nie pracuję, trochę dla mnie za wcześnie... - ziewnęła Edzia. - Ale nawet dobrze się składa, bo właśnie sama miałam do ciebie przekręcić!

- Coś się stało? - zaniepokoiła się mama. - Stało się, tak?

- Właściwie nie...

Po drugiej stronie słuchawki na moment zapadło nerwowe milczenie.

- Jak to nie, przecież słyszę! Dziecko, powiedz mi. Tylko szczerze - zachęciła *mama*. - Przecież wiesz, że matce możesz wszystko powiedzieć.

- No tak... szczerze mówiąc, tak. Stało się.

- O matko... nie strasz mnie... masz... masz... jesteś chora? - W głosie mamy zabrzmiało niedopowiedziane przerażenie.

- Mam kota - powiedziała Edzia grobowym głosem.

- Aaa, kota! - mama natychmiast się rozpogodziła. - Bo już się przestraszyłam, że naprawdę coś ci jest... Ale że... kota? - oprzytomniała nagle. - A skąd?

- Mamu, nie wiem! Ja go nie znam!

- Zaraz zaraz... - zastanowiła się mama, której najwyraźniej zaczęła się w głowie układać jakaś fabuła. - Z Egiptu go przywiozłaś, tak?

Przemyciłaś? W torbie? Nielegalnie, prawda? Ale dlaczego wczoraj nic nie powiedziałaś? Mogłaś mi go pr/ecznie pokazać! Ale co tam, przed matką to tylko tajemnice... Ale czekaj... tam to chyba same łyse koty są... Twój też łysy? Nie brzydzisz się go?

Pewnie coś jeszcze mówiła, lecz Edzia odsunęła słuchawkę od ucha na długość ręki. Słyszała teraz tylko monotony szum maminego głosu, co było dobre, bo wiedziała z grubsza, kiedy mama kończy swoją kwestię.

- Nie, wcale nie jest łysy! - wskoczyła mamie w kropkę po zdaniu, jakby nigdy nic. - Jest rudy i... - spojrzała na kota, który niespiesznie czyścił sobie futerko - ... nawet niebrzydki. I nie jest z Egiptu.

- Nieec? To skąd się wziął?

- Stał pod drzwiami... Ktoś mi go podrzucił!

- No widzisz! - powiedziała mama z satysfakcją. - Tylko cię samą zostawić! Gdybyśmy wczoraj razem do ciebie pojechały, prosto z lotniska, tak jak mówiłam, to... Tego by na pewno nie było! Ale nie, ty zawsze wiesz lepiej!

Edzia znowu odsunęła słuchawkę na bezpieczną odległość. Mama jak zwykle, z nie wiadomo gdzie nabytą wprawą, interpretowała fakty na swoją korzyść. Tymczasem nastąpiła chwilowa przerwa w szumie, bo nawet mama musiała w końcu wziąć oddech. 1 Edzia skwapliwie to wykorzystała.

- A może... - zaczęła ostrożnie - ... bo wiesz... przyszedł mi taki pomysł do głowy...

- No? - mama nastawiła uszy,

- No bo wiesz. Gdybym przypadkiem nie znalazła właściciela... chociaż właściwie jestem pewna, że znajdę, ale wiesz, gdybym jednak nie znalazła, to...

- Tak?

- To może... ty byś go wzięła? - zaproponowała Edzia jednym tchem.

- Ja? Kota? - teraz mamę z lekka zatkało. Ale tylko na chwilę. - T e g o kota?

- Tego, tego! - potwierdziła Edzia. - Innego nie mam. Mama milczała dość długo i naprawdę trudno było wyczuć, czy milczenie to spowodowane jest rozważaniem pro-

pozycji Edzi, czy to tylko taka cisza przed burzą. I nawet Edzia, jako rodzona córka, nie za bardzo mogła się zorientować.

- Eee... - odezwała się w końcu mama. - No wiesz... właściciel na pewno niedługo się znajdzie, nie martw się. Znajdzie się, zobaczysz!

Nie zabrzmiało to zbyt obiecująco.

- Aha - powiedziała strapiona Edzia, bo nic miała w zwyczaju wciskać ludziom cudze koty. Zwłaszcza własnej mamie. - No tak... A właściwie to... czemu dzwonicz?

- A no lak! - mama ożywiła się, w jej głosie zabrzmiały teraz zupełnie inne tony i jasne było, że temat kota został zamknięty na cztery spusty. - Chciałam cię poprosić, żebyś wpadła może jutro albo w czwartek wieczorem? Co? Tak kolo ósmej... Wiesz, bo będzie Rostkowa i Zdzisia... I... i one bardzo prosiły, żebyś wpadła.

- Ale po co ja wam do szczęścia? - zdziwiła się Edzia. - To już same sobie nie wystarczacie?

- A to kiedy indziej pogadamy... - powiedziała mama z podejrzanym pośpiechem. - Zadzwoń później, dobrze?

- Czemu później? Ktoś przyszedł, czy co?

- Nieee... tylko akurat *Cyrk* się zaczyna... Też może byś sobie obejrzała? Powtarzają te odcinki z wczoraj, na Jedynce... Co?

- Nie, mamó, dzięki. Muszę trochę popracować. Żebyś miała co oglądać za miesiąc - zakończyła Edzia uprzejmie lecz stanowczo i odłożyła słuchawkę.

Bez pardonu przegoniła kota, który z uporem maniaka raz po raz ocierał się o jej nogi, mruczając wniebogłosy jak źle wyregulowana lodówka. To znaczy - próbowała przegonić. Nawet powiedziała do niego dość surowo:

- Paszoł won, skunksie!

Kot nie zareagował. Zamruczał tylko głośniej i jakby nieco gniewnie, nie przestając ocierać się o prawą łydkę Edzi. Pewnie niczego nie rozumiał. Tak, to było możliwe. Przecież to, co powiedziała, zabrzmiało tak bardziej po rosyjsku. Paszoi won... A być może kot mentalnie był Polakiem i zwyczajnie nie rozumiał obcej mowy? Edzia powiedziała więc po polsku, powoli i wyraźnie. Żeby teraz już na pewno zrozumiał:

- Sp... kot!

Kot taktownie udał, że nie słyszy.

Zachowanie kota wydało się Edzi podstępne i nadzwyczaj interesowne. Zresztą wystarczyło spojrzeć: rudy, i to jeszcze jak! A wiadomo, że takie są najgorsze. I wcale nie Edzia to wymyśliła, tylko odwieczna ludowa mądrość, z której przecież masowo korzystają całe pokolenia. Edzia jeszcze nie słyszała, żeby ktoś się na tym przejechał. A więc z góry można uznać za prawdę obiektywną, że rudy to fałszywy. I już. I nic się z tym nic da zrobić.

Edzia nie miała wątpliwości co do tego, że kot ociera się w celu nawiązania bliższego kontaktu. Kot najprawdopodobniej chciał sprawić, żeby Edzia go polubiła, ot tak, mimochodem. Miał w tym swój interes i Edzia doskonale wiedziała jaki.

Polubienia kota Edzia chciała uniknąć nade wszystko, ponieważ według niej oznaczało to same problemy. I to zarówno polubienie na dłuższą metę, jak i jednorazowe okazanie mu sympatii. Jedno i drugie oznaczało kłopoty, mniejsze lub większe. A nawet i te całkiem duże, jak na przykład, że... że kot na przykład mógłby u niej... zostać.

Już sama myśl była tak stresująca, że Edzia odruchowo sięgnęła po batonik, chociaż przecież dzisiaj osobiście zarządziła Dzień bez Batonika.

No, ale gdyby jednak... został? Na Bóg wie ile, a może nawet na zawsze? No nic... nic! To absolutnie nie wchodziło w grę. Bo zostanie, czyli co? Że niby Edzia będzie musiała się

nim opiekować? Brać pod uwagę? Karmić? I co, może jeszcze zastanawiać się, czy żwirek jest wystarczająco czysty? O nic. Nie, nie i nie!

Ktoś inny może i mógłby nazwać to na przykład odpowiedzialnością lub użyć innego słowa o równie znaczącym wydźwięku, dajmy na to: wyzwanie. Albo zmiana. Może i mógłby, ale co z tego? Dla Edzi był to ciężar ponad siły. A dźwigania takiego ciężaru Edzia absolutnie sobie nie wyobrażała, ponieważ od zawsze wołała proste rozwiązania. Proste i łatwe w zastosowaniu. Jak oranżada w proszku.

No a poza tym chwilowo miała co innego do roboty.

Powiedziała więc do kota z wyższością, pozbawiając go złudzeń w tempie, w jakim rozrasta się średniej wielkości grzyb atomowy:

- Nie masz na co liczyć, kot!

Na co kot zamrugął ze zdziwieniem bursztynowymi oczami. Zamrugął tak, jakby do końca jednak nie dowierzał.

- Nie wysilaj się, bo moja odpowiedź brzmi: nie! I już nie musisz się łąsić, skunksie!

Ale kot wcale nie przestał się ocierać. Jakby nawet po polsku nie rozumiał, kretyn.

Edzia postanowiła wziąć się w garść i dłużej już się tym nie zajmować w obawie przed utyciem, ponieważ tamten batonik uspokoił ją tylko na chwilę. Był jednym, samotnym i do tego już zjedzonym batonikiem, a żeby odzyskać spokój na dłużej, potrzebna była większa ich ilość. Dużo większa. A kot na pewno nie był wart kilku dodatkowych centymetrów w biodrach.

Zwłaszcza że to przecież nawet nic był jej kot.

Przepłoszyła rudzielca kopniakiem, ale takim raczej lekkim. Nie żeby zaraz kopnąć go w śledzionę czy jakiś inny organ, o nie. Edzia nie miała zamiaru zrobić mu krzywdy, bo przecież miała dobre serce. Chciała go tylko trochę postraszyć, skoro nie docierało do niego ludzkie słowo. A że

kot nie uskoczył na czas i Edzia jednak trochę go kopnęła... no trudno. Stało się i już.

W rezultacie kot się obraził i poszedł spać na fotel, a Edzia wreszcie zabrała się do roboty.

Najpierw zadbała o higienę pracy - zrobiła herbatę, włączyła muzykę oraz umyła kilogram jabłek. Wszystkie te czynności były absolutnie niezbędne do rozpoczęcia i prawidłowego przebiegu procesu twórczego.

Jabłka i herbatę ustawiła na biurku w zasięgu ręki. Wcześniej zrobiła im miejsce, strącając na podłogę wczorajsze ogryzki. Jeszcze tylko lusterko. Postawiła je przed sobą i uznała, że można zaczynać.

- No to co? Jedziemy? - zapytała Edzia Edzię po drugiej stronie.

Skwapliwie odkiwnęła sobie samej, że owszem, jedziemy. Tamtej sobie, do lusterka.

Lusterko było całkiem zwyczajne, dwustronne, z czerwoną obwódką w kształcie kwiatka. Edzia co dzień, zasiadając do pracy, stawiała je na biurku tak samo jak jabłka i herbatę. Jednak z jabłek, herbaty i lusterka, lusterko było zdecydowanie najważniejsze.

Edzia musiała mieć je przy sobie. Musiała i już, chociaż nawet dla niej było to trudne do wytłumaczenia. Edzia wiele rzeczy potrafiła sobie wytłumaczyć, ale tej akurat nic. Nic potrafiła też znaleźć najmniejszego sensu w tej niezrozumiałej czynności i w przymusie ustawicznego jej powtarzania. Może właśnie dlatego nikomu się tym specjalnie nie chwaliła, i naprawdę mało kto o tym wiedział.

Tylko Edzia, jej mama i ojciec. No, ale ojciec już nie żył.

Dziwny ten zwyczaj sięgał licealnych czasów Edzi, czyli niemal prehistorii. Już wtedy stawiała przy sobie lusterko, kiedy odrabiała lekcje albo przygotowywała sobie ściagi z przedmiotów ścisłych. Dziś nikt już dokładnie nie pamiętał, jakim sposobem lusterko wkroczyło w życie Edzi, nawet ona sama. Ale chyba coś jej nie szło, czegoś brakowało i coś

domagało się odpowiedzi, bo pewnego dnia Edzia wyszła ze swojej dziupli, pokręciła się po kuchni, zdjęła z lodówki lusterko, w którym nikt nigdy się nie przeglądał i postawiła je na swoim biurku. I tak już zostało. Pisała teraz scenariusze, zerkając raz po raz do lusterka i mówiąc coś do siebie od czasu do czasu. Zazwyczaj byty to słowa zachęty, żeby na przykład jeszcze bardziej zakreślić akcję. Niech może znowu ktoś zaginie, bo ostatnio wszyscy się raczej odnajdywali? J niech Dzidzia Orska urodzi jednak po czterdziestce, bo teraz jest w modzie późne macierzyństwo. No i oglądalność znowu wzrośnie... Zdarzało się jej czasem zapytać siebie o coś. I chociaż nic od razu dostawała odpowiedź, a czasami nawet wcale, to przecież nie o to chodziło. A o co? Tego Edzia jeszcze nie wiedziała. Tymczasem zanurzyła się po uszy w historii dwóch zwaśnionych cyrkowych rodów, Morenów i Orskich.

Rodziny te od dziesięcioleci, jak nie dawniej, były targane konfliktami, rażone gromami z jasnego nieba i nekane przedziwnymi zrządaniami losu. Uprawadzenia, nieszczęśliwe miłości, rzadkie choroby, narodziny dzieci z nieprawego łoża, tajemnicze zaginięcia oraz jeszcze bardziej tajemnicze odnalezienia... Wszystko, co może wydarzyć się w życiu oraz to, co wydarzyć się nie ma prawa byto w *Cyrku* na porządku dziennym. *Cyrk* kręcił się wokół walki pomiędzy zwaśnionymi rodami o władzę oraz wokół uczuciowych zawirowań, na które napotykali ścierający się ze sobą bohaterowie. I może właśnie dlatego bez reszty zawładnął milionami ludzkich serc.

Pięć razy w tygodniu, w czasie największej oglądalności, zaraz po dwutonowej porcji reklam, miliony widzów zasiadały przed telewizorami, aby z zapartym tchem śledzić koleje losów ukochanych bohaterów. Ulice, sklepy, i te osiedlowe, i nawet wielkie handlowe galerie, szkoły wieczorowe i skwery, zaciemnione bramy i przystanki autobusowe wyludniały się

w błyskawicznym tempie. Życie na ulicach zamierało jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki... Znikali gdzieś nawet kieszonkowcy! Może dlatego, że nie było kogo okradać? Ruch kołowy ustawał i można było spokojnie przechodzić na czerwonym. Ale chętnych nic było, za to z okien osiedlowych bloków szeroką łuną biła błękitna poświata.

Na ten święty czas dzieci odrywały się od lekcji, mężowie od żon, żony od obierania marchewki na jarzynkę. Oczy wszystkich zwracały się w stronę telewizora z bolesnym napięciem w oczach i niemym pytaniem; co dalej?

O tym, co dalej, decydowała Edzia.

To ona układała losy bohaterów i zapętlata je na różne sposoby, żeby było jeszcze ciekawiej. No i sama chciała się przy tym dobrze bawić, ponieważ była dość wymagającym widzem.

I to właśnie ona, ot tak, powoływała do życia nowych idoli, którzy pojawiali się polem na okładkach kolorowych pisemek oraz zdjęciach z otwarć, zamknięć i wernisaży. Edzia łączyła ich w pary, trójki i czworokąty, rozdzielała i znowu łączyła. To od niej zależało, czy bohater wyjdzie cało z mrozącej krew w żyłach sytuacji, czy też jednak nie. A może właśnie złamie sobie kręgosłup, spadając z tańczącego konia i zniknie z *Cyrku* na zawsze, jak ten przyszczaty Dyzio Morena?

Bo Edzia akurat miała na to ochotę.

Dyzio Morena... Edzi znudziły się w końcu te jego przyszcze. I chociaż wszyscy robili co mogli, lekarz zapisywał coraz bardziej inwazyjne maści a kolejna makijażystka wyłaziła ze skóry, maskując przyszcze Dyzia czym się dało, one już w połowie ujęcia uparcie błyszczwały na ekranie jak czerwone choinkowe żaróweczki.

Edzia załatwiła więc sprawę jednym efektownym upadkiem z konia i nie musiała już dłużej narażać na stres swojego poczucia estetyki. No i nawet pasowało jej to dramaturgicznie.

Edzia miała siłę! Mogła wynosić na szczyty i strącać w jednej chwili w przepaść zapomnienia. W jej rękach była przyszłość wszystkich bohaterów serialu, ich być albo nie być, ich rozpoznawalność oraz zdolność kredytowa.

Edzia ceniła sobie klasyczną konwencję telenoweli, tej nieskończenie długiej bajki dla dorosłych. Bajki, w której wszystko dobrze się kończyło, a zło musiało zostać ukarane. Doskonale też poznała zasady, jakie nią rządzą - co jest konieczne, żeby wszystko razem pięknie grało, a czego lepiej unikać jako kontrowersyjnego, ryzykownego lub zwyczajnie niesmacznego. Nauczyła się tego na własnych błędach już jakiś czas temu, kiedy to sytuacje kontrowersyjne i niesmaczne przydarzały się jej z częstotliwością godną rozmnażania się chomików.

Największą wpadką Edzi było odsłonięcie mechanizmów iluzji, rozłożenie na czynniki pierwsze wszystkich sztuczek, które co wieczór wykonywano w *Cyrku* przy pełnej widowni.

Wydawało się jej, że to będzie ciekawe, taka magia od kuchni... I odkrycie, że to nie są żadne czary. Ale przeliczyła się, i to bardzo, ponieważ to, co zrobiła, okazało się równoznaczne z publicznym oświadczeniem, że Święty Mikołaj nie istnieje. I zostało wyjątkowo źle przyjęte przez widzów, a zwłaszcza przez ich nieletnią część.

Oglądalność natychmiast spadła, środowisko cyrkowe wniosło oficjalny protest, domagając się natychmiastowego zakończenia produkcji serialu, a Jeżyna zaczął uważniej patrzeć Edzi na ręce.

Cyrk zaludniali tłumnie biedni i bogaci, piękni i brzydcy, dobrzy i źli, młodzi i starzy... oczywiście w aptecznie odmierzonych dawkach oraz jak najbardziej wymyślnych konfiguracjach.

Z tym, że jednak statystycznie więcej było tych pięknych. I młodych.

Brzydki był tylko personel pomocniczy, który zresztą i tak pokazywał się na ekranie sporadycznie. Jak na przykład

czyściciele klatek, z których jeden był nawet kulawy. Znaczący niepełnosprawny.

Zarówno u Orskich, jak i Morenów ścierały się ze sobą czarne i białe charaktery. Było ich mniej więcej tyle samo, chociaż, jakby policzyć dokładnie, u Morenów tych czarnych było jednak trochę więcej... Aie to się w każdej chwili mogło zmienić, ponieważ bohaterowie *Cyrku* potrafili przechodzić z ciemnej strony mocy na jasną lub też na odwrót po kilka razy w miesiącu!

Tak, jak na przykład jedna Orska, która była akrobatką oraz puszczałką, a w ciągu dwóch miesięcy całkowicie zmieniła swoje wnętrze i udała się do klasztoru o zastrzonej regule. Dość szybko jednak stamtąd wyszła, ponieważ trochę jej się nudziło. Brakowało jej ludzi, zwierząt oraz seksu. A teraz, będąc znowu akrobatką i puszczałką, zastanawiała się, czy by tam jednak nie wrócić, chociaż na tydzień... Albo trochę popracować z chorymi zwierzętami.

Prawie wszystkie problemy bohaterów *Cyrku* były tak życiowe i zwyczajne, a nieszczęścia tak powszechne, że mogły dotknąć każdego. Naprawdę każdego.

I ciocię Jadzię na emeiyturze, i panią z supennarketu, i pana z wielkiej korporacji. Jak również motorniczego tramwaju nr 6 i nauczycielkę przyrody, która tymże tramwajem codziennie dojeżdżała do szkoły. Można było przypuszczać, że i tramwajarz i pani nauczycielka zastanawiają się właśnie, co też takiego powodowało Ireną Orską, że dała się wczoraj namówić Lucjanowi Morenie na popołudniowe ćwiczenia na batucie... A przecież Lucjan Morena był, jak wiadomo, odwiecznym wrogiem Orskich i urodzonym krętaczem, a w dodatku miał żonę. Było również dość prawdopodobne, że uczniowie, dojeżdżający do szkoły tym właśnie tramwajem też się nad tym głowią i może nawet nie odrobili lekcji, śledząc wczoraj do późna, kto z kim i dlaczego...

Na szczęście w *Cyrku* prawie wszystko dobrze się kończyło. Tak było najlepiej zarówno dla producentów, jak i dla reklamodawców, no i oczywiście dla widzów. A jeśli dla wszystkich, to i dla Edzi też. Właśnie dlatego domorosły gej i akro-bata w jednym, uroczy Wacio Orski, okazywał się na koniec zwyczajnym zbuntowanym nastolatkiem, który chwilowo sam nie wiedział, czego chce, a podejrzenie o nosicielstwo HIV, mimochodem rzucone na tańczącego erotycznie z wężami Bolesława Morenę, szybko okazało się całkowicie bezpodstawne.

Poza tym nie umierał tu nikt, kto rzeczywiście na to nie zasłużył. Wtedy nie było dla niego litości. Za to w innych przypadkach zawsze można było zastosować trick ze śpiączką lub zaginięciem, po którym cudowne odnalezienie jest jak najbardziej na miejscu.

Równowaga w *Cyrku* musiała być, sprawiedliwość również. Należało tylko cierpliwie poczekać. Cierpliwie i dosyć długo. Czasem tak długo, że zapominało się, na co właściwie się czeka... Ale po drodze pojawiało się tyle nowych wątków i czarnych charakterów, że tamto czekanie przestało w końcu mieć jakiegokolwiek znaczenie.

W *Cyrku* każdy na własny sposób wyrażał swój stosunek do życia. Nawet czyściciel klatek Zdzisław Świeży, który pojawiał się na ekranie raz na kilka tygodni, żeby, rzecz jasna, wyczyścić klatkę. Miał on swój własny komplet ulubionych powiedzonek. I czasami ich nadużywał, jak na przykład „trzeba dobrze przeczyścić”, co proponował zawsze jako niezawodny sposób na rozwiązanie takich życiowych problemów jak niestrawność słonia czy depresja tresera.

Niektórzy z bohaterów wtrącali czasem coś po kaszubsku albo podhalańsku, a nawet po węgiersku, na znak ich światowego obycia, inni natomiast zapominali słów... Niektórzy się jękali, a już najbardziej ten nieszczęśnik, w którego co wieczór rzucono nożami. Edzia *uważała*, że to bardzo zabawne. A jeszcze inni, jak Irena Orska, przesadnie cyzelowali

każde słowo, starannie podkreślając ą i ę. I to akurat było nie do podrobienia.

Tak naprawdę cały ten *Cyrk* miał się skończyć już rok temu. No bo przecież jak długo można mnożyć rozwody, klęski żywiołowe i nieplanowane cięższe? Do czasu! Nawet w cyrku. Edzia, i nie tylko ona, obawiała się, że moment krytyczny może nastąpić lada chwila. I wtedy czar pryśnie, bo w końcu wyjdzie czarno na białym, że to tylko film... Ale, o dziwo, możliwości się nie wyczerpywały. Nie mogły! Ponieważ tym razem to w prawdziwym życiu nastąpił niespodziewany zwrot akcji. Po ogłoszeniu daty emisji ostatniego odcinka telenoweli nastąpiła seria masowych protestów widzów, protestów telefonicznych i pisemnych. Do biura prasowego *Cyrku* przynoszono worki listów pełnych szantażu emocjonalnego i gróźb karalnych, skierowanych do producentów i aktorów, gróźb, z których wysadzenie w powietrze budynku telewizji należało do tych bardziej soft.

W wyniku tych działań jak również powtórnej analizy wskaźników oglądalności decyzję cofnięto i *Cyrk* kręcił się dalej. A Edzia pisała i pisała. I od czasu do czasu przychodziła jej do głowy niepokojąca myśl, że już nigdy nie przestanie.

Prawie każdy dzień Edzi wygląda! tak samo. Wstawała wtedy, kiedy się obudziła, czyli nie tak znowu rano, czasami nawet koło południa. Brała prysznic. Potem robiła sobie śniadanie, które zjadała przed komputerem. A czasem, kiedy jej się nie chciało, to go nie robiła. Czasami znowu maniakalnie całymi garściami chrupała własnoręcznie wyhodowane kiełki. To wtedy, kiedy za namową Maurycego przerzucała się na dietę makrobiotyczną. Albo piła hektolitry soków, jeśli dieta była ściśle owocowa. Gdyby kiedyś, tak zupełnie przypadkiem, zainteresował się nią psycholog, z pewnością by stwier-

dział, że Edzia ma skłonności do przesady, zbyt częstego oczyszczania organizmu oraz popadania w uzależnienia.

Nigdy natomiast nie miała zamiaru się odchudzać. Oznaczałoby to bowiem rezygnację z czekoladowych batonów, którym nieodgadnieni specjaliści od marketingu ponadawali męskie imiona. A rezygnacja z batonów byłaby zdecydowanie ponad jej siły. Dieta makrobiotyczna również zakładała taką rezygnację, ale Edzia postanowiła ten wymóg świadomie pominąć. Batonów bowiem były taką małą, czekoladową kropką nad i. Były również dowodem na to, że od każdej reguły są wyjątki.

Po śniadaniu Edzia robiła w intemecie nieśpieszny przegląd prasy, a następnie zabierała się do pisania. Kiedy już trochę napisała, wychodziła na rower, żeby nie obrosnąć tłuszczem. Oczywiście, jeśli było ciepło. Albo na bazarek po zakupy. Jak było zimno, zostawał wyłącznie bazarek, i to tylko wtedy, kiedy już naprawdę musiała.

Bo Edzia nie znosiła zimna. Nienawidziła go ze wszystkich sił. Kiedy było zimno, marzła jej twarz, włosy, kości, wszystkie co do jednego organy wewnętrzne, a zwłaszcza układ pokarmowy. Marzła cała Edzia, od stóp do głów. I nic się nie dawało z tym zrobić.

Być może Edzia była stworzona do życia w dużo cieplejszym niż ten kraj. \ Wracała więc z tego bazaru i znowu pisała. Czasem coś zjadła. Czasem coś obejrzała w telewizji, najczęściej odcinek jakiejś brazylijskiej telenoweli, w której ludzie powtarzali po sobie całe zdania, jakby nie dosłyszeli albo nie mogli się zrozumieć. Za tym Edzia akurat nie przepadała, ponieważ uważała, że należy szanować inteligencję widza.

Czasem zadzwoniła do kogoś, pogadała, czasem ktoś wpadał do niej, by pogadać. Albo pojawiała się mama, bez zapowiedzi, za to z odwieczną zupą i dobrymi radami. A wieczorem zazwyczaj wszyscy razem gdzieś szli - Edzia, Nika,

Słodki, Maurycy, no i Kluski. Najczęściej do klubu, w którym występował Maurycy. Albo do innego, kiedy akurat nie występował. Edzia była zadowolona ze swojego życia i zupełnie nie widziała powodu, żeby je zmieniać.

Zerknęła do ostatnich notatek. Wszystko bardzo, ale to bardzo było pokomplikowane, głównie ze względu na ilość wątków i postaci. Edzia umiała to jednak opanować. Miała swoje sposoby, które były jej czujnie strzeżoną tajemnicą, ukrytą głównie w komputerze, gdzie każda postać została skatalogowana od stóp do głów i opisana pod względem charakteru, upodobań, znaków szczególnych i powiązań rodzinnych. No i jeszcze w głowie Edzi, rzecz jasna. A przynajmniej częściowo.

- No dobra - Edzia sprężyła się wewnątrz, bo już był najwyższy czas. i znów zerknęła do lusterka.

- W takim razie ten tu, a ten tu. Co ty na to? - zapytała samą siebie. I zaraz sobie odpowiedziała, znajdując milczące, za to stuprocentowe poparcie we własnych oczach.

- Nie, nie tu. Tu. Tak będzie lepiej, no nie?

- Tak. Dużo lepiej!

- Okej. W takim razie ta zachoruje, o ta... - Edzia zakreśliła jedno z nazwisk czerwonym flamastrem - ... a tamten wyzdrowieje. Znaczący Rysio Orski, ten, co ma teraz ospę.

- Ten, co ciągle podkrada ziarno papugom?

- Ten sam - przytaknęła Edzia.

- To niech już wyzdrowieje, bo ospa raczej nie może trwać trzy tygodnie... Chyba że może?

- No dobra, niech wyzdrowieje! - zgodziła się Edzia łaskawie. - AJe nie na długo, nie na długo... - zatarła ręce z radości. - Bo potem damy mu nawrót choroby. I wtedy okaże się, że to wcale nie ospa...

- Złapał coś od papug? - podsunęła Edzi Edzia. - Egzotycznego coś?

- Zobaczymy. W każdym razie będzie to coś poważniejszego... położymy go do szpitala na zakaźny... no i kolega będzie mógł sobie wyjechać na urlop. Na dwa tygodnie...?

Spojrzała pytająco do lusterka. Oczy po drugiej stronie odpowiedziały jej tak samo pytająco.

- Tydzień wystarczy! - zdecydowała Edzia. - Aha, ta aktorka.. . Ta, co gra woltyżerkę Isię Orską. Ona naprawdę jest w ciąży! Naprawdę! Piąty miesiąc. Już zaczyna być ciasno pod tym trykotem... Hmm.-. Co by tu...? Edzia chwilowo nie wiedziała. Ani jedna, ani druga.

- Hmm... widzowie ją lubią... Chyba nie będziemy jej odsyłać do żadnego zagranicznego cyrku...? Hmm... A może by ją tak wplątać w romans z którymś z Morenów? - Edzia uśmiechnęła się do lusterka, a lusterko odśmiec-nęło się z aprobatą.

- Dobry pomysł! Kto nam jeszcze został... Leon, siostrzeniec Mariana. Do tej pory mało wykorzystany... czy damy mu wyjść z cienia? - zastanowiła się.

- Damy, damy! Co mamy nie dać!

- Okej! No to zrobimy go w nieślubne dziecko z Orską... Ale na początku niech myśli, że to jego. Będzie bardziej przeżywał... tak?

- Miodzio!

.- A potem okaże się, że prawdziwym ojcem jest... i koniec odcinka!

Edzia stuknęła w klawiaturę jak szalony pianista.

Dialogi i sytuacje błyskawicznie układały się w logiczną całość, sceny wyskakiwały spod palców jedna po drugiej. Znow zerknęła w lusterko i z uśmiechem ukloniła się sama sobie, pełna najwyższego uznania. I z wdziękiem odwzajemniła uśmiech Edzi po drugiej stronie lustra.

Dobra robola!

Potem wzięła na tapetę seniora Morenę. Hmm... Senior wciąż walczy z reumatyzmem i z Orskimi... Nie ma facet

chwili wytchnienia, no cóż... Taki już jego los. Teraz akurat jest górą i przez moment, powiedzmy, przez dwa odcinki, może odetchnąć. Niech sobie chłop podleczy stawy.

Ale Morena nic podejrzewa, że Marian, krew z jego krwi, zamierza wsadzić mu nóż w plecy i zająć jego miejsce...! Nie wie, nic nie wie... No to jeszcze się nie dowie. Ale widzowie już będą wyczuwać, że coś się święci! Wyczuwać i obserwować. A tymczasem niech senior Morena skupi się na umacnianiu swojej pozycji w cyrku... Tylko jak by tu... Może niech on poszuka czegoś szczególnego... Jakiejś może... osobliwości?... Dziwoląga?... W każdym razie czegoś nie do przebiccia... To musiałoby być coś, przy czym kobieta z trzema piersiami będzie co najwyżej postacią z dobranocki.

Może tak... Morena daje ogłoszenie do gazety, „Jezioro Osobliwości”, i w jego cyrkowym wozie zjawia się... i koniec odcinka.

Edzia rozmarzyła się nad klawiaturą.

Ciągnęło ją w stronę tajemniczych, gotyckich klimatów, mrocznych stworów, no i w ogóle, rzeczy nie z tej ziemi. No tak. Tak... Tylko, że *Cyrk* był jak najbardziej z tej ziemi. A rzeczywistość telenoweli miała swoje prawa. I chociaż cyrk jako miejsce akcji dawał dużo większe możliwości manewru niż, dajmy na to, taki warsztat samochodowy', to jednak uszy, trąby i łapy musiały się zgadzać. I, niestety, nie mogło być ich za dużo. Szkoda.

Z mało konstruktywnego rozmarzenia wyrwało Edzię mruczenie kota i melodyjka z *Janosika*, to znaczy z jej własnego telefonu. Dzwonił Jeżyna Jerzy. Dzwonił z planu, co doskonale było słyhać, bo w tle wciąż ktoś stukał, pokrzykiwał i przeklinał, ze szczególnym uwzględnieniem tego ostatniego.

Jerzy Jeżyna był głównym producentem telenoweli *Cyrk*, i to od pierwszego klapsa. Znali się z Edzią kilka ładnych lat, na tyle dobrze, że Jeżyna mógł zapytać wprost:

- Edziu. Kochanie. Powiedz ty mi, moje dziecko, taką rzecz.

- Jaką?

- Kiedy Marian wreszcie wykituje?

Musiał mówić z jakiegoś zamkniętego pomieszczenia, bo głos brzmiał jak ze studni. A może tylko osłaniał ręką komórkę, żeby nikt go nie usłyszał.

Edzia zdziwiła się trochę. Jeżyna rzadko ingerował w losy bohaterów.

Naprawdę rzadko... Do tej pory zdarzyło się to może ze dwa razy? Wtedy z kozą, no i później, kiedy uznał, że widzom nie spodoba się scena pokazująca, jak tresowany słoń indyjski potrafi obchodzić się z ludzkim niemowlęciem. Ze w miarę delikatnie. Narzekał, że znowu będą protesty i zaraz siądzie oglądalność.

- Jerzy? - zapytała Edzia podejrzliwie. - Powiesz mi coś? Tylko szczerze.

- Zależy, o co zapytasz! Bo jak o swoje honorarium to nie wiem, nie wiem... - zaśmiał się wymijająco Jeżyna, szarmancki starszy pan, który lubił mówić o sobie, że jest w siłę wieku.

Tak czy siak, Jeżyna był uroczym staruszką i kochał Edzię ojcowską miłością. I może dlatego honorarium Edzi nigdy nie było przedmiotem jałowych dyskusji. Ot, po prostu Edzia wymieniała sumę, a Jeżyna podpisywał stosowny papier. Tak więc nie mogło chodzić o honorarium, o czym oboje doskonale wiedzieli.

- Co ty z tym Marianem? - drażyła Edzia, całkowicie ignorując fakt, że oto fałszywy rudy kol bezceremonialnie wskoczył jej na kolana. -

Naprawdę tak cię interesuje jego los? Dlaczego? Mów, Jeżyno, nie daj się prosić!

- No cóż, interesuje... Interesuje...! - odchrząknął dobrotliwie Jeżyna. -

Można powiedzieć, że miliony ludzi interesuje jego los, tak można powiedzieć... Miliony!

Ale Edzia nie dała się zbić z tropu.

- W porządku! Wierzę, że miliony... Ale te miliony chciałyby pewnie oglądać Mariana non stop! A już kobiety to

wiesz... najchętniej w slipkach... - Edzia westchnęła jakoś lak... nostalgicznie. - No i oczywiście widzieć, jak się zmienia, jak kiełkują w nim ludzkie uczucia... - zmiętyła się w porę. - Wiesz co, a może by się on tak na przykład zakochał? Co? Wjakiejś dobrej duszy, szarej myszce, która dzięki niemu stanie się piękną, pełnowartościową kobietą - rozkręcała się Edzia.

Przypomniał jej się sen. Zwłaszcza ta najbardziej gorąca część, bez kota... który właśnie zasypiał na jej kolanach, zwinięty w dobrze wypieczony precel.

- Ja myślę, że widzów taki Marian bardzo zainteresuje. - Edzia postarała się, żeby jej głos zabrzmiał obojętnie, co wcale nie było proste. - Tak a wersja Mariana... Bardzo!

Jeżyna roześmiał się po swoim. Czyli szczerze i naprawdę głośno.

- Kochanie! Jeżeli o mnie chodzi, to Marian może nawet zamienić się na oczach widzów w Matkę Teresę! W slipach od Calvina Kleina. Ale wiesz... ostatnio mam z nim poważne kłopoty. Kiedy ty, dziecko, byłaś na planie? Weź no ty mi przypomnij, staremu Jeżynie.

Ale Edzia nie wiedziała dokładnie kiedy.

- No widzisz! Dawno nie byłaś, to nic nie wiesz. A może byś nas tak odwiedziła? Odwiedź! Sama zobaczysz. Ciągłe niesnaski z powodu Mariana. Ciągłe jakieś afery... Ekipa mi się buntuje! A już po tym jego ostatnim numerze... No, wtedy to już doszło do otwartej wojny! Jaką ja rozmowę miałem z nimi ostatnio, ty wiesz?! Niemalże mi ultimatum postawili, wyobrażasz sobie? Oni - mnie!

Jeżyna aż się zasapał, co przy jego stanie zdrowia i rozruszniku serca, który od kilku lat utrzymywał go na chodzie, zdecydowanie nie było wskazane. Edzia starała się więc mówić w zwolnionym tempie.

- Jak mogę ci pomóc, Jeżyno? Bo może jednak dałoby się coś zrobić? Można by jakoś odkręcić sytuację... Nie przejmuj się, już ja coś wymyślę!

- Wiem, kochanie, wiem - powiedział dobrotliwie Jeżyna. Trochę się już uspokoił. Znowu zasłonił słuchawkę i zniżył głos. - W to nie wątpię. Ty widza przekonasz, ja wiem! Ale jak przekonać" naszą ekipę? Co ja zrobię, jak mi się aktorzy złączą z filmu wykruszać?

Edzia zachnęła się. Jeżyna zdecydowanie przesadzał.

- E tam! Myślisz, że dobrowolnie odeszliby z *Cyrku*? Tak po prostu? Nie, w coś takiego nie uwierzę!

To było nie-moż-li-we. Niemożliwe!

Dostać się do *Cyrku* to tak, jak złapać worek z pieniędzmi za rogi. I dlatego każdy, kto już się do niego dobrał, robi! wszystko, by trzymać się go jak najdłużej. Przede wszystkim dla kasy, do czego nikt głośno nie chciał się przyznać, no i dlatego, że z każdym kolejnym odcinkiem coraz więcej osób rozpoznawało go na ulicy. Każdego bez wyjątku. Nawet tego czyściciela klitek dla zwierząt.

- Ja też nie wierzyłem, złotko! - W głosie Jeżyny znów dało się wyczuć pewną nerwowość. - Ale mam przecieki, a wierz mi, moje dziecko, bo to pierwsze źródło jest, że konkurencja tylko czeka, żeby ich podkupić! No może nie wszystkich, ale o trzech wiem na pewno! Ty masz pojęcie?

Konkurencja? Jedyń i to dość odległą konkurencją dla *Cyrku* mogły być tylko... - *Przekręty*? Chcą ich podkupić do *Przekrętów*? - Tak, kochanie - powiedział ze smutkiem Jeżyna. - Niestety. Taki wstyd! Przecież ja nie mogę do tego dopuścić! Zrozum mnie.

- A kogo konkretnie masz na myśli?

- Starego Morenę, Ireń Orską i tego, no... tresera lwów. Tego popularnego, wiesz, z włosami. Kochanie! Przecież ja nie zawracałbym ci głowy jakimiś banialukami. - Głos Jeżyny brzmiał już dość spokojnie, ale słycać było, że stara się ważyć słowa. - Wiem, że ty ciężko pracujesz, dziecko. Ale ja mam konkretne argumenty! Zajrzyj sobie do internetu, na

dowolne forum o telewizji. Poczytaj. Przecież z tego Mariana wszyscy się śmieją! Zobacz, co tam wypisują o nim, wtos się jeży na głowie! Że beznadziejny, że jak z niemieckiego pornososa... aż wstyd mówić! Ale, moja droga... co ja ci tu będę... przecież to wszystko prawda jest! On ostatnio tak beznadziejnie gra...! A przecież przedtem tak nie było! Nie zabiegałbym o niego przecież... Pamiętasz, jak do nas trafił...?

- Tak... pamiętam... - westchnęła Edzia. Pamiętała, a jakże.

Było to prawie rok temu. Jeżyna wypatrzył Mariana na kasecie z castingiem do reklamy jakiegoś sera. Marian wtedy angażu nie dostał, za to załapał się na coś milion razy lepszego: otrzymał rolę magika Moreny w najbardziej popularnej telenoweli w Polsce.

- No właśnie. Jak on się starał... jaki grzeczny był! - mówił z goryczą Jeżyna. - A teraz proszę: gwiazdę zgrywa! Powiedzieć mu nic nie można! A skąd, on wszystko najlepiej wie! Ty wiesz, reżyser zwraca mu uwagę, sugeruje coś, a ten, wybacz, dziecko, kurwami w niego rzuca. A dwa razy już z rękami leciał, bić się chciał!

- Poważnie? - zdziwiła się Edzia, zauważając w końcu kota i strącając go z kolan. Kot odszedł obrażony, dając jej mknięciem do zrozumienia, że raczej to sobie zapamięta. - A dlaczego?

- A tak! Bo miał ustąpić Morenowej miejsca przed kamerą! Jakaś scenę razem grali, przy stole, i on się uparł, że koniecznie przodem do kamery musi być! No a ona tyłem... I też była niezadowolona. No to był pomysł, żeby oboje bokiem do kamery usiedli. Bokiem, wiesz.

- Wiem. Bokiem.

- No właśnie! Bokiem. To wtedy będzie bardziej sprawiedliwie. Ale Marian nie! Bo uważasz, on profilem gorzej wygląda, jednym i drugim. On chciał przodem i już! I nic przetłumaczysz, a jeszcze możesz oberwać! No i się pożarli,

zwyzywali. No mówię ci. Musisz tu kiedyś przyjść. Albo może lepiej nie, bo się zdenerwujesz tylko? Ale ty Mariana załatw, moje dziecko. I to jak najszybciej! Bo mi się zaioga doszczętnie zbuntuje! I przestój będziemy mieli... A sama wiesz, ile to kosztuje... No to jak będzie?

Edzia milczała przez chwilę. Tylko ona wiedziała, jakie za i przeciw turlały się jej teraz po głowie.

- Kochanie - Jeżyna szarmancko przywołał ją do porządku. - Przecież ty, jako specjalista, można powiedzieć... matka całego tego przedsięwzięcia... nie możesz nie przyznać mi racji! Prawda?

Prawda. Edzia musiała przyznać mu rację, ponieważ Jeżyna zwyczajnie ją miał, a sytuacja była podbramkowa. I dość oczywista, niestety.

- Tak. No tak, co mam ci więcej powiedzieć. Tak! Masz rację.

- To co, kochanieńka? Marian wykituje niebawem, tak? - upewnił się Jeżyna.

- Tak! Wykituje na sto procent - obiecała Edzia. - Za jakieś dwa, trzy tygodnie, może być? Bo muszę się przygotować, podprowadzić fabułę... To na ekranie byłoby za około... półtora miesiąca? - Obliczyła z grubszą. - Dobrze mówię?

V Dobrze, dobrze! - ucieszył się Jeżyna. Odetchnął z ulgą, co Edzia wyraźnie usłyszała przez telefon. - Bardzo dobrze! Lecę uspokajając wszystkich zainteresowanych. Zaraz to nawet załatwię, bo widzę, że wszyscy tu jacyś skwaszeni chodzą... No, i już wiem dlaczego! Zaraz kręcą Mariana. Ze starym Moreną. Ta scena, wiesz... co się kłóca nad kobietą w skrzyni. Który ma ją pociąć...

- Wiem, wiem... To trzy tygodnie, okej? - upewniła się Edzia. Trzy tygodnie na mały romansik? W zupełności wystarczy.

- Ale nie dłużej, moja droga, proszę, nie dłużej! Bo znowu mi się zbuntują. No i jeszcze ten reżyser. Jakiś wrażliwy

jest, cholera! Już sobie nie radzi, a dopiero drugi miesiąc pracuje! I tego niedługo będę musiał wymienić... A jak to załatwisz, zdradzisz mi?

- Tak - zgodziła się Edzia łaskawie. - Ale później. I pod jednym warunkiem,

- Dobrze, dobrze, kochanieńka... a o co chodzi?

- Marian się o tym nie dowie. Przynajmniej przez te trzy tygodnie. A ekipę jakoś inaczej uspokój. Dobrze?

- Dobrze, dobrze! Już ja coś wymyślę... Ale właściwie dlaczego chcesz to trzymać w tajemnicy? - zdziwił się Jeżyna.

- Mam swoje powody.

Edzia doskonale wiedziała, że kiedy Marian dowie się, że wypada z serialu, to ona raczej go już nie uwiedzie. No, niestety. Było bardziej niż pewne, że Marian właśnie ją ob-wini za to, co się stało...

Zawsze lak było. Jak nieszczęśliwy wypadek czy oddelegowanie do zagranicznego cyrku na święty nigdy - to huzia na Edzię. Z pretensjami, płaczem i wywoływaniem poczucia winy. Co powoli zaczynało się robić niebezpieczne. Na przykład ta zdesperowana akrobatka... Ta, której rola jej zdaniem zbyt szybko się skończyła... No, ta, która ostatniego dnia zdjęć, tuż przed samym końcem, wycisnęła całą tubkę farby do włosów na moherowy sweter Edzi.

Wróciła do pisania, ale nie na długo, bo znów zadzwonił telefon. Nie przerywając stukania w klawisze, podniosła słuchawkę.

- Hallo? - usłyszała uwodzicielski, elektryzujący i bardzo, bardzo męski głos.

No to teraz już przestała stukać. I tak dobrze, że nie wypuściła słuchawki z rąk.

- Słucham... - powiedziała drżącym głosem, na co nie byto już rady.

- Tu Marian. Pamiętasz mnie?

Marian! W Edzi momentalnie wszystko zdrętwiało. Marian. Ale jak..? Skąd? Nigdy przedtem do niej nie dzwonił, ani w ogóle nic... A tu nagle - Marian...! Zupełnie jak królik z kapelusza!

Było to o tyle trafne porównanie, że Marian grał w *Cyrku* magika i króliki z kapelusza przychodziły mu bez trudu. Były, rzecz można, jego chlebem powszednim. Tak czy siak, to naprawdę... cud, powiedzmy sobie szczerze. Cud! Jak na zawołanie! Musiała ściągnąć go myślami. No bo jak inaczej?

- Dzwonię, bo wiesz... Czy możemy mówić sobie na ty? - zapytał w taki sposób, że Edzia rozplynęła się w jednej chwili. Na szczęście wcześniej zdążyła się zgodzić.

- Tak! Tak! Mówmy, jasne, że mówmy... - Postarała się, żeby chociaż to zabrzmiało obojętnie, co wcale nie znaczy, że jej wyszło. A to z kolei najwyraźniej ucieszyło Mariana.

- Tak? To świetnie! Dzwonię, bo wiesz... Jestem teraz na planie... No i ten... kręcimy... i wiesz.

- Tak?

- I tak sobie pomyślałem... teraz mi to przyszło do głowy, że ty, jako scenarzystka... no wiesz...

- Tak?

- Mogłabyś coś wniesć...

- Wnieść?

- To znaczy wiesz... ja mógłbym coś wniesć... Ja.

- Aha. - Edzia nadal nie rozumiała, ale bardzo starała się mu pomóc. Miała po prostu dobre serce, ot co.

- No tak... Coś nowego, świeżego. Jakiś... powiew,

- Powiew?

- No i w ogóle... Chciałbym z Tobą porozmawiać... i wiesz. Uzgodnić może parę szczegółów...

W Edzi zatopotała nie wiedząc czemu jakaś irracjonalna nadzieja.

- Tak? - starała się być nadal obojętna i zrównoważona.

- Tak... No i w ogóle... bo wiesz. Jakoś nie było ostatnio okazji do rozmowy... nie było cię ostatnio na planie... dość długo, prawda?

- No tak. Faktycznie... - kiwnęła głową Edzia, odpędzając od siebie uparcie powracającą myśl, że kiedy ona była na planie, Marian nawet na *nią* nie spojrział. Ani razu. Oczywiście, nie spojrział jak na kobietę, bo jak na scenarzystkę, to i owszem.

- To co? - zanęciła uśmiechem Marian, uśmiechem odczuwalnym przez telefon jako elektryczny impuls. - Może zjedlibyśmy tak razem kolację? Na przykład... dziś wieczorem?

Nie zgadzaj się tak od razu, ty głupia! Przełóż to chociaż o jeden dzień! A najlepiej o dwa, wtedy zmięknie! Szepnęło coś w głowie Edzi, mniej więcej w okolicy płąta czołowego. Jakaś może kobieca intuicja czy co? A może był to zwyczajny głos rozsądku?

- No jasne, jasne. To dzisiaj, tak? Super! O której?

- No i co? - powiedziała potem do kota na swoje usprawiedliwienie. - Jutro spotykam się z całą paczką, więc odpada... A dzisiaj przypadkiem mam wolny wieczór. Przypadkiem! A on ma jakieś pomysły. Może nawet fajne? No to na co ja mam czekać? Przecież to spotkanie zawodowe, no nic, kot?

A poza tym, ale tego już kotu nie powiedziała, wcale nie zależy mi na tym, żeby Marian zmięknął.

Kot popatrzył na nią z uprzejmym zainteresowaniem. Leżał sobie teraz na fotelu brzuchem do góry i czyścił futerko, docierając języczkiem zdumiewająco daleko, ale na moment przerwał toaletę, żeby wysłuchać Edzi. Nic był przecież jakimś dachowym dzikusiem, tylko kotem z ogładą. I wiedział, jak się zachować w standardowych życiowych sytuacjach. A ta z całą pewnością do nich należała.

I nawet miauknął w jej kierunku ze dwa razy, żeby wzmocnić nawiązującą się między nimi międzygatunkową nić porozumienia.

Edzia nie miała pojęcia, czy kot cokolwiek zrozumiał z jej wywodu i obstawiała, że raczej nie. Zresztą nieważne. Ważne, że wcale nie wyglądał, jakby miał Edzi coś do zarzucenia. Tak więc i Edzia z ochotą pozbyła się resztek wątpliwości co do rzucania się na obcych Marianów tak od razu, bez żadnej gry wstępnej.

Nie, kot z całą pewnością nie wygląda! na zde gustowanego, wyglądał za to na solidnie przegłodzonego. A Edzia była teraz tak uskrzydłona radością i napompowana oczekiwaniem na wszystko, co najlepsze, że nawet zrobiło się jej go żal.

Otworzyła lodówkę. Proszysz! Niech kot też ma coś z życia! W końcu jest jej gościem. Nieproszonym, to fakt, ale zawsze. Szynka w plasterkach... może być?

- A masz! - rzuciła mu plasterek na kuchenną podłogę. - Żryj! - zawołała wspaniałomyślnie.

Kot podbiegi w podskokach i z zadartym ogonem. Obwąchał szynkę.

Raz, drugi. I nic. Edzia była niemile zdziwiona.

- No co ty, kot! Zwariowałaś?! Przecież to żywe mięso jest! Szynka! Co, nie pasuje ci?

Kotu najwyraźniej nie pasowało.

- Trudno - dała za wygraną Edzia. - Nie mam czasu ani ochoty, żeby cię namawiać do żarcia. Nie chcesz, to nie jedz. Najwyżej będziesz głodny.

Wyjaśniwszy mu w len sposób związek przyczynowo- skutkowy, wróciła do pracy. Dla pewności i świętego spokoju wyłączyła telefon.

Zaraz go jednak włączyła z powrotem, bo przecież gdyby Marian zechciał jeszcze raz zadzwonić...

Spotkali się w Senniku.

Marian już na nią czekał. Siedział przy okrągłym, nakrytym na niebiesko stoliku dla dwojga, którego romantyczny

nastrój podgrzewała świeczka w kształcie serduszka, paląca się od niechcenia.

Miał bardzo zadowoloną minę. Zadowoloną z siebie. Może dlatego, że wszystkie kelnerki, które stały za barem, wpatrywały się w niego jak w obraz? I to dużego formatu, jak taki dajmy na to Dwurnik, i to z tych większych Dwurników. Jedna z kelnerek, wcale nie najmłodsza, dyskretnie podciągnęła bluzeczkę, żeby pokazać mu lepszy kawałek opalonego brzucha, co Marian równie dyskretnie zauważył.

No, no! Żeby ci lak kurzajki na nosie powyskakiwały jedna po drugiej, pozdrowiła ją w myślach Edzia.

Marian wyglądał fantastycznie, mimo że był ubrany jak wioski aktor z trzeciorzędowego filmu. Miał na sobie żółtą koszulę, marynarkę w drobną kratkę, żółtą z niebieskim, i przeciwsłoneczne okulary. Wieczorem. W restauracji. I zaczesane do tyłu włosy. To pewnie przez tę jarmarczność *Cyrku* tak siadł mu gust, usprawiedliwiła go w myślach Edzia,

W serialu Marian nosił strój magika. Czarny smoking i sztywne lakierki, nic więc dziwnego, że po godzinach musiał jakoś odreagować. Ale nawet w tym, co miał na sobie, przyciągał spojrzenia wszystkich obecnych.

Już ją zauważył.

Wstał, zajrzał w oczy bardzo głęboko, po czym z atencją wziął jej dłoń w dwa palce i szarmancko ucałował, przyklejając usta na nieco dłużej, niż należało. Na ten widok z mniejszych i większych piersi kelnerek wyrwało się pełne zazdrości westchnienie, a z Edzi buchnęło gorąco. Marian wyjął różę z błękitnego wazonika i podał jej, wciąż patrząc znacząco w oczy.

- Dla mnie? - zapytała głupio Edzia. Bo niby dla kogo? Marian uśmiechnął się lekko.

- Tak, proszę! Cieszę się, że przyszedłeś.

- No wiesz... przyszedłam, bo... Właściwie traktuję to jak spotkanie służbowe... w pewnym sensie... - powiedziała

Edzia, ostrożnie siadając za stołem, żeby niczego nie potrącić. - Aie za dobrze się nie znamy, więc...

Marian najwyraźniej nie widział w tym problemu i niby niechcący dotknął jej ręki. I tak samo niechcący zdjął niewidoczny paproszek z jej włosów.

- No właśnie... nie znamy się. Właściwie to wcale się nie znamy... - zamruczał jakoś tak... kocio. - A dobrze byłoby się poznać... prawda? Pracujemy przecież razem... Mogę tak powiedzieć, czyż nie?

- Chyba tak... - przytaknęła uprzejmie Edzia, chociaż przemknęło jej przez głowę, że współpraca z Marianem polega właściwie na wyrecytowaniu przez niego tego, co ona napisze. - Chyba tak...

- No właśnie. Coś wspólnie tworzymy, prawda? Ja i ty. Robimy coś dla ludzi, coś prawdziwego... to jest ważne, prawda?

Co mogła na to powiedzieć? Może i prawda. Skinęła głową i już. Coś w tym było, co mówił, ale co? Za to miał naprawdę piękne oczy. I usta. I dłonie.

- O czym myślisz? - zapytał, wpatrując się w jej twarz z zaskowaniem. - Wyglądasz na smutną... Jak mógłbym sprawić, żebyś się uśmiechnęła? Oj hiógłbyś, mógłbyś, odpowiedziała mu w myślach Edzia. Już ty wiesz; jak! Ale oczywiście nie powiedziała tego na głos.

- Nie, nie jest mi smutno! Tylko... widzisz... mam mały kłopot.

Marian wyraźnie się ożywił.

- Tak? Jaki kłopot? Coś ze scenariuszem? Może mógłbym Ci w czymś pomóc?

- Ze scenariuszem? - zdziwiła się Edzia. Czyżby on coś... nie, na pewno nie! Niemożliwe.

- Nie, dlaczego?

- No nie wiem... - wzruszył ramionami z uśmiechem i znów niepokojąco długo zatrzymał na niej wzrok. - Tak

sobie tylko pomyślałem... że wiesz... jeżeli nie masz całościowego pomysłu na moją postać... ops! - Marian odruchowo zasłonił usta dłonią i uśmiechnął się przepaszająco. - Nie to miałem na myśli. Oczywiście. Chodzi o to, że... wiesz...

- Że wiem...? - Edzia nie wiedziała, za to była coraz bardziej zdziwiona. Czyżby on wiedział? Nie, to przecież niemożliwe! Niemożliwe.

- No bo wiesz... Jak są jakieś trudne sytuacje, to wiesz... nie zawsze uśmiercenie bohatera jest najlepszym rozwiązaniem...

Znów spojrzał jej głęboko w oczy. Na szczęście nie zapomniała ich pomalować. Znaczący rześ. Ucieszyła się w duchu. Ale jak to... uśmiercenie?

- Uśmiercenie? Skąd... skąd ten pomysł? - wyjąkała Edzia, która chcąc nie chcąc szybko nabierała podejrzeń.

- Tak tylko sobie... no wiesz, przewiduję... - wycofał się Marian. - Takie tam luźne przemyślenia...

- Aha - kiwnęła głową Edzia. - Ale ja... nic mam problemów ze scenariuszem... Tylko raczej z kotem!

- Tak? - uniósł w górę brwi w przesadnym zdziwieniu, ale nawet i to wyglądało uroczo. Przynajmniej w oczach Edzi. - Jaka szkoda...! Bo wiesz... Na kotach to ja się kompletnie nie znam... - Marian uśmiechnął się rozbrajająco.

- W ogóle... To już bardziej na scenariuszach! Naprawdę.

- Jego spojrzenie nabrało uwodzicielskiego żaru, a głos stał się jeszcze niższy. - Bo wiesz... może jednak mógłbym ci coś podpowiedzieć...

Edzia sama już nie wiedziała, co o tym myśleć. Nic, oczywiście, że nie chciała stracić czujności, ale z bliska Marian pachniał czymś takim, że... No, w każdym razie myślenie raczej nic wchodziło w grę.

- A co na przykład? Co mógłbyś mi podpowiedzieć? - zapytała Edzia, przechylając zalotnie głowę w jego stronę, co

spowodowało obustronne zetknięcie się włosami. Cud, że nie nastąpił samozapłon.

Marian sięgnął po kartę win i zaczął przeglądać ją niespiesznie.

- Na przykład? Cokolwiek... - powiedział od niechcienia. - Tylko wiesz... najpierw musiałbym wiedzieć, co ty planujesz. Jakie masz zamiary.

- To znaczy?

- No wiesz... wobec mnie. Co planujesz ze mną zrobić. Marian nachylił się nad Edzią, która znów poczuła zapach jego skóry. Mmmmmmm... Bardzo starała się go słuchać. Naprawdę się starała.

- Podaję ten przykład, bo wiesz... ja najlepiej znam mojego bohatera. Od środka i w ogóle. Przecież on ma swoje życie wewnętrzne! - mówił z żarem. - Przecież on czuje, przeżywa! Marian to wielka, naprawdę wielka, pełnowy-miarowa postać! Niezwykle ważna w całej tej historii! Można nawet powiedzieć, że wiesz... że coraz ważniejsza! Nie może jej zabraknąć! Nie wyobrażam sobie tego... widzowie byliby zrozpaczeni! A ty... - jeszcze raz ucałował jej dłoń, tuż przy łańcuszku zegarka. - Ty najlepiej wiesz, jak poprowadzić takie krwiste, męskie postacie. Bo wiesz... tylko tak silne osobowości jak Marian zapadają w serca widzów. I mają największe możliwości rozwoju. Zwłaszcza kiedy wiesz... kogoś takiego jak ja, gra ktoś taki jak ja...

Edzia słuchała go z otwartymi ustami. I patrzyła, patrzyła. Dawno nikt do niej tak pięknie nie mówił. Wyglądając przy okazji tak seksownie i smakowicie.

- To jak myślisz? - wyrwał ją z zachwycenia trzeźwy głos Mariana.

- O czym?

- No wiesz... czy mógłbym ci jakoś pomóc?

- Czy ja wiem... - oprzytomniała nagle Edzia, zdecydowanie wbrew swojej woli. - Chyba nic ma takiej potrzeby...

Ja wymyślam, a wy, aktorzy znaczy, dostajecie swoje kwestie... no, co mam ci tłumaczyć, sam to doskonale wiesz!

- Wiem, wiem... - Marian machnął ręką ze zniecierpliwieniem. - Ale wiesz... pomyślałem, że może... jak się dowiem, co z grubsza planujesz, będę mógł ci coś doradzić...

- No ale...

Marian znów wziął Edzię za rękę. Ścisnął mocno.

- Wiesz, zależy mi na tej roli. Naprawdę. Czuję ją! Postać, którą gram... to wiesz... to jestem ja, cały ja! Rozumiesz? Ja nic nie odpuszczam! Nie idę po zdjęciach grać w teatrze, jak inni. Ja tym... żyję!

- To miło, że jesteś laki zaangażowany... - Edzia delikatnie spróbowała uwolnić się z jego uchwytu. Chyba jednak zbyt delikatnie.

-- Miło?! Ja... chciałbym dać z siebie wszystko! Mógłbym, gdybym tylko wiedział, jak potoczą się moje losy...

To stwierdzenie zupełnie już Edzię wytrąciło z kontekstu. I cały romantyzm chwili oraz plany na ciąg dalszy diabli wzięli.

- Trochę nie rozumiem - powiedziała z lekką irytacją w głosie. - Zaprosiłeś mnie po to, żeby się dowiedzieć... co będzie dalej? Czyli co... czy na przykład nie wylecisz z *Cyrku*?

- Nie, no co ty? - zachnął się Marian. - Nic podobnego! Skąd ci to przyszło do głowy?

Przysunął twarz do jej twarzy. Był teraz bardzo blisko.

- I wiesz... mogę ci to udowodnić... jeśli chcesz... - zamruczał spod rzęs.

- A jak? - zapytała Edzia, bo cała ta sytuacja naprawdę zaczynała ją wkurzać. Nie tego się spodziewała i na pewno nie

o to jej chodziło. Ale Marian nachylił się do niej i powiedział:

- A tak...

I zaczął ją całować. Tak, przy tym kawiarnianym stoliku i gapiących się łakomie kelnerkach. A że w całowaniu miał nieprzeciętną wprawę, Edzia od razu się roztopiła. I nic protestowała, kiedy Marian zamówił taksówkę, a potem podał

taksówkarzowi jej adres. I nawet nie zdziwiło jej, skąd go znał. Nie protestowała, kiedy odwoził ją do domu. Ani wtedy, kiedy wszedł za nią do mieszkania.

Nie protestowała również wtedy, kiedy już w przedpokoju zaczął ją rozbierać. Mało tego, trochę mu nawet pomogła. Bo naprawdę mało który facet umie tak po prostu rozpiąć kobiecie biustonosz w normalnej sytuacji, a co dopiero w ekstremalnej, i to bez wcześniejszego rozpoznania terenu. W każdym razie Edzia jeszcze takiego nie spotkała. Spłoszyli kota, który w ostatniej chwili uciekł im spod nóg. Edzia po raz kolejny przysięgła sobie w duchu, że to ostatnia noc kota w jej mieszkaniu. Ale później, specjalnie nie zaprzętała sobie tym głowy. Zamknęła kota w łazience i tyle.

I nic już im nie przeszkadzało.

Seks był cudowny... Marian był cudowny... Żadnego docierania się i dopasowywania, od razu wszystko pięknie grało. I odbyło się tak, jak we śnie Edzi. A nawet jeszcze lepiej.

Działo się, działo i działo... i wcale nie chciało się skończyć! A kiedy się już skończyło, całkiem nad ranem, Marian zasnął.

Edzia zasnąć nie mogła, ponieważ cały czas, od stóp do głów była naładowana elektrycznie. Usiadła więc w fotelu i patrzyła, jak Marian śpi. A trzeba zaznaczyć, że Marian był piękny w każdych okolicznościach, również we śnie. Piękny! Cudowny! Rasowy samiec. Tylko się nic zakochaj... zakazała sobie w myśli Edzia. Bo raczej nie jest dobrze zakochiwać się w facecie na trzy tygodnie przed jego zabójstwem. Siedziała tak i siedziała, patrzyła i patrzyła jak jakaś głupia. A Marian spał, jak gdyby nigdy nic. Jakby zupełnie nic się nie wydarzyło, No tak. Faceci tak mają, westchnęła Edzia, a w jej westchnieniu zawarła się cała mądrość kobiecych pokoleń.

Kraciasty koc, którym Marian był przykryty zastania! niektóre fragmenty jego ciała, i to akurat te najbardziej atrakcyjne. Więc Edzia dyskretnie ściągnęła koc z Mariana, żeby nie było mu przypadkiem za gorąco. I patrzyła dalej, jakby

nigdy nie widziała gołego faceta, którego spośród innych wyróżniało tylko to, że był od nich o niebo przystojniejszy...

Zerknęła na zegarek. Punkt trzecia. Tknięta nagłym impulsem (ale właściwie dlaczego? Dlaczego? przecież miała już sposób na pozbycie się Mariana, miała nawet samego Mariana, i to we własnym łóżku, więc dlaczego?), włączyła komputer i odszukała swój wątek. Dopisało się jeszcze kilka osób, ale Edzia szukała jego. Jest. Ten, jak mu tam...

Oyama.

Oyama:

Kto czeka, się doczeka (tak tylko do siebie mówię).

Desperado:

Jestem.

Wystukała Edzia.

Dzisiaj jest to jutro z wczoraj. No i co? Po chwili wyskoczyła odpowiedź:

Oyama:

Witaj, Jutro to dziś. Tyle że jutro.

Desperado:

To znaczy, że co? Konkretnie.

Oyama:

No, aż tak konkretnie to nie wiem... Ale nawet ładnie brzmi. Nie uważasz? Tak bardziej filozoficznie. Powiedz, że zrobiło na tobie wrażenie? No plis, plis, plis!

Desperado: Normalny jesteś???

Wrażenie może i zrobiło, ale nie aż takie.

Oyama:

OK. W każdym razie jest mi niezwykle miło, że wciąż żyjesz © Póki co.

Bumper:

Uuuuuu..., no to dót. A co zawiodło? Podcinanie czy worek?
A może jedno i drugie?

Fisherman:

A nie mówiłem, że podcinanie jest do dupy? Ale wy wiecie
lepiej... Fachowcy!

Tiramisu:

Wie martw się, Desperado, na pewno wyjdzie następnym razem. Będę
trzymać kciuki!

Desperado:

Dzięki, ale chwilowo muszę zmienić plany.

Tiramisu:

Jak to? Nie zabijasz się? Żartujesz?! W konia chcesz nas zrobić?

Bumper:

Właśnie! Przecież my tu czekamy!

Oyama:

To co, rozumiem, że ostatecznie się NIE zabijasz?
Odetchnąłem z ulgą!

Desperado:

Chwilowo nie. Przynajmniej w najbliższym czasie.

Bumper:

To w takim razie kiedy konkretnie? Daj znać!

Tiramisu:

Właśnie, żeby tylko terminy się nie pokryły.
Bo niedługo znowu próbuje Maniucha. I Kukuryku.

Bumper:

A Kukuryku kiedy?

Tiramisu:

Chyba w przyszłym tygodniu. Ale ma jeszcze potwierdzić. Na priva.
Dam ci znać, gdzie i kiedy!

Bumper:

Ten Desperado to świr jakiś! Raz się zabija, raz nie. Desperado, słyszysz?
Barrdzo brzydko! Tak nie dotrzymywać słowa! Świrus i ściemniacz.
Normalny nie jesteś. Kota masz i już.

Desperado:

Zgadza się. Mam kota.

Bumper:

Nooo... widzę, że sprytnie zmieniasz temat! Małe wykręcanko od samobójstwa? Nieładnie, nieładnie...! A nie uczyli w szkole, że obiecane - wykonane? Już ci nie wierzę.

Desperado:

Naprawdę mam! Kot jest do wzięcia! Ale nikt go nie chce ©

Oyama:

Rudy?

Desperado:

Skąd wiesz? Co za intuicja! Jesteś kobietą?

Oyama:

Nie, no co ty! Kobieta?? Gdzieżbym śmiał... Ale mam nadzieję, że ty jesteś...

Ale chyba wiesz, że rudy to fałszywy? Dlatego nie ma brania!

Desperado:

Aha. Dzięki. To już wiem i mogę wracać do łóżka.

Oyama:

Do łóżka? Już? Vyyy... Jestem rozczarowany. No, chyba że ktoś tam na ciebie czeka? Wtedy mógłbym zrozumieć.

Edzia nie odpowiedziała.

Oyama:

To co? Czeką czy nie?

Desperado:

No cóż... :) Jak by ci tu...

Oyama:

Aha. Chyba że tak... Ale i tak jestem taki jakby... rozczarowany.

Nie, no, co ty! Żartuję przecież.

Desperado:

Ale co robić, kiedy naprawdę czeka!!!! Nie chcę, żeby czekał. Włączam turbonapęd!

Oyama:

Już???? Naprawdę spadasz? Tak szybko? :(((

A w ogóle to co robitaś do tej pory?

Desperado:

Lepiej nie pytaj :)

Oyama:

No tak. Chyba się zawstydzilem. Co nieco.

Desperado:

Słusznie, słusznie :)

Bumper:

Tak tu sobie mito gadacie, że naprawdę. Wzruszające. Kotecka rudego maaa! I nikt go nie chce! Biedny koteceek! O rany! Mało się nie pochlastatem. Dół, dół, dół!!!!

Gościu:

Mam to samo. Rzygać mi się chce, jak to czytam... Bleeee... I jeszcze te żyletki jakieś tępe! Ale może jeszcze spróbuję. Tak, na pewno. I to nawet zaraz.

Tiramisu:

Właśnie, Bumper ma rację. Jestem chory i moje święte prawo szukać tutaj duchowego wsparcia!

A nie jakieś pitu pitu! Z prywatnymi gadkami spadać na gadu-gadu. Ale już!

Fisherman:

Wasze ciurlanie jest w stanie wpędzić do grobu, nie tylko w głęboką depresję! Na to forum jesteście za weseli. Tak! Atmosferę nam psujecie.

Tiramisu:

Jesss! Jes jes jesss! Święta racja. A my się tu tak pięknie dotujemy. Coraz gorzej i gorzej... Cudnie jest, koledzy, prawda? Nieźle nam idzie, no nie?

Fisherman:

Zaraz, może dajmy im szansę! A jak to jest taka schizofreniczna euforia, po której nastąpi próba samobójcza? Mają prawo tak się zachowywać! Utrata kontroli, totalny dół... a potem próba.

Udana lub nie, wszystko jedno. Zawsze można spróbować jeszcze raz, Tak? Dobrze mówię?

Bumper:

Dobrze, dobrze! Trzeba próbować! Nie poddawać się!

Tiramisu:

U mnie to tak właśnie wyglądało - najpierw podjarka na maksa - tańczyłem na balustradzie w świetle gwiazd, a potem namalowałem nawet obraz *Słoneczniki* van Gogha na szybie u sąsiadów, bo mamy takie połączone balkony. A potem dół. Jak w życiu.

Bumper: No i co?

Tiramisu:

G...O, jak widzisz. Żyję.

Bumper:

Słabo. Współczuję, koleś. Ale co tam, nie przejmuj się. Przegrane są tylko te sprawy, które porzucamy. Powiedział to jakiś chiński mędrzec w kalendarzu na ten rok. A może nawet ja, na jakichś prochach? Wszystko jedno. Nie trać nadziei, następnym razem na pewno się uda!

Oyama:

Właściwie to... może oni mają rację?

Desperado:

Możliwe. Dziwne te klimaty...

Chyba faktycznie przeszkadzamy im się dołować.

Tiramisu:

Wypad na forum „Romantika”, ale już. Tam sobie ćwierkajcie!

Oyama:

To co? Podasz mi swój numer gg? Zanim oczywiście wrócisz do łóżka :) Jakbyś miała ochotę pogadać, of kors.

Tiramisu:

Podaj podaj! A potem spotkacie się w realu i będziecie razem ćwiczyć nowe psychotropy!

Tylko napiszcie, jak byto. Oczywiście, jak się nie uda, bo jak się uda, to... alleluja!

Bumper;

I torebki foliowe. Nie zapomnijcie o torebkach! Torebki są the best!

Fisherman:

Tak! I znarkotyzują się wspólnie witaminą Ce!

Ale chyba nie tutaj???????????? Bo jeszcze umrzemy ze śmiechu.

Tiramisu:

Racja. Spadać stad! Jakiś normalny głos wreszcie.

Bumper:

Tutaj normalny? Musi jakiś obcy. Może to szpieg?

Rano, choć nic aż tak, zastała Mariana w łazience.

Nie zauważył jej, odwrócony tytem i niezwykle apetyczny w samych slipkach, czarnych i na oko dwa numery za małych. Edzia podeszła cichutko, na palcach, i już już miała delikatnie objąć jego muskularne plecy lub te pośladki właśnie, bo jakoś nie mogła się zdecydować, kiedy Marian odwrócił się do niej gwałtownie. Miał dziwną minę, której Edzia nigdy u niego nie widziała. Taką jakby... zaskoczoną.

Mina nie miała nic wspólnego z Marianem, jakiego Edzia знаła. Jeżeli można to tak nazwać. Że go znała. Marian wyglądał na zaskoczonego i przyłapanego na gorącym uczynku. A Edzia nie wiedziała dlaczego.

Przecież nic takiego nie robił! Nie pryskał się jej perfumami ani nie przymierzał bielizny... Nic z tych rzeczy! On tylko trzymał w rękach kota.

- O, kot! - powiedziała Edzia nadzwyczaj łagodnie, żeby tylko Marian pozbył się tej dziwnej miny i zrobił tę zwyczajną, której używał na co dzień. Czyli uwodzicielską. - Coś z nim nie tak?

Marian natychmiast wypuścił kota, który błyskawicznie zniknął za drzwiami. Zaskoczona mina również znikła z twarzy

Mariana i prawdopodobnie dlatego Marian od razu zaczął wyglądać znajomo.

- Nie, dlaczego? - spojrzał na Edzię spod rzęs i Edzia natychmiast zaczęła myśleć nie na temat. - Wszystko w porządku!

Edzia przełknęła ślinę. Dlaczego ten Marian znowu wyglądał tak seksownie... to nie fair!

- Aha... bo... yyy... tak go trzymałeś...

- Nie, ja go tak tylko sobie... oglądałem!

- Aha. Zjemy razem śniadanie? - uśmiechnęła się Edzia. - Mogę zrobić jajecznicę!

To akurat była prawda, ponieważ jajecznica była jednym z trzech dań, które Edzia faktycznie umiała zrobić. Marian zmierzwił włosy w nagłym zakłopotaniu.

- No wiesz... hmm... ja bardzo cię przepraszam... - niepewnie zerknął na zegarek - głupio mi, naprawdę... Ale nie mogę zostać. Chociaż chciałbym, możesz mi wierzyć!

- Tak? - bąknęła Edzia, starannie i nie do końca skutecznie ukrywając rozczarowanie.

A Marian znacząco odgarnął włosy z czoła. I równie znacząco spojrzał na Edzię.

- Tak! - powiedział z uczuciem. - Chciałbym zostać! Ale wiesz... mam coś do załatwienia na mieście. Już jestem spóźniony... Zadzwoń do ciebie, dobrze? Bo przecież nie skończyliśmy... rozmowy? Prawda?

Jeszcze nieuważnie prześliznął się po niej wzrokiem, ale już był gdzie indziej, jego oczy zatrzymały się tylko na moment w załomku szlafroka. W miejscu, gdzie zaczynała się la cholerna blizna.

- No to paaa! Całuję cię! - powiedział Marian śpiewnie, sztucznie przedłużając samogłoski, co, jak sądził, nadawało jego wypowiedziom ton nadzwyczaj elegancki, ton, jakiego używają faceci „z górnej półki”. No i zawsze robiło piorunujące wrażenie na kobietach. A potem do kompletu położył

dłoń na sercu w taki sposób, aby Edzia nie mogła tego przeoczyć
Przytrzymał jeszcze chwilę dla pewności.

Edzia nie przeoczyła. Błyskawicznie zasłoniła ręką usta, żeby nie
parsknąć śmiechem, no bo jak by nie patrzeć, wyglądało to nieco
kiczowato. Edzia nawet lubiła kicz, ale w rozsądnych dawkach. To
znaczy w granicach dobrego smaku. Zaraz jednak przestraszyła się, czy
Marian czasem nie zauważył jej gestu i czy przypadkiem nie została
urazona jego męska duma. Bo przecież nie chciała go obrazić, zwłaszcza
po wspólnej nocy, którą spokojnie i bez posądzenia o przesadę mogłaby
nazwać upojną.

Jednak zdenerwowała się zupełnie niepotrzebnie, ponieważ męska duma
Mariana miała się całkiem dobrze. I zupełnie nie była podatna na urazy.

Męska duma Mariana miała, prawdę mówiąc, dość grubą skórę.

Marian zinterpretował grymas Edzi jako wyraz pożegnalnego smutku.

Smutku po odejściu Mariana, który tak pięknie raz po raz stawał na
wysokości zadania. Ile to... zaraz... sześć czy... siedem razy? Marian
uśmiechnął się triumfująco prawym kącikiem ust.

Spcrmonapęd. Turbofallus. Tak do mnie mów.

Tymczasem Edzia całkiem po kobiecemu czekała na dalszy ciąg, który
jednak nie następował. Widać Marian uznał, że wystarczy otworzyć usta
dwa metry dalej i Edzia powinna poczuć się pocałowana.

Jeszcze raz zajrzał jej głęboko w oczy, a potem rzucił okiem na lustro za
jej plecami, starannie przyglądał włosy i pośpiesznie wyszedł. To znaczy
wyszedłby bez problemu, gdyby nie potknął się w drzwiach o kota, który
właśnie skądś się wziął.

Ale się potknął.

Obaj: Marian i kot odskoczyli od siebie jak oparzeni. Kot odbił się od
kolan Mariana z dzikim prychnięciem, po ludzku niezrozumiałym,
Marian zaś zmełł! w ustach określenie powszechnie uznawane za
obraźliwe i doskonale

znane każdemu, kto na terenie naszego pięknego kraju przebywa dłużej niż kwadrans.

- Uwaga, kot! - krzyknęła Edzia o wiele za późno. Marian znikł już za drzwiami wejściowymi, kot za drzwiami do łazienki. Sądząc po szybkości zniknięcia, żaden z nich nie doznał poważniejszego uszczerbku na ciele, pomijając kłak rudego futra, turlający się z gracją baletnicy pod metalowym stolikiem, na którym leżały skromniutko, nic zajmując wiele miejsca, koronkowe majtki z wczoraj.

Edzia westchnęła ciężko i wrzuciła majtki do kosza na brudy. Żeby to zrobić, musiała stracić kota, który akurat tam zacumował i właśnie zaczynał porządkować sobie futerko po czołowym zderzeniu z Marianem.

- Spadaj, kot! - machnęła mu przed nosem połą szlafroka, słusznie oczekując, że kol się spłoszy. - Przez ciebie Marian o mało nie wybił sobie zębów! Skunksie jeden!

Kot spojrzał na nią tak okrągłymi oczami, jakby chciał powiedzieć: Zwariowałaś, kobieto? Przeze mnie? Przecież ja tylko sobie szedłem! To on, ten fircyk w zalewie, to jego wina!

I zamrugał oczami jakoś lak, że Edzi zrobiło się głupio. W końcu Marian i tak miał umrzeć, więc na dobrą sprawę po co mu zęby...

Odruchowo dotknęła blizny. Ciągnęła się pod jej palcami jak długa, biała stonoga. Przed lustrem Edzia zawsze omijała ją wzrokiem, ale tak do końca nie dawało się jej nie zauważać i udawać, że nic istnieje. Blizna była. Była i już. Zawsze w tym samym miejscu, długa na dziesięć centymetrów. Tak naprawdę to miała dwanaście, o czym Edzia doskonale wiedziała. Ale lepiej było myśleć „dziesięć”. Lepiej, bo jakoś krócej to wtedy wyglądało.

Cała reszta Edzi była w porządku.

Edzia nic zgłaszała do stwórcy większych zastrzeżeń. A może po prostu nie miała specjalnych wymagań? W każdym razie uważała siebie za w miarę udany egzemplarz.

I skóra, trochę ciemniejsza niż u innych, i włosy, których ciągle nie miała serca obciąć, więc sięgały jej już prawie do pasa. Tak, cała reszta była dobra... Tylko ta blizna.

Ale może jej się tak tylko wydawało...? Może to tylko głupie wrażenie, że Marian... Bo Marianowi ta blizna chyba... przeszkadzała? Wczoraj, kiedy... starał się jej nie dotykać, jakoś' tak... omijał ją palcami...? Ale może jej się tylko tak wydawało?

No i pożegnał się jakoś tak... nie tak.

Edzi przyszło do głowy, że na problem zawsze warto spojrzeć z boku. Z jak najbardziej niez zaangażowanej strony. Tak będzie bardziej obiektywnie. A co dwie głowy, to nie jedna. Zwłaszcza że jedna z tych głów zawodowo zajmuje się zbieraniem faktów oraz ich właściwą interpretacją.

- Nika?

- Edzia? - zachrypiał znajomy głos. Dość zaspany głos. -No... I co tam... co? Był?

- Byyyyl!

Był Nika momentalnie się ożywiła, jak doładowana zniecka kilkoma setkami woltów.

- Był? Aaaaa! - zapiszczała jak rozemocjonowana mysz.

- Aaaaa... a teraz jest? Co? Możesz gadać?

W sprawach męsko-damskich Edzia zawsze mogła liczyć na uwagę Niki. Nawet o tak nieludzkiej porze.

- Mogę! On już wyszedł... No i właśnie dzwonię, bo...

- To dobrze, dobrze! Gadaj jak było?

- Mmmm., - rozmarzyła się Edzia. Przeciągnęła się na fotelu, wydając z siebie wiele mówiący pomruk. Prosto w słuchawkę. Tak, że dla Niki już w miarę jasne było, jak było.

- Aż tak? - zapytała podejrzliwie, a w jej głosie zabrzmiała nutka zazdrości.

- No więc... Eee, co ci będę... I tak nie uwierzysz...

- No! Dawaj, dawaj! - Nika znów zapiszczała z emocji.

- Gadaj szybko, bo umieram z ciekawości!

- Osiem razy - powiedziała po prostu Edzia.

Gdyby Nika mogła ją w tej chwili zobaczyć, widziała by, w jaki sposób Edzia ogląda sobie paznokcie. W bardzo szczególny sposób, z jakimś takim, możnaby powiedzieć, lekkim poczuciem wyższości. Z dwóch palców, wskazującego i serdecznego, Marian zgryzł jej w dzikim szale lakier Rouge Noir. Trzeba będzie znów pomalować.

- Ile?!

- Osiem.

- To niemożliwe - powiedziała Nika po jakimś czasie, kiedy już dotarła do niej, co usłyszała.

- Nie-moż-li-we - powtórzyła ze świętym przekonaniem. Powiedziała to dość kategorycznie, a w jej głosie zabrzmiało doświadczenie kilkunastu rozwikłanych detektywistycznie spraw, głównie wykryć i udowodnić wiarygodności małżeńskiej. Podczas tych wykryć, kiedy to osobiście śledziła przebieg schadzki, pomagając sobie profesjonalnym sprzętem, przekonała się naocznie, że średnia nie przekraczała dwóch razy na noc. A z jej własnego małżeńskiego doświadczenia wynikało, że dwa razy to i tak jest bardzo dużo. I że zdarza się to tylko innym. A jej jakoś, nie wiedzieć czemu, nie.

- O rany - powiedziała do przyjaciółki ze szczerym współczuciem. - Biedaku! Przecież on cię najzwyczajniej w świecie zrobił w konia!

- Osieem! - zaśpiewała Edzia prawie sopranem. I oprzytomniała nagle. - Jak to „zrobił w konia”?

- Czy ja wiem... - zastanowiła się Nika - ... jak to mogło wyglądać w praktyce...? Może udawał?

- O, kochana... - Edzia znów się rozmarzyła. - Tu cię mogę zapewnić, że nie! Słowo ministranta. Wszystko było jak trzeba. Osiem razy! i wyglądało na to, że wiesz... no...

- No?!

- Że to wcale nie musiał być koniec.

- Co takiego?

- On jeszcze mógł! Wyobrazasz sobie? Ale, niestety, musiał lecieć na plan.
- Łat...! - westchnęła z podziwem Nika. - No to ładnie... A jak ty to zniosłaś? Bo słyszę, że jesteś nieźle zakręcona.
- Jakoś musiałam... - powiedziała Edzia, skromnie spuszczać oczy. - Co było robić... przystosowałam się do sytuacji... stosunkowo szybko... Ale dzisiaj chyba zrobię sobie wolne. Muszę odespać, bo ten... umówiliśmy się na jutro.
- Mów, co chcesz... no ja ci oczywiście wierzę, bo jesteś moją przyjaciółką... No i wierzę ci...
- Ale?
- Ale dalej uważam, że to niemożliwe - powiedziała Nika, nadal pełna wątpliwości. - Żeby tak sam z siebie?... Nie. Takie coś to się zdarza tylko w pornosach. I to na szybkim montażu... Ty, a może on coś łyknął?
- Co niby łyknął?
- No wiesz... małą... błękitną...
- ... planetę?
- Tabletę!
- Viagrę? Niec... Zauważyłabym. Zresztą nie miałby kiedy!
- W międzyczasie, to jasne.
- Nie było żadnego międzyczasu.
- No jak to?
- No tak...
- Robiliście to... cały czas?
- Właśnie tak! Jak króliki Duracell!
- No nie! To chyba jakiś cyborg! - Nika pokręciła głową z zazdrością. - Normalni faceci tak nie mają!
- Racja - zgodziła się Edzia. - Ale faktem jest, że zrobiliśmy to osiem razy. Widać cuda się zdarzają, i to nic tylko w Boże Narodzenie. A i w przyrodzie czasem można natrafić na chlubny wyjątek. Ty... - w głowie Edzi, mimo ogólnego wycieńczenia organizmu i postcoitalnej abnegacji, zaświtała zupełnie nowa myśl. - A może to jest takie... nowe ogniwo

ewolucji? Takie *Homo...* czekaj, nic mów... *Homo megaerectus*? Co? I tak już zostanie?

- *Megaerectus*? - powtórzyła Nika powoli. - To znaczy, że co? Że po świecie będzie chodziło więcej takich Marianów-Pistoletów?

- No! - potwierdziła radośnie Edzia.

- Marianów-Supersamców?

- Właśnie!

- Marianów-Zawsze-Gotowych?

- Tak! - obiecała Edzia. - I te Mariany będą nosiły taką specjalną bieliznę, żeby chociaż częściowo zamaskować nieustający wzwód. No i nie gorszyć staruszek.

- I nie będą za szybko kończyły?

- W ogóle nie będą kończyły! Jak nawet skończą, to zaraz zaczną znowu! Tak, że nawet nie zauważysz!

- Rozumiem, że będą znały się na rzeczy?

- Żadnej fuszerki!

- I będą wiedziały, gdzie co jest? I jak działa kobieta?

- Jasne! Te Mariany będą miały wszystko w małym... to znaczy nie za małym, tylko właśnie w dużym...! Dużym!

- I zawsze będą chciały?

- No masz! Zawsze! Te Mariany będą się składały z samej chcicy! Rzecz jasna, oprócz mięśni i tego, co wiesz.

- O mamó... - westchnęła Nika z nabożnym przejęciem. - To ja poproszę ze dwa egzemplarze! Na dni parzyste i nieparzyste. I może jeszcze jednego dla pewności. Schowam do szafy na później...

- Masz to u mnie! - obiecała Edzia. - Tylko że ten Marian... co chwilowo jest w jednym egzemplarzu...

- To co?

- No, bo wiesz... On jakoś tak... mefajnie wyszedł...

- Jak to mefajnie?

- No, tak... - zasepiła się Edzia. - Szybko się zmył... i pożegnał się jakoś tak... krzywo... I jeszcze o mało kota nie

rozdeptał na koniec. Może ty mi powiedz, co o tym myślisz. Bo ja już sama nie wiem.

I opowiedziała ze szczegółami, jak to Marian jej nic pocałował. Jak się zachowywał i jak przy tym wyglądał, ze szczególnym uwzględnieniem wyrazu twarzy i ruchów gałek ocznych.

Nika nic była tym zachwycona, ale szczególnie zniesmaczona też nie.

- Normalka - oceniła słabe zaangażowanie Mariana. - Facet wyraźnie oddziela uczucia od seksu. Jak to facet... Uczuć brak. Ja tu widzę tylko czysty seks. Ale jak sama twierdzisz... w najlepszym wydaniu.

- To fakt - przytaknęła Edzia.

- I o to ci przecież chodziło, prawda? O romansik bez zobowiązań.

- Niby tak...

- No to co się przejmujesz? Spotkacie się jeszcze parę razy i finito!

Zresztą przecież on i tak ma umrzeć.

- No tak, masz rację, ale... Sama nie wiem... - zastanowiła się Edzia. -

Może to tylko takie wrażenie? Niemile, fakt... Ale w łóżku było super! Kosmicznie! Facet zna się na rzeczy, wierz mi.

- No to co? Jaki masz problem?

- Sama nie wiem...

- Wyluzuj, Edzia. Ciesz się chwilą i nie utrudniaj! Komplikuj sobie w telenoweli ile chcesz, ale nie w życiu! Nic w życiu!

Temat został zamknięty, a pryncypia ustalone. Edzia zgodziła się, że należało wyluzować i na maksa korzystać z cielesnych uroków Mariana. Aż do jego profesjonalnie zaplanowanej śmierci. A że naprawdę jest z czego korzystać... to dlaczego nie? No i nie przejmować się tym, czego Marian nie robi! lub nie powiedział, a jej zdaniem powinien.

W ogóle nie myśleć za dużo. I potraktować go przedmiotowo, a co! Ale też w miarę subtelnie, żeby nie zrobiło mu

się przykro... No i żeby nic cierpiał za bardzo, zastrzegła się Edzia, która miała przecież dobre serce.

Dla odzyskania nieco zachwianej przez Mariana pewności siebie, Edzia przeskanowała w myślach swoje ostatnie i przedostatnie związki, wliczając w to nawet miłości jednorazowe. Stopniowo przypomniły jej się imiona, nazwiska, a nawet twarze.

- No, było tego trochę, było! - skonstatowała z zadowoleniem. - Nie jest źle... Właściwie jest całkiem dobrze, zważywszy na ilość. Bo tak: raz, dwa, trzy... osiem... nie, nie bądźmy tacy skrupulatni! I tak by zabrakło palców, nawet licząc z tymi u nóg.

I od razu poczuła się lepiej.

A co do porannego wychodzenia p o, zazwyczaj było tak, że to ona wychodziła od nich, z lekkim sercem i leciutkim poczuciem wyższości, no bo jakoś tak jest w męsko-damskich układach, że ten, kto wychodzi, ma przewagę nad tym, który zostaje.

Albo znowu to oni nie chcieli wychodzić od niej. Ponieważ Edzia była osobą, od której wcale nic chciało się uciekać. Przeciwnie. Chciało się z nią zostać i bez końca tłumaczyć, tłumaczyć... Na przykład prawa fizyki albo inne skomplikowane rzeczy z dziedziny nauk ścisłych.

Ponieważ Edzia, słuchając o rzeczach mniej lub bardziej technicznych, że na przykład telefon jest na prąd i dlaczego najlepiej brać zakręty na drugim biegu, miała tak ufną twarz i przytakiwała tak wdzięcznie że każdy, kto akurat wyjaśniał Edzi te kwestie, czuł się co najmniej Einsteinem.

I od razu potencja rośla.

Ale żaden z nich nigdy, patrząc w szeroko rozwarte oczy Edzi, oczy pełne zachwytu nad kosmiczną prędkością, z jaką rozwijała się nauka, i zrozumienia dla postępu technicznego, ani przez chwilę się nie domyślił, że Edzia tak naprawdę jest daleko stąd. Naprawdę daleko.

Że błądzi właśnie po niezmiernych meandrach Galerii Mokotów, gdzie ostatnio widziała odlotowe spodnie z krowy. Że nurkuje teraz na rafie w ciepłym morzu, płetwa w płetwę z delfinem. Że leży na fotelu u pani Basi, która troskliwie nakłada jej maseczkę... Że wreszcie jest Bóg wie gdzie, ale na pewno nie tutaj.

A jedynym jej bliskim związkiem z matematyką jest końcowe odliczanie dni do letniej wyprzedaży. Kontaktem o tyle bliskim, że zawiązywał się w jej własnej głowie wtedy, kiedy akurat nie miała pod ręką kalkulatora.

Edzia nic widziała w tym kamuflażu nic nieuczciwego.

Dawno już sobie odpuściła próby zrozumienia, w którą konkretnie stronę zmierza świat i ile pierścieni ma Saturn. To się i tak ciągle zmieniało.

Nawet gdyby Edzia włożyła w wykład maksimum uwagi i coś sobie w końcu przyswoiła, i tak nie ma pewności, czy cała ta wiedza nie zdezaktualizuje się pewnego dnia. Tak po prostu. Więc nie zawracała sobie tym głowy. I tak wszystko było w internecie.

No tak... I nigdy żadnemu z nich nie przeszkadzała jej blizna...

Edzia spojrzała w lustro. Odgarnęła włosy z twarzy. Uniosła znacząco brwi i zrobiła dziubek ustami jak modelka. I jeszcze wypięła biust. No i w porządku. Od wczoraj nic się nie zmieniło, przynajmniej na gorsze. Dalej jest swoją własną, rodzoną Edzią.

I żaden Marian tego nie zmieni.

Nie przejmować się, nakazała Edzia Edzi do lustra. Bo nic ma czym!

Naprawdę nic ma czym.

Ale to nie zadziało. I ciągle było jej jakoś przykro... Było i było. I było.

Dlaczego? Bo przecież nie dlatego, że Marian wzgardził jej własnoręcznie przyrządzoną jajecznicą, a wiadomo, że nie ma nic lepszego po wspólnie spędzonej nocy niż jajecznica na szynce, no nie? Nie dlatego, że przydepta! jej kota. Zresztą kot mógł bardziej uważać, a poza tym wcale nic był jej. Czy czuła się źle

dlatego, że nie pocałował jej na do widzenia? Nie. Tak. Przez chwilę myślała, że tak. Przez chwilę była nawet pewna.

- Gdzie jest to coś, co sprawia, że jest mi tak przykro? - zapytała Edzia Edzię, stojącą naprzeciw niej z twarzą pełną takiego samego niepokoju. Popatrzyła na Edzię po drugiej stronie długo, uważnie, i tak jak ona powoli sięgnęła ręką w zagłębienie szlafroka, rozsunęła i dotknęła tego miejsca, w które wcale nie musiała patrzeć, żeby widzieć to i tak nazbyt dokładnie.

Pod palcami poczuła zmienioną skórę blizny.

Przyznaj się, kobieto! No przyznaj się wreszcie.

Że sytuacja wymyka ci się spod kontroli. To już nie jest układzik bez zobowiązań, prawda? Na pewno nie z twojej strony. Czujesz to. I to tak boli.

Przyznaj, że nie tak miało być. Nie tak to zaplanowałaś.

A przecież jesteś w tym niezła, w tym planowaniu. Planujesz i planujesz, rozpisujesz na sceny. I wszystko gra. Ludzie rodzą się i umierają o czasie, jaki im wyznaczysz. Planujesz ich życie, łączysz, rozdzielasz. Planujesz nawet to, w jakim momencie ludzie mają zaśmiać się z tego, co wcześniej zaplanowałaś. Trzymasz się planu, więc wszystko inne też musi się tego planu trzymać.

No a tu co? Zakochałaś się w Marianie? W tym pajacu? Zwariowałaś? A myślałam, że masz lepszy gust... Zresztą tego w planie nie było. No i co teraz? Zmiana planów nie wchodzi w grę... Zakochałaś się bez planu albo jesteś na jak najlepszej drodze do tego. Na drodze bardzo szybkiego ruchu. Normalnie na jakiejś autostradzie. I wiesz, że to wcale nicjśl dobrze, prawda?

Edzia westchnęła ciężko, bo wiedziała, że nie. Że to jest nawet bardzo źle. A Marian tak po prostu wyszedł. Tak po prostu! Powiedział „całuję” i wyszedł. Przydeptał jej kota i nawet nie przeprosił. Pomijając fakt, że wcale jej nie pocałował. Nawet raz.

- No właśnie, kot! - przypomniała sobie Edzia i westchnęła w nagłym przeczuciu przegranej. Ale o dziwo, zrobiło się jej jakoś weselej. Może nie jakoś znacząco, ale zawsze.

- Chyba najwyższy czas na inspekcję i liczenie strat! - powiedziała głośno do kota, który przecież w końcu gdzieś był.

- Lepiej, żebym nic nie znalazła. - Edzia postarała się, żeby zabrzmiało to jak najbardziej ostrzegawczo. - Zresztą ty też mógłbyś się gdzieś zgubić! Raz, a dobrze! - zaproponowała mu honorowe wyjście z sytuacji.

I zaczęła szukać.

Najpierw rozejrzała się dookoła z tak wielką czujnością w oczach, jakby podłoga wokół niej była ponadziemana minami. Ale nic... spokojnie, wszystko leżało na swoim miejscu. Na podłodze, przynajmniej w zasięgu wzroku, Edzia nie zanotowała żadnych podejrzanym dodatków.

Porozrzucone ciuchy, resztki pizzy... normalnie. O, tutaj wgnietli z Mariannem trochę sera w dywan...

Powoli przeszła po mieszkaniu, stąpając czujnie jak Indiana Jones przy penetracji piramid. Jednak nie znalazła niczego, co mogłoby skompromitować kota. O dziwo, kot tym razem zachował się jak dżentelmen.

Edzia nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Chociaż trzeba przyznać, że i Edzia ze swej strony zrobiła, co mogła. Kupiła wczoraj żwirek o nęcącym lawendowym zapachu na wypadek, gdyby kot niechcący został u niej jeszcze jeden dzień. Było to mało prawdopodobne, ale wolała się zabezpieczyć.

Kot jednak nie mógł z niego skorzystać, ponieważ trudno mu było rozerwać opakowanie z grubego plastiku. Chociaż, trzeba przyznać, bardzo się starał. A Edzi jakoś nie przyszło do głowy, żeby wysypać żwirek z torebki.

- Nie było wczoraj sytuacji, kot! - powiedziała do kota na swoje usprawiedliwienie. - Bo przecież zaraz prysnąłby cały romantyczny czar! No bo jak? Z jednej strony gorące

pocałunki i pośpieszne zrywanie ciuchów, a z drugiej przyjemna troska o kocią kuwetę? No degust, po prostu degust! Nie, mój drogi, jednego z drugim zdecydowanie nie należy łączyć...

Ale jak widać, kot sam się domyślił, jak się należy zachować. Edzia z rozpędu pochwaliła kota:

- Niegłupi kot! Całkiem inteligentny kot!

I nawet pogłaskała go po rudym łebku, przyznając przy tym uczciwie, że kot jest niezwykle miły w dotyku. Nie aż tak, jak Marian... ale prawie.

A kot okazał się faktycznie niegłupi. Przecież nie każdy umie załatwić się do doniczki z kwiatkiem, prawie nie zostawiając śladów. Mało kto potrafi nie napryskać przy tym dookoła i tak sprytnie zagrzebać wszystko ziemią, żeby nikt się nic zorientował?

No chyba, że ktoś ma węch. Taki jak Edzia.

- Ożeż ty skurczybyku! - krzyknęła Edzia prawie dokładnie tak i rzuciła w kota tym, co akurat miała w ręku. Czyli nożem, którym bezskutecznie próbowała wyciąć z dywanu plastry żółtego sera. Ale kot miał niezły refleks i zdążył się uchylić. Jak to kot.

- Mój beniaminek! Mój biedny beniaminek!

Kot miał pecha. Tak się bowiem nieszczęśliwie złożyło, że kwiatek, na którego padło, był ulubionym fikusem Edzi, sięgającym prawie do sufitu. Oprócz tego, że był rośliną, czyli produkował tlen i podnosił u Edzi poziom serotoniny, to jeszcze świecił.

Tak. Fikus robił za lampkę.

Edzi zazwyczaj nie chciało się ubierać choinki wtedy, kiedy właśnie należało ją ubrać. Problem choinki powracał co roku jak bumerang, głównie za sprawą mamy. Edzia rozwiązała więc sprawę niedrogo i raz na zawsze, zamotując przed jakimiś świętami kolorowe światełka wokół fikusa. Zapaliła i zachwyciła się. I tak już zostało. Świątek czy pią-

tek, Wielkanoc czy też Dzień Górnika, fikus co wieczór rozjarzał się dziesiątkami lampek i wyglądało na to, że jest z tego bardziej niż zadowolony. Może miał wrażenie, że obsiadł go rój świetlików? Bo jeżeli idzie o Edzię to owszem, ona takie wrażenie miała. A teraz obcy kot narobił jej do lampki.

- Dosyć! - powiedziała Edzia do kota, któremu wcale nic było głupio. Przeciwnie, bardzo był z siebie zadowolony, ponieważ dopiero co wyczyścił swoje futerko. Umyte i wyblyszczone włoski utworzyły gładką, równiutką powierzchnię, upodabniając go do dorodnego kasztana z wąsami.

Właśnie zabierał się do obgryzania pazurów, bo zauważył, że nawbijało mu się tam trochę ziemi z doniczki. A trzeba się było nieźle natrudzić, żeby się jej pozbyć. Łepki kota uparcie atakował przednią łapę w celach higienicznych. To z tej strony, to z tamtej, raz po raz. No bo przecież nie był brudasem.

Sielankowy widok kociego manikiuru wkurzył Edzię nie na żarty.

- No jasne! - wydarła się na kota, który drgnął z przestachu i spojrzał na nią zaskoczony. - Widzę, że masz to gdzieś! Zgniją mi teraz korzenie! Wiesz?! Wiesz, co to znaczy? Kwiatek uschnie! Ale nie, ty teraz zajęty jesteś! Czyściochu cholerny...

Nagle stuknęły drzwi pod dziewiątką.

Edzia natychmiast nastawiła uszy. Tak, zgadza się. Pod dziewiątką! W samą porę! Dokładnie tak, jakby to Edzia zaplanowała w swojej telenoweli. Pewne rzeczy po prostu muszą się dziać w ustalonej kolejności, bo inaczej akcja nie idzie do przodu. Tak więc drzwi stuknęły, a Edzia postanowiła działać.

Jest Przygłucha! Tralala! No, to koniec kłopotów! Teraz na pewno nic dam jej uciec. Edzia jak komandos sił specjalnych lub ktoś w stylu Stevena Seagala z czasów największej

światności, kiedy jeszcze nie miał brzucha i nie był buddystą, bezszelestnie wyskoczyła na korytarz. Z kotem pod pachą. Kot trochę wierzgał, ale Edzia trzymała go mocno. I zatkała mu pyszczek dłonią, żeby się za wcześnie nie zdradził. No i w ogóle nie odzywał niepytany. Zapukała do Przygłuchej. Dostyc głośno. Właściwie to załomotała z całych sił.

No i co? Nic. Długo, długo nic. Przynajmniej Edzia nic nie słyszała. Natomiast kot prawdopodobnie coś wyczuł, bo zaczął się desperacko wyrywać. I Edzia nie mogła już łomotać, bo musiała obiema rękami trzymać kota.

Nacisnęła więc dzwonek łokciem. Raz, drugi, trzeci.

Nic.

Nic nie szkodzi! Edzia komandos oraz pogromca kotów była przygotowana na najgorsze. W kieszeni szlafroka zawsze trzymała kilka wykałaczek na podobne okazje, ponieważ okazje przytrafiały się Edzi dość regularnie.

Wykałaczki były, ale nadal nie było rąk.

- Użyj kota! - powiedziała Edzia sama do siebie. - Użyj kota!

Kot konsekwentnie unikał wzroku Edzi i ogólnie wyglądał na nieźle przestraszonego. Edzia wsadziła zeszywniałą łapkę do kieszeni szlafroka. Manipulowała nią, póki nie poczuła, że kilka wykałaczek zahaczyło o jego pazurki. Ostrożnie wyciągnęła dwie, razem z całą resztą kota.

Wzięła wykałaczkę w zęby i wetknęła w dzwonek tak sprytnie, że dzwonił i nic przestawał. Dzwonił i dzwonił, a było to bardzo nieprzyjemne dzwonienie. Przygłuchej nie przyszło do głowy, żeby wymienić dzwonek na, dajmy na to, romantyczny ptasi śpiew. Tak, jak to zrobiła Edzia. Nie, Przygłucha pozostała przy ogłuszającym metalicznym jazgocie. I teraz ten jazgot rozrywał uszy wszystkim osobom oraz zwierzętom, przebywającym po obu stronach drzwi.

Edzia jedno ucho zasłoniła kotem. Nawet trochę pomogło. I nawet było miło. Ale spokojnie, poczekamy. Nawet Przygłucha tego nic wytrzyma. No i nie wytrzymała.

Nie wytrzymała i w końcu otworzyła. Z jej mieszkania, jak na zawołanie dobiegł naftalinowy zapaszek zleżałych gratów starszej pani. Siwe włosy, splecione w koronę, okrągła, pomarszczona jak jabłuszko twarz. Taka bżowa babuleńka, tyle że przygłucha. Ale na oko całkiem sympatyczna, pomyślała Edzia. To było zawsze to, co przychodziło Edzi do głowy, kiedy stawiała z Przygłuchą twarzą w twarz. Nawet sympatyczna. Ale... tu Edzia znów nie wiedziała, gdzie schować oczy.

Bo staruszka nie dość, że notorycznie nie dosłyszała, to jeszcze czasami zapominała się ubrać. No i właśnie teraz zapomniała.

- Dzień dobry! Zwracam pani kota - powiedziała Edzia grzecznie i dość głośno, starając się patrzeć staruszce prosto w twarz. Uśmiechnęła się przy tym szeroko, jakby codzienne zwracanie kota było zarówno dla Edzi, jak i dla staruszki czymś najzwyczajszym w świecie.

- He? Halo?! - zapytała głośno staruszka, ustawiając się lewym uchem w stronę Edzi i dając jej oczami oraz całą swoją nieubraną osobą do zrozumienia, że Edzia mówi stanowczo za cicho. - Tak?!

- ODDAJĘ! KOTA! - powiedziała Edzia do staruszki drukowanymi literami i wyciągnęła do niej ręce z kotem, który tymczasem zupełnie zeszytniał. Prawie wcale się nie ruszał, trzymany przez Edzię jak w imadle.

- O, kot - pokiwała głową staruszka. - Ładny kot! Ale o co chodzi?! Ściszyć?

- TAK, KOT! PROSZĘ!

Przygłucha nie wykonała żadnego gestu, który by wskazywał, że z radością wita kota w swoim domu. Chlebem i solą. Że nareszcie jest, i że właśnie na niego czekała. Że to

jest jej cudownie odnaleziony kot! Nie, nic podobnego. Nic z tych rzeczy.

- Ściszę, ściszę! Już i tak dużo ściszyłam! To telewizor gra!

- PROSZĘ BARDZO! - Edzia nie zrażała się tak łatwo. Zresztą nie przyszła się tutaj zrażać, tylko załatwić sprawę.

Wciąż trzymała kota przed nosem staruszki i starała się zaprezentować go jak najkorzystniej. Staruszka kichnęła i zamachała gwałtownie rękami.

- Bo ja sama jestem, to musi coś grać! Filmy najlepiej, seriale! A co z tym kotem? Tak trzyma sztywno... Łapy mu jeszcze połamię...

- ODDAJĘ PANI KOTA! ODDAJĘ!

- Co takiego? Ja się nie dam nabrać! - zazgrzytała Przygłucha piskliwie i jakoś jędzowato. - Albo po szklanę wody pukają i dawaj zaraz staruszki mordować, albo krzyżówki durne jakieś roznoszą... albo teraz znowu koty! I to kto

- pani! Wstydziłaby się pani! Dorosła kobieta!

Edzia zaniemówiła ze zgrozy. Już chyba jaśniej nie mogła powiedzieć.

Racja, babina może i nie dosłyszała, ale przecież pomysłu miała jakiś... czy nie?

- PRZECIEŻ TO PANI KOT!

- Mój?! - zdziwiła się staruszka - Jak to mój? A kto pani powiedział, że mój? Ta z dołu może? Spod trójki?

- pokiwała głową wszechwiedząco, a na jej usta wypłynął wąski uśmiech.

- Ona to naprawdę... wyrafinowana jest! Ja pani mówię!

- TO W KOŃCU JAK? PANI KOT? CZY NIE PANI? - zapytała Edzia dla porządku, ale pomyślała sobie, że kot jaki jest, taki jest, ale nie życzyłaby mu takiej Przygłuchej za panią. A co by było, gdyby tak kot zatrzasnął się w pralce? Albo spadł z balkonu? Oczywiście niechcący. Nic by nie usłyszała! A on mógłby się zamiauczyć na kość.

Przygłucha się obruszyła. Zatrzęsła z oburzenia głową, aż się zakołysały wszystkie trzy podbródki.

- Nie! Nie mój! Coś podobnego! Przecież ja chora jestem, wie pani, ile ja na leki wydaję? Dwieście złotych co m i e - s i ą c! To co, ja kota bym jeszcze brała? Kot śmierdzi przecież! I kosztuje! Zabierać mi to paskudztwo, ale już! Do widzenia!

Staruszka właśnie zamykała drzwi, sapiąc gniewnie. Hdzia w ostatniej chwili zdążyła wsadzić nogę w szparę drzwi.

- A KIEDY MA PANI URODZINY? - spytała podchwytliwie.

Przygłucha tak się zdziwiła, że aż powiedziała prawdę.

- Szóstego listopada... A czemu pyta?

- A nie, niczemu... DO WIDZENIA! - uśmiechnęła się uprzejmie Edzia, starając się patrzeć tylko na twarz staruszki, a nic na jej długą, wiotką i białą, jakby wymoczoną w mleku pierś.

Wycofała się do swojego mieszkania, uśmiechając się i kiwając kotem w jej stronę, jak rasowa gejsza z japońskiego skansenu.

- No i co, skunksie? - zwróciła się do kota, a w jej głosie zabrzmiała pretensja. - Nikt cię nie chce, widzisz?

Kotu to zwisało.

- I nikt się do ciebie nic przyznaje. Kot miał to gdzieś.

- Wygląda na to, że sam się zapakowałeś do pudełka i okręciłeś kokardą... co?

Kot udawał, że nie słyszy.

- ... na urodziny...! Tytko czyje, kot? Czyje? Bo że nie moje, to już wiesz?

Kot powoli dochodził do formy po długotrwałym tłamszeniu go przez Edzię. Dochodzenie do formy polegało na wyciąganiu wszystkich po kolei łap i przeciąganiu całego kota pod krzesłem. Kot tym się właśnie teraz zajmował i nie sprawiał wrażenia zainteresowanego czymkolwiek innym.

Edzia pewnie powiedziałałaby mu coś jeszcze od serca i może nawet udałoby się jej zdotować go tekstami, że nikt go

nie kocha i nie potrzebuje, ale ten jakże budujący monolog przerwała Edzia melodyjka z *Janosika*.

Znowu Jeżyna Jerzy. Miał jakiś dziwny głos. Taki jakiś zdławiony i raczej niezdrowy.

- Edziu, kochanie. Przyjedź, dziecko. Przyjedź, bo ja tu zaraz na serce wykituję.

- Co się stało? - przestraszyła się Edzia.

Jeżyna nie miał w zwyczaju grozić śmiertelnym zejściem z byle powodu. Przeciwnie, zawsze groził, że on to im jeszcze pokaże. Nawet w ekstremalnych sytuacjach, kiedy inni wycofywali się na z góry upatrzone pozycje.

- A co ci tam będę mówił... - westchnął Jeżyna, a w jego głosie zabrzmiała smutna rezygnacja. - Przyjedź, to sama zobaczysz...

Co było robić. Ubrała się, umalowała, nakazała kotu zachowanie higieny pod groźbą kastracji i wyszła.

Przy samochodzie okazało się, że zapomniała kluczyków, a były one raczej niezbędne. Czym prędzej wróciła więc po nic do domu, jednak nie było ich tam, gdzie były zawsze, kiedy nic było ich w torbie. Przerzuciła kilka rzeczy, kubków i gazet, zajrzała pod łóżko, podniosła z podłogi stary koc i dwa spore kłaki kurzu, zbite w efektowne kule, ale niewiele to dało. Przekonała się tylko, że chociaż kluczyków nadal nic ma, to dobrze byłoby w końcu posprzątać.

Stała bezradnie na środku pokoju, a czas gonił.

Spojrzała podejrzliwie na kota, ale przecież nie mógł mieć z tym nic wspólnego. Kluczyki do samochodu to nie jest coś, co koty do siebie jakoś szczególnie przyciągają.

A jednak.

Kiedy Edzia w ostatnim odruchu desperacji spędziła kota z kanapy, coś zasrebrzyło. Coś małego, metalowego i z całą pewnością najbardziej potrzebnego na świecie. No coś podobnego!

Edzia wzruszyła ramionami, złapała rozgrzane kotem kluczyki i pojechała prosto na plan telenoweli *Cyrk*. Prosto do opustoszałych hal produkcyjnych dawnej fabryki wódek Amator.

Już z daleka słycać było, że na planie rozpętało się piekło.

I to chyba jakiś czas temu, ponieważ charakter odgłosów wyraźnie wskazywał na to, że piekło zdążyło się już nieźle rozgrzać. Edzię z miejsca ogłuszyły dzikie wrzaski i to bynajmniej nie zwierząt. Wrzaski wskazujące na to, że tam w środku ktoś kogoś rozrywa na strzępy, ćwiartuje oraz dusi. Albo przynajmniej usiłuje. Ogrom hal jeszcze potęgował te akustyczne wrażenia.

Nic pomogło włączenie głośnej muzyki, chociaż... zastanowiła się Edzia, dawało całkiem ciekawy efekt. Nieźle dynamizowało akcję.

Edzia postanowiła wykorzystać to w następnym odcinku *Cyrku*. Do tej pory używała jarmarcznej muzyki do ilustrowania cyrkowych popisów swoich bohaterów, a romantycznej do popisów miłosnych. Ale sama musiała przyznać, że hip-hop podczas bijatyki brzmi jak najbardziej okej. Cyrkowa kopuła, uszyta na potrzeby telenoweli przez firmę Maximal, trzęsła się w posadach.

Zaraz pęknie w szwach! zaniepokoiła się Edzia, I trzeba będzie maskować dodatkowymi klaunami, albo kilkoma rzędami widzów, naniesionymi techniką sitodruku. Tam, w środku, faktycznie musi być niezła zadyma.

Wsunęła się dyskretnie bocznym wejściem.

To znaczy miała zamiar zrobić to dyskretnie, ale potknęła się o kable oraz zalanego w trupa oświetleniowca Maciejaka. Gdyby była częstszym gościem na planie, wiedziałyby, że Maciejak zawsze tu leży. Wszyscy zdążyli się do tego

przyzwyczaję, nawet sam Maciejak. I nikt się już o niego nie potykał. Maciejak nic zauważył Edzi, ale kopnięty znienacka, na wszelki wypadek powiedział „dzień dobry”. Za to zauważyli ją inni.

Edzia machnęła ręką do technicznych i uśmiechnęła się do scenografki Anety, zajętej zszywaniem rozdartego na ramieniu kostiumu klauna.

Aneta zszywała kostium bezpośrednio na klaunie i musiała chyba ukłuć go igłą, bo klaun nagle syknął boleśnie i odskoczył od scenografki na bezpieczną odległość. Ale do Edzi pomachał całkiem przyjaźnie.

Nagle ktoś złapał ją za rękaw, tak gwałtownie, że się wzdrygnęła.

- Sto lat, Edzia! To ty żyjesz?! - To Gocha. Danger! Danger! Zadzwoń coś ostrzegawczo w głowie Edzi. Gocha. No fajnie! Spotkać Gochę na swojej drodze to jak wdepnąć w krowi placek na środku autostrady.

Rzadka sprawa.

- Żyję. Jak widzisz.

- Noo! To jestem uspokojona - uśmiechnęła się krzywo Gocha, a Edzia już oczami duszy widziała, jak Gocha odpala z kolejnego działka.

- Bo wiesz, już myślałam, że ten... że coś ci się stało!

- Naprawdę?

- A tak! Że coś na serio z tobą nie tak i dlatego teraz Jeżyna za ciebie pisze!

- Tak? A niby dlaczego? - zdziwiła się Edzia.

- Bo ostatnie odcinki są dużo lepsze niż poprzednie! - triumfująco uśmiechnęła się Gocha, szósta asystentka scenografa.

Na razie szósta, zaznaczała przy każdej okazji, bo miała dziewczyna duże ambicje. Tymczasem zajmowała się sprawdzaniem, czy kolory materiałów używanych w telenoweli zgadzają się z tymi, których używa się w prawdziwym cyrku. Oraz tym wszystkim, co kto jej tam kazał.

Odcinki-docinki, pomyślała Edzia, a głośno powiedziała:

- No widzisz, pudło! Żyję i piszę cały czas. I nic mi się nie stało, ale dzięki za troskę... - uśmiechnęła się do zaskoczonej Gochy z autentyczną wdzięcznością.

- Ale...

- ... a idzie mi coraz lepiej, bo... wiesz, staram się do minimum ograniczać kontakt z toksycznymi ludźmi.

- Tak? - zdziwiła się Gocha.

- Tak. Właśnie dlatego tyle czasu się nie widziałyśmy... - Edzia posłała jej kolejny uśmiech. - To świetnie na mnie wpływa! A gdzie Jeżyna?

- A tam, z ekipą się użera - powiedziała Gocha jakoś krzywo i wzruszyła ramionami. - A wiesz, że Jeżyna niedawno zasłabł? Tutaj, na planie. Poważna sprawa! - Powiedziała to tak, że zabrzmiało... zajebiście! - Wzywaliśmy pogotowie.

Jeżyna stał na samym środku areny i przekrzykiwał kilku szamoczących się mężczyzn. Z daleka wyglądał jak poskramiacz dzikich zwierząt.

Brakowało mu tylko pejsza. No i może jeszcze trochę zdecydowania.

Jeden z mężczyzn z całą pewnością był Marianem. Dwaj pozostali...

Edzia przyjrzała się im uważniej ... Mischczak i łysa chudzina Siniec, grający akrobatów Orskich. Noo, chyba faktycznie nieźle się poszarпали, bo jednemu nawet krew leciała z nosa. Co chwila ocierał ją nieuważnie dłonią. Drugi miał podarty kostium i wściekle oczy, zupełnie jak ten ukłuty igłą klaun...

Jedynie Marian, ubrany w czarny, połyskliwy płaszcz magika nic doznał podczas tej wymiany zdań i ciosów szczególnego uszczerbku na urodzie ani odzieży. Był piękny jak zwykle, Tylko jeden kosmyk z czoła trochę krzywo mu się ułożył. Ale kiedy Marian zauważył Edzię, odruchowo sięgnął do włosów i niesforny kosmyk natychmiast wrócił na swoje miejsce.

- Cześć panowie! - powiedziała Edzia jakby nigdy nic.

Przywitali się niewyraźnie, mamrocząc coś spod opuszczonych głów. Było im głupio, że Edzia zaskoczyła ich w sytuacji, która nie miała nic wspólnego z graniem. Przeciwnie, byli teraz do bólu szczerzy.

- Jesteś, dziecko, to dobrze... - Jeżyna odetchnął z ulgą i nerwowo odgarnął z czoła siwą pożyczkę. - W samą porę... Dobrze, że wpadłaś... bo my tutaj właśnie...

- ... rozmawiamy! - wszedł mu w słowo Marian, nadal kurczowo trzymający przeciwnika za rękaw. I uśmiechnął się do Edzi najpiękniej, jak umiał. - Rozmawiamy sobie, prawda?

A Edzi zatrzepotało coś w brzuchu. Chyba motyl. Tak, na pewno.

- Można i tak powiedzieć...

Ten z rozkwaszonym nosem usiadł na wysypanej trocinami podłodze. Przy jego bucie widniało jeszcze kilka kropel krwi. Normalnie korrida, pomyślała Edzia. Starła się nie patrzeć na Mariana, żeby mieć jak najbardziej obiektywną ocenę sytuacji.

Ale wzrok sam uciekał jej, a to na falujące, fantazyjnie zaczesane włosy Mariana... i natychmiast ożyło wspomnienie, jak w nocy przesuwali się po jej brzuchu..., a to na jego usta, które Edzia całowała milimetr po milimetrze, a to na jego dłonie, które...

Tak, że z obiektywizmu nici. I Edzia nic nie mogła na to poradzić. Stała więc ze spuszczonej oczami, starając się przynajmniej zachować pozory.

- No widzę właśnie - powiedziała nieco ironicznie. - Nieźle się bawicie! O co się pobiliście?

- Zaraz pobiliście... tak tu sobie trochę omawiamy, trochę ćwiczymy... akrobacje... i różne takie tam... cyrkowe sztuczki! - Marian wzruszył ramionami i znów ugodził Edzię uśmiechem.

- Akrobacje, widzisz go, sk... - wkurzył się Siniec, którego Marian cały czas uparcie trzymał za rękaw. - Puszczaj, łachu!

- Zostaw, Rysiek. Kulturalnie trzeba! - próbował załagodzić Miszczak, patrząc znacząco to na Sińca, to na Edzię.
- Przecież tu kobiety są!
- Kulturalnie? - parsknął Siniec pogardliwie, prosto w twarz Mariana. - Do kogo mówisz, bo chyba nie do mnie? Do niego mów, tego... Kuperfilda!
- Marian otarł twarz z obrzydzeniem. Ale Sińca nie puścił.
- Tak, kulturalnie. Nawet z takim pataląchem - pouczył go kolega z rozwalonym nosem.
- Ja ci dam patalacha! - Marian rzucił się w jego stronę razem z Sińcem, którym o mało nie staranował Miszczaka.
- Ja ci dam Kuperfilda! Ja ci tu zaraz pokażę maniery... Ty... drugoplanowy idioto!
- Drugoplanowy?! - zagrzmiął Miszczak teatralnym śmiechem. - Patrzcie go, gwiazdor się znalazł!
- Gwiazdor! Przez duże g i c ! Dodaj, że przez duże g i e !
- podsunął usłużnie kolega.
- Właśnie, właśnie - przytaknął Miszczak z zadowoleniem. - Przez duże g i e !
- Ty chyba dawno nie dostałeś! W trąbę chcesz?
- Nooo, proszę! - zachęcił Mariana Rozkwaszony Nos.
- Wychodź, wychodź!
- Dawaj na środek!
- Cykasz się?!
- Pokaż, co potrafisz, ty.,, magiku z Koziej Wólki!
- No dawaj, koleś!
- Taaa... dawaj! Poczaruj trochę!
- Ty, a może on nas w żaby pozamienia?
- Aj, boję się!
- Albo w Czerwone Kapturki?
- Albo w Aniołki Charliego!
- A zamienię was! Żebyście wiedzieli! W klientów chirurgii urazowej! - błysnął dowcipem Marian.
- Ta, akurat!

- Przystawimy ci facjatę, że nawet menela z kanału nie zagrasz!
Edzia z trudem tłumiała śmiech. Spojrzała na Jeżykę, ale on wcale nie wyglądał na rozbawionego. Wyglądał na kogoś, kto ma duży problem. Wyciągnęła więc telefon i powiedziała całkiem serio:

- To ja dzwonię po policję.

Mężczyźni znieruchomieli i ucichli nagle. Spojrzeli na nią zaskoczeni, nic wiedząc, czy żartuje. Edzia też nie wiedziała. Chwilę trwało, zanim Marian, wzruszając pogardliwie ramionami, puścił Sińca, który odszedł na bok i przeklinając pod nosem, rozcierał sobie boleśnie skręcone ramię. Marian przyglądał włosy i ubranie, z niezadowoleniem zanotował w pamięci oderwany guzik od płaszcza i rozejrzał się dookoła. Zauważył stojące pod ścianą rozkładane krzeselka. Wziął dwa, rozstawił. Na jednym usiadł, a drugie teatralnym, zapraszającym gestem wskazał Edzi.

- Proszsz... Pani siada!

- O co wam poszło? - spytała Edzia, chociaż tak naprawdę chciała zadać zupełnie inne pytanie. Z kompletnie innej bajki. Takiej bardziej dla dorosłych.

- No wiesz... - Marian uśmiechnął się pod nosem i spojrzał na Edzię spod półprzymkniętych rzęs. On też chyba myślał o czymś innym. - Wynikło małe nieporozumienie... I wiesz...

- Nieporozumienie! - przedrzeźniał go Rozkwaszony Nos, krążący w pobliżu jak satelita, z którego w szybkim tempie uchodziło powietrze. Marian przysunął się do Edzi, a jego but dotknął jej adidasa, w dodatku niezbyt czystego. Oczywiście niechcący.

Edzia natychmiast pożałowała, że nie ma na nogach czegoś innego. Czegoś bardziej z obcasami.

- Kręciliśmy pewną scenę. Wiesz... scenę rozmowy Mariana z akrobatami. Tej rozmowy, wiesz... kiedy ja mówię:

„Morena ma kobietę z trzema piersiami...” - zadeklamował pięknie, tak mu się przynajmniej wydawało. Ale F.dzia miała nieprzeniknioną minę. - Wiesz oczywiście, o czym mówię? - upewni! się na wszelki wypadek.

- Jasne, jasne... - odparła pośpiesznie Edzia, która oczywiście nie wiedziała. Gdyby miała zapamiętywać wszystkie kwestie Mariana z ostatnich odcinków, musiałaby wystąpić o zgodę na wszczęcie dodatkowej pamięci o pojemności co najmniej 512 megabajtów. W głowie miała więc tylko te dialogi, które nie zostały jeszcze napisane. Tak było zdecydowanie bardziej ergonomicznie.

- No właśnie, i ja chciałem wprowadzić do tej sceny coś bardziej... ożywczego, kreatywnego... jakiś może powiew...

- Morza powiew?

- Ożywczy powiew - ciągnął Marian, pomagając sobie ekspresyjnymi ruchami rąk. - Chciałem zaproponować pewną... no, odmianę! Ale wiesz... - tu efektownie zawiesił głos.

- Ale?

- Obawiam się, że zostałem źle zrozumiany - dokończył Marian z przekąsem. - Tutaj, na planie, nie ceni się własnej inicjatywy.

- Jakiej inicjatywy? O czym mówisz? - Edzia niepotrzebnie spojrzała Marianowi prosto w oczy, ponieważ w źrenicach Mariana kończyła się logiczna argumentacja, a zaczynał szaleńczy pęd popędów.

- Pozwolicie, że się wtrączę? - wtrącił się Jeżyna, który od dłuższej chwili obserwował Edzię i Mariana, a także Mariana i Edzię, i z każdym spojrzeniem nabierał podejrzeń o coraz bardziej seksualnym kształcie.

- Przede wszystkim karczemnej awantury nie nazwałbym nieporozumieniem - wyjaśnił dobitnie. - To raz. Dwa: stawiania scenariusza do góry nogami i improwizacji na planie nie nazwałbym własną inicjatywą.

- Tylko czym? - zainteresowała się Edzia.

- Nie chcę przy tobie, dziecko, używać brzydkich wyrazów...
 - Oj, przestań Jeżyna. Używaj sobie! Niech się w końcu dowiem, o co się tak poszarпалиście!
 - Okaleczenie ciała. Czynna napaść - wyliczał Rozkwaszony Nos, uważnie przysłuchujący się z boku każdemu słowu. - Ty wiesz, że ja cię mogę wsadzić? - zasyczał jadowicie w kierunku Mariana.
 - W d... mnie możesz wsadzić, ty struci ty! - rzucił się Marian, na moment tracąc w oczach Edzi cały swój uwodzicielski urok. Ale tylko na moment. Bo zaraz znowu uśmiechnął się do niej czarująco.
 - Chodzi o to, że... - sytuację załagodził niezwykle spokojny w tych okolicznościach głos Jeżyny - ... że Marian znowu o czymś zapomniał.
 - Co masz na myśli?
 - To, że tutaj obowiązują pewne zasady. Wszystkich. Ciebie również...
 - ... mój drogi - z uroczym uśmiechem dokończył za niego Marian.
 - Nie jesteś „moim drogim” - sprostował Jeżyna z godnością.
- Marianowi uśmiech zasechł na ustach.
- A konkretnie? - chciała wiedzieć Edzia. Spojrzała na Mariana, który teraz uważnie ogląda! swoje paznokcie. Zajął się właśnie jednym z nich, rdzawym od zaschniętej krwi, która najprawdopodobniej wyciekła z Rozkwaszonego Nosa.
 - Konkretnie - Jeżyna mówił już tylko do Edzi, zdecydowanie ignorując Mariana. - Konkretnie to jesteśmy zespołem. Kręcimy serial. Serial składa się z odcinków...
 - To akurat wiem... - zauważyła Edzia. Nie mogła się połapać, do czego to wszystko zmierza.
 - Jeden odcinek ma dwadzieścia pięć minut. I każdy, kto w nim występuje, ma swoje pięć minut. Każdy. Nic może być lak, że Marian bierze całe dwadzieścia pięć.

- Niece... - Marian zamacha! rękami w gwałtownym proteście. - Jeżyna, proszę cię... błagam! To jakieś kompletne przekłamanie, wiesz?! Przecież nie o to chodzi!

- A o co?

- Ja mam przecież coś do powiedzenia, mam jakiś pomysł na ożywienie tego... - Marian ugryzł się w język

- ... tego serialu! Proponuję coś takiego, co sprawi, że widz nie oderwie się od ekranu ani na sekundę! Nie zje! Kiszki mu się skręca z głodu, a nie zje! Nie pójdzie nawet do toalety! Przecież o to nam wszystkim chodzi, prawda? I to się nie podoba?! Nie, ja po prostu w to nie wierzę!

- To akurat się podoba - powiedział spokojnie Jeżyna.

- Natomiast nie podoba się to, że jedyną atrakcją, która ma zatrzymać widza przed telewizorem, masz być ty! Wierzysz, Edzia, że coś takiego zagra?

Edzia nie odpowiedziała, bo akurat wierzyła.

Znaczy się w to, że Marian potrafi zawładnąć całą uwagą, a także ciałem i duszą. Przynajmniej jednej osoby. Ale Jeżynie z całą pewnością nie o to chodziło, więc Edzia chwilowo wstrzymała się od głosu. Jeżyna westchnął z rezygnacją i znów zwrócił się do Mariana:

- Człowieku, przecież ty improwizujesz bez sensu! Ciągłe wchodzisz w kadr. Nie ma sceny bez ciebie, chociaż dzisiaj grasz tylko dwie! Nie dopuszczasz nikogo do głosu. A to, co proponujesz jest... dobre...

- No właśnie... - przytaknął kompletnie zaskoczony Marian.

- Dla ciebie.

Wszyscy patrzyli na Mariana, ale chyba tylko Edzia myślała o jego muskularnych udach, zakrytych teraz szerokim płaszczem.

- Tylko dla ciebie! - Jeżyna podniósł głos. - W porządku, ja wiem, że każdy tu myśli o sobie. To zdrowy objaw. Tylko, niestety, nam to wszystko rozwała! Sceny, dialogi... Nie mówiąc

o tym, że tracimy czas na dublé i użeranie się z tobą. Człowieku, przecież to wszystko kosztuje! Mam ci policzyć ile?

- Niech go pan podliczy! - ucieszył się Siniec. - Będzie musiał odrabiać jako wózkowy!

- Do usr... śmierci! - poparł go Rozkwaszony Nos.

- Panowie, spokój! Znowu zaczynacie?

- Bo my mamy już dosyć pana Mariana - wystąpił kolektywnie Siniec.

- Wszyscy.

- Mów za siebie, dobrze? - upomniał go Marian. - Niedograny kmiecie!

- To może ja powiem za siebie - zaproponował Jeżyna

i Edzia zauważyła, że Marian jakby się trochę zaniepokoił.

- Słusznie. Niech każdy mówi za siebie - odpowiedział nieco drewnianym głosem.

- Takiego zachowania ja nie będę tu więcej tolerował!

- oświadczył Jeżyna z całą mocą. - Albo - albo.

Na nikim jednak nie zrobiło to wrażenia, ponieważ takie oświadczenia padały ostatnio z ust Jeżyny średnio trzy razy dziennie. I miały niewielki kaliber mocy, ponieważ i tak wszystko, co napisane, trzeba było zagrać na czas. Każda zmiana wiązała się z kłopotami i kosztami. Tak więc Marian mógł pobawić się w rewolucjonistę na swój koszt, ale Jeżyna już nie. I obaj doskonale o tym wiedzieli.

Marian uśmiechnął się drwiąco, ale trzeba przyznać, dość dyskretnie. Tak dyskretnie, że zauważyła to jedynie Edzia.

- No dobrze. Ale jak mam się zachowywać, kiedy nic wiem, co dalej? - wzruszył ramionami tylko pro forma, bo i tak już był wygrany.

Przynajmniej w tym starciu.

- Jak to: co dalej? - zdziwiła się Edzia.

- Noo, co dalej z moją postacią! Jak mam ją wyczuwać i podprowadzać, kiedy nie wiem, co ze mną będzie?!

- Graj to, co jest w scenariuszu - doradziła mu Edzia.

- Po prostu.

- W życiu też nie znasz swoich losów trzy tygodnie naprzód, nie? - zauważył przytomnie Rozkwaszony.
- Ani nawet na godzinę! - przytaknął skwapliwie Siniec.
- No! - kiwnął głową Mischczak. - Za godzinę możesz przecież wpaść pod samochód! - dodał i aż uśmiechnął się do swojego pomysłu. Odruchowo, ale jednak.
- Albo tramwaj!
- Albo wygrać w lotto! - pocieszyła go Aneta, Mężczyźni zgromili ją wzrokiem.
- Ale to nie życie, tylko cyrk! - zauważył słusznie Marian.
- Słusznie! - zgodził się Jeżyna. - Co nie znaczy, że musisz tu zaraz cyrki urządzać!
- Nie, ja w takich warunkach nie mogę grać! - wkurzył się Marian. - Pieprzę to! - i jednym ruchem zerwał się z krzeselka. A zrobił to tak gwałtownie, że jego czarodziejski płaszcz ze sztucznego jedwabiu zaszumiał jak huzarskie skrzydło podczas samobójczej szarży. Już chciał wychodzić, ale Edzia zdążyła złapać go za rękaw, o co zresztą od początku mu chodziło. Mógł więc spokojnie zostać i komentować dalej
- Ludzie, przestańcie! - zawołała Edzia na cały głos.
- Uspokójcie się! Bo czuję się jak w jakimś zoologu, a nie na planie filmowym. Tu grają przecież nie tylko zwierzęta?
- A ja mam spektakl wieczorem! - nadał się Siniec.
- I w formie muszę być!
- Do otwierania i zamykania drzwi forma niepotrzebna... - zauważył Marian.
- A ty co? W czym grasz? Oprócz *Cyrku*?
- No właśnie! Pochwal się!
- Wolę wcale nie grać, niż jak wy... ogony jakieś podgrywać!
- No jasne! Bo ty przebierasz w rolach, aż furczy! Marian przez chwilę rozważał, czy lepiej dla niego będzie rzucić się na Sińca z pięściami, czy może dać sobie spokój.

W końcu zwiesił tylko głowę i z wielką uwagą zaczął wykopywać nogą mały kamyk, który zaplątał się w miękkie trociny.

Uśmiechnął się zwycięsko, kiedy Edzia wstała z krzeselka zaraz po tym, jak zaproponował:

- Może się przejdziemy? Bo tak tu jakoś... duszno. Wyszli z cyrkowego namiotu odprowadzani spojrzeniami całej ekipy.

Spojrzenia te wyrażały różne emocje. Na przykład podejrzliwość i niepokój, wyraźnie widoczne w oczach Jeżyny. Miał on swoje własne powody do niepokoju, ale jeszcze nie chciał się z nimi zdradzać. Jeszcze nic teraz.

Przeszli do następnej hali, gdzie trwały przygotowania do zdjęć do filmu o blockersach, a wynajęci grafficiarze pokrywali zmurszałe ściany zbuntowanym i rewolucyjnym światopoglądowo graffiti.

- Zobaczmy się dzisiaj? Bo wiesz... - Ni to pytanie, ni stwierdzenie spadło z ust Mariana prosto w serce Edzi. Oraz dodatkowo na kilka erogennych punktów rozmieszczonych nieregularnie na całym jej ciele. - To przyjdę o dziewiątej, okej?

- O dziewiątej trzydzieści - Edzia zachowała jednak resztki zdrowego rozsądku. A może chciała tylko sprawić takie wrażenie? Bo jeżeli o nią szło, mogliby się spotkać od razu.

Przez chwilę nic nie mówili. Tylko Marian patrzy! na Edzię ognistymi oczami, palącymi ją coraz głębiej i mocniej. Na dłuższą metę spojrzenie to było nie do wytrzymania. Edzia albo mogła zostać spalona na wiór, albo wybuchnąć śmiechem. Woląta to pierwsze, ale niekoniecznie w tym miejscu. Znaczący przy ludziach.

- Wczoraj... - zaczęła nieco stremowana.

- Było cudownie! - zapewnił ją gorąco Marian. Wziął rękę Edzi w obie dłonie i zaczął ukradkiem całować. Edzia roztopiła się w trzy sekundy.

- Bo wiesz... ja wciąż o tym myślę... - wymruczał Marian znad jej palców.
 - Ja też... - wyszeptła Edzia przez zaciśnięte gardło.
 - Czuję, że to może być coś ... naprawdę ważnego.
 - Tak?
 - Niebanalnego... - powiedział Marian, całując Edzię w każdy palec z osobna.
 - Naprawdę?
 - Na długo... na bardzo, bardzo długo... Edzia przełknęła ślinę.
 - Wierzę, że to mogłoby trwać bez końca...
- Prawdę mówiąc, Edzia była trochę zaskoczona. W końcu lepiej, znaczy się bardziej dogłębnie, poznali się zaledwie wczoraj... Wczoraj! Edzia nie była wprawdzie zwolenniczką chodzenia do łóżka dopiero po trzeciej randce, ale nawet dla niej na takie deklaracje było stanowczo za wcześnie.
- Naprawdę tak uważasz? Że... nawet na zawsze? - upewniła się na wszelki wypadek.
 - Naprawdę! - Marian na moment przerwał całowanie i spojrzał Edzi głęboko w oczy. Spojrzenie to trwało cztery sekundy i właśnie ono ostatecznie przekonało Edzię.
 - Ja to wiem, czuję to! - dramatycznym gestem położył dłoń Edzi na swoim sercu. Stukało sobie spokojnie, miarowo, w normalnym tempie, jakby w ogóle nie przyznawało się do tego, co mówił Marian. - Z tego może być coś wielkiego!
 - Skoro tak uważasz... - bąknęła Edzia, zastanawiając się, co zrobi, kiedy on poprosi ją o rękę. Co się w ogóle wtedy mówi i czy teraz na topie są białe suknie, czy raczej kremowe. No i czy wszystko da się załatwić w tak krótkim czasie.
 - Tak! To może być wspaniałe życie, pełne pasji...!
- Co on pierniczy? przemknęło Edzi przez głowę. Ale może tak to się właśnie odbywa? Może te ceregiele to jakiś godowy rytuał? On chyba lepiej wie... W końcu jest starszy i miał już dwie żony...

- To jest możliwe! Tylko wiesz...

- Tak?

- Muszę mieć... dobrze napisaną rolę!

Edzia wydłużyła się mina. Bardzo, bardzo się wydłużyła. Mniej więcej tak, jak jamnikowi. Spróbowała zamaskować zawód w miarę naturalnym uśmiechem, co oczywiście jej się nie udało.

- Ale co to dla ciebie, prawda? - dodał jeszcze Marian, po równo rozkładając pocałunki na obu dłoniach Edzi. - Wszystko w twoich rękach! Edzia z trudem przełknęła ślinę. Wiele by dała, żeby być w swoim domu. Teraz, zaraz. Natychmiast. Nawet z tym niechcianym kotem.

Ale Marian był nie w ciemną bity, przynajmniej nie w sprawach damsko-męskich. I doskonale wiedział, czego pragną kobiety. Właściwie mógłby się z tego doktoryzować. A przynajmniej był o tym święcie przekonany.

- Nie, no wiesz... Ja też myślę o wczorajszym... cały czas! - zajrzał jej głęboko w oczy jeszcze raz. I jeszcze.

Tak w ogóle to zagładanie miał opanowane do perfekcji. Nauczył się go, podpatrując na filmach przedwojenną gwiazdę Jadwigę Smosarską, i uważał je za szczyt dobrego smaku oraz gwarancję skuteczności w erotycznych podbojach.

- Bo wiesz... Ty jesteś taka... I naprawdę było cudownie! Masz takie piękne ciało, tylko... - Marian trochę za późno ugryzł się w język.

- Tylko? - nastroszyła się Edzia.

- Nie, no wiesz... bez tylko! Żartuję. Jesteś cudowna! Absolutnie cudowna! Bez tylko.

Marian chciał ją objąć, ale Edzia wywinęła mu się spod ramienia.

- Tylko co?

- Proszę cię! Spędziliśmy razem taki piękny wieczór!

- I noc!

- I noc.
- Tylko?
- To drobiazg... no wiesz... naprawdę...
- Tylko?

- Ale ty uparta jesteś', wiesz?

Marian ze świstem wypuścił powietrze z płuc. Było mu gorąco w płaszczu magika i czuł, jak na markowej koszulce robią mu się paskudne zacieki. Nie znosił tego. Nienawidził się pocić. Poza tym był zły na siebie, bo wiedział, że niektórych rzeczy nie warto mówić. I to była właśnie jedna z tych rzeczy.

- Tylko ta blizna - wydusił w końcu z siebie, kiedy już naprawdę nie dało się dłużej zwlekać.

- Ta?

Ręka Edzi sama powędrowała w to miejsce. Szorstka smuga zmienionej skóry bezgłośnie zaszeleściła pod jej palcami.

- No tak... Ta blizna - powtórzył Marian, a jeszcze zanim to powiedział, już miał ochotę dać sobie w łeb.

- Blizna... - powtórzyła za nim Edzia trochę zdziwiona, jakby wyczula ją pierwszy raz. - Jest. Cały czas.

- No właśnie... - Marian współczuł sam sobie.

Nie miał zwyczaju narażać się ot tak. I to dla kogo? Nie zasługiwał również na to, żeby znaleźć się w tak niezręcznym położeniu. I obiecał sobie, że po tym wszystkim strzeli sobie lufkę i będzie robił tylko to, co naprawdę lubi.

- Jest... jakby ci to powiedzieć... no wiesz,, nie chcę cię urazić...

- Jaka jest?

- Duż a .

- Duża...

Edzia poczuła się dość dziwnie.

Owszem, blizna nie była specjalnej urody, ale przecież trudno obecność blizny rozpatrywać pod tym kątem. Powiedzmy

sobie szczerze, blizna to nie jest jakiś miły widziany gość. To intruz, który kiedyś wgrzył się w twoje ciało i nabył sobie do niego prawo przez zasiedzenie.

Edzia nigdy wcześniej nie czuła się jak właścicielka naprawdę dużej blizny. Takiej naprawdę dużej. I wcale nie było to miłe uczucie. Zwłaszcza kiedy facet, do którego zaczyna się coś czuć, twierdzi, że blizna, którą masz pecha nosić, jest...

- Naprawdę? Aż taka duża?

Marian, zakłopotany po uszy, kiwnął potakująco głową.

- Od dawna ją masz?

- Od... bardzo dawna - Edzia wzruszyła ramionami. - Od zawsze!

- Tak właśnie myślałem. Bo jest... dość duża. I taka jakby... Edzia spojrzała na niego uważnie. Marian teraz bardzo starannie dobierał słowa.

- ... no wiesz... jakby to powiedzieć... rozciągnięta? Nie bardzo znam się na bliznach, ale... Teraz chyba się takich nie zostawia?

- Przeszkadza ci to?

- Mnie? - Marian uśmiechnął się kącikiem ust, uroczo, ale nie był to szczerzy uśmiech. - Chyba najbardziej tobie przeszkadza!

- Nie, wcale.

- No jak to? - zdziwił się Marian. - Przecież nawet nie możesz założyć sukni z dużym dekoltem! No i na plaży widać. I ... w ogóle... widać.

- Naprawdę aż tak widać?

- Widać - potwierdził Marian, już śmielej. - Naprawdę! To się od razu rzuca w oczy. Wiesz, ja zwracam na to uwagę. Ja po prostu... lubię piękne rzeczy.

- Rzeczy?

- No właśnie. Ty na przykład jesteś piękna. A ta blizna to taka... rysa na szkle.

Edzia znów dotknęła tego miejsca. Blizna przez cały czas tam była.

- Ale na pewno możesz się tego pozbyć! - pocieszył ją Marian. - Na pewno można to jakoś usunąć! Na pewno są sposoby. Jakieś lasery, maści... Można też wyciąć. Mały zabieg i po krzyku.

- Nigdy mi nie przeszkadzała aż tak... żeby od razu wycinać.

- Bo już się przyzwyczaiłaś. Ale wiesz... jak ktoś widzi to pierwszy raz...

- To co?

- Nie, no wiesz... bo to jest jednak dosyć duża blizna. Skąd się wzięła?

- Mama mówiła, że pogryzły mnie wiewiórki...

- Co takiego?!

- Że pogryzły mnie wściekle wiewiórki... tak mi zawsze mówiła.

- To jakiś żart! - uśmiechnął się Marian trochę krzywo.

- Jasne! Jasne... wiem. Nie jestem dzieckiem! Naprawdę to miałam operację, zaraz po urodzeniu.

- Serce?

- Nie, zresztą nieważne... Nie chcę już o tym mówić. Edzi było przykro i Marian to widział.

Biedaczka... W końcu nie jej wina, że nosi na ciele coś tak skrajnie nieestetycznego. Fuj! Taka deformacja... a człowiek powinien być piękny, tak jak, dajmy na to, on, Marian. A jeżeli nie jest, powinien do tego dążyć ze wszystkich sił.

Marian westchnął. Trudno! Najwyżej będzie to omijał wzrokiem, rękami i ustami ile będzie trzeba. Trudno, czasem trzeba się poświęcić dla sprawy. Tymczasem było mu głupio i najchętniej skończyłby całą tę rozmowę.

- Nie, no wiesz... nie zrozum mnie źle... ja nie chcę cię do niczego zmuszać... pomyślałem tylko, że poczułabyś się dużo lepiej bez tego... ale nie ma sprawy.

- Naprawdę?
- To może nie mówmy już o tym, dobrze? - poprosił cicho i spojrzał na nią spod rzęs.
- Dobrze - Edzia zgodziła się od razu.
- Ale nie gniewasz się?
- Nie... - powiedziała trochę wbrew sobie.
- Świetnie! Mam nadzieję, że mnie nie uśmiercis z powodu tej blizny...
prawda? - Marian puścił do niej oko, okraszając je uwodzicielską miną.
- Co takiego? - Edzia z wrażenia na chwilę zapomniała o bliźnie. - Co ci przyszło do głowy? Czy to może jest właśnie ten twój pomysł?
Skąd mógł wiedzieć? I czy w ogóle mógł coś wiedzieć? Przecież Jeżyna mu nie powiedział, ani tym bardziej ona... Nie, nikt mu nic powiedział!
No to skąd te przypuszczenia, w dodatku trafione w dziesiątkę? Eee, to pewnie tylko taka echosonda, którą wypuścił, żeby zbadać, co Edzia na to. A właśnie, że Edzia na to nic.

Marian roześmiał się, jakby zrobił komuś dobry kawał:

- Nic, no wiesz... żartowałem! Chodźmy, bo tam już pewnie wszyscy paznokcie z nerwów obgryźli. I może jednak, w wolnej chwili... no wiesz... pomyśl, co z tym zrobić! - tu Marian spojrzał wymownie na Edzię i postukał się w swoją pierś.

W tym miejscu, gdzie u Edzi nie było już ani milimetra spokoju.

Wrócili na plan, bo był już najwyższy czas.

A tam... sielanka. Wszystko cudownie się uspokoiło, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kostiumy zostały naprawione, rozdarcia pozszywane, dziury zacerowane. Twarze na nowo zasmarowane make-upem, fryzury uporządkowane. Rozkwaszone nosy opatrzone i obłożone lodem. Cała reszta uspokojona słowem przez Jeżynę, napojona kawą oraz poczęstowana papierosem, który w tej sytuacji, jakby nie patrzeć, pełnił rolę fajki pokoju.

Nakręcono w tym czasie dwie sceny według scenariusza.

Bez Mariana i bez żadnych trudności.

Jedna scena była bez foki, a jedna z foką, wypożyczoną z zaprzyjaźnionego cyrku Kłosewscy. Foka miała dziś zagrać chorą fokę, a że była całkiem zdrowa i przyzwyczajona do ciągłego turlania piłki na nosie, czego ją chwilowo pozbawiono, po kilku nieudanych próbach ściągnęła nos klauna ze stolika i udawała, że to jest właśnie ta piłeczka, o którą jej chodziło. W wyniku tej zabawy foka nieco się zawen-tylowała, jako że nos klauna ochoczo obcapił nos foki i osadził się na nim jak wiśnia na torcie. I nie pozwalał focie na używanie nosa w celu oddychania. Foka wpadła w panikę. Łapała powietrze pyskiem, aż wreszcie ktoś zauważył problem i zdjęto z foki nos klauna. Teraz była już bardzo chętna do współpracy. I z dużą przyjemnością zagrała chorą fokę.

Cała ekipa była zaangażowana w to zajście, jednak nie dało się nie zauważyć naglej komitywy Mariana i Edzi. Wszyscy zerkali na nich ze zdziwieniem, chociaż trzeba przyznać, starali się być w miarę dyskretni i nic wytrzeszczać oczu aż tak. Bo przecież na dobrą sprawę dawało się to jakoś wytłumaczyć. Po prostu wyglądało na to, że się dogadali. Że Edzia nareszcie przeprowadziła z Marianem porządną rozmowę wychowawczą. I we wszystkich zakiełkowała nadzieja, że komitywa ta oznacza koniec kłopotów. Czyli że Marian się dostosuje. I nie będzie utrudniał. I nie będzie gwiazdowa!. I nie będzie wdawał się w bójki oraz pyskówki. No, i w ogóle nie będzie już większych problemów z Marianem, bez względu na to, jak potoczą się jego dalsze losy. Tak to właśnie wyglądało i dla wszystkich był to uspokajający widok.

Tylko Jeżyna patrzył na Edzię z wyraźną troską. Z troską i uwagą. Nie miał już wątpliwości, za dobrze ją znał. Ten uśmiech bez powodu, te nieprzytomne oczy... dla niego

wszystko było jasne. Edzia albo już była zakochana, albo prawie. Znowu! I znowu w nieodpowiednim mężczyźnie. Że w nieodpowiednim, Jeżyna nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Wątpliwości nie ulegało również to, że Marian nie wyglądał na szczególnie zaangażowanego. Nie, Marian doskonale panował nad sytuacją, to było widać. Był zadowolony, zwycięska mina i krok zdobywcy mówiły to aż nadto wyraźnie. Za każdym razem, czy chodziło o pierwszoplanową aktorkę, czy o producentkę, czy o makijażystkę, Marian zdradzał się zawsze tak samo. Wiedział, w kogo uderzyć. Wiedział, która z nich co mu może zaoferować oprócz, rzecz jasna, swojego ciała. Jeżynie żal było Edzi, zasługiwała na kogoś lepszego. Zresztą każdy zasługiwał na kogoś lepszego niż Marian.

- I co tam, dziecko? - uśmiechnął się życzliwie. - Dogadaliście się?

- Chyba tak... - odpowiedziała Edzia, jednak w jej głosie nie było tej pewności, co zwykle.

- Wszystko w porządku?

- W porządku, w porządku! - odchrząknęła Edzia i zabrzmiało to nawet przekonująco, ale oczy miała już gdzie indziej.

Jeżyna westchnął smutno i znów obiecał sobie, że nie będzie się angażował w osobiste życie bliskich mu osób. Dostyc tego. Za dużo go to kosztuje. Znów będzie musiał wziąć podwójną dawkę leków uspokajających.

- Jak łak, to może ty poczekaj jeszcze, dziecko, co? Bo tu zaraz scenę z Marianem kręcimy... tę, co o nią cała awantura była... możesz jeszcze zostać, złotko?

- Mogę, mogę... - zgodziła się Edzia. - Zostanę, dobrze...

- To usiądź sobie tutaj, koło mnie... - Jeżyna przesunął się na swojej ławeczce. Edzia usiadła obok i od razu poczuła się lepiej.

Aneta sprawdziła, czy wszystko jest na swoim miejscu, po czym przez megafon wezwano Mariana. Przyszedł po dłuż-

szej chwili. Odświeżony, piękny, pachnący. Na jego twarzy nie było śladu emocji.

- Plastikowy dupek! - mruknął ktoś nad głową Edzi, niby do siebie. Rozkwaszony Nos, który nie był już rozkwaszony, był nosem normalnej wielkości i kształtu, fachowo pociągniętym fluidem, co korzystnie wyrównało jego koloryt.

Edzia udała, że nie słyszy. Ale już wiedziała, że nie będzie łatwo.

- Pedzio - spróbował Rozkwaszony jeszcze raz. - Krypto-pedryl!

Edzia wróciła do domu z niemiłym przeczuciem, że będzie trzeba coś z tym zrobić. I to szybko. Coś poważnego i ostatecznego, i to zanim się panowie pozarzynają. Albo wytrują lub też doprowadzą do czołowego zderzenia z krokodylem czy innym nieprzyjemnym w bezpośrednim kontakcie zwierzęciem. Na cyrkowej arenie i przy pełnej widowni, rzecz jasna.

I zanim nastąpi nieoczekiwana przerwa w zdjęciach z powodu, dajmy na to, czyjś kalectwa lub też trwałego oszpececia. A przecież każda, nawet najmniejsza nieoczekiwana przerwa jest niedopuszczalna!

Niedopuszczalna, bo za daleko idąca w skutki i zdecydowanie zbyt kosztowna.

Nagle przyszło Edzi do głowy, tak nagle, że aż odruchowo sięgnęła po batonik, że któryś z nich. Siniec lub ten drugi, ten z rozkwaszonym nosem, mógłby łatwo zrobić krzywdę Marianowi... bardzo łatwo!

Wystarczyłoby przecież użyć któregoś z tych chemikaliów, które przewalają się po planie w niezliczonych ilościach... Chemikaliów, za pomocą których Orscy i Morenowie generują na arenie te wszystkie kolorowe wybuchy i sztuczne ognie.

A gdyby tak coś wybuchło Marianowi w twarz...? Na przykład jego narzędzie pracy, magiczny cylinder, w którym pewnego razu nie byłoby tego królika, co zawsze, tylko...

Edzia zwinęła w kulkę papierek po batoniku i nerwowo otarła kąciki ust. Usiadła przy komputerze, który szumiał monotennie i, rzecz by można, uspokajająco, choć nie na tyle, żeby uspokoić Edzię. Przynajmniej w tej chwili. Edzia sięgnęła więc po następny batonik i wprawnym ruchem rozdarła zielony celofan.

Po takim wybuchu Marian mógłby doznać poważnego uszczerbku na twarzy, który uniemożliwiłby mu dalszą grę...

Nikt nikogo nie złapałby za rękę, a więc sprawa do samego końca mogłaby pozostać niewykryta... a Marian oszpecony na wieki...!

A skoro Edzia, ot tak, wymyśliła, jak pozbawić Mariana jego głównego atutu, czyli uduchowionej twarzy, na którą można patrzeć i patrzeć bez końca (bo cała reszta i tak zawsze była schowana pod czarnym płaszczem), to co dopiero tamci! Oni obracali się na co dzień wśród tych wszystkich słoiczków i butelek z tajemniczą i groźną zawartością...

Oni mają przewagę - jest ich więcej, no i zbiorowo nie znoszą Mariana. A Marian jest tylko jeden. Sam jeden naprzeciw całej ekipie... Jeden jedyny na świecie.

Marian... Edzia gdzieś tam pod skórą czuła, że Marian teraz się przyczai. Postara się zatrzeć złe wrażenie i nie wchodzić nikomu w paradę, przynajmniej przez jakiś czas... Właśnie tak. Zbyt ceni sobie rolę w *Cyrku*, żeby zaryzykować jeszcze raz taką aferę.

Edzia aż nadto wyraźnie widziała, jak bardzo Marian był niezadowolony na planie. Niezadowolony! Był po prostu wściekły, że sytuacja nie potoczyła się po jego myśli. Był wściekły i zupełnie sam wobec tych wszystkich pierwszo-, drugo-, i trzecioplanowych aktorów... No i wobec niej, i Jeżyny. Chociaż... ją miał już raczej po swojej stronie...

Edzia uśmiechnęła się do siebie, odbitej w lusterku z obwódka w kształcie kwiatka i starta z policzka ciepłą kroplę czekolady.

Marian... -westchnęła głęboko, aż do samych trzewi. *Homo megaerectus*,.

A jednak wyszedł na idiotę z tym swoim zaciętrzewieniem... Głupio zrobił, bardzo głupio. No i nikt się za nim nie ujął, nikt go nie bronił... I słusznie... Dla każdego było jasne, że Marian na planie jest *persona* bardzo, bardzo *non grata*... Oczywiście wyłączając widzów. Tak, Marian na pewno teraz bardziej się postara... Chociaż nie wie, biedaczek, że to nic nie da.

Bo finał i tak jest przesadzony.

Edzi na moment zrobiło się go żal. Zasłużył sobie, to prawda. Aktor z niego marny... Marny, ale za to jaki piękny...!

Nagle Marian stanął jej przed oczami jak żywy, umięśniony od stóp do głów, w dodatku w samych skarpetkach. A potem bez.

Cóż, siła wyobraźni. Edzi przyszło do głowy, że być tak nieziemsko pięknym to też jakiś wysiłek. I nie każdy to potrafi, choćby nawet cytował Kanta przy goleniu.

- No ale z drugiej strony... coś tam chyba umie? - zapytała Edzię w lusterku. - Co? Chyba Jezyna nie trzymałby go tyle czasu, gdyby Marian był totalnym beztalenciem i nie nadawał się do niczego? Nawet do reklamy sera...?

Złowiła w lusterku swoje powątpiewające spojrzenie, więc postanowiła dać temu spokój. W samą porę, ponieważ w rogu ekranu komputera zamigotało małe słoneczko. Kliknęła.

Oyama:

A kuku! No i co tam? Już po?

Desperado:

Niby po czym???

Oyama:

No jak to. Po sekscesach ;)

Desperata

:} Po. Niestety, po! Ale mam nadzieję, że przed następnymi.

Oyama:

Hmmm... Jakby to powiedzieć... Trochę mu jednak zazdroszczę.

Desperado:

No masz! Sama mu zazdroszczę :)

Oyama:

Skromnością to ty nie grzeszysz, oj nie.

Desperado:

No... jakby ci to powiedzieć... faktycznie nie :)

Oyama:

To może dorzuć jeszcze kilka szczegółów, co?

Na deser:)))

Desperado:

Dlaczego ja? Może ty powiesz coś o sobie?

Daj dobry przykład, nooo! Rzuć jakiś szczegół, taki malutki!

Oyama:

Ou kej. No dobra, pytaj.

Desperado:

Kim jesteś?

Oyama:

Sobą.

Desperado:

Bez kitów, proszę. Pytam poważnie.

Oyama:

A ja poważnie odpowiadam. Pytanie-odpowiedź. Odpowiedź brzmi: jestem sobą.

Desperado:

No dobrze... niech ci będzie. Że sobą ; A co robisz na co dzień?

Oyama:

Gram.

Desperado:

W co grasz? RTS-y czy symulatory? Masz może najnowszą wersję „Call of Duty”? W sieci grasz?

A może raczej hazard albo wyścigi psów?

Oyama:

Gram na gitarze.

Desperado:

Serio???? Grasz na gitarze...? To takie romantyczne...

Oyama:

E tam zaraz romantyczne. Gram dla forsy.

Desperado:

No cóż... przynajmniej jesteś szczerzy. Gdzie grasz?

Oyama:

Na ulicy. Tylko się zaraz nie wystrasz. Gram na ulicy, bez ściemy. Pod takim jednym barem mlecznym.

Desperado:

Mlecznym? Pierogi raz? A gdzie konkretnie? Nazwa baru proszę.

Oyama:

Dlaczego pytasz?

Desperado:

A tak sobie. Lubię wiedzieć.

Oyama:

Nie powiem ci, bo jeszcze mnie namierzysz.

Desperado:

Jak zechcę, i tak cię namierzę ©

Oyama:

Jak zechcę, namierzę cię pierwszy ©

Swoją drogą... Ty to chyba masz dużo wolnego czasu.

Ale co tam, szukaj, jak chcesz. I tak mnie nie poznasz.

Desperado:

Skąd ta pewność?

Oyama:

Nie wiesz, jak wyglądam. A nawet jak mnie spotkasz, to udam, że to nie ja.

Desperado:

To znaczy - chwilowo nie będziesz sobą?

Oyama:

Będę, ale w kamuflażu. Chwilowo.

Desperado:

A jak wyglądasz? Daj może jakieś wskazówki, plizz! No, kaman! Rzuć chociaż jeden szczegół! To jak wyglądasz, co?

Oyama:

Jak Adam Małysz.

Desperado:

0 mamó! Nie wiem, co powiedzieć. Ty biedaku.

Oyama:

To co, teraz to chyba kolej na ciebie? 0 ile za bardzo cię nie wystraszyłem.

Teraz ty coś powiedz.

Desperado:

Na jaki temat? Sekscesów?

To chyba jednak trochę za mato się znamy ;)

Może później.

Oyama:

© Myślałem o szczegółach tak w ogóle, a nie żeby od razu TYCH.

A szczegóły lubię, tak już mam. Dociekliwy jestem.

1 że masz kota plus wysokie mniemanie o sobie, to już wiem.

Desperado:

E tam. To nie jest żadne wysokie mniemanie, tylko obiektywna ocena rzeczywistości:)

A oprócz kota mam jeszcze faceta. I bliźnię. I problem.

Oyama:

Jaki problem? Z facetem czy z bliźnią?

Desperado:

No proszę... Wnioskuje, że lubisz i szczegóły, i problemy.

Oyama:

A może tak: lubię szczegółowo rozwiązywać problemy. Może po prostu taki bardziej drobiazgowy jestem i już. No to z czym masz problem - z facetem czy z blizną? Obstawiam, że...

Desperado:

Z jednym i drugim. No i chcę się pozbyć.

Oyama:

Faceta czy blizny?

Desperado:

Dobre pytanie :) Ten facet chce, żebym się pozbyła blizny.

A ja muszę się pozbyć faceta.

Oyama:

Ale namotafaś, no, no, no! Pisziesz kryminały?

Desperado:

Coś w tym rodzaju. No i teraz nie wiem co zrobić. Może rzucę monetą?

Na kogo padnie, na tego bęc!

Oyama:

A co to za blizna?

Desperado:

A taka tam. Ale on uważa, że jest duża. Czaisz?

DUŻA.

Oyama:

A naprawdę jaka jest?

Desperado:

No nie wiem... nie mam za dużego doświadczenia w bliznach.

Raczej normalna, 12 cm.

Oyama:

Gdzie dokładnie? W którym miejscu?

Desperado:

Dokładnie, dokładnie. Ale ty dokładny jesteś. Dokładnie to w okolicy mostka.

Oyama: Na piersiach.

Desperado: No tak.

Oyama:

Coś cię z nim łączy? Z tym facetem.

Desperado:

Myślałam, że tylko seks.

Oyama:

Aha. Czyli nie tylko. No to masz problem.

Zakładam się, że prędzej czy później zechcesz się pozbyć tej blizny.

I to raczej prędzej niż później.

Desperado:

O rany.

Gdzie ty jesteś? Siedzisz pod moim biurkiem?

Oyama:

© A co, wyczułem cię? Rozumiem, że już zamówiłaś lekarza?

Desperado:

Jeszcze nie. Trochę mam pietra... Nikt mi jeszcze nic nie wycinał.

Oyama:

No jak to, a ta blizna to skąd? Coś już było grane ;)

Desperado:

Ale bardzo dawno temu, nic nie pamiętam.

Oyama:

Przesyłam ci © na odwagę,

Chociaż na twoim miejscu to raczej dałbym sobie spokój. Jeżeli oczywiście tobie to nie przeszkadza. Blizna znaczy. Tobie osobiście.

Desperado: Serio? Dlaczego?

Oyama:

Bo z tego, co powiedziałaś, nie wynika, że blizna jest w miejscu, które pokazujesz każdemu????? i na co dzień raczej tego nie widać? No, chyba, że jesteś striptizerką.

Desperado: Nie jestem :)

Nie, nie widać aż tak bardzo. Musiałabym założyć sukienkę z b.b.b. głębokim rozcięciem. A takich nie noszę. Ale ty poważnie mówisz? Naprawdę nie usuwałbyś? Bo wiesz... ona faktycznie jest dość duża. Znaczą sama w sobie.

Oyama:

Naprawdę. Dałbym jej pożyczę. Zresztą to też kawałek ciebie, no nie?

Desperado:

Niby tak... ale taki raczej zbędny...

Oyama:

BTW - od kiedy blizna jest taka DUŻA? Od kiedy ON powiedział, że jest.

Desperado:

??????? Skąd taki karkołomny wniosek?

Oyama:

Z tego, co naklikataś powyżej. Przeczytaj sobie :)

A co z tym facetem nie tak? Że aż chcesz się go pozbyć?

Desperado:

Nie chcę, ale muszę :) Naprawdę. Ale to zupełnie inna bajka.

Oyama:

Horror?

Desperado:

Raczej thriller erotyczny. Nie, żartuję. Tak naprawdę to tylko telenowela.

Oyama.

© Uuuuuh! Jak ja nie cierpię telenowel! Jak psów!

To znaczą psy nawet lubię... ale telenowel...

A dlaczego zaniósł cię na depresję? Masz depresję?

Desperado:

Chyba nie mam, przynajmniej na razie... A ty masz? Poszłam na depresję bo postanowiłam wykończyć gościa niestandardowo.

A dlaczego nie lubisz telenowel?

Oyama:

Czyli co? Szukałaś inspiracji? Forum depresja jako bank pomysłów? Czy dobrze cię zrozumiałem? Bo chyba nie. A depresji nie mam. Też tak zajrzałem... przypadkiem ;)

Desperado:

Dobrze, dobrze! Faktycznie bank pomysłów, i to jeszcze jakich! Co jeden, to lepszy.

Można powiedzieć, studnia bez dna... A dlaczego nie lubisz telenowel?

Oyama:

Nie NIE LUBIĘ telenowel, tylko ich NIE CIERPIĘ. To spora różnica. Czyżbyś miała z nimi coś wspólnego? Mam nadzieję, że nie.

Desperado:

No trochę mam... Na przykład czasem muszę wykończyć jakiegoś niewygodnego bohatera.

I nawet już wiem, jak go załatwię. Forum depresja rulez! Tam to się dzieje!

(a teraz zacieram ręce i śmieję się diabolicznie hihhi)

Oyama:

© Mam nadzieję, że żartujesz. To akurat nie bardzo mi się podoba. I znaczy, że co? Że masz z nimi dużo wspólnego © Z telenowelami znaczy.

Desperado:

Dlaczego żartuję? Wcale nie żartuję.

Oyama:

To, niestety, żłobi rysę na całkiem interesującym obrazie Twojej osoby, jaki sobie naprędce wyrobiłem. Wytłumacz się, plis! Chcę dalej dobrze o tobie myśleć.

Desperado:

Ale o co ci chodzi? Dalej nie żartuję.

I z czego mam się tłumaczyć? Co ci się konkretnie nie podoba?

Oyama:

A to, że robisz sobie jaja z pogrzebu. Tak to odbieram. Sorry, nie wiem, jak to inaczej określić. Ale może się mylę?

Desperado:

Co takiego? Teraz to ja nie kumam ©

Oyama:

No jak to, z tą depresją! Czytałem przecież, co tam wypisujesz. Uważasz, że można tak bezkarnie podpuszczać ludzi? Widziałaś, kto siedzi na tym forum?

Desperado:

Widziałam. Same czuby.

Oyama:

Ja bym raczej powiedział, że zdesperowani ludzie. Zdesperowani i nieszczęśliwi. Niektórzy nawet bardzo.

Desperado:

??????? No to może coś przeoczyłam? Ale wyglądało na to, że prawie wszyscy nieźle się bawią. Normalnie piknik i tralala!

Oyama:

Teraz to już żartujesz na bank.

Desperado:

Dlaczego? Przecież tak to dokładnie wyglądało. Te wszystkie Maniuchy i Tiramisu. I worki plastikowe. Lalala i już.

Oyama:

Sorry, ale naprawdę trochę przeginasz. Mówię poważnie.

Desperado:

Ja przeginam? Ja? No proszę cię! Bo zaraz zacznę podejrzewać, że ty przeginasz.

I łapiesz za słowa. No tak, przecież sam mówiłeś, że jesteś szczegółarzem.

Oyama:

A co, weszłaś na depresję, wzięłaś, co potrzebowałaś, i wyszłaś, tak?
A cała reszta niech się buja?

Desperado:

No tak. A niby jak? Mam każdemu zafundować psychoterapię?

Oyama:

Nie chodzi o psychoterapię, tylko o podejście. Ludzkie.

Desperado:

Uważasz, że moje podejście jest nieludzkie? Teraz ty mi *wytłumacz*, bo *nie* rozumiem...

Oyama:

Co tu tłumaczyć? Weszłaś na depresję, podpuściłaś ludzi z problemami, żeby ci doradzili, jak najlepiej się zabić. Tak po prostu. **I** fajnie, powiedzieli ci! Bo oni wiedzą najlepiej, prawda? Jasne! W końcu robią to na co dzień. No to masz poradę z pierwszej ręki. Zadowolona jesteś?

Desperado: ??????? Nie narzekam.

Oyama:

Super. Naprawdę gratuluję wyczucia. BTW takie coś to się nazywa empatia.

Desperado:

O co ci chodzi? Przecież to forum publiczne, każdy może pisać, co chce.

Oyama:

Może, ale nie musi. Kwestia wyczucia, już mówiłem.

A jak dalej nie wiesz, to... sorry.

Desperado:

To co??????

Oyama:

Wybacz, chyba źle cię oceniłem. Znaczy - za dobrze. Przykro mi.

Desperado:

Też mi przykro. Wiesz co? To może skończmy już. J48

Oyama:

??????

Desperado:

Mam dziwne wrażenie, że temat się wyczerpał. Albo gadamy do siebie w różnych językach.

Oyama:

W takim razie skończmy. Tak chyba będzie lepiej.

I Edzia bez pożegnania, za to kompletnie skołowana i sama już nie wiedząc, co myśleć, jednym szybkim ruchem wyłączyła gadu-gadu. I postanowiła nigdy więcej nie włączać. Co za palant. Oyama! No jasne. To imię mówi samo za siebie. Coś zapikało w kieszeni. No tak. Dziś był ten wieczór, kiedy należało podziwiać Maurycego.

Maurycy miał takie dni w miesiącu, dwa lub trzy, kiedy musiał, po prostu musiał być podziwiany. Bez tego wpadał w emocjonalne doły i rozpaczał, że przedwcześnie się starzeje. I nie wierzył nikomu, kto twierdził, że wcale nie. W te dni wysyłał esemesa do kilku zaufanych osób, którym nie przeszkadzały jego pogłębiające się w przyśpieszonym tempie bruzdy nosowo-wargowe i cienie pod oczami wielkości połowy stanu Teksas.

A oni wiedzieli, o co chodzi. I zawsze stawiali się w komplecie.

Edzia wpadła na pomysł, żeby zabrać do Seksterminacji kota. Może akurat spodobałby się jakiemuś przemalowanemu facetowi?

Przychodziło tam przecież kilku zaprzyjaźnionych zoofili... A Edzia raz dwa pozbyłaby się kłopotu. Było to bez wątpliwości kuszące i niewymagające specjalnego zachodu wyjście z sytuacji.

Jednak czym prędzej myśl tę odrzuciła. No bo niby w co włożyć kota?

Nie miała przecież koszyka do przenoszenia kotów, a tekturowym pudełkiem nic zamierzała się kompromitować.

A poza tym... no, nie miała pudelka i już! Edzia nie przyznałaby się nigdy w życiu przed sobą, że poważnie zaniepokoiła ją myśl, która na dobrą sprawę powinna ją ucieszyć.

Że kot faktycznie mógłby się komuś spodobać. A przecież mógłby... No bo to w sumie był niebrzydki kot...

Leżał teraz na kanapie, a dokładniej na imprezowych ciuchach Edzi, przygotowanych na wieczorne wyjście do Seksterminacji. Trochę przysypiał, z rzadka popatrując na Edzię. Oczywiście mu się prawie nic otwierały.

Ciuchy z założenia były czarne: i spodnie, i sweterek bez rękawów, bez pleców i bez tej części, która zakrywa pepek. Czarne. Teraz jednak nagle porosły rudym futerkiem. Dość nieregularnie, ale jednak wyraźnie i kosmato.

- Spadaj kot! - Edzia strąciła kota z ubrań.

Kot miękko pacnął na podłogę i oddalił się niespiesznie pod fikusa-lampkę, po czym zwinął się w kłębek i ziewnął szeroko, jak gdyby nigdy nic.

- Zobacz, co narobiłeś! Kundlu jeden! - Podelkała mu sweter pod nos.

Kot nawet na niego nie spojrzał, a Edzia, chcąc nie chcąc, za pomocą szczotki do ubrań zaczęła na nowo odkrywać czerń swetra. Ale jakoś jej nie szło, bo rude włoski odklejały się z wielkim trudem, więc w końcu rzuciła ciuch do kosza z brudami i otworzyła szafę w poszukiwaniu czegoś innego.

Seksterminacja mieściła się w jednym z tych miejsc sprytnie schowanych przed światem, do których dojście znali tylko wybrani. Niepotrzebni tu byli selekcyjnerzy, wpuszczający tylko tych w odpowiednim modelu pumy na nogach, krawacie wiadomej marki lub, przeciwnie, niewp u szczający właścicieli takich właśnie krawatów.

Niepotrzebny był bramkarz przy drzwiach, bo i tak mało kto te drzwi potrafił znaleźć w plątaninie korytarzy, kabli, w ciemnych zakamarkach praskiej piwnicy. Niełatwo tu by-

ło się dostać. Trzeba by to najpierw być, na przykład, scenarzystką kultowej telenoweli. Wprawdzie bywalcy tego klubu uważali, że to serial dla pierdzieli, i oczywiście mogli mieć swoje zdanie, ale zawsze co *Cyrk to Cyrk*.

Można też było być fryzjerem na topie, strzygącym za krótkie grzywki dla najlepiej sprzedających się kobiecych miesięczników. Albo didżejem czy chociaż dziennikarzem muzycznym, takim z dreadami. Właściwie można było być kimkolwiek, byleby to było trendy.

No, ale ten, kto tu w końcu trafił, mógł mieć absolutną pewność, że jest trendy, przynajmniej tego wieczoru.

I taka była jego nagroda.

W Seksterminacji panowała atmosfera luzu i zabawy na ściśle określonych terytoriach, które za każdym razem wyznaczały te, a nie inne stoliki. Oraz atmosfera piwnicznego zaduchu i piwnicznego ziąbu.

Niektóre twarze powtarzały się co wieczór, czasem pojawiały się nowe, a inne znów gubiły się w pokrętnych korytarzach i nie było już dla nich powrotu.

Kuchnię mieli tu co prawda dość podłą, wszystko z mikrofal i niepewnej świeżości, ale kto by tam zwracał na to uwagę. W końcu nie po to stawało się na uszach, żeby zdobyć adres, hasło i w ogóle tu trafić, żeby przejmować się wystygłą, zeschniętą na kapeć pizzą z mrożonki i gumowatymi krewetkami.

Edzia, Nika, Słodki i Kluski z Fryderykiem, którego zabrali w nagrodę za ostatnią piątkę z polskiego, sami wystarczająco wyluzowani, żeby nie przejmować się papierosianym zaduchem, czekali na występ Maurycego.

Na scenie królowała teraz Frou Frou, koleżanka Maurycego po fachu, prywatnie Maciek Waligórski, jak najbardziej facet. Frou Frou preferowała repertuar międzywojenny i śpiewała właśnie piosenkę Ordonki o świętym Antonim, co w Seksterminacji brzmiało nieco perwersyjnie.

Frou Frou doskonale o tym wiedziała

i z premedytacją spotęgowała efekt, zakładając na siebie koronkową dziecięcą koszulkę i robiąc makijaż a la Anjelica Houston.

- Chodźmy do Mauryca! - rzuciła Edzia ni w pięć, ni w dziewięć.

- A po co? - Nika puknęła się w głowę. - Puknij się w głowę! On tu zaraz sam przyjdzie! - Popatrz lepiej na tego tam, bruneta. Smaczniutki! - wskazała niezwykle dyskretnie brodą.

Słodki pokręcił głową z dezaprobatą, ponieważ uważał, że jeżeli ktokolwiek jest tu prawdziwym brunetem, to właśnie on. Słodki, i to raczej nim należałoby się zachwycić. Natomiast wskazany brunet natychmiast zauważył nagle zainteresowanie jego osobą i sam z nateżoną uwagą zaczął się w nich wpatrywać. Edzia wzruszyła ramionami.

No fajnie, fajnie, ale... Biedaku! Z czym do ludzi? Nie jesteś ty Marianem... - pożałowała go w duchu, ponieważ na całym bożym świecie tylko Marian był jej zdaniem facetem godnym zainteresowania.

I każdy, kto nie był nim, zasługiwał co najwyżej na współczucie.

- Chodźmy! - powtórzyła uparcie. - Maurycy się ucieszy!

- Tak, na pewno! - Słodki wzruszył ramionami. - Co mu będziemy przeszkadzać! Jeszcze się krzywo chłopak umaluje! Po co go denerwować? Pamiętaj, że nerwowe życie może skończyć się nadżerką! - powiedział z nutką filozoficznej refleksji w głosie.

Słodki lubił wspominać o nadżerkach, ponieważ był ginekologiem. A nadżerki stanowiły całkiem poważną pozycję w jego budżecie.

Ale Edzi jakoś nie przekonał.

- To sama pójdę! - powiedziała i wstała z krzesła.

Nie było to znowu takie proste, ponieważ żeby precyzyjnie się do garderoby Maurycego, z różowym serduszkem na

drzwiach, musiała pokonać kilka rzędów facetów przebranych za kobiety, kilka rzędów facetów chcących uchodzić za facetów, a nie za kobiety i kilka rzędów zupełnie normalnie wyglądających facetów.

Z tymi właśnie było najgorzej, ponieważ kilku z nich chciało ją sobie koniecznie posadzić na kolanach. Edzia jakoś sobie radziła, ale w jednym przypadku musiał interweniować barman. Zainterweniował, wypraszając intruza lewym sierpowym i Edzia już bez większych przeszkód dotarła do drzwi z wizytówką „Maurycy”.

Maurycy był grubo po trzydziestce, ale nie wyglądał. Ba, dałby sobie za to łeb uciąć!

Był przekonany, że wygląda najwyżej na dwadzieścia sześć lat. Bardzo dbał o swoją urodę, obiektywnie rzecz ujmując, dość przeciętną. Trochę łyśiał od czoła, co było jedną z jego wstydlivych tajemnic, starannie maskowaną zaczesywaną umiejętnie grzywką. Zwiotczała skóra na łydkach i niekształtne pośladki, wciskane w modelującą bieliznę z teflonem były tymi najbardziej wstydlivymi.

Poza tym korzystał ze wszystkiego, z czego mógł i powinien korzystać facet w jego wieku i z jego pozycją zawodową. A Maurycy był drag queen, więc doskonale rozumiał, że ciało ma swoje potrzeby i wymagania.

I jak najbardziej wychodził im naprzeciw. Ale nie ot tak sobie, bez ładu i składu, tylko według specjalnego, ustalonego przez fachowców programu.

Kosmetyki, maseczki, masaże, błota. Regularnie.

Trzy razy w tygodniu fitness. Pływalnia i rolki, bo to jest to, co harmonijnie rozwija sylwetkę. Siłownia, ale nie za często, nie chciał przecież dorobić się byczego karku. Sporty urazowe? Wysoce niewskazane. Częsty relaks w łaźni albo przy telewizorze? Jak najbardziej.

Maurycy musiał być piękny, zadbany i wysportowany. Jego zawód absolutnie tego wymagał. Maurycy najczęściej

występował w Seks termin akcji, ale czasami zapraszano go na zamknięte imprezy do różnych szpanerskich firm. Takich, które szukają dla swoich wypalonych pracowników szczególnej podniety.

Tańczył więc i dla bankowców, i dla trenerów sprzedaży, dla szefów IT i pracowników agencji reklamowych. Czasem był Marylin Monroe w podwiewającej aż do bioder sukience i umiejętnie wypinał się do wentylatora. Czasem był Tiną Turner, co bardzo lubił, bo miał niezłe nogi, które jako Tina mógł pokazywać do woli, uprzednio starannie je wydepi-lowawszy. Właśnie tak, jak teraz. W każdym razie zawsze miał możliwość wyboru kolejnego wcielenia w zależności od nastroju. A ten często mu się zmieniał, prawie tak często, jak kobietom.

Można by zaryzykować stwierdzenie, że Maurycy był wszystkimi kobietami w jednym mężczyźnie. Mało kto może doświadczyć takiego stanu. Maurycy był tego świadomy i potrafił docenić szansę, jaką dał mu los.

- No cześć, kochana! Daj buzi!

- Proszę cię! - powiedział przeciągle, nie odwracając się nawet. - Wiesz, że nie znoszę, jak ktoś mówi do mnie jak do kobiety! Za coś takiego kto inny dostałby w dziób! A dzisiaj jakiś drażliwy jestem, więc lepiej uważaj!

- No dobra, żartowałam... Wrzuć na luz, ale już! Bo zaraz występujesz! - Edzia cmoknęła Maurycego w policzek i podała mu skręta. - Jak tam Krwawa Mary?

Krwawa Mary była łagodnym jak baranek pitbullem Maurycego.

- Właśnie... - Maurycy zaciągnął się aż po żołądek. - Krwawa! Muszę jej teraz pilnować, żeby nie zaszła w niepożądaną ciążę z jakimś kundlem. A ten twój kot to co? Samiec czy samica?

- To nie mój kot. I samiec! Chyba.

- Jak to, nic wiesz?

Maurycy nerwowo zgasił pęta w wazoniku ze sztucznym kwiatkiem. Edzia na wszelki wypadek dołała tam trochę wody mineralnej.

- Nie przyglądałam się dokładnie... W każdym razie z grubsza wygląda na faceta.

- Lepiej to ustal, zanim będzie za późno!

- Jak to za późno? - zaniepokoiła się Edzia.

- No jak! Dziecko jesteś? Zanim zaczniesz domagać się partnera seksualnego! Taki jeden kot mojego... znajomego ... nie znasz go, samiec, rzecz jasna... jak mu tylko stanął na baczność, zaczął tak znaczyć jedno miejsce w mieszkaniu, że chłopak musiał wymienić listwę podłogową! Bo mu rozmiękla na amen!

Edzia przestraszyła się nie na żarty.

- E, spoko, do tego na pewno nic dojdzie! - powiedziała szybko, żeby zakląć zły los. Edzia bowiem wierzyła, że słowa mają moc sprawczą, chociaż może nie wszystkie.

- A skąd wiesz? - zaśmiał się Maurycy. - A może ty listew nie masz?

- Listwy mam, ale kota zaraz nie będę miała! No. On u mnie nie zostanie!

- No jak tak, to luuz...!

Temat kota został zamknięty i teraz Edzia z upodobaniem patrzyła, jak Maurycy przygotowuje się do występu.

Najpierw dokładnie się ogolił. Potem rozsunął zamek żółtej, plastikowej kosmetyczki o wymiarach małego fiata, pogrzebał w niej i wyjął niewielką beżową tubkę. Podkład.

- Zobacz, jaki cudny! Matuje i nawilża! I zostawia taki delikatny film na twarzy! - Maurycy z lubością pogłaskał opakowanie, a po sekundzie hojną ręką wycisnął połowę tubki. - Chcesz spróbować?

- Nee... Starczyłoby dla sześciu tirówek - powiedziała Edzia. - Nie za ciemne to? Znów będziesz wyglądać jak kurew!

Maurycy utożył usta w uroczy dziubek.

- Ou ouu! - zaszcebiotai. - Ale o to mi właśnie chodzi, kochanie!

- O kolor małego Cygana?

- Nie bądź uprzedzona rasowo, maj diiir. Zresztą sama zobaczysz! Ze sceny to będzie wyglądało superancko!

Maurycy sprawnie zaszpachlował zarost i inne niedoskonałości cery.

Ślady faceta na jego twarzy zostały mniej więcej zatarte. Ręce, ubabrane resztką podkładu, odruchowo wytarł w koszulę.

- O, i tu jeszcze - doradziła mu Edzia. - Tutaj! To czarne zamaluj. Ueeee - wykrzywiła się z obrzydzeniem. - O rany... to węgier!

Maurycy bardzo się przejął.

- Gdzie? - szybko zajrzał do lusterka. - No faktycznie... ty to masz oko! Wyciśniesz mi?

- Zwariowałeś?! Zaraz się porzygam... Maurycy spojrzał na nią z wyrzutem.

- Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi...

- ... jest wielki jak mucha!

- To co zrobić?! - zapytał zdezorientowany *Maurycy*. - Mam go wyjąć pęsetką?

- Wyjmij albo zamaluj! - poradziła Edzia. Maurycy posłusznie dołożył tam więcej podkładu.

- No dobra... Na jutro mam umówioną kosmetyczkę. Zrobi z nim porządek!

- Znowu? Przecież dopiero co byłeś... Wczoraj chyba. Czy przedwczoraj? I co, zostawiła ci takie coś na twarzy?

- No byłem, byłem. Ale nie na czyszczeniu cery, tylko pleców. Tam to dopiero miała zajęcie, na tych plerach, no mówię ci! Bite dwie godziny! I jeszcze musiała zawołać koleżankę!

- Maurycy, masz sześć minut. - Rozległ się melodyjny głos z radiowęzła.

- Streszczaj się!

- No, lalka, spinamy się. Weź no mi pomóż, koleżanko. - Ruchy Maurycego stały się dużo szybsze, ale wcale nie mniej precyzyjne. - Podaj mi cienie, te z brokatem. Nie te, tamte ze złotym mi podaj!
- Swoją drogą, pory przy nosie masz jak krater... można widelcem wydłubywać! - Zauważyła Edzia trochę mało subtelnie.
- Co... co wydłubywać? - przeraził się Maurycy i rzucił jeszcze jedno spłoszone spojrzenie w lusterko powiększające. - Nieee... to dziurka od nosa... - odetchnął z ulgą. - Weź nie strasz!
- To dziura od wągra. W dziurze od nosa masz włosy.
- O, właśnie, dobrze że mówisz. Zaraz się ich pozbędziemy pęsetką. Włosy z nosa won! Szybko, szybko!
- A co tu masz jeszcze? Maurycy pacnął ją po rękę.
- Nie lubię, jak mi ktoś rusza kosmetyki. To rzeczy osobiste, jak telefon komórkowy! Chyba sama wiesz? Chyba jesteś kobietą, nie?
- Ale Edzia już go nie słuchała, ponieważ plastikowa kosmetyczka Maurycego była dużo bardziej interesująca niż jego wywody. O, proszę! Taki воск do brwi, którym Maurycy zaklejał swoje krzaki, żeby wyżej namalować cieńsze, i zdecydowanie bardziej dramatyczne. Aksamitne muszki... Maurycy przyklejał je w różnych miejscach, na twarzy lub na dekolcie, kiedy wychodził na scenę.
- Zdarzało się czasami, że ten czy ów zachwycony mężczyzna wdziera! się na scenę i zrywał taką czarną kropeczkę. Raz nawet Maurycy przeżył atak gościa z pilniczkiem. Biedak nie wiedział, że „pieprzyk” wystarczy podważyć palcem...
- Maurycy...
- Uooo...
- A jak już to wszystko nałożysz...
- Uoo... cho cho?

- ... to jak ty ruszasz twarzą? Maurycy właśnie wszystko nałożył.
- E, spoko - machnął po kobiecemu ręką - usta mi się ruszają, to wystarczy! Przecież i tak lecę z playbacku. Poza tym... - puścił do niej oko - ... kamienna twarz!
- A to co?
- To biała mączka, zostaw, bo wysypiesz! Ryżowa. Nakładam ją na twarz, kiedy się przebieram za gejszę... Widziałaś mnie chyba jako Nadobną Ichigiku? Nie? To przyjdź za tydzień.
- I co, masz biały talerz na twarzy?
- No! - ucieszył się nie wiadomo z czego. - To ta mączka właśnie! Ale do kitu jest, podkład się pod nią wałkuje... Zostaw to, lepiej pomóż mi przykleić rzęsy, ciągle opadają skurczybyki...
- A z włosami co zrobisz?
- Normalnie, pod siatkę i peruka na łeb... o, Edzia, apropo...
- No?
- Powiesz mi coś...?
- Tak?
- Ale szczerze?
- No jasne!
- Szczerze?
- Szczerze!
- Dobra. - Maurycy wziął głęboki oddech: - Twoim zdaniem...
- Tak.
- ... na ile lat wyglądam? Znowu. O kurna.
- Gdybyś mnie nie znała oczywiście - dodał dla ułatwienia Maurycy. O kurna, kurna.
- Jako kobieta czy mężczyzna? - Edzia usiłowała zyskać na czasie.

- Jako ja - powiedział Maurycy enigmatycznie.
- W makijażu czy bez?
- Bez jaj! - Maurycy zaczynał się niecierpliwić. - Miało być szczerze.
- Trzydzieści... pięć? - zaryzykowała Edzia, ponieważ wiedziała, że tyle z grubsza ma.

Niestety, Maurycy zareagował gwałtownie.

- Trzydzieści... pięć? - Złapał się za głowę. - Wiedziałem, wiedziałem!
To ten pieprzony podkład!

- Nie przesadzaj, nie jest tak źle..

- Postarza...

- Maurycy, wyluzuj!

- ... marszczy skórę... Na pewno zawiera rakotwórczy ołów!

- Maurycy, to nie jest wina podkładu! Skóra sama się marszczy... z czasem. Tak to już z nią jest... Zresztą to, co pokazujesz, to... to zmarszczki mimiczne! Mają je nawet dzieci!

- Serio? - mruknął podejrzliwie Maurycy.

- Jasne! Spójrz tylko na Fryderyka! Przyjrzyj mu się, pod oczami już ma takie minimalne załamki! Zauważ, robią się w tych miejscach, których najczęściej używasz...

- No sorry, ale tego to nie możesz wiedzieć - odparł z urazą Maurycy.

- Taak? A dlaczego?

- Bo jestem ubrany!

Edzia skrzywiła się z niesmakiem.

Nie miała nic przeciwko lubiącym poeksperymentować w łóżku mniejszościom, ale wolała nie myśleć, że takie fiki--miki dotyczą również Maurycyego. Dla niej Maurycy był po prostu kobietą. Jak najbardziej hetero. Kobieta, no właśnie.

- Powiedz mi, Maurycy... teraz ty mi powiedz.

- No?

- Ale szczerze. Jak ja tobie.

- No jasne, jasne. Jak ja tobie, tak ty mnie.

Edzia wzięta głęboki oddech.

- A jakbyś miał bliznę?

- Jaką? Taką jak twoja? - domyśli! się od razu.

- Tak. To co wtedy?

- A dlaczego pytasz?

- Bo pytam.

- No słyszę, że pytasz, słyszę. Ale dlaczego? Nigdy nie pytałaś.

- Bo mi ten... przeszkadza.

- Teraz, nagle? Nigdy ci nie przeszkadzała...

- Ale zaczęła - ucięła Edzia, obracając w palcach perłowy lakier do paznokci. - Właśnie zaczęła i teraz przeszkadza.

- Bardzo? - Maurycy lekko uniósł brwi.

- Jak cholera - przytaknęła Edzia.

- Coś się stało? Tak? - Maurycy aż przesta! się malować. Na szczęście tylko na chwilę, bo przecież czas gonił. - Ktoś ci coś powiedział? Powiedz kto! Dam mu w mordę!

- Sam przecież mówiłeś, że blizna jest duża i widoczna... Zabrzmiało cokolwiek wykrętnie.

- Tak tego nie ująłem - odparł Maurycy nieco asekuracyjnie.

- A nie jest? - zapytała z nadzieją Edzia.

- No... jest - przyznał niechętnie Maurycy. - Jest. Ale znowu nie aż t a k .

- Aha. A co byś zrobił na moim miejscu?

- No nie wiem, nie wiem... to zależy, co się nagle zmieniło... Bo przecież... dlaczego nagle zaczęłaś o tym myśleć? Tyle lat nie myślałaś, a teraz...

- No dobra. To inaczej powiem. Ty masz taką bliznę.

- Ja? - przestraszył się Maurycy.

- Ty! Ty masz! Osobiście. I co robisz z taką blizną? Zostawiasz czy... Ale szczerze.

Maurycy przełknął ślinę i pomyślał, że jednak nie chciałby mieć takiej blizny. Zdecydowanie odmawia, co to, to nie.

No, a jakby już miał...? Hmm... Wtedy to... hmmm. Na pewno starałby się jej pozbyć. Wszelkimi sposobami. Żeby jej jednak nie mieć jak najszybciej. I jakoś by się jej w końcu pozbył, no nie? Na szczęście nie ma blizny. To dobrze. Ale Edzia ma. To niedobrze.

Nie dość, że ma bliznę, to jeszcze czeka na odpowiedź.

A Maurycy nie wiedział, co odpowiedzieć, żeby było delikatnie i w miarę szczerze. Tak się, niestety, nie dało. Na szczęście nie musiał mówić za dużo, bo właśnie wywoływano go na scenę. Zaczął więc pośpiesznie kończyć makijaż, nerwowo robiąc ostatnie poprawki.

- Czekaaj, czekaaj... teraz muszę się skupić... no sam nie wiem... może później pogadamy, to ci powiem...

- Powiedz szczerze - poprosiła Edzia zachęcająco i trochę niepewnie złapała Maurycyego za rękę. Zupełnie, jakby nie słyszała, że Maurycy już naprawdę musi lecieć.

- Hmm... zostawić czy usunąć, lak?

- Dokładnie tak.

- Hmm... przecież możesz ją jeszcze maskować... - wykręcił się Maurycy.

- Są specjalne kosmetyki, na przykład... o, lutaj mam...

- To raczej odpada - przerwała mu Edzia. - Nie chciałoby mi się. Nic lubię się mazać po innych miejscach niż twarz.

- Nie wiesz, co tracisz, maleńka! Ale skoro tak... - zawahał się Maurycy znad czarno-żółtej peruki. - O kurde, Edzia, zobacz, która godzina! Już mam wejście, znowu dostanę opierdziel!

Maurycy, a teraz to już raczej Tina Tuner wypadła z garderoby, żeby znów oczarować sobą wszystkich gości obojga płci i wszystkich orientacji, a Edzia pozostała bez odpowiedzi w garderobie Maurycyego chwilę dłużej, żeby w spokoju pooglądać swoją nie aż tak znowu widoczną bliznę.

Nie odważyli się zamówić niczego w Seksterminacji, a trzeba było w końcu coś zjeść. Poszli więc do Edzi, bo było najbliżej. Siedzieli teraz przy stole, nad którym kiwała się lampa z przepaloną żarówką i litościwie udawali, że nie widzą tego całego bałaganu. Zjadali się spaghetti z łososiem, nawijając makaron jak należy. Spaghetti z łososiem było popisowym daniem Edzi, prostym w wykonaniu, efektownym i absolutnie w dobrym guście. No i, rzecz jasna, jak najbardziej do zjedzenia. Edzia doszła bowiem do perfekcji w trudnej sztuce microzgotowywania makaronu i akuracynym przyprawianiu czosnkiem sosu serowego. Tak, żeby czosnkowy aromat nie zagłuszał grzybowo-pleśniowego posmaku sera rokopól, podrasowanego szlachetnym łososiem.

Edzia wcale nie była taką świetną kucharką ani też nie miała szczególnego wyczucia smaku. Nic z tych rzeczy! Po prostu Edzia nic umiała ugotować nic innego. A jak ktoś przyrządza jedno danie trzy razy w tygodniu przez kilka lat, to chyba jasne, że w końcu zaczyna mu wychodzić.

- Rób jedną rzecz, a dobrze! - mawiała jej mama, zerkając jednym okiem w telewizor, gdzie właśnie leciał *Cyrk*, a drugim do lusterka, żeby sprawdzić, czy nie rozmazał się jej makijaż i jednocześnie sklejała pierogi z serem. Jedną rzecz, a dobrze!

Była to łatwa do zapamiętania i dość ekonomiczna rada, więc Edzia właśnie jej postanowiła się trzymać. Dlatego tym, co umiała zrobić naprawdę dobrze, była właśnie potrawa, którą wcinali teraz jej goście, jak zwykle pomrukując z zachwytem. No, i może jeszcze ta jajecznicą, czasami.

- Oooo, kotek! - zachwyciła się Nika. - Jaki cudny!

Kot, który ukrył się wcześniej w szafce nad pralką, najwyraźniej doszedł do wniosku, że jest jednak w miarę bezpiecznie. I ewentualnie mógłby wyściubić nos z łazienki. Więc wyściubił na próbę, rozglądając się bacznie dookoła.

- Pewnie w poszukiwaniu resztek jedzenia, które mógłby porwać ze stotu i pożreć w sobie tylko wiadomym miejscu, pomyślała Edzia.

Nika patrzyła na kota z zachwytem.

- Ojej! Ojejku jejku! - westchnęła nabożnie. - To ten, co mówiłaś? Ten prezent? Śliczny!

- Faktycznie, niezły rudas! - przyłączył się Słodki. - Coś mi on przypomina... czekaj, czekaj... już wiem! Trochę podobny do krętka bladego. Z kształtu ciała - wyjaśnił znie-smaczoncj Klusce, która z wyraźnym obrzydzeniem nawijała właśnie na widelec długą nitkę makaronu.

- No bo taki... podługowaty... - dokończył trochę niepewnie.

- Cudny jest! Absolutnie boski! - zachwyciła się Nika, biorąc kota na ręce. Ułożyła go przy piersi jak niemowlę, czym kot był nieco zaskoczony. Ale leż niespecjalnie się wyrywał. - I ty chcesz się go pozbyć? Zwariowałaś?!

- Wygląda jak tygrys! - zauważył Kluska z pełnymi ustami. - Kieszonkowy!

- Słodziak! - powiedziała Nika kotu prosto w twarz.

- Sio-dzia-czek!

- Wypraszam sobie! - zaprotestował Słodki znad sosu.

- Słodziak to ja jestem! Nika wzruszyła ramionami.

- Może dla tych wszystkich twoich... pacjentek! - powiedziała, nie odrywając oczu od kota, który z kolei jak zahipnotyzowany nie odrywał oczu od niej. - Ale na pewno nie dla mnie!

1 spojrziała prosząco na Edzię.

- Nie chcesz go, naprawdę? Bo wiesz, jak już go tak bardzo nie chcesz... to może... może ja bym go wzięła... co? Mogłabym...

- Naprawdę? Wzięłabyś go? - Zdziwił się Maurycy, który już nie był żadną Tiną Turner tylko, zwyczajnie, Maurycym.

Maurycym, który dzięki przyjaciółom na nowo uwierzył w swoją urodę. - Myślałem, że twój stary nie znosi zwierząt?

- No to co - wzruszyła ramionami Nika. - Ale ja znoszę! I właśnie ostatnio myślałem o kocie!

- Jak to nie znosi?! - obruszył się Słodki. - Dopiero co widziałem go z psem na spacerze! Wy to myślicie stereotypami. Jak facet, to od razu, że zwierząt nie znosi! Ty też Maurycy, do ciebie mówię!

- Jak to z psem? - Nika nawet nie starała się ukryć zaskoczenia. -

Niemożliwe! To na pewno był on? Może ktoś podobny?

- On, on! - wzruszył ramionami Słodki. - Chyba wiem, jak wygląda twój stary, nie?

- A gdzie go widziałeś?

Słodki na moment oderwał oczy od makaronu i podrapał się w głowę.

- Czekał, niech pomyślę... Chyba przed przychodnią, jak wracałem z dyżuru...? Tak. - Pokiwał głową. - Przed przychodnią. Ze dwa dni temu.

W... środę? W środę, tak.

Nika bacznie przyglądała się Słodkiemu. Prawie tak uważnie, jak Edzia Nice.

- A on cię widział?

- Chyba nie,.. - zastanowił się Słodki. - Za bardzo był zaabsorbowany tym psem. Bawił się z nim... jak jakiś wariat! Ganiał, piłkę rzucał... normalnie wariował, mówię ci!

- A co to był za pies? - zapytała Edzia. - Jak wyglądał? Słodki nie wiedział.

- Kudłaty był taki... i beżowy. Zresztą... ja nie znam się na psach! Znam się za to na...

- Wiemy, wiemy! - przerwała mu Edzia. - Wiemy, na czym się znasz.

- Ale rasowy jakiś czy kundel? - dociekała Nika.

- O rany, Nika! Nie wiem! - Słodki wrócił do jedzenia. - Co to, śledztwo jakieś? Myślałem, że to wasz!

- No nie... my nie mamy psa... - powiedziała Nika trochę do kota, a trochę do siebie.

Zapanowało pełne skrępowania milczenie. Ale tylko na chwilę.

- To nawet dobrze! Bo jakbyście mieli psa, to... nie moglibyście mieć kota! - zauważył Słodki w samą porę. - A tak to możecie mieć! To co, Edzia? Sprezentujesz kręka przyjaciółce? To jest nie krętka, tylko kotka.

- Raczej nie... - powiedziała Edzia, patrząc uważnie na Nikę, która z namysłem głaskała rudy łeppek. - Bo tak naprawdę to on ma właściciela... Tylko trzeba go znaleźć.

- Ale jeszcze go nie znalazłaś - zauważył Maurycy.

- No nie... Jeszcze trochę poszukam.

- Synku, chciałbyś takiego kolka? - zapytał stary Kluska Kluskę juniora. Ale Fryderyk wcale nie był zainteresowany kotkiem. Kończył właśnie swoją porcję spaghetti i powoli nabierał ochoty na jakąś bardziej intelektualną rozrywkę.

- Jesteś homo, hetero, czy bi? - zapytał Edzię, sprawnie nawijając na nóż ostatnią porcję.

Wszyscy nagle zajęli się swoim makaronem, oglądając go bardzo uważnie, jakby to były nadzwyczaj interesujące i warte dogłębnego zbadania żywe organizmy.

- Bo ja jestem hetero - zachęcił ją Fryderyk. - A ty?

- Ja też... - odpowiedziała Edzia, ponieważ wyznawała zasadę, że szczerść za szczerść.

- Jesteś pewna? - roześmiał się Fryderyk.

Odsunął od siebie talerz i krzesło i pogalopował do komputera Edzi.

Przepłoszył kota, włączył sobie grę *Submarine Titans* i bez pytania zanurzył się w meandrach planowania wojen podwodnych.

Rodzicom Fryderyka było trochę głupio. Jak zresztą całej reszcie. I nie za bardzo wiedzieli, gdzie schować oczy, więc dalej uważnie wpatrywali się w talerze, każdy w swój. I nagle

wszyscy poczuli się jacyś tacy... dorośli. Jak nigdy. I musieli przyznać w duchu, każdy sobie, że to wcale nie jest za fajne uczucie.

- Pewnie w szkole coś usłyszał... - bąknął Kluska jakby na usprawiedliwienie.

- Spokojnie, bez nerw! - pocieszył go Słodki. - Jako lekarz powiem ci, że to bardzo dobrze, że mały porusza takie tematy. To zdrowy objaw! A ciekawość kluczem do poznania! Każdy gin ci to powie! No, co tak patrzysz?

Kluska wzruszył ramionami. Nic miał chwilowo nic do powiedzenia, ponieważ dalej było mu głupio.

- Ciekawe, czy on wie, skąd się biorą dzieci? - zainteresował się Maurycy. Kotu znudziło się już udawanie niemowlęcia i z niemałym trudem wydobył się z objęć Niki.

- Przestań, proszę cię... - wtrąciła się Edzia. - Kto chce jeszcze sosu?

- Dziecko dojrzewa, nie? Prawdłowo! Ile on ma lat? - zapytał Słodki.

- Dziesięć... - powiedziała Kluska znad talerza.

- Jak to dziesięć? Już?

- Chyba nie... dobrze policzyłaś? Dopiero co miał cztery... - zauważyła Nika.

- Noo tak... a teraz ma dziesięć. - Kluska uśmiechnęła się przepaszająco.

- I dziewczynę.

- Niecee... no proszę cię! Dziewczynę?! Przecież to jeszcze dziecko jest!

- E tam, dziecko! On tylko udaje dziecko! - powiedział Kluska przyciszonym głosem. - Jak chce wyciągnąć trochę kasy! Ty wiesz, co czasami pod kołdrą ogląda?

- A ty skąd wiesz? - zainteresowała się Kluskowa. Kluska wzruszył ramionami.

- Bo sam od niego pożyczka! - Słodki zrobił cwana minę. - Prawda, tato?

Kluska nie odpowiedział, ale wyraz jego twarzy mówił sam za siebie.

- Ale ten kocio cudny jest, no nie? - Nika gładko zmieniła temat.

Wszyscy znowu spojrzeli na kota, który leżał teraz pod fikusem i metodycznie doprowadzał do porządku zmiętolo-ne przez Nikę futerko.

- Super! - podchwycił Słodki. - Edzia, zastanów się jeszcze! Dobrze ci radzę!

- Właśnie, może go jednak nie oddawaj... Albo ja go wezmę.

Edzia pokręciła odmownie głową. I zamachała rękami, żeby było jeszcze bardziej odmownie.

- Nie ma się nad czym zastanawiać! - powiedziała stanowczo. - To już postanowione.

- Ojej! A nie szkoda ci? Zobacz, jak on się tu dobrze czuje!

- Faktycznie, zadomowił się, skubaniec!

- Nie gadajmy już o kocie! - poprosiła Edzia, zbierając talerze i wstawiając je do zlewu jeden w drugi. - Wiem, co z nim zrobić... To tylko kwestia czasu. Mam za to inny problem.

Wszyscy zamilkli jak jeden mąż i przez moment słyhać było tylko kocie mlaskanie.

- Bo tak. Już pytałam Maurycego, ale... - Edzia rozłożyła trochę bezradnie ręce. W jednej z nich był talerz. - No i dalej nie wiem...

- A o co chodzi? Jakiś problem ginekologiczny? - zainteresował się Słodki. - Bo jakby co, to ja chętnie służyć!

- Ginekologiczny? Niestety, nie - powiedziała ponuro Edzia.

- Ma bliźnę - powiedział Maurycy konfidencko, znacząco wznosząc oczy ku niebu. - Normalnie bliźnę ma!

- Jaka? - zainteresowała się Nika. - Nową? Czy tę, co zawsze?

- Starą - wyjaśnił Maurycy.

- Aha. - Nika odetchnęła z ulgą. - I to jest ten problem?
 - Tak - powiedziała Edzia.
 - Ale nigdy wcześniej... - zaczęła Nika.
 - Może ja mam spóźniony refleks? - weszła jej w słowo Edzia, chyba nieco zbyt nerwowo. - I już! Bo dopiero teraz zaczęła mi przeszkadzać!
 - Aha...
 - A co ty byś zrobiła? - Edzia zwróciła się do Niki z talerzem w ręce.
 - No nie wiem, nie wiem... - Nika wzrokiem poszukała pomocy, ale akurat w tym momencie wszyscy patrzyli gdzie indziej. Wszyscy, oprócz Edzi, która patrzyła właśnie na nią.
 - Powiedz s/.czerzc! - powiedziała prosząco Edzia. - Zapomnij, że tyle czasu się znamy... Jest tylko ta blizna. I załóżmy, że właśnie ty ją masz.
 - Usunęłabym natychmiast - powiedziała Nika zdecydowanie i naprawdę szczerze. - Chyba... - dodała nieco mniej zdecydowanie, widząc minę Edzi. - No, ale wiesz... ja mówię za siebie...
 - W porządku. A ty?
 - Ja? - Słodki obronnym gestem zasłonił twarz. - Nic bym nie robił. Mnie by to nie przeszkadzało.
 - Aha - w to Edzia była w stanie uwierzyć. - A jakby ją miała twoja dziewczyna?
 - Nie mam dziewczyny. Znaczącej... bardziej stałej, żeby mnie to miało obchodzić.
 - To załóżmy, że masz. Stałą dziewczynę. Z blizną.
 - No to... - Słodki na chwilę się zawahał. - Wtedy to... no nie wiem, musiałbym wcześniej zobaczyć...
- Edzia wołała już nie pytać Klusek, które i tak udawały, że mają usta wypchane jedzeniem.
- Ale pyszniutkie to żarełko! - powiedziała Kluska, kiedy już uznała, że może się odezwać. - No miodzio! Gotujesz może trochę monotannie, ale zawsze cudownie!

Atmosfera się rozluźniła i zrobiło się bardzo miło, a już najbardziej, kiedy wypili trzy butelki wina i przestali poruszać drażliwe tematy. Jeszcze raz skomentowali występ Maurycego, podkreślając po wielokroć estetyczne walory jego nóg, świeżej jak u nastolatka cery i wcale niełysiejącej fryzury. Powtarzali to tyle razy, że Maurycy znowu im uwierzył. Edzia miała już w miarę skryształizowany pogląd na bliznę. Może i trochę późno, o jakieś dajmy na to paręnaście lat. Ale zawsze to coś. Podliczyła głosy i wyciągnęła średnią. To znaczy mniej więcej średnią, tak na oko. I wyszło jej, że znakomita większość myśli zupełnie inaczej niż ona.

A ona jest w zdecydowanej mniejszości. Czy to znaczy, że nie miała racji? Nie, miała po prostu bliznę, i postanowiła więcej jej nie mieć. A żeby tak się stało, należy oddać sprawy w ręce fachowca.

Wpisała w wyszukiwarce hasło: blizny. Na ekranie natychmiast wyskoczyła długa lista adresów.

- W internecie znajdziesz odpowiedź na wszystko - powiedziała do kota bardzo z siebie zadowolona Edzia.

Kot nie zaprzeczył, chociaż daleko mu było do ekscytacji.

W internecie byto wszystko o bliznach. Jak powstają, jak wyglądają, jak się ich pozbyć. Skalpelem, laserem, ścieraniem i autosugestią. No i wypadałoby znaleźć kogoś, kto to robi najlepiej. Może doktor Zaleszczak? Może, może...

- Ma niezłe parametry - powiedziała Edzia do lusterka. - O, proszę, tutaj! Maksymalna liczba gwiazdek przy nazwisku, znaczy, że operował VIP-y z szołbiznesu... hmm... ciekawe, kogo...

No i napisało o nim kilka kolorowych czasopism, do których linki Zaleszczak również umieścił na swojej stronie. I dołączył mnóstwo zdjęć kobiet i mężczyzn, z bliznami i bez

blizn. Ale głównie bez blizn. To właśnie byty te, o które chodziło Edzi.

- A ty co mi radzisz, kot? - zapytała tak raczej pro forma.

Jak było do przewidzenia, kot nic nie doradził, ponieważ chwilowo był zajęty. Całą swoją uwagę poświęcił sznurówce przy jednym z butów Edzi stojących w korytarzu. Sznurówka sprężynowała pod pazurami i w zębach z zadziwiającą elastycznością za każdym razem, kiedy tylko kot ją naciągał. Zdumiewające! Kot nie miał zamiaru odrywać się od tak fascynującej zabawy dla jakiejś tam blizny. Taktownie więc udał, że nie słyszy.

Edzia była zdana sama na siebie. No i dobrze. Wzięła głęboki oddech i zadzwoniła.

Niestety, doktor nie mógł jej przyjąć od ręki. Miał wolny termin dopiero za tydzień, co z kolei dla Edzi było nie do przyjęcia. Bo teraz, kiedy decyzja już zapadła, Edzia nie chciała czekać ani minuty dłużej. Nie, co to, to nie. W końcu odczekała już te trzydzieści parę lat. W zupełności wystarczy.

Wybrała więc następnego lekarza. I nie kierując się już żadnymi gwiazdkami ani znanym nazwiskiem, które w tym przypadku było jej całkowicie nieznane, ani też ilością zo-perowanych piosenek, zadzwoniła i umówiła się na wizytę. Na już.

Przychodnia była mała, prywatna i droga.

Pachniała czystością i dyskretnym luksusem chorowania. Optymistycznie pastelowe ściany, na których wisiały kolorowe grafiki młodych twórców oraz relaksacyjna muzyka, sącząca się dyskretnie z głośników, pozwalały zapomnieć, po co się tu przyszło. Przynajmniej na moment.

Edzia przechadzała się wzdłuż korytarza od jednej ramy do drugiej, zapatrzona w pastelowe meandry, aż uśmiechnięta recepcjonistka z wysokim kokiem na głowie, który

skutecznie przesłaniał wiszący za nią cennik usług, wskazała jej właściwy gabinet:

- Pierwsze piętro, trzecie drzwi na lewo. Zapraszam. Doktor już na panią czeka.

I natychmiast podkreśliła relaksacyjną muzykę, żeby Edzia mogła się wyluzować jeszcze bardziej. Ale Edzia jakoś nie potrafiła się wyluzować. Przeciwnie, podeszła do gabinetu na sztywnych nogach i zdrętwiała usiadła pod drzwiami, nad którymi blado błyszcząca kwadratowa lampka z napisem „proszę czekać”.

- Do widzenia. Dziękuję, panie doktorze!

Lampka nad drzwiami zgasła, ale tylko na moment. Zapaliła się znowu, kiedy za Edzią zamknęły się drzwi.

- Proszę, proszę, niech pani siada... - Lekarz wyglądał raczej na kucharza: tuszy więcej niż średniej, w średnim wieku. W białym fartuchu.

Podbródek miał potrójny a oczka małe, zatopione w tłuszczu. I małe usteczka. Ale może właśnie dlatego budził sympatię.

- Była pani kiedyś u nas? - zapytał z przyjaznym uśmiechem.

- Nie - powiedziała Edzia tak bardzo serio, że aż się sama sobie zdziwiła.

- Pierwszy raz.

- Taak, no to założymy kartę... - Lekarz sięgnął do czysty blankiet i zaczął wypełniać go z nadzwyczajną precyzją, co wzbudziło w Edzi nieśmiałą nadzieję, że może będzie równie precyzyjnie ciął. - Imię, nazwisko?

Edzia podała. Lekarz na chwilę przestał pisać. I powiedział z zastanowieniem:

- Nazwisko pani jest mi znane... skądś. Ale nie wiem, skąd.

Edzia powiedziała skąd. Że może właśnie stąd. Lekarz przytaknął radośnie i z całej siły klepnął się po udach. Co z kolei zaniepokoiło Edzię, że podczas operacji może być nieco zbyt spontaniczny...

- Ano tak! Tak! Żona ogląda! Jasne, jasne! Czasem nagrywa na wideo i wie pani, że potem,., zmusza mnie do oglądania?! Że jak ją kocham, to będę z nią razem oglądał! A ja za serialami nie przepadam, wolę kanał Discovery, o burzach na przykład albo tornadach... No, ale żona! Ho ho! Jego oczka ponownie zatoneły w tłuszczu.

- No, ale do rzeczy. Co więc panią do mnie sprowadza? Mała konsultacja w sprawie cerowania ran szarpanych na ekranie?

Edzia uśmiechnęła się mimo woli. Ciekawe, czy lekarz tak na oko odróżniłby prawdziwą ranę od tych z silikonu i takich tam, których używają na planie... jak kogoś, dajmy na to, przydepnie słoń. Albo tygrys zadrapie.

- Nie. Moim problemem jest blizna.

- No tak. Blizna... Proszę pokazać - zachęci! Edzie szerokim uśmiechem. Edzia, zachęcona, rozpięła bluzkę.

- To ta.

- Taak. To ja zapraszam na kozetkę. Spenetrujemy dokładniej.

Lekarz dokładnie obejrzał bliznę. Powoli i bardzo uważnie, miejsce koło miejsca. A potem zmierzył. Edzia poczuła na piersiach chłód metalu.

Lekarz zbadał konsystencję zmienionej skóry, popatrzył na wszystko z bliska i z daleka. I zapytał:

- Rozumiem, że chce pani usunąć tę bliznę? - Właściwie było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- No tak - przytaknęła Edzia, siadając na kozetce i dopinając pośpiesznie bluzkę. - Po to tu przyszłam.

- Dobrze, dobrze... Przepraszam, że zapytam, ale... dlaczego dopiero teraz?

- Nic rozumiem... - Edzia zaniepokoiła się nieco. - Jest jakiś problem? Nic można... tego zrobić? Wyciąć?

- Można. Oczywiście, że można. Nie ma żadnego problemu! - zapewnił lekarz z uspokajającym uśmiechem.

- No to...?

- Chodzi o to, że można było zrobić to dawno temu... Dziś nie byłoby po tym śladu! I pani miałyby to już za sobą... - Lekarz pokiwał głową. - Bo tę bliznę ma pani już jakiś czas, prawda? Ile pani ma lat?

- Nooo... trzydzieści dwa - bąknęła Edzia podejrzenie cieniem głosem - ...trzy.

- I co, wcześniej nie myślała pani o tym?

- Nie... nie myślałam. Nie przeszkadzała mi... A teraz przeszkadza.

- A czy jej też przeszkadza?

- Komu?

- No jak to. Pani siostrze! Bo może za jednym zamachem... to znaczy, ja nie chcę, broń Boże, nikogo naciągać...

- Nie mam siostry - powiedziała Edzia odruchowo.

- Jest pani pewna? - Lekarz zawadiacko mrugnął okiem, ale momentalnie spoważniał, kiedy spojrzał na minę swojej pacjentki.

- Całkowicie - odpowiedziała Edzia. Nic wiedziała, czy ma dalej być zdziwiona, czy już się roześmiać. - Przepraszam, ale... do czego pan zmierza?

Lekarz milczał przez chwilę. I zapytał w końcu:

- Czy mogę jeszcze raz obejrzeć? Edzia znowu rozpięła bluzkę.

- No cóż... - powiedział lekarz, powoli przesuwając palcami po bliźnie. - Proszę spojrzeć, o tu. To zgrubienie. I tu. Tutaj... To dawne, zastarzałe ślady.

- Zgadza się - zgodziła się Edzia. - To stara blizna. Mam ją od zawsze.

- Domyślam się. Musiała być pani złączona tylko skórą... Nie wyczuwam żadnych zmian kostnych.

Edzi zdrewniały usta.

- To...?

- To blizna po rozdzieleniu syjamskiego rodzeństwa - powiedział lekarz. - Najprawdopodobniej.

Edzia mogła powiedzieć tylko jedno. **I** powiedziała:

- To niemożliwe.

- Dlaczego? - uśmiechnął się lekarz. - Niech pani sama spojrzy, o tu...

- To niemożliwe... ja... ja nie mam...

Uśmiech na twarzy lekarza zastąpił wyraz lekkiego zafrasowania.

- Nic wiedziała pani? No cóż... przykro mi... Naprawdę rodzice nic pani

nie...? - Lekarz, pełen skrępowania, zawiesił głos, a przez jego twarz

przewinał się tuzin gorączkowych myśli, jak najlepiej wybrnąć z tej

sytuacji. Najlepiej i najszybciej.

Edzia z trudem przełknęła ślinę.

- Panie doktorze - powiedziała z nagłą chrypką. - To... niemożliwe... ja

naprawdę...

Lekarz westchnął ciężko.

- Niech mi pani wierzy... życie pisze czasem tak przedziwne

scenariusze...

- Wiem coś o tym... sama piszę scenariusze...! Ale...

- No tak, tak... A jak to pani rodzice wytłumaczyli? Tę bliznę. Bo przecież

ma ją pani od urodzenia, prawda?

- Prawda... ale to pozostałość po operacji kurzej klatki piersiowej. Tak

mówili... Zresztą... nic rozmawialiśmy o tym jakoś szczególnie... często.

- Kurza klatka? - Lekarz jeszcze raz przyjrzał się bliźnie. A potem Edzi. A

potem znowu bliźnie. A w końcu powiedział:

- Nie sądzę. Widzi pani... Takie operacje wykonuje się, kiedy dziecko ma

co najmniej kilka lat... sześć, siedem... i kiedy kość nie rozwija się

prawidłowo,

Spojrzał na nią uważnie.

- Wtedy już by pani coś pamiętała, prawda? Zresztą tu nie o kość chodzi.

Mostek zupełnie prawidłowy... żadnych interwencji. Nie, z całą

pewnością nie jest to ta przyczyna.

Edzia siedziała nieruchomo i cały czas miała wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Ten lekarz, blizna... siostra... Nie, to na pewno nie o nią chodzi! Edzia to wszystko tylko ogląda... na ekranie, w telewizji, na jakimś wymyślonym filmie.

Ze szklanego oddalenia dobiegł ją głos lekarza.

- Przykro mi... cóż mógłbym pani poradzić...? Można to usunąć, oczywiście. Może nawet niepotrzebna będzie narkoza, wystarczy znieczulenie miejscowe... I ja mogę to zrobić. Zostanie niewielka blizna, ale bez porównania mniejsza niż ta teraz... Ryzyko też niewielkie. Zabezpieczymy skórę tak, żeby szew się nie rozszedł... Będzie cieniutki ślad, który z czasem zjaśnieje. Będzie ładnie! Przepiszę pani maść na rozmiękczenie i rozjaśnienie blizny... Trzeba ją wcierać jakiś czas, ale warto...

Popatrzył z troską na Edzię, która już miała łzy w oczach. I wiedział, że wcale nie z powodu szwów,

- Proszę się spokojnie zastanowić... Nie namawiam pani do niczego... Ani też nie odradzam. To paru decyzja. Pani własna.

- Panie doktorze... czy... czy jest pan pewien?

Lekarz uśmiechnął się niepewnie i przeprasząco rozłożył ręce.

- Na sto procent nie jestem... Ale jest duże prawdopodobieństwo... Duże.

- Jak duże? - chciała wiedzieć Edzia.

- Dość duże... - powiedział z naciskiem. - Wie pani... a może warto byłoby to sprawdzić? Zapytać... Wtedy miałaby pani pewność... No, ale to już pani decyzja. Ja, jako lekarz, mogę tylko powiedzieć, że z całą pewnością nie jest to blizna po operacji kurzej klatki. Tego akurat jestem pewien.

- A... pogryzienie przez wiewiórki? Lekarz roześmiał się, zaskoczony.

- Co takiego?

- No... wiewiórki. Normalnie - wyjaśniła Edzia jak mogła najlepiej. - Rude takie. Z ogonami.

Lekarz roześmiał się szczerze i klepnął dłońmi po udach.

- Pani poważnie? A to dobre! Obawiam się, że nie! Wiewiórki nie rzucają się na ludzi... przeważnie. Nawet te wściekłe. Ale, jak już napomknąłem, wszystko jest możliwe. Chociaż wiewiórkom dawałbym raczej małe szanse. O, takie. - Pokazał złączone palce. - No to co robimy? Usuwamy? Zostawiamy?

- Usuwamy, to jasne... Po to tu przyszłam.

- No dobrze. - Lekarz zerknął w kalendarz. - To za jakieś dwa tygodnie... Może być?

- A... wcześniej się nie da?

- Nie da się. Mój pomocnik dopiero co wyjechał na wakacje. A chcę, żeby on przy tym był, bo wie pani... on doskonale ceruje. - Lekarz roześmiał się z własnego dowcipu. - A tu precyzja jest podstawą! Nie chce pani przecież mieć blizny na bliźnie, prawda?

- Prawda - zgodziła się Edzia. - Nie chcę mieć blizny w ogóle. Chcę nosić suknie z dekoltem i bikini. Jak człowiek.

Edzia czuła się jak po całonocnej podróży pociągiem na trasie Warszawa-Zagórze.

Pociągiem nocnym, telepiącym i niepośpiesznym, w którym monotony stukot kół zabija myśli. Wszystkie, co do jednej. Takim pociągiem, w którym ciągle jest za zimno.

Wyszła od lekarza i zadzwoniła po taksówkę, chociaż przecież do kliniki przyjechała swoim samochodem. I równie dobrze mogła nim wrócić. Potem, kiedy znowu mogła myśleć o czymkolwiek innym, za nic nie potrafiła sobie przypomnieć, jak dotarła wtedy do domu. Któreś jechała i co czuła. Być może płakała całą drogę, bo później, na kołnierzyku koszuli zauważyła smugi błękitnego tuszu, który spłynął jej po policzkach i brodzie jak tania farbka do bielizny.

Późnym wieczorem, około dwudziestej trzeciej Edzia miała już zupełnie namieszane w głowie. A przecież wtedy jeszcze nic nie wypła. Przestała za to śmiać się sama do siebie nieszczerym i znamionującym początek załamania nerwowego śmiechem.

Znowu zaczęła płakać.

Uzuciowa labilność Edzi wynikała z faktu, że przecież Edzia od wczesnego popołudnia trwała w stanie totalnego zaskoczenia. Totalnego! I organizm powoli przestawał to wytrzymać.

Z całą pewnością Edzia miała do tego prawo. W końcu poszła do lekarza tylko po to, by usunąć bliznę, a nie od razu wywracać swoje życie do góry nogami, oraz stawiać pod znakiem zapytania prawdziwość wszystkiego, co się w nim do tej pory wydarzyło.

Tak więc tuż przed północą, trwając w szczytowym stanie emocjonalnego rozmemłania, Edzia dalej nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

Zresztą, przyznajmy to uczciwie, nie wiedziała od samego początku. Za to między jedną a drugą fazą płaczu błysnęło jej w głowie, że sama raczej sobie z tym nie poradzi. Że potrzebuje natychmiastowej oraz fachowej porady i pociechy. I to teraz, zaraz.

Zajrzała do lodówki i to był dobry ruch.

Natychmiastowa pociecha stała w pogotowiu na dolnej półce, skromnie i milcząco, czekając na swoje pięć minut. Edzia poszukała jeszcze kieliszka, żeby zachować przynajmniej pozory kulturalnego picia. Po czym, snując się bez celu po mieszkaniu i mrucząc pod nosem coraz mniej wyraźnie, nadspodziewanie szybko opróżniła pół butelki przesłodzonego truskawkowego wina. Wino stało odkorkowane w lodówce już jakiś czas, w związku z czym nie bardzo nadawało się do spożycia, co Edzia zauważyła już przy pierwszym kieliszku, za to przy drugim już nie.

To, co powiedział jej lekarz było jeszcze mniej prawdopodobne niż historie, które Edzia wymyślała w kolejnych odcinkach swojej telenoweli. Tam, w *Cyrku*, wszystko owszem może i było trochę naciągane, może czasem nawet bardziej niż trochę... Ale przecież na upartego mogło się zdarzyć! Mogło!

Edzi znów zrobiło się zimno. Upiła duży łyk wina i zawinęła się w sweter, na którym wcześniej wyspał się kot, zostawiając po sobie jakieś pół kilo skotłowanej sierści. Ale Edzia nie miała zamiaru wyżywać się na kocie, pouczać go, sterylizować ani też głodzić. Przynajmniej nie w tej chwili. Wydobyla rudzielca z jakiegoś kąta, w którym ukrył się na wszelki wypadek i przytuliła z całej siły, aż miauknął.

- I co ja mam teraz robić? - zapytała go prosto w zaskoczony pysk. - Co? Może ty wiesz? Bo ja nie...

Kot miauknął współczująco. Ale on też nie wiedział.

- A ten lekarz - zwróciła się do kota nieco bełkotliwie. - Bo ja u lekarza byłam... i wiesz, co on mi naopowiadał? Ten lekarz? W *Cyrku* to owszem, to byłoby możliwe... to, co on mi powiedział... ale przecież nie w życiu, do cholery! Rozumiesz, kot? Nie w moim życiu! Bo ja nie chcę zmieniać mojego życia, rozumiesz?

Kot mrugnął na znak, że rozumie.

- A wiesz dlaczego? Bo jestem z niego zadowolona! No, może z wyjątkiem ciebie, kot! No bo ty jesteś taki trochę od czapy... Tylko ty mi tu nie pasujesz... No, ale ten... i z tym sobie poradzimy...

Edzia, z dużym wyczuciem jak na stosunkowo wysoki poziom alkoholu we krwi, odstawiła kota na podłogę. I nagle pożałowała, że wie. Że tam w ogóle poszła. Bo przecież to, co powiedział jej lekarz, było niemożliwe. Nie-moż-li-we!

Ale nie do końca potrafiła pozbyć się wątpliwości.

A jedyną osobą, która mogła je rozwiać i zapewnić, że wszystko to oczywiście nieprawda, że lekarz jest przerekla-

mowany i wcale nie zna się na bliźnach, była mama. Niestety mama. Mama miała wprawdzie trochę lal i już dały się u niej zaobserwować początki dziwnych zachowań, jak na przykład odruchowe wkładanie kapci do lodówki, które potem znajdowała, sięgając po ser czy jajka, i wyciągała z niebotycznym zdziwieniem, zachodząc w głowę, jakim cudem tam zawędrowały. Ale chyba nie było z nią jeszcze tak źle, bo zawsze potrafiła znaleźć dla siebie jakieś wytłumaczenie.

Tak. Mama miała sporo lat, ale nie aż tyle, żeby nie pamiętać, czy miała jeszcze jedno dziecko! Dwoje dzieci to znowu nie tak duża liczba, żeby nie móc się w tym połapać.

No i nie tak duża, żeby jedno o drugim nic nie wiedziało.

A więc jeżeli to prawda?

Nie, no przecież bzdura! Kosmiczna bzdura!

Edzia stuknęła się w głowę butelką truskawkowego, ale wina już tam nie było, więc wyrzuciła ją do kosza. Jutro trzeba koniecznie wyrzucić śmieci, powiedziała do siebie. Chociaż doskonale wiedziała, że i tak skończy się na mówieniu.

No dobrze, bzdura, ale... przypuśćmy na moment, na próbę, że to jakimś cudem jest prawda... Załóżmy, że tak. Na próbę, tak zupełnie na niby. Czy to by coś zmieniło...?

Jasne, że tak. Jeszcze ile! Dużo. Bardzo dużo. Właściwie wszystko.

I wtedy ta bliźna, jej rodzona, znana od zawsze, kawałek po kawałku i od początku do końca, bliźna nabrałaby zupełnie innego wymiaru.

Ciągnęłaby się w przeszłość i sięgała korzeniami aż do samego początku jej istnienia. I nie tylko jej.

Kot zabzyczał głucho, kiedy Edzia drżącym palcem wykreślała numer Mariana. A może wydawało się jej tylko, że zabzyczał. Koty przecież nie bzyczą. Jeżeli już, to raczej

mruczą. Odczekała diugą, bardzo długą chwilę, ale Marian nie odbierał. Zadzwoiła jeszcze raz. A potem wykrciła numer Niki.

- Nika? - Coś zachrypiało w słuchawkę. Zachrypiało i zatrzeszczało. Mogła to być Edzia, ale niekoniecznie. Równie dobrze mógł to być zaprawiony denaturatem mieszkaniec pobliskiego kanału. Ale skąd by miał jej numer?

- Edzia? - zaryzykowała Nika. W słuchawce dał się słyszeć podobny do potwierdzenia trzask. - No co tam? Masz jakiś dziwny głos... Trochę jak babcia z *Czerwonego Kapturka*.

- Nika...

- Coś się stało? Tak? - zapyłała ostrożnie Nika, chociaż nawet dla niej oczywiste było, że tak. I nie pomyliła się, bo Edzia potwierdziła natychmiast, chociaż z niemałym trudem:

- Chyba... tak...

Nika dokonała szybkiego przeglądu największych jej zdaniem nieszczęść, z których zdradzenie rodzonej żony na rzecz psa kochanki było jej zdaniem zdecydowanie najgorsze. No, ale Edzia przecież nie miała męża... ani psa. Edzia wdawała się w krótkie, niezobowiązujące, za to bardzo ekscytujące związki. Zresztą gdyby nawet miała męża i gdyby dany mąż ją zdradził, to... Nika była przekonana, że Edzia z tego powodu na pewno by tak dramatycznie nie zachrypla.

To musiało być coś jeszcze gorszego.

- O matko! - powiedziała tylko. - Mów.

- Mam siostrę... - wyjąkała Edzia. - Mam...

Nika odetchnęła z ulgą. No, to może nie było jeszcze takie najgorsze. Chociaż z drugiej strony... było co najmniej dziwne.

- Co takiego???

- ... no, mam... siostrę...

Po drugiej stronie słuchawki zapadło nagłe milczenie. Nika zaczynała powoli nabierać podejrzeń.

- Edzia? - zapytała łagodnie i niezwykle troskliwie. - Dobrze się czujesz? Bo słyszę, że chyba... piłaś...? A może mi się wydaje?

- No piłam, piłam... Piłam i mam... siostrę...!

- Brałaś coś?

Dlaczego Nika w trudnych sytuacjach zawsze pytała, czy ktoś coś brał? Tak jakby to wszystko tłumaczyło. Gwoli wyjaśnienia: Nika sama nigdy niczego nie brała. Nawet magnezu na bezbłędne kojarzenie.

- Edzia, co się stało? Nie gniewaj się, ale mówisz trochę dziwnie... albo może ja się przesłyszałam...?

- Nie - zapewniła Edzia grobowym głosem. - Dobrze słyszysz, dobrze! Mam... siostrę...

Nika zastanawiała się przez chwilę i doszła do wniosku, że coś tu nie gra. Nawet, jeżeli Edzia naprawdę nic nie brała.

- Siostra? No... z tego, co wiem to... raczej nic masz! W każdym razie jeszcze wczoraj nie miałaś - powiedziała dyplomatycznie.

- No... nie miałam. Wczoraj - zgodziła się Edzia. - Ale dzisiaj już mam.

- Aha... no tak. Tak... A twoja mama...?

- Ona nic nie wie. I nie mów jej, dobrze? - poprosiła Edzia.

Nika kilka razy uszczypnęła się w rękę. Że naprawdę słyszy to, co słyszy.

- No dobrze, dobrze... Nie powiem, jak chcesz... Ale co... myślisz, że ona się nie dowie? Trudno chyba tego nie zauważyć? Chociaż szczerze mówiąc... - Nika ściszyła głos do szeptu - ... uważam, że twoja mama jest już trochę za stara! Trochę. Ale na szczęście ma ciebie. W razie czego...

- Co ty gadasz? - teraz to już Edzia się zdziwiła. I nawet jakby trochę wytrzeźwiała.

- Bo w tym prochowcu nic nie było widać... nic a nic! Naprawdę? Kto by pomyślał... A jak mama się czuje?

- Dobrze... -krzywa zdziwienia Edzi systematycznie rosła. - Jak ją znam, pewnie teraz ogląda jakąś telenowelę.

- W szpitalu?

Edzia odpukała w niemalowane.

- W jakim szpitalu? W domu!

Teraz to już Nika była kompletnie skołowana.

- A ojciec dziecka?

- Jakiego dziecka?

- O rany. No, tej twojej... siostry...

- Nie wiem, nie wiem... Nie znam... Ale to też i mój ojciec! Chyba... A może nic?

Nika była poważnie zaniepokojona. Ojciec Edzi nie żył od dziesięciu lat.

- Edzia, dobrze się czujesz? Bo naprawdę... martwię się o ciebie.

- Tak... średnio - przyznała Edzia uczciwie. - Prawdę mówiąc, nie za dobrze.

- Chcesz, żebym przyjechała? Ale Edzia, o dziwo, nie chciała.

- Czy ja wiem... czekaj... nie, na razie nie... może później...? Muszę sobie to wszystko ułożyć w głowie.

- No... przydałoby się - przytaknęła Nika. - A dzieckiem kto się zajmie?

Bo ta twoja mama, to... sama wiesz... Zresztą na pewno zaraz napiszą o niej w gazetach... że najstarsza matka na świecie... I w ogóle... No i ten, zaraz telewizja przyjedzie. Może nawet dostaniecie wyprawkę od prezydenta?

- Zaraz, zaraz... to ty myślisz, że...?

Edzia zaczęła się śmiać. Po raz pierwszy cała ta sytuacja wydała jej się po prostu komiczna.

- Nie, to nie tak! Zwariowałaś? To w ogóle nie tak!

I dokładnie, powoli, bo język jej się plątał, opowiedziała Nice, co i jak. Zakładając, że to w ogóle mogłaby być prawda.

- O matko! - westchnęła Nika i to był cały jej komentarz.
 - Siostra syjamska! To ci dopiero! I naprawdę wygląda tak, jak ty?
 - Tak.
 - Tak samiutko? Identiko?
 - Dokładnie! Jeżeli tylko żyje. Jeżeli w ogóle istnieje.
 - To pewnie nosicie ten sam rozmiar ciuchów?
 - No... może i tak być...
 - To fajnie! Będziecie mogły sobie pożyczać! - Nika zawsze patrzyła na jasną stronę życia. - Mówiłaś już Maurycemu? Co on na to?
 - Nie... jeszcze nie. Tobie pierwszej mówię.
 - Aha - chrząknęła Nika z zadowoleniem. - No dobrze... to znaczy, że nikt jeszcze nie wie? Oprócz mnie?
 - Nikt.
 - A Kluski?
 - Też nie
 - A Słodki?
- Edzia tylko pociągnęła nosem.
- Ale chyba im powiesz? - zapytała podejrzliwie Nika.
 - Czy nie?
 - Nie, no powiem, powiem... jasne... ale jeszcze nie teraz.
 - I co z tym zrobisz? Mam nadzieję, że to zaraz sprawdzisz! Czy to w ogóle prawda jest.
 - Nie wiem - zawahała się Edzia - po prostu nie wiem.
 - Jak to nic wiesz?
 - Boję się...
 - Czego?
 - No bo gdyby się okazało, że... to prawda? To co wtedy? Nika myślała przez chwilę.
 - No ale jak? Tak to zostawisz? W zawieszaniu? W połowie??
 - A co ty byś zrobiła? Na moim miejscu? - zapytała Edzia.
 - Ja? Rozpracowałabym sprawę raz dwa! - w głosie Niki zabrzmiała żywa nutka z myśliwskiej trąbki. - Muszą być

przecież jakieś dokumenty, dowody... metryka... poszukałabym, prześledziła... jak chcesz, mogę ci pożyczyć mój sprzęt do podglądania! Jest naprawdę niezły! Ale Edzia wciąż się wahała.

- No ja nie wiem... nie wiem, naprawdę... Facet mi coś powiedział... ten lekarz, wiesz. Zbadał i... Aleja nie wiem, czy on w ogóle miał rację! Chyba raczej nie... Zresztą... on sam nie był do końca taki pewny... A wszystko inne przemawia za tym, że... jednak nie...

- No, ale co? Zasugerował ci coś? Doradził?

- Żartujesz? A co go to obchodzi! To tylko lekarz. Stawia diagnozę, inkasuje i już. A z całą resztą... - Edzia głośno pociągnęła nosem - bujaj się sama!

Na to Nika z głębokim przekonaniem powiedziała:

- No i sama widzisz. Tym bardziej powinnaś to sprawdzić! Bo jak nie ty, to kto? Twoja mama?

Co to, to nie. Tutaj Edzia musiała stanowczo zaprotestować:

- Nie. Nie, nie! W żadnym razie. Mama nie może się dowiedzieć, że ja wiem. Nie może, rozumiesz? Żebyś się tylko przypadkiem nie wygadała!

- Jak to? - zdziwiła się Nika. - To nie powiesz jej? Nie zapytasz?

- Nie - zdecydowała Edzia. - Sama sprawdzę. Tak, sprawdzę to! Chcę wiedzieć, co takiego moja mamuśka przede mną ukryła. I dlaczego.

Chcesz coś znaleźć, zacznij szukać tam, gdzie najbliżej. I jeżeli nawet nic znajdziesz, to przynajmniej za bardzo się nie zmęczysz.

- Samą siebie najłatwiej sprawdzić - pomyślała Edzia. - Bo i za bardzo szukać nie trzeba... A zresztą - wzruszyła ramionami. - W końcu siebie chyba już trochę znam... No nic?

Sięgnęła po lusterko, które jak zwykle miała pod ręką. Zajrzała. Była tam Edzia, jak zwykle. Zrobiła tę samą minę, co zwykle. Czyli dość przyjazną i przejrzystą. Dość uczciwą minę. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

- Co ty kombinujesz? - powiedziała Edzia do swojego odbicia trochę wbrew sobie.

Edzia po drugiej stronie spojrzała na nią nieco zdziwiona. I zamruwała oczami, tak jak Edzia. Jak niesłusznie posądzona o coś złego Edzia.

Taka sama, jak ja? Dziwne... Wiedzieć, że po świecie chodzi taka jakaś... druga ty... dziwne... Siostra...? Ale właściwie po co się zaraz tak nakręcać? Edzia szybko przywołała się do porządku. Skoro to wszystko nieprawda...

No bo przecież Edzia wszystko pamiętała. Wszystko! I z tego, co pamiętała, z obrazów, zapachów i wrażeń, z tego, co wiedziała na pewno, i tego, co mgliście przeczuwała... siostry nigdzie nie było! Nie było i już. Nie było w liceum, kiedy pracowicie rozjaśniała włosy wodą utlenioną, żeby potem wyglądać jak marchewka, która wpadła do gnojówki. Ten niezamierzony, skatologiczny efekt zachwyciłby dziś niechybnie rozmaitych hair designerów, ale wtedy to nie był dobry pomysł. Wtedy Edzia bała się pójść do szkoły z tym czymś na głowie, a już za wszelką cenę chciała uniknąć spotkania z wychowawcą Owsikiem, który wprost organicznie nie znosił nastolatek. Nie cierpiał wysokich, szczupłych dziewcząt z własnym zdaniem, nie znosił może dlatego, że sam miał żonę, której lepiej było nie pokazywać światu. A to z kolei było trudne do realizacji ze względu na jej gabaryty.

Edzia zabrała wtedy nieszczęsne włosy do kina na potrójny seans i przez kilka godzin siedziała jak wmurowana na twardym krzeselku, ani na chwilę nie zdejmując z głowy kolorowej chustki. Aż nadszedł czas, kiedy trzeba było w końcu pójść do domu.

Do dziś pamięta minę ojca, któremu usiłowała wmówić, że włosy w obecnej formie to efekt uboczny doświadczeń na chemii. Nie potrafiła jednak wskazać odpowiedzialnych za to pierwiastków, chociaż on usłużnie podsunął jej pod nos całą tablicę Mendelejewa...

Ojciec był już wtedy chory, bardzo chory... Ale żadne z nich o tym nie wiedziało. Nie było też mowy o żadnej siostrze.

Nie było mowy o siostrze również wtedy, kiedy Edzia po raz pierwszy pomalowała paznokcie na perłowo i dostała za nie dwóję z fizyki. Pająk wypatrzył je już na przerwie, a potem wezwał ją do tablicy i pytał tak, żeby nie wiedziała. Nie musiał się specjalnie wysilać, bo na fizyce Edzie wystarczyło spytać o byle co. I już nie wiedziała.

- Tak to się zaczyna. Dzisiaj paznokcie malują, a jutro dzieci robią - rzucił zjadliwie, kiedy pokonana wracała do ławki.

Nie przeczuwała siostry, kiedy zaczytywała się w Jeżycja-dzic i wyobrażała sobie czasami, że taka na przykład Gabryś Borejko mogłaby nią być... Że mieszkają razem w kamienicy przy Roosevelta albo u niej, u Edzi w domu, z jej rodzicami. Że co wieczór pod kołdrą opowiadają sobie o miłościach, kosmetykach i wagarach... no i o tym, jak naprawdę wygląda seks... Słowem... o tym wszystkim, o czym najprawdopodobniej gadają prawdziwe siostry. O życiu, po prostu.

Tak, czasami myślała sobie, że dobrze byłoby mieć siostrę...

Rozejrzała się po pokoju, gdzie wszystko albo było skotłowane, albo obłaziło kocia sierścią. To musiało być tutaj, w tej szafie. Tak. Tutaj. Szafa otworzyła się uczynnie i cicho, ale zaraz sterta papierów spadła Edzi na głowę. Kot uskoczył przestraszony. Nie będzie łatwo, pomyślała Edzia, zgarniając z podłogi grube pliki kartek i niezapłacone rachunki za gaz, których szukała w zupełnie innym miejscu, oraz zapasowe kluczyki do samochodu... które musiała wsadzić tam odruchowo albo po pijanemu.

Przekopala wszystko, co sie tylko dalo i w koncu znalazla. Trzymala teraz w dloniach dowod. Ze tak to wlasnie bylo, tak to wszystko wygladalo! Ze przeszlosc, jaka zapamietala, nalezy do niej. I przynajmniej tego nic nie moze zmienic.

- Zobacz, kot! - powiedziala do kota z nagla chrypką w glósie. - Widziales cos takiego?

Kot nie widzial. Podszedl wiec niespiesznie i ostroznie obwachal. Widac jednak nie zainteresowalo go to na dluzsza mete, poniewaz oddalil sie po chwili, kiwajac zdawkowo koncem wysoko postawionego ogona.

Zdjecie bylo juz troche wyblakle, zmatowiale a kolory bardziej szare niz kiedyś. Jeden z rogów polamal sie i rozwarstwil, spomiedzy kolorowego lakieru wyzieralo biale.

Przez dluzsza chwile nie mogla odnalezc siebie w zadnej z osob, szczelnie zapealnajacych oba rzedy. Zreszta wszystkie dziewczyny wygladaly podobnie. Jak wlasne ciotki, i to z tych bardziej ciotkowatych. Turkusowe buty, czarne kaba-retki, bluzki nietoperze, wypchane poduszkami ramiona...

W pierwszym rzędzie siedzialo kilka par tureckich dzinsow z zielonymi wstawkami i suwakami z tyłu nogawek, a nad suwakami dumnie sterczaly kokardki...

Na glowach królowala trwala „a la pudel” albo wlosy zaczesane do gory i sztywne od cukru, na „wczesna Urszule”, w uszach plastikowe kola... Slodziutki...!

No i te makijaze: fiolety i bלקity na powiekach, duzo, duzo tuszu, rzesy posklejane tuszem, kapiace od tuszu, do ktorego trzeba bylo wczesniej solidnie napluc...

Na policzkach roz i rozowe szminki Celi. Taak... Edzia pamietala zielone „utleniajace sie” szminki, ktore na ustach zamienialy sie we wsciekla czerwien... Szminki pamietala, a siostry nie.

Ale ci chlopcy tez nie lepsi... Z tlenionymi grzywkami na poppersa jak jeden maz i w marynarkach z podwinietymi rekawami, zeby bylo widac podszewke z blyszczacego materialu w paski...

Zdjęcie klasy drugiej be, z takiego sobie liceum. Przyglądała się uważnie każdej twarzy.

Nie ta, nie ta... Skoro nie ta, to chyba... ta? Tak, na pewno! Edzia poznała różowe dresy ze złotym napisem „Active”, które obnosiła po ulicach z dumą i upodobaniem jako elegancki strój dzienny, nie bacząc na to, że poważnie pogrubiały ją w biodrach. I jeszcze ta opaska na włosach... Edzia sama wydziergała ją z żółtego kordonka.

Dziwne... Wszystko to wyglądało teraz co najmniej dziwnie. A najdziwniejsze było to, że nikt nie przystawiał jej, ani całej reszcie pistoletu do głowy. I zakładali to wszystko dobrowolnie.

Patrzyła i patrzyła, aż w końcu musiała przyznać, co zrobiła z dużym zadowoleniem, że teraz wygląda o niebo lepiej, niż wtedy, na tym zdjęciu. Chociaż przecież minęło już trochę lat.

Obok wyczupirzonej Edzi siedziała Nika w białej bluzce z trójkątną koronkową wstawką i falbankami przy rękawach. Przy bluzce dyndała kiczowata broszka z modeliny w różyczki, wtedy uważały, że jest prześliczna. Jaka słodka i niewinna, pomyślała Edzia z rozczuleniem, chociaż, wiedziała to na pewno, że wtedy, kiedy robi to zdjęcie, dziewictwo Nika miała już dawno za sobą.

A obok Niki... hmm... uroczo pognieciona spódnica z tetry i pasiasta bluzka „motyl”, a na to wszystko dzinsowa bluza. Tak, to był jej najlepszy zestaw, wychowawca przypominał, żeby ubrać się jak najładniej, bo będzie zdjęcie... zaraz, jak ona miała na imię...? Krótco po liceum wyszła za mąż za faceta, który po wyjściu z wojska roztył się tak straszliwie, że wyglądał jak dinozaur - mała główka na czubku wielkiego cielska... zupełnie jak jego ojciec, którego tak nienawidził... A potem ten chłopak sprzedawał na bazarze pirackie kasety, no... ten. Zbyszek! A ona... Aśka Chudzińska. Była bardzo nerwowa i ciągle trzęsły jej się ręce, a do tego codziennie na

dużej przerwie potykała gigantyczne ilości witaminy B na uspokojenie. Ale to nie pomagało. Aśka nie była taka zła, pozwalała ściągać z matmy, a potem została księgową i pracowała z teściową w jednym pokoju. Co może być gorszego? westchnęła Edzia. Chyba tylko spanie w jednym śpiworze z niemytym facetem.

Dalej siedziała Ula z włosami jak Violetta Villas. Ula nie chciała wyciskać zaskórników, ponieważ bała się dostać raka skóry i nosiła legginsy zakończone koronką oraz asymetryczną bluzkę, kokieteryjnie zsuwającą się z ramienia... Edzia nic wiedziała, co dzisiaj słyhać u Uli. Nad Ulą stała czarnowłosa Dorota we własnoręcznie wydzierganym swetrze z naszytymi kawałkami futer. Dorota nie lubiła matematyki i w ogóle przedmiotów ścisłych. Właściwie to humanistycznych też nie lubiła. Lubiała za to robótki ręczne i masowo wytwarzała kominy na drutach. Pół szkoły nosiło je zamiast czapek przez jakieś dwa sezony i damska część społeczeństwa zamieniała się na kilka miesięcy w kolorowe E.T. Dla Edzi Dorota też zrobiła taki komin. Ale Edzia szybko go zgubiła, uciekając pewnego wieczoru przed zboczeńcem, który nie bał się nawet piętnastostopniowego mrozu.

To był etatowy, osiedlowy zboczeniec. Miał niezdrowy zwyczaj obnażać się w parku, przez który Edzia wracała z angielskiego. Zawsze stał w tym samym miejscu i okoliczni mieszkańcy dawno już przestali zwracać na niego uwagę. Tego dnia zapomniał chyba, że wystające części ciała marzną bardziej, niż niewystające. Albo może było wyjątkowo zimno? I chyba faktycznie zmarzł, bo długo i uparcie biegł za Edzią, wywrzaskując coś bełkotliwie i przestał ją gonić dopiero wtedy, kiedy włóczkowy komin spadł jej z głowy i potoczył się pod nogi. Zboczeniec zatrzymał się i podniósł go z wyślizganej dróżki, obracając z ciekawością w zgrabiących rękach. Musiał znaleźć w nim większy potencjał niż w Edzi, bo został już tak, z kominem w ręku, mruczając z zadowoleniem.

Edzia wolała nie myśleć, co zboczeniec potem robił z tym kominem, i na drugi dzień dla bezpieczeństwa kupiła sobie czapkę kominiarkę. Dorota była dziś znaną projektantką czapek dla ludzi z szołbiznesu. Dobrze było mieć taką czapkę od Doroty, żeby być na topie i Edzia trzymała kilka takich z sentymentu. Za to Maurycy zgromadził całą ich kolekcję i w czapce od Doroty chodził nawet po domu, w razie gdyby ktoś wpadł przypadkiem, ot tak, przeprowadzić z nim wywiad albo sfotografować jego słynną rogatą kanapę.

O, a tutaj Kasia Płatek, która co roku wyjeżdżała do Jugosławii na wakacje i miała „wszystko niepolskie”. Mama Kasi prowadziła „prywatną inicjatywę” (jak mówiła Kasia), czyli budę na bazarze Różyckiego (jak mówiła cała reszta). Wszyscy zazdrościli Kasi ciuchów, Edzia też. Na zdjęciu Kasia została utrwalona w spodniach „marmurkach” i różowej bluzce z Węgier. Edzia miała podobną, różową w czarne serduszka.

Michał. Teraz jest lekarzem, a wtedy był mistrzem układania kostki Rubika na czas, coś koło... zaraz... dziewiętnastu sekund? A Edzia nigdy nie zdołała ułożyć nawet jednej ścianki.

O, a tutaj Karol z zębami jak nutria, karateka z Koziej Wólki. Na zetpcie wystruga! sobie nunczako: dwie drewniane pały połączone łańcuchem i potem na dużej przerwie udawał Bruce'a Lee, aż przyłożył kiedyś w łeb Owsikowi, oczywiście niechcący, no i nunczako zaraz trafił szlag...

Fajne czasy...

- Fajne czasy, kot! - powiedziała Edzia do kota, a kot nie zaprzeczył.

Kręcił się teraz w kółko przy lodówce, z nadzieją, że Edzia może i o nim pomyśli, serfując na fali wspomnień. Niestety, na próżno.

Tak... Edzia naprawdę dużo pamiętała. Ale w jej przepastnej pamięci nie było śladu po siostrze.

Z tamtych lat została Edzi jedna przedziwna słabość, mianowicie słabość do artykułów papierniczych. Edzia kochała

je opętańczo! Nigdy nie udało jej się oprzeć ich kolorowej magii. Pisaki, ołówki, piórniki, fosforyzujące kredki, markery... w myszki miki, koty garfieldy i osiołki. W gwiazdne wojny i władców pierścieni. W misie puchatki, żaby z kobiecymi ustami, w czarne i białe owce, właściwie wszystko jedno w co... wszystkie kusiły jednakowo, a Edzia nie potrafiła nie ulec pokusie. Kupowała i kupowała, chociaż jedyną rzeczą, jakiej potrzebowała do pisania, był komputer, a tych przecież nie sprzedawano w papierniczych... Z czego oczywiście nawet Edzia doskonale zdawała sobie sprawę.

A może to był jakiś rodzaj choroby? A w chorobie trzeba o sobie dbać... - rozgrzeszała się w duchu, wychodząc ze sklepu z kolejną niepotrzebną rzeczą.

Było to całkiem możliwe... Jeszcze w podstawówce, kiedy wokół było szaro i pusto, a szorstkie okładki zeszytów miały co najwyżej brudnoniebieski kolor, Edzia zaczęła zjadać chińskie pachnące gumki... Jakoś tak zawsze wychodziło... najpierw zrywała cienką folijkę i zaczynała obwąchiwać... Różowa gumka pachniała słodko, landrynkowo, zielona trochę kwaskowato... I wystarczyło, że Edzia zamyśliła się na moment, a z gumki zostawało tylko kilka okruszyn... A i te Edzia starannie wybierała poślinionym palcem, co do jednej.

Tak... Dobrze to były czasy, takie jakieś... bezpieczne. I kolorowe, chociaż przecież szare.

Siostry nie było, za to tata żył jeszcze wtedy... No i mama nie oglądała tyle telewizji.

- Edzia? - w słuchawce zbulgotał zasmarkany głos Niki.

Edzia siedziała przed komputerem i rozpisywała następne odcinki. Była już spokojniejsza, chociaż coś jej się nie zgadzało. Nagle nie wiadomo gdzie zapodziały się jej dwie postacie, i to obie z rodziny Orskich. Jak kamień w wodę! Edzia chwilowo nie pamiętała, czy już wysłała je na przymusowy

urlop, czy też dopiero zamierzała to zrobić. Właśnie zaczęła to ustalać i nie bardzo jej szło. Nic bardzo też miała ochotę na pogawędkę.

- Co się stało? - zatroszczyła się mimo wszystko. Bo jednak co Nika to Nika. - Chora jesteś, czy co?

- Edzia? Bożesz do bnie wpaść? Nie, nie chora. Brzyjdz, dobrze?

- Teraz, zaraz? - zapytała Edzia ostrożnie, bo jednak zdecydowanie wolałaby później.

- Dag.

Edzia dyskretnie stłumiła ciężkie westchnienie.

- Do pracy?

- Nic, do dobu. Jesteb w dobu. Faktycznie nic wyglądało to za dobrze.

- No dobra, wpadnę - westchnęła Edzia jeszcze raz i wyłączyła komputer. Nika otworzyła jej zapuchnięta od płaczu. Była rozczochrana i wyglądała okropnie. Tak okropnie, że Edzia przytuliła ją ze wszystkich sił.

- Zrobić herbaty? - Nika zakręciła się bezradnie po kuchni. W zlewie było pełno brudnych talerzy, a na tym wszystkim leżał kwiatek w popękanej doniczce - Ale chyba nic ma herbaty, wiesz. Wino jest. Tylko trzeba korkociąg...

- Usiądź. Tutaj siadaj. - Edzia własnoręcznie usadziła ją na fotelu. - Ty sobie siedź, a ja wszystko zrobię. Zaraz naleję, znajdę kieliszki...

- O tam, w tej szafce... przy oknie..

- Te?

- Nie, nie te... weź te zielone...

- Te? Super, te najbardziej lubię! O, zobacz, i korkociąg się znalazł... - ucieszyła się Edzia. - Zaraz otworzę! A ty sobie siedź.

Edzia naląła wina, wysypała na talerzyk jakieś starawc, ale jeszcze jadalne herbatniki i włączyła muzykę. Nie za

smutną. Ale w mieszkaniu i tak nie było za wesoło. Było tak klinicznie i technologicznie, jak w katalogu. Tak, jak Edzia bardzo nie lubiła. Nika zresztą też. Za to lubił jej mąż.

- On mnie zdradza - powiedziała Nika znad kieliszka.

- Z tą laską od psa. Pamiętasz, co Słodki opowiadał... wtedy u ciebie? Edzia pamiętała.

- Noo... owszem, pamiętam... ale z tego, co mówił, nie wyglądało to aż tak... Jesteś pewna? Może to jakieś... nieporozumienie?

Nika z całej siły tupnęła nogą. A potem drugą, i jeszcze raz, jakby całą swoją wściekłość chciała wyładować na wypolerowanych jak lustra deskach z Barlinka „klon”.

- Gównu tam nieporozumienie! Wczoraj sprawdziłam. Wiesz, ja to lubię od razu... Mam trochę tego sprzętu...

- uśmiechnęła się ironicznie. - To w końcu wykorzystywałam go do własnych celów... No i mam! Jeszcze jedno skuteczne wykrzycie! To na zdrowie! Chlup!

Czegoś takiego Edzia się nie spodziewała. Wypiła wino i bezradnie obracała w dłoniach pusty kieliszek.

- Nie wiem, co powiedzieć... - powiedziała cicho.

- Strasznie mi przykro...

- Nic nie mów. Pij! A, nie masz... to dolej sobie! I pij! Edzia dołała i wypić posłusznie.

- Ale... jak myślisz... czy to coś poważnego?

- To zawsze jest coś poważnego! Zawsze! Chociaż oni zawsze mówią, że to tylko seks... - skrzywiła się Nika ironicznie. - Nie sądzę, żeby tu było inaczej.

- A ona... tamta... kto to jest?

- Klasycznie. Jego sekretarka! - prychnęła Nika. - Jak w tej twojej telenoweli.

Edzia już chciała sprostować, że w *Cyrku* nie występuje ani jedna sekretarka, ale w porę ugryzła się w język. Zamiast tego zapytała:

- Widziałaś ją?

Nika nalata następny kieliszek. Trochę za dużo. Wino przelało się górą i zabarwiło serwetkę na czerwono. Plama rosła i ciemniała w oczach, ale Nika miała to gdzieś.

- Jassne! I to z bardzo bliska. Wiesz, jaki ja mam zoom.

- No tak... - przytaknęła Edzia.

- Jest bardzo ładna. - Nika pokiwała głową ze smutkiem.

- A...

- I ma długie włosy, a wiesz, jak mojego męża kręca długie włosy. Edzia wiedziała, bo sama miała długie.

- A ja mam krótkie - powiedziała hardo Nika - i już! No, ale mów, mów, bo chyba ci przerwałam.

- A on? Co on na to?

- Nic. - Nika wzruszyła ramionami.

- Jak to nic?

- No nic.

- Ale wie, że ty wiesz?

- Pewnie, że wie. Poszłam tam do nich.

- Jak to poszłaś? - nie zrozumiała Edzia.

- Normalnie. Zrobiłam zdjęcia i poszłam.

- Tam do nich? A gdzie to w ogóle było?

- U niej w mieszkaniu. Żeby było śmieszniej... - czknęła Nika - no to wiesz. Ona jest mężatką.

- Ale męża chyba nie było? - zaniepokoiła się Edzia.

- No nie... wtedy jeszcze nic. Przyszedł trochę później.

- O mamo.

- No. - Nika zamyśliła się nad kieliszkiem. - Zrobili to trzy razy.

- Ale chyba... nie przy mężu? - obruszyła się Edzia.

- No nie.

- Hmm...

- Trzy. Nie tyle, co ty z Marianem, ale też nieźle. Prawda?

- Prawda... - przytaknęła Edzia.

- Łóżko było całe rozbabbrane... - Nika znowu się rozpląkała, więc Edzia przytuliła ją i pogłaskała po krótkich włoskach. - A ze mną to nie chciało mu się nawet... ostatnio to... wcale...

Edzia przysunęła bliżej serwetki w gwiazdy betlejemskie. Też coś, w środku lata... Nika w jedną wydmuchała nos.

- A co z jej mężem?

- Nic wiem. Zostawiłam ich.

- Tak po prostu? Samych?

- Nie, po prostu. Pokazałam mu te zdjęcia na cyfraku... przeprosiłam za jakość, bo to wiesz, takie surowe, bez obróbki... i wyszłam. Ale miał minę, mówię ci!

- Kto, twój mąż?

- Jeden i drugi! Ale Sławek bardziej. Aż cały zdrętwiał. W końcu był... tak jakby nie u siebie, no nie? Takim raczej nieproszonym gościem był...

- A ona?

Nika wzruszyła ramionami.

- E tam. Od razu się rozpląkała. Miętka jakaś. Ale ładna. Ładniejsza ode mnie... No i ten pies tam był. Słodki miał rację. To był właśnie ten pies...

- A nie bałaś się? - zapytała ostrożnie Edzia. - Jak przyszedł ten drugi? Mogli się przecież pozabijać! To się zdarza, nie?

- E tam! Nalej jeszcze.

- A gdzie jest Sławek?

- Nie wiem! Nie ma go od wczoraj... Nie dzwonił, no to nie wiem. Ja też nie dzwoniłam. I nie zadzwonię! - zarzekła się twardo, ściskając kieliszek z całej siły. Edzia delikatnie wyjęła go z jej rąk. - No ale... nie wiem, co robić...

- Poczekaj może, aż się sprawa wyjaśni... - powiedziała niepewnie.

Nika spojrzała na Edzię szklanym wzrokiem.

- Edzia, co tu się ma wyjaśniać, powiedz? Co tu się ma wyjaśniać? Nie chcę go znać, nie chce go więcej widzieć! Boję się, że jak dotrze do mnie, co się stało, to... zwariuję...

- Napij się lepiej - powiedziała Edzia. I to naprawdę było najlepsze, co mogła w tej chwili powiedzieć.

Drzwi były otwarte na oścież.

Przez kolorową zasłonę z bambusowych patyczków, tu i ówdzie posztukowanych gołym drutem, przedzierały się przytłumione odgłosy dramatycznych wydarzeń. Edzia powoli rozgarnęła patyczki, które sucho zaszeleściły i weszła do domu. Trzeba zaznaczyć, że wcale nie starała się wśliznąć bezszelestnie, co później, zdaniem Edzi dość pochoinnie i całkowicie bezpodstawnie, zarzuciła jej mama. Że się skrada, zamiast normalnie zapukać, jak człowiek.

Mamy miało nic być, ale była. Ale właściwie jakby jej nie było, ponieważ siedziała przed telewizorem, śledząc z zapartym tchem i półotwartymi ustami jakieś stare odcinki *Cyrku*.

Edzia zauważyła kątem oka, że Marian romansował z tre-serką lwów oraz snuł pokrętne intrygi na całego. A mama siedziała jak zaczarowana.

- Totalna hipnoza - pokiwała głową Edzia.

Biedna mama! Można ją było teraz wynieść, okraść lub podpalić.

Niczego by nie zauważyła. Jedyнным sposobem na przywrócenie jej życiu było wyłączenie telewizora. To z kolei było dość ryzykowne, bo taki ruch mógł ją również zabić.

- „Będiesz ze mną szczęśliwa - zapewniał z ekranu Marian nieco zbyt mel od rama tycz nic. - Obiecuję. Przysięgam!”.

Edzia nie patrzyła już na telewizor, ale dałaby sobie rękę uciąć, że właśnie w tym momencie Marian znacząco położył dłoń na piersi i spojrzał kolejnej przyszłej kochance głęboko w oczy. Żeby nadać swoim słowom większy ciężar gatunkowy. No i uprościć proces doprowadzenia do łóżka lub też za kulisy. Edzia już nie pamiętała, jakie miejsce erotycznej konsumpcji wybrała na finał tej sceny. Ale... chyba nie klatkę z lwami?

- „Kocham cię!” - powiedział Marian całkiem przekonująco. W odpowiedzi mama głośno wydmuchała nos w chusteczkę. Edzia zostawiła więc mamę z Marianem w tym czułym porozumieniu, odkładając na chwilę moment ujawnienia się. To znaczy do pojawienia się napisów końcowych.

Doskonale wiedziała, gdzie mama trzyma papiery.

Po śmierci ojca, który nigdy niczego nie wyrzucał, kierując się świętym przekonaniem, że wszystko kiedyś się przyda, Edzia i mama zrobiły w domu generalne porządki. Wyrzuciły wszystko, co uznały za zbędne, włączając w to roczniki „Młodego Technika” sprzed trzydziestu lat, kilka zardzewiałych szkieletów parasoli i dwie pęknięte muszle klozetowe. A potem obie, już z szacunkiem należnym zmarłemu, starannie posegregowały i poukładały całą resztę.

Edzia pamiętała, że dokumenty leżą w beżowej szafie na wysoki połysk, ciasno upchane do wyblakłej, zielonej teczki zapinanej na gumkę.

Z trudem powstrzymując drżenie rąk, otworzyła beżową szafę, robiąc wszystko, aby szafa nie skrzypnęła. Odszukała bladozieloną teczkę i ostrożnie wyciągnęła ją ze sterty innych, po czym z teczką pod pachą wymknęła się do łazienki, zamykając drzwi na klucz.

Słyszała teraz jedynie głośne łomotanie własnego serca, które za żadne skarby nie chciało siedzieć cicho. Ale mama nic nie zauważyła, zanurzona po same uszy w losowych przypadkach Morenów i Orskich. Mama nie zauważyłaby pewnie dokonanego na niej gwałtu, o ile oczywiście napastnik nie zasłoniłby jej ekranu.

W teczce na szczęście było wszystko, co miało być. Bez niespodzianek, bez wyrwanych kartek i białych plam. Leżały tam świadectwa szkolne, równiutko poukładane w grzeczne stosiki, dyplomy z kursów oraz konkursów, w których kiedyś,

i to o zgrozo dobrowolnie, brała udział... A co my tu mamy? No proszę, raz nawet wygrała konkurs na najlepsze ciasto na zetpctach... Jak to się mogło stać?

Jest! Edzia z wrażenia o mały włos nie wysypała na podłogę całej reszty. Świadectwo urodzenia. Imię i nazwisko, rodzice, data, miejsce...

Odetchnęła z ulgą. Wszystko się zgadzało! Wszystko było w jak najlepszym porządku. Wszystko wyglądało na jak najbardziej autentyczne. Pieczątki, papier i... spojrzała pod światło... znak wodny...

Nic nic było tu przeprawione, dopisane czy wykreślone... niczego nie wyskrobano żyłką.

Nie, no nie popadajmy zatem w paranoję! Wszystko jest okej. Wszystko się zgadza!

Edzi nadal trzęsły się ręce, ale już trochę mniej.

Ten lekarz, chociaż taki sympatyczny i całkiem podobny do kucharza, musiał się pomylić. Mógł się przecież pomylić! Bo lekarze czasem się mylą, prawda? Mówią na to polem „błąd w sztuce”.

Dowód miała w ręku i to było ważno. Edzia nigdy wcześniej nic zwracała większej uwagi na ten papier, bo i po co. Przecież nic, co było tam zapisane, nie było dla niej tajemnicą. Ani imię, ani nazwisko, ani też. data i miejsce urodzenia - Mangalia, miasteczko w Rumunii, nad morzem.

Przez kilka lat jej ojciec pracował tam w szpitalu na kontrakcie jako lekarz.

Tak. Tam się właśnie urodziła, w Mangalii. I nikt nigdy tego przed nią nie ukrywał.

Albo *Cyrk* się właśnie skończył, albo dali przerwę na reklamy, bo mama odkleiła się od telewizora i poczłapała do łazienki. Nacisnęła klawisk. Najpierw trochę się zdziwiła, że drzwi są zamknięte od środka, no bo przecież ona była po tej stronie, a nie po tamtej.

I dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, że drzwi są zamknięte, ponieważ ktoś inny, a nie ona, zamknął je od środka...

Że ktoś tam, w środku, jest właśnie teraz, i żeby się tam znaleźć, musiał przedtem wejść do jej domu...

Proces myślowy przebiegał u mamy w tym właśnie tempie i zakończył się konkluzją, że nie jest dobrze.

I właśnie wtedy mama zaczęła krzyczeć.

Nic krzyczała jednak zbyt sensownie. Nie było to z pewnością nic konkretnego, jak na przykład „pomocy” albo „złodzieje”, względnie „ratunku”, jak wypadałoby nawoływać w takich sytuacjach. Wciąż tylko nie wiedzieć czemu powtarzała: kto tam? kto tam? A to w końcu Edzię zdenerwowało na tyle, że odburknęła:

- Ja! - i podała jeszcze swoje imię i nazwisko, żeby mama nie musiała się dłużej domyślać. Nie było to odburknięcie pomagające pielęgnować pokojowe kontakty matki z córką, to na pewno. Nawet wtedy, jeżeli córka jest po trzydziestce, a matka po siedemdziesiątce. Zwłaszcza wtedy. Ale mama odetchnęła z ulgą.

- Edzia, to ty! Zwariowałaś?! Przecież ja o mało zawału nie dostałam! Starą matkę chcesz do grobu wpędzić! - pokiwała głową domyślnie i z sarkazmem, ponieważ ta intencja wydała się jej najbardziej prawdopodobna. - To już teraz wiem, dlaczego się tam schowałaś...! Chcesz chyba, żebym się przekreśliła... To prawda, że na starego człowieka wszystkie kozy skaczą...

- Nie chciałam ci przeszkadzać, mamó! - zapewniła Edzia uspokajająco. Już nie była aż tak zdenerwowana, więc mogła być bardziej uprzejma. - Wyglądałaś na bardzo zajęta.

Mama machnęła ręką.

- Oj tam, zaraz zajęta! Serial tylko oglądałam... trzeba było się pokazać, to byśmy razem...

- Co razem? - zainteresowała się nieuważnie Edzia, pośpiesznie porządkując papiery na klozecie.

- ... no, pooglądały... a co ty tam robisz? Bo coś szeleści... Co tak szeleści? Czy ty naprawdę musisz zużywać od razu całą rolkę?!

- Jak to co robię? Zgadnij... - zaproponowała Edzia, która w tej chwili mogłaby się założyć o wszystko, że mama nic zgadnie. I tak wygrałaby walkowerem, bo mama zapytała teraz głośniej, jakby chciała przekrzyczeć wszystkie możliwe szelesty:

- Wychodzisz zaraz? To wychodź. Kanapki zrobię. Tylko ręce umyj!

- Dzięki, mamó. Ale nie rób, nie jestem głodna!

- Oj tam nic jesteś! Zrobię z szynką, świeży chlebek mam. I pomidorki! To co, wychodzisz?

Edzia dyskretnie wrzuciła teczkę za pralkę, nie omieszkawszy wcześniej schować do kieszeni złożonego we czworo dokumentu.

- No a co tam słyhać w ogóle? - zapytała mamę przy kanapkach z szynką i pomidorkiem. Zapytała raczej kurtuazyjnie, nic spodziewając się znowu niczego takiego.

Coś się chyba jednak wydarzyło, bo mama zrobiła cwana minę.

Może wreszcie kogoś ma? pomyślała z nagłą nadzieją Edzia. Faceta znaczy. Mamie zdecydowanie przydałby się taki ktoś... Edzia nie miałaby nic przeciwko temu, przeciwnie - chętnie sama by jej poszukała kogoś sympatycznego. Niestetryczalego i jak najbardziej na chodzie.

Ale... Było jedno poważne i zamykające temat ale.

Pojawiło się ono jesienią zeszłego roku po niefortunnym zapoznaniu mamy z panem Bodziem. Pana Bodzia wynalazła Edzia na pewnym internetowym czacie dla dziarskich staruszków. Pan Bodzio zareklamował się jako sprawny, otwarty optymista z własnym mieszkaniem, własnymi zębami i oficerską emeryturą. Własną.

Niestety, bardzo szybko okazał się zdziwaczalym fetyszystą, namiętnie filmującym staruszki w kąpieli. A mama za

nic w świecie nie chciała grać roli staruszki w kąpieli i raz na zawsze zakazała Edzi prób swatania jej. W szczególności z dziarskimi staruszkami na chodzie.

Ale jednak ktoś by się przydał...! westchnęła w duchu Edzia. Może coś by się zmieniło...

Edzia czasami miała wrażenie, że mama już jakiś czas temu przestała być sobą. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy to się zaczęło... Może po śmierci ojca? A może wcześniej? Nie wiedziała też, czy to tylko kwestia wieku, czy pożeranych przez mamę oczami gigantycznych porcji telenowel.

I to dzień w dzień, na okrągło.

- No, powiedz, powiedz! Przecież widzę, że nie możesz się doczekać! - zachęciła mamę Edzia, która tak naprawdę sama nic mogła się doczekać, bo trochę bata się zapytać, a trochę też nie wiedziała jak.

Mama zarumieniła się po same uszy, po czym westchnęła głęboko i z przejęciem. Następnie spuściła oczy i zastanawiała się przez chwilę, jak najlepiej ubrać w słowa to, co chciała wyrazić.

- No powiedz, kobieto! - przynagliła ją Edzia. - Bo zaraz mi szczypior w uchu wyrośnie od tego czekania!

Mama na wszelki wypadek wzięła głęboki oddech, jak przed skokiem z trampoliny.

- Marian właśnie przespał się z Laurą! - wydyszała przez ściśnięte gardło.

- Nareszcie! I chyba się nawet... zakochał!

I na dłuższą chwilę zawiesiła na Edzi swój rozradowany wzrok, jakby sprawdzając, czy zrobiło to na niej odpowiednie wrażenie.

Edzi zrobiło się lak jakoś... smutno. Smutno i przykro.

Ale mama wyglądała na naprawdę szczęśliwą. Policzki jej płonęły, a oczy i włosy błyszczały, jakby miała ze czterdzieści lat mniej.

- Całe szczęście, bo to już najwyższy czas... - mówiła ze wzruszeniem w głosie. - Latał, latał tak z kwiatka na

kwiatek, serca iamał, a teraz... może wreszcie się ustakuje? Może nawet i ślub weźmie... kościelny?

Edzia nie miała serca powiedzieć mamie, że Marian, niestety, nie zdaży się już ustakować.

A mama dalej rozprawiała z przejęciem, cała zaróżowiona jak jutrzienka po liftingu:

- Chociaż... powiem ci szczerze, ta Laura niespecjalnie mi się podoba... no nie! Zęby ma z przodu trochę krzywe, no i spała przecież wcześniej z Radziem Orskim! I z jego kolegą, tym... no wiesz, co ich zapozna! ze sobą, jak mu tam... W pięćset siedemdziesiątym trzecim odcinku, pamiętam dokładnie. I nie jest już... no wiesz... - mama zawstydziała się trochę.

- Dziewicą? - podpowiedziała jej usłużnie Edzia.

- No właśnie... nie jest dziewicą, tylko... latawicą! - w głosie mamy zabrzmiała nutka wiecznego potępienia. - No i już dobrze po trzydziestce jest...! Ale za to Rostkowa ją uwielbia. Formalnie uwielbia! Ty wiesz?

Wczoraj powiedziała, że chętnie by się zamieniła z tą Laurą na urodę... Że niby ona taka piękna, ta Laura! I na Mariana też by się zamieniła. No coś podobnego!

- Ciekawe, czy oni by się z nią zamienili! Bo wiesz... Laura mogłaby się nie zgodzić... Rostkowa ma takiego pycia na nosie, że chyba tylko zoofil mógłby się z nią dobrowolnie zamienić! Wygląda jak Baba Jaga. Zawsze się jej bałam - skomentowała Edzia prawie wcale nie złośliwie.

- Nie bądź złośliwa! - skarciła ją mama. - Pani Rostkowa. Więcej szacunku dla starszych proszę! Poza tym pani Rostkowa zawsze dobrze o tobie mówi... - Mama chciała powiedzieć to stanowczo, jednak nie zabrzmiało to przekonująco.

- Tak? A co na przykład? - zainteresowała się Edzia.

- Noo... - mama nerwowo przewróciła oczami. ... Że może w końcu i ty sobie kogoś znajdziesz... i życie ułożysz...

Tak jak Marian. I może nawet wyjdiesz za męż...? A to co? Dlaczego zdejmujesz pomidora? Jedz! Zjedz jeszcze jedną kanapkę!

- Już nie mogę. Zjadłam cztery i pękam!

Mama miała to do siebie, że niektórych rzeczy po prostu nie przyjmowała do wiadomości.

- Oj tam nie możesz. Jedz! Ostatnia została, co ja z nią zrobię? Jedz! No widzisz, jesz... A nie mówiłam? Nie głodna jesteś, akurat! Tak samo, jak mówisz, że *Cyrku* nie oglądasz! Tak mówisz, ale ja ci nie wierzę.

Edzia przełknęła wreszcie ostatni kęs. I przypomniało jej się, po co tu przyszła. Że wcale nie na kanapki.

- Mamo... pamiętasz Rumunię?

Mama spojrzała na nią zaskoczona. A potem milczała przez chwilę, zatrzymując wzrok na pożółkłej firance, przysłaniającej gęstą siecią okno. Bądź co bądź, to wszystko działo się dawno temu. A ona miała już swoje lata.

- Czemu pytasz?

- A bo lak jakoś... Przypomniało mi się, bo... znajoma się tam wybiera i... pytała, czy bym z nią nie pojechała

- skłamała Edzia niespodziewanie dla siebie samej, za to całkiem zrecznie.

- No, ale po co zaraz jechać? - zapytała gderliwie mama.

- Przecież dopiero co wróciłaś... i co? Znów chcesz jechać? Znowu urlop? W głowic ci się już poprzewracało... Jakbyś normalnie do pracy chodziła, jak człowiek, to...

W samą porę Edzia weszła jej w słowo.

- No tak. Tak też jej powiedziałam... więc nie wiem. Zobaczą. Mam trochę pracy i pewnie nie pojedę, nie martw się... Ale jeszcze coś...

Mama spojrzała na nią pytająco.

- Co jeszcze?

- Moja... blizna. No wiesz, ta. Mama wzruszyła ramionami.

- No i co? Blizna jak blizna. Jest i już. Co cię dzisiaj takie wspominki naszły? Jedz! I herbatę wypij do końca! A tu ciasto jest, keks. Ten kawałek weź, o ten! Z rodzynekami weź!

- Bo ty zawsze opowiadałaś mi taką historyjkę ... o wiewiórkach, pamiętasz? - Przypomniała jej Edzia znad herbaty.

- Pamiętam! O wiewiórkach, pamiętam... A ty w nią wierzyłaś...! - mama z chytrym uśmieszkiem pokiwała głową. - Pamiętam, a jakże! I jak upewniałaś się, że te wiewiórki na pewno nie pójną do więzienia... gotowa byłaś im wszystko wybaczyć!

- A naprawdę? - Edzi aż zadrżał głos, chociaż starała się być spokojna. No ale zadrżał. Nic bardzo, ale trochę jednak tak.

- Co naprawdę? - nie zrozumiała mama,

- Jak to było? Naprawdę. Z tymi wiewiórkami... Mama spojrzała na nią uważniej. I nawet zatrzymała

wzrok na jej twarzy na prawie tak długo, jak zwykle na napisach końcowych, kiedy sprawdzała, jak Marian naprawdę ma na nazwisko.

- Coś się stało? Mów szybko!

- Dlaczego szybko? - zdziwiła się Edzia.

- Bo... bo zaraz *Dziedzictwo namiętności*... No to mów! Stało się coś?

- Nie, już nic...

Mama zerknęła niespokojnie na ścienny zegar z trójwymiarowym i puszcającym oko Panem Jezusem.

- Na pewno? - zapytała jeszcze dla spokoju sumienia. - W porządku wszystko? No dobrze, skoro nic... to może faktycznie kiedy indziej porozmawiamy...

I sięgnęła do stolika, gdzie na kryształowym półmisku obok kilku zakurzonych, plastikowych warzyw z NRD leża! pilot od telewizora.

Edzia złapała mamę za rękaw.

- Mamo? Mamo?! Mamo!

- Tak? - wzdrygnęła się nieuważnie mama, odrywając na moment oczy od ekranu.

- Ja jestem jedynaczką, prawda?
- Prawda, prawda! - przytaknęła mama na odczepnego.
- I zawsze byłam, prawda?
- Prawda... - mama nawet spojrzała na Edzię, ale perypetie nieszczęśliwej Marii Lucii i jej wykradzonego w kołysce dziecka całkowicie i bezpowrotnie zawładnęły jej uwagą.
- A te... saturatory pamiętacie? - przypomniał sobie Słodki, podnosząc do światła kieliszek wina.

Kieliszek miał malusieńkie bąbelki powietrza zapieczone w ściankach z grubego szkła, i pewnie dlatego każde wino wyglądało w nim jak szampan.

- Albo te... musztardówki na łańcuszkach? „Gruźliczan-kę” z sokiem wiśniowym raz! - Huknął ręką w stół, aż przechodząca w pobliżu dziewczyna drgnęła z przestachu.

Słodki miał dzisiaj imieniny i postanowił obejść je we własnym domu. Tak jak kiedyś. A nie w trendy knajpie, jak zawsze. Zaprosił więc gości, przyjaciół i znajomych, a oni przyszli ze swoimi znajomymi i przyjaciółmi, których niekoniecznie Słodki znał.

Ale w ogóle nie robił z tego problemu.

- Imieniny są jak cięża. Nigdy nie wiadomo, kto kiedy wpadnie! - powiedział, wzruszając filozoficznie ramionami i dostawiając do stołu kolejne krzesło.

Najważniejsze, że jedzenia wystarczyło dla wszystkich.

A Słodkiemu akurat zebrało się na przedustrojowe wspominki i postanowił uraczyć gości tym, co serwował kiedyś, kiedy jeszcze nie był ginekologiem, tylko uczniem czwartej klasy liceum imienia Batorego. Miało nie być trendy żarcie, tylko jak zawsze swojska kaszanka, naleśniki z serem i dżemem, plus ewentualnie placki ziemniaczane. No i gwóźdź programu - domowej roboty frytki. Koniecznie domowej roboty, takie amatorskie

- grube i toporne, ociekające tłuszczem jak należy... Takie, w które można wbić zęby aż po dziąsła. A nie te suche wióry z McDonalda.

Ale na kilka godzin przed imprezą Słodki nie miał już specjalnego wyboru, ponieważ okazało się, że w grę wchodzi jedynie sushi, ravioli ze szpinakiem, zupa z płetwy rekina i krewetki tygrysie. Jak zwykle. Co też w końcu, pomstując po łacinie, zamówił w najbliższej trendy knajpie. Miał tylko nadzieję, że po ciemku nikt nie zauważy, iż wyżej wymienione potrawy pasują do przyjęcia, zatytułowanego „Okruhły PRL-u” jak wziernik do wiatraka.

- Saturatory? - ucieszyła się Edzia. - No pewnie! Pod naszą szkołą taka gruba baba stała, w turbanie. Ta do Kojaka podobna, pamiętasz? Zawsze u niej kupowałam!

- *Taak?* A widziałaś kiedyś, żeby ona te szklanki myła...?

- spytała podchwytliwie Nika, oglądając pod światło swój kieliszek. Edzia nie widziała.

- No widzisz. Cud, że nikt salmonelli nie złapał... ani żółtaczk...! - westchnęła Nika z dobrze schłodzoną refleksją.

Z magnetofonu leciała piosenka *Neverending story*, na której Edzia kiedyś, dawno temu, uczyła się angielskiego. Kilka osób zaczęło podśpiewywać. - „Story... ooo... ooo... ooo, neverending story...”

W powietrzu zawisła nostalgia i, oczywiście, kłęby papierosowego dymu.

- Niezłe też były oranżadki w proszku! - przypomniała sobie Nika. -

Pomarańczowe takie. Trochę kwaśne, ale... tak fajnie pykały na języku... no nie? Teraz już takich nie ma...

- Noo! - przytaknął Słodki i odruchowo oblizał usta.

- Ale wchodziły tylko na sucho! Bo jak jeden, jedyny raz w wodzie rozpuściłem, to... - skrzywił się boleśnie. - W każdym razie nie wyszło mi to na zdrowie... A! Bym zapomniał i jeszcze visolvit z torebki! Teraz to chyba na receptę jest,

nie? No to muszę sobie wypisać na wzmocnienie - mruknął okiem do Niki. - A wtedy wyjadałem go bratu anemikowi... Potem dawałem mu na kino, żeby nie wykablował mamie...

Maurycy skrzywił się paskudnie i upił ze swojego kieliszka trochę wody mineralnej. Woda była bez gazu, chociaż w kieliszku wyglądała jak bardzo, bardzo niezdrowo gazowana.

- Ty już wtedy wszedłeś w żywność chemicznie przetworzoną - powiedział całkiem serio, a wszyscy parsknęli śmiechem. - Bo to wszystko to jednak świństwo było... Te farbowane oranżady w torebkach... pamiętacie? Co się przez rurkę ciągnęło... Ulepek, że dziury w zębach zatykało... Albo takie prażynki ziemniaczane! Aż kapały skurczybyki od tłuszczu... - Tu Maurycy wzdrygnął się z obrzydzeniem. - W życiu bym teraz do ust nie wziął!

- Wcale się nie dziwię! Ty już wyrobiłeś normę, nie? Pożerałeś po trzy paczki dziennie, jedna po drugiej! I to tylko w godzinach lekcyjnych! A po? Kto cię tam wie, ile tego zezarłeś... - wypomniała mu Edzia. Maurycy wzruszył ramionami i natychmiast przestał rzucać kalumnie na prażynki.

- A jeszcze syfony do wody sodowej, na naboje... - rzucił od niechcienia celem nieznacznej modyfikacji tematu.

- Chodziliście do „nabijaka”? - zainteresowała się jakaś dziewczyna z niemodnym warkoczykiem, za to bez stanika. Słodki natychmiast poczuł się wywołany do tablicy.

- No jasne! - zapewnił ją gorliwie. - Oczywiście, że tak! I spojrzał jej prawie prosto w oczy.

- A do którego? - zapytała jakaś dziewczyna kokieteryjnie. - Bo ja na Kwiatową.

- A ja na Długą! Sklepową miała niezłe balony - wtrącił się Maurycy ni w pięć, ni w dziewięć.

Na moment zapadła niezręczna cisza. Dziewczyna zaczerwieniła się i wbiła oczy w podłogę.

- No, pamiętam! - Stodki miał teraz uśmiech od ucha do ucha. -
Pamiętam! Wszyscy lecieliśmy oglądać! Wszyscy chłopacy... Ech, czasy!
- E tam, sodowa! Najlepsze było piwo Warka! - powiedział stanowczo
Damian, właściciel okazałych zakoli oraz kolega Słodkiego z przychodni.
Też ginekolog.
- Ptyś i mazowszanka rulez! - rzucił ktoś z głębi pokoju.
- I co, pewnie zbierałaś puszki po piwie?
- No masz! - przyklasnęła Edzia. - Puszki po piwie Słodki ustawiał na
szafie, w piramidę, jak należy! Pamiętacie, jak przyszliśmy do niego na
osiemnastkę? A tam pudełka po zagranicznych papierosach cudnie
poprzypinane do maty na ścianie?
I na samo wspomnienie zakrztusiła się kawałkiem keksu.
- No! Wtedy Słodki był gość! - pokiwała głową Nika.
- No... Jedno takie to mu nawet wtedy ukradłem! - przyznał się Maurycy
pochopnie, i trochę niepotrzebnie, bo Słodki zmarszczył brwi w sposób,
który nie rokował najlepiej.
- Takie... po camelach? - spytał podejrzliwie Maurycego.
- Skąd wiesz?
- Skąd?! - Słodki chyba naprawdę się zdenerwował, bo aż przestał pić. -
Szukałem go przez dwa tygodnie! To był król mojej kolekcji! Co z nim
zrobiłeś, łosiu?!
- No co... powiesiłem na mojej macie... - przyznał się niechętnie
Maurycy.
Słodki podejrzliwie uniósł brwi.
- Nie widziałem go u ciebie - powiedział, uważnie przypatrując się
Maurycemu. - Nigdy!
Maurycy wzruszył ramionami.
- No co ty, myślisz, że jakiś giupi jestem? Zawsze zdejmowałem, jak
miałeś przyjść.
- Chłopaki, zostawcie już te pudełka! Bo naprawdę... Dawno je robaki
zjadły... Za to ten... sztuka jest wieczna!

A Maanam na przykład...? Perfect? - weszła im w słowo Edzia, sprytnie zmieniając temat.

- „Błagam, Pecpe wróć!” - zaryczał zniecierpliwiona Słodki, aż dwie zagadane koleżanki Niki odskoczyły od siebie jak oparzone.

- Tak... - rozmarzyła się Edzia - jak leciała lista przebojów Niedźwiedzkiego, wieszalam na drzwiach kartkę „nie przeszkadzać”... Nika podrapała się w głowę.

- Czekaj, czekaj... a kto tam wtedy jeszcze... David Bowie, *Let's dance*... to chyba wtedy, nie?

- Kajagoogoo i Limahl... śliczniutki taki... - przypomniała sobie Edzia. - Włoski takie miał... no cudne, po prostu cudne!

- A ta, jak jej tam... „Wideoteka”? Pamiętacie?

- No masz! Akurat kończył mi się angielski i miałam tylko dziesięć minut... I trzy przystanki! Ale oczywiście właśnie wtedy nic nie jechało!

- No i co?

- I co. Normalnie! - Edzia wzruszyła ramionami. - Zawsze biegłam z wywieszonym jęzorem... I nawet zdążałam. Czasami.

- A „Teleranek”? Ten z kogutkiem? - wzruszyła się Nika.

- Oglądaliście?

- No masz! - ucieszył się Maurycy. - Niewidzialna ręka to także ty! Raz nawet oberwałem ścierą od sąsiadki, jak jej skserowałem czarną rękę na koszuli na sznurze...

- Jeszcze była Makowa Panienska i Motyl Emanuel

- przypomniała sobie Edzia. - I ta Panienska miała śliczną sukieneczkę... taką... makową...

- E tam. Zawsze miałem wrażenie, że ten Emanuel jest gejem. Taki jakiś miętki byt... - skrzywił się z niesmakiem Słodki.

I w ten sposób przerzucili się na dobranocki.

W kilka chwil wspólnymi siłami odgrzebali Reksia, klasyfikując go jako poczciwego idiotę, którego każdy robi! w konia, a on w rewanżu wszystkim pomagał. Nie do przeoczenia był Bolek i Lolek, czyli toksyczni bracia, podkładający sobie na zmianę świnię. No i anorektyczka Tola, z którą, jak podejrzewał Słodki, Bolek i Lolek tworzyli poza kadrem uroczy trójkaćik. Dostało się też Pomysłowemu Dobromirowi. Bo głupek, miał takie fajowe pomysły, a nie wyemigrował! Za granicą zrobiłby karierę jako wynalazca, a on siedział jak głupi na tej wsi. Z dziadkiem i jego ptakiem.

- „Szła nocą bajka, przez pola i wsieeee!” - Słodki przechodził dziś samego siebie.

- A mnie się najbardziej podobało *Szaleństwo Majki Skowron*. I jeszcze *W kamiennym kręgu** - westchnęła z rozmarzeniem Nika. - Z tą, co tak trochę zezowała, Isaurą! Oglądałam co niedziela z rodzicami..,

- Ja też! - podchwyciła Edzia. - Czekałam na to cały tydzień! A raz, jak światło wyłączyli, to... - urwała nagle.

- To co? - zainteresował się Słodki.

- E, nic...

- No powiedz, co się skręcasz jak rześistek! - podkreślił Słodki.

- Gadaj, ale już!

- Powiedz, powiedz! Nie zjemy cię! - zapewniła ta bez stanika, wznosząc do góry dwa palce w geście przysięgi.

Edzia westchnęła głęboko.

- No... wtedy to zaryzykowałam. Tak mi było szkoda tego filmu... i czułam się taka pokrzywdzona, że go nie obejrzę, że... no i mama aż się popłakała ze złości... że z Isaury nici...

Wszyscy patrzyli na Edzię w pełnym napięcia milczeniu.

- Że...? - zachęciła ją Nika. - Że co?

- Że... no, powiedziałam sobie, że nie może tak być i że to okropnie niesprawiedliwe, że ja tak czekam i czekam cały tydzień, a tu nagle... pstryk...

- I...?
- No i że... jeżeli Bóg istnieje, to... teraz ma szansę pokazać się z dobrej strony - dokończyła Edzia. - I jeżeli naprawdę istnieje, to światło się włączy...
- I co, włączyło się? - spytała Nika z płonącymi policzkami. Edzia zrobiła dziwną minę.
- Yyy... no... może to zabrzmie trochę dziwnie, ale... tak. Maurycy popatrzył na nią z powątpiewaniem.
- I co, może jeszcze powiesz, że obejrzałaś ten odcinek?
- Tak - całkiem na poważnie kiwnęła głową Edzia. Maurycy nazwał rzecz po imieniu.
- Czyli co? Zaszantażowałaś Najwyższego, żeby obejrzeć telenowelę...? Edzia pokiwała głową z niejakim zażenowaniem.
- Na to wychodzi...
- No i tak już zostało! Teraz sama produkujesz tasiemca bez końca. Za karę! I ludzie muszą to w kółko oglądać
- Słodki puścił oko do Niki.
- Tak? W kółko? A ty? Ile razy byłeś na *Wejściu Smoka*?
- odgryzła się Edzia.
- Osiem.
- No widzisz - powiedziała Edzia, jakby to o czymś świadczyło.
- A ja dwanaście - przebił Słodkiego Maurycy.
- Też coś! Mój kolega był z piętnaście razy - pochwaliła się ta bez stanika.
- Ta, piętnaście. Akurat! Pewnie chciał zaszpanować, żebyś się z nim umówiła... - powiedział Słodki, patrząc niedyskretnie w to miejsce, gdzie stanika jak nic było, tak nie było. Pod wrażeniem tego widoku znowu dał głos, z całego serca.
- „Naj najpiękniejszą byłaś tam, pisałem wierszeeee, naaj naaj najwspanialej całowałaś, gorący wiatr, słońce w twarz...”.

- „Daaaj mi tę noc! Tę jeeedną noc!” - uzupełnił radośnie Maurycy.
 - Ale to nie z tej piosenki - zauważyła Edzia.
 - E tam, i tak nikt się nie pokapuje.
 - A czarna wołga? - przypomniała sobie Nika. - To dopiero był niezły horror! No nie?
 - No! - ucieszyła się Edzia. - Była, była! Porywała dzieci do Niemiec! Ja nawet chciałam, żeby mnie porwała, to bym się za granicą nażarła żelków miśków!
 - ... porywali na części zamienne! - dorzucił ktoś z kanapy.
 - Nieee... chyba raczej na eksperymenty medyczne... - wtrącił Maurycy nieśmiało, ponieważ akurat w temacie czarnej wołgi nie był na bieżąco. Nika się zdziwiła i poczuła w obowiązku skorygować...
 - Nie, no co ty! Żadne eksperymenty! Z tego, co wiem, do wołgi zabierano niegrzeczne dzieci celem właściwego ich wychowania... Co, rodzice nie straszili cię wołgą?
 - Wołgą nie. Czarną Łapą - odparł Maurycy. Nika zdziwiła się jeszcze bardziej.
 - Naprawdę? Ciekawe dlaczego... Wołga była dużo bardziej skuteczna od Czarnej Łapy.,.
 - Może ja po prostu byłem łatwiejszym przypadkiem niż ty - wzruszył ramionami Maurycy.
 - A kalkomanie przyklejaliście? - rzucił ktoś z przedpokoju,
 - Takie z motylami? No jasne! Naklejało się, naklejało!
 - Jakoś mi to nie wychodziło... - przypomniał sobie Słodki. - Nigdy. Zawsze takie garby jakieś zostawały,.. o, apropo... Edzia?
 - Co?
 - Jak tam twoja blizna? Byłaś już u lekarza?
- Edzia czujnie rozejrzała się dookoła, ale wyglądało na to, że ten wątek nie wzbudził większego zainteresowania. Poza tymi, co byli najbliżej. Wszyscy inni żywiłowo zajmowali

się wspomnianiem dawnych czasów. No i tygrysimi krewetkami, rzecz jasna.

- Tak... byłam u lekarza - powiedziała do Słodkiego ściszone głosem. - Byłam... Powiedział, że... no, w każdym razie bliznę można wyciąć bez problemu...

- Super! - ucieszył się Słodki. - I po problemie! No to kiedy chlastu-chlastu?

Edzia przełknęła ślinę.

- No lak... chlastu-chlastu... tylko że... on mi jeszcze powiedział... ten lekarz, że... że to nic jest taka zwykła blizna.

- Jak to nie zwykła? - zdziwił się Słodki. - Czyli jaka?

- No... bo on powiedział, że to może być blizna po... - Edzia urwała nagle, bo jej samej wydało się to zbyt nieprawdopodobne, żeby mówić o tym na głos. Nawet na imieninach Słodkiego.

- No gadaj! - Maurycy ścisnął ją za ramię. - Po czym? Edzia zamknęła oczy.

- Gadaj, bo nie dostaniesz sushi! - zagroził jej Słodki.

- Po rozdeleniu sióstr syjamskich - powiedziała na wdechu.

Wszyscy zamilkli. Znaczący wszyscy ci, co byli najbliżej. I przez dłuższą chwilę mogli tylko na nią patrzeć. W tle dudniła „droga pani z telewizji” ongiś topowego zespołu Lombard a cała reszta zajadała się chińskimi jarzynami z woka. W końcu odezwał się Maurycy.

- Jak to... syjamskich...? Syjamskich...? No co ty? Poważnie...? - zapytał dość niepewnym głosem i na wszelki wypadek przysunął się bliżej.

- E tam. Nie wierzę! - Słodki puścił do niej oko. - W konia nas robisz, darling. Ale po co?

Tylko Nika nie odezwała się ani słowem. Co akurat Słodkiemu wydało się podejrzanym, ponieważ zazwyczaj to Nika mówiła najwięcej. Wszystko jedno, na jaki temat. Ale dzisiaj

wyglądała na nie za wesołą i raczej milczącą. Może z wyjątkiem tego, co powiedziała Edzi o jakimś psie, a co Słodki usłyszał zupełnie niechcący.

- Nika! - zajrzał jej w oczy, żeby wybuchnęła śmiechem i w końcu przyznała, że to żart. Bo Nika nie za bardzo umiała się maskować.

Zwłaszcza kiedy Słodki robił zeza. - A ty co nic nic gadasz?! Masz z tym coś wspólnego? To może zajmij jakieś stanowisko, co?

- Ona nie kłamie - powiedziała cicho Nika. - Ja wiem. Każde z nich patrzyło teraz albo przed siebie, albo w sufii

i gorączkowo szukało słów, które chociaż z grubsza pasowałyby do sytuacji. Ale żadne z nich nie mogło ich znaleźć, i pewnie dlatego nikt nic nie mówił. Oprócz, oczywiście, całej reszty, która po drugiej stronie pokoju głośno i radośnie wspominała lata gierkowskiej prosperity.

- Edzia... - Maurycy delikatnie potrząsnął jej ramieniem. - Co z tą blizną? No! Tylko bez kitu! Pytam cię przecież!

Edzia bezradnie rozłożyła ręce.

- Nie wiem, jak was przekonać... Przysięgać mam, czy co? Blizna po siostrze... Trochę się nawet zdenerwowałam, bo... - wzruszyła ramionami

- ... nie co dzień dowiadujesz się, że masz siostrę... syjamską, no nie?

- O rany... - ta bez stanika westchnęła głęboko i zaszklily się jej oczy. - Zupełnie jak w kinie...!

- No i co? - zagadnął ostrożnie Słodki, który sam już nie wiedział, co myśleć. - To co... co teraz...?

- Spokojnie... - machnęła ręką Edzia. - Od razu sprawdziłam papiery... jak mi poradziła Nika. Świadectwo urodzenia...

- I co? - zapytali niemal jednocześnie.

- Wszystko jest okej! Tamto nie wchodzi w grę... Lekarz musiał się pomylić. Ale co przeżyłam, to moje... Lekarze dość często się mylą, prawda? - spojrzała z nadzieją na Słodkiego.

- Czasem tak... - przytaknął Słodki z nieodgadnioną miną. - Mylą się... Ale nie aż tak często, jak myślisz. A może... może sprawdź u innego lekarza? Co? Bo wiesz... tak dla pewności.

- U innego? To może ty zobacz? - Edzia już zaczęła rozpinąć bluzkę.

- Nie, nie! - wystraszył się Słodki. - Przecież ja się nie znam na bliznach! Znam się za to na...

- Dobra dobra! - przerwała mu Nika. - Już my wiemy, na czym się znasz. Zza pleców dobiegły ich przyciszone głosy.

- ... i spotykaliśmy się na trzepaku.

- No! Ale szlugi jaraliśmy za śmietnikiem.

- Dobre miejsce. Cicho, spokojnie. No i nikt nas tam nie wy czał.

- Co to było? Chyba rothmansy...? Edzi było trochę niedobrze.

Przede wszystkim w głowie coś jej huczało i kręciło się jak rozklekotane wrzeczono niezupełnie wokół własnej osi. Ale nie tylko w głowie, bo i w żołądku działy się dziwne rzeczy, jakby ni stąd, ni zowąd eksplodowała tam fabryka farb i lakierów. I kiedy Edzia dobrze nadstawiła uszu, z jej własnego brzucha dobiegały ją dziwne i niepokojące odgłosy, głównie bulgotanie.

A wszystko dlatego, że na „Okruchach PecReLu” Edzia jednak trochę wypila. Chociaż przecież miała nie pić. I to nawet trochę więcej niż trochę. Głównie wina, chociaż nie tylko, bo piwa też. A przecież miała nic mieszać, gdyby jednak trochę wypila.

Piwo i wino okazało się bardzo złym połączeniem. Przynajmniej w Edzi. Szczerze mówiąc, wypila dość dużo, zwłaszcza po tym, kiedy Słodki ot tak, mimochodem, zasiał w niej ziarno

wątpliwości co do tej... no, jak jej tam. Syjamskiej. Które to ziarno, Edzia byta święcie przekonana, udało się jej już wcześniej skutecznie wyplwić. Trochę więc wypła z rozpędu, ale znowu nie aż tyle, żeby nie zauważyć migającego w kącie ekranu komputera słoneczka oraz skandalicznie skotłowanej na łóżku pościeli.

Skotłowana pościel była dziełem kota, który korzystając z nieobecności Edzi, urządził tam sobie legowisko, wydrążywszy zgrabny tunel w kołdrze. Było to dość sprytnie posunięcie ze strony kota, który wykazał się również zmysłem inżynierskim, ponieważ rozgrzany kotem tunel utworzył coś w rodzaju aerodynamicznego hot doga, oddając ciepło równomiernie ze wszystkich stron.

Kot wyspał się więc w tunelu jak należy, a w dowód wdzięczności zostawił tam po sobie garść rudych kłaków.

- Jeszcze trochę, a uzbieram na poduszkę! - powiedziała sarkastycznie Edzia, ale kotu wcale nie zrobiło się głupio. Może po prostu zrozumiał to dosłownie.

No i jeszcze to migające słoneczko... hramm... Edzia miała nadzieję, że zgadła. Chociaż przecież miała już nie włączać gadu-gadu. A przynajmniej nie z jego powodu. No dobra, ale skoro już miga... no bo miga i miga! I trochę denerwujące jest to miganie. No to kliknęła, żeby wreszcie przestało.

Oyama:

Cześć. No i co powiedział lekarz?

Desperado:

A skąd wiesz, że u niego byłam? I co tu w ogóle robisz?

Oyama:

A tak sobie wpadłem.

Desperado:

Śledzisz mnie?

Myślałam, że pożegnaliśmy się na dobre?

Oyama:

Nie prowokuj © bo naprawdę zaraz sobie pójdę. A pytam ot tak, z dobrego serca. To chcesz pogadać czy nie?

Desperado:

No dobra. Niech ci będzie.

Oyama:

To co z blizną?

Desperado:

No... dość zabawnie. Pardon, zapomniałam, że nie lubisz tego słowa. Znaczy - raczej dziwnie.

Oyama:

Co znaczy dziwnie?

Desperado:

No... dziwnie, dziwnie. Nie wiem, jak by ci tu...

Oyama:

Najlepiej powiedz wprost.

Desperado:

No dobra. To teraz mówię:

Podobno blizna to pamiątka po syjamskiej siostrze.

Podobno jest dość charakterystyczna.

Oyama:

Czy to znaczy, że...??? Nie, no ja się chyba muszę uszczypnąć??

Teraz się szczypię. Ataaaaaa! Czy to znaczy...?

Desperado:

Dokładnie. Urodziłam się jako jeden z dwóch zrosniętych egzemplarzy.

Podobno.

Które potem rozcięto, stąd blizna. To wersja lekarza oczywiście,

Oyama:

No co ty? Poważnie???? Masz siostrę syjamską?

Desperado:

Spokojnie, to pomyłka. Lekarz tylko narobił dymu.
I trochę mnie przy okazji wytrącił z równowagi.

Oyama:

Jak to?

Desperado:

No tak. Bo to nieprawda. Pomylił się. Ale co przeżyłam, to moje. Czyli szok.

Oyama: Biedaku ☹

A skąd wiesz że to nieprawda?

Desperado:

Już to sprawdziłam. Dokumenty, dowody itp.

Oyama:

Aha. Dokładnie? I jesteś pewna na 100%? I co to znaczy „itp.”?

Desperado: Tak. Na 1000%

„Itp.” to cała reszta. Przeszukałam wszystko, co mogłam. I wyszło na nie.
Z tą syjamską.

Oyama:

No to widzę, że faktycznie jesteś pewna... To ci dopiero nowina...!

Nie spodziewałaś się, co?

Desperado:

Spokojnie, przecież mówię, że to nieprawda.

Nie mam żadnej siostry, nawet ciotecznej. Ani tym bardziej syjamskiej.

Oyama:

OK. Nie denerwuj się. Nie masz to nie masz.

Ale wiesz, że gdyby to jednak była prawda z tymi siostrami, to...

Desperado:

To co?

Oyama:

To byłabyś klonem. Ty albo ta druga.

Desperado:

Klonem? Jak to klonem?? Znów mnie podpuszczasz? A już zaczęłam myśleć, że jesteś do rzeczy.

Oyama:

Tu wyjątkowo przyznam ci rację. Jestem całkiem do rzeczy © I wcale cię nie podpuszczam. To nie wiesz, że syjamskie bliźnięta są genetycznie identyczne? Każdy taki bliźniak jest klonem drugiego. Takie bliźniaki są jednojajowe, bo inaczej komórki ich ciał zabijałyby siebie nawzajem! Dlatego są takie podobne.

Desperado:

No! Teraz to mnie trochę przytknęło. Skąd ty wiesz takie rzeczy?

Oyama:

Normalnie. Zewsząd. Z książek.

Poza tym dawno temu miałem być lekarzem.

Desperado:

No i co?

Oyama:

No i nie jestem.

Desperado:

No tak. Ale widzę, że nadal zgłębiasz temat...

Oyama:

A zgłębiam. Ja w ogóle lubię zgłębiać.

Bo co to znowu za sztuka. Poszukaj w sieci, to i ty będziesz wiedzieć.

Desperado:

Ale po co mam szukać, kiedy wiem, że to nieprawda!

Znaczący z tą syjamską.

Oyama:

A tak, dla siebie. Z czystej ciekawości. Jeżeli oczywiście to cię interesuje.

Swoją drogą to trochę to dziwne.

Desperado:

Co takiego?

Oyama:

No, co powiedział ten lekarz. 0 siostrach. Wcześniej nikt nie widział tej blizny?

Desperado:

Nie, no widział. Pewnie, że widział. Ale wiesz, blizna to blizna. Zresztą wiesz, ja raczej nie choruje. Nie chodzę często do lekarza. Właściwie to w ogóle nie chodzę.

Oyama:

Ale nius... No no no!! Gdyby mi ktoś coś takiego powiedział...

Desperado:

To co? Co byś zrobił?

Oyama:

Noo, najpierw to bym się ucieszył. A potem bym to sprawdził.

I cały czas miałbym nadzieję, że to prawda.

Desperado:

Naprawdę? No widzisz, ja czułam coś zupełnie innego...

Sprawdziłbyś? Już to zrobiłam.

Oyama:

Sprawdziłbym jeszcze raz. Lepiej. Dokładniej, na wszystkie strony.

Sprawdzałbym, dopóki by się nie okazało, że już nie ma co sprawdzać...

Ale czemu mnie pytasz? Siebie zapytaj. © Siebie samej.

Szukać i sprawdzać..?. Znowu? Już raz sprawdzała... i znowu? Hmmm...

Edzia nie miała natury poszukiwacza, wolała raczej koniabu-lować. W tym doszła już do niejkiej wprawy, a zresztą robiła to tak dobrze i tak długo, że teraz spokojnie mogła z tego żyć.

Kot zamiauczał rozdzierająco. A potem jeszcze raz i jeszcze.

- Przymknij się, skunksie! - poprosiła go uprzejmie Edzia. - Bo nie mogę się skupić.

Kot odmiauknął w odpowiedzi nieco, jak się Edzi wydało, mało kulturalnie. A nawet trochę grubiańsko.

- Ty to masz tupet - westchnęła Edzia i niechętnie wstała od komputera. Mruczając pod nosem na temat kota coś, co z całą pewnością nie było życzeniami zdrowia i długiego życia, Edzia doczłapała do lodówki. Wyjęła stamtąd starą puszkę ze szprotkami w pomidorach, otworzyła i wyłożyła do miseczki całą, przedziwną w konsystencji i ceglastą w kolorze zawartość.

Starła się przy tym nie robić żadnych min, żeby nie zrazić kota, chociaż szprotki wyjątkowo śmierdziały rybą, zwłaszcza o tej porze. Ale może koty to lubią? Może len zapach ich właśnie przywabia? pocieszyła się Edzia.

Tymczasem należało przywabić kota.

- Rybka mniam mniam! - Edzia zachęciła kota jej zdaniem dość przekonująco. - Chono tu, kol!

Kot najwyraźniej poczuł się zachęcony i podbiegi w podskokach z wysoko zadartym ogonem, chociaż postępowanie Edzi wydało mu się nieco podejrzanym. Edzia nigdy wcześniej nie okazywała mu takiej troski. Czyżby chciała go otruć? Kot wyraźnie zawahał się przed przystąpieniem do konsumpcji, ale... szprotki pachniały nadzwyczaj jadalnie. Bardzo, bardzo jadalnie. No i tak jakoś... mmm... szprotkowo. Zjadł więc wszystkie co do jednej i dokładnie wylizał resztkę pomidorowego sosu, która przywarła do szklanej ścianki naczynia.

- Dobrrre, dobrrrre! - zamruczał zadowolony i zaczął oblizywać sobie łapę. Jest to odwieczny sygnał, który najedzone koty dają swoim właścicielom na znak, że im smakowało. Ale Edzia jeszcze tego nie wiedziała.

- O, widzę, że myjesz ręce po jedzeniu! - zauważyła trochę złośliwie. - Lepiej późno, niż wcale. I dobrze, że to zezarłeś, bo chyba bym musiała wyrzucić!

Zostawiła kota przy myciu łap, a sama wzięła szybki prysznic. Potem usiadła przy komputerze i wpisała w wyszukiwarce hasło „syjamskie”. Natychmiast wyświetliła się strona z adresami hodowli kotów syjamskich i terminami wystaw.

A to nie było to, o co jej chodziło. Zupełnie nie to. I Edzia po chwili dodała „bliźnięta”.

No, teraz lepiej. Sięgnęła po wczorajsze jabłko, które potoczyło się pod monitor i pewnie tylko dlatego nie zostało jeszcze zjedzone. Wbita w nie zęby i zaczęła czytać.

„Medycyna bliźniętami syjamskimi nazywa takie bliźnięta, których pewna część lub części ciała są wspólne i tymi wspólnymi częściami są one ze sobą zrosnięte. Mogą to być: tułowia, głowy albo ręce (zdarza się, że są to lewe lub prawe ręce, ale najczęściej lewa ręka jednego zrosnięta jest z prawą drugiego). Czasem bliźnięta syjamskie zrosnięte są więcej niż jedną częścią ciała. Nie ma ograniczenia na maksymalną liczbę wspólnych części. Jedyne warunki stanowią, by taka wspólna część była. Co najmniej jedna”.

No tak. Zrosnięte. Ale to Edzia już wiedziała. Mimowolnie dotknęła bliźny.

- Ale tutaj nikt nie był przyrosnięty - powiedziała stanowczo do lusterka. - Co to, to nie. Nikt! Tu na pewno nie. Czułabym coś albo pamiętała. A nie pamiętam. Nic a nic.

A jeżeli ta druga rzeczywiście istnieje i jeżeli cała ta absurdalna sytuacja nosi w sobie chociażby śladową zawartość prawdy...? Jeśliby więc tak było jakimś cudem, to... To znaczy, że obie są identyczne. Na zewnątrz i od środka.

I co? Takie same twarze, oczy, takie same włosy? Takie same bliźny? Może nawet takie same imiona? A może identyczny uśmiech? No to gdzie jest teraz ta druga, jeżeli jest?

Jeżeli to prawda, a na chwilę założymy, że tak jest... to znaczy, że zdarzyły się raz na sto tysięcy urodzeń, ona i ta druga. To, trzeba przyznać, jest jednak pewnym wyróżnieniem...

O, proszę. I tutaj coś mamy. Kliknęła na następny dokument.

„Józefa i Róża Blazek, czeskie bliźniaczki złączone miednicami, przysły na świat w 1878 roku. Okazały się ładne, inteligentne i utalentowane. Już jako czternastolatki były atrakcją dla publiczności po obu stronach oceanu. Grały po mistrzowsku na skrzypcach i cymbałkach. Umiały tak zsynchronizować swoje ruchy, że tańczyły, i to każda ze swoim partnerem! Ponieważ były również zalotne, kręciło się wokół nich sporo kawalerów. W 1910 roku brzuch Róży powiększył się niepokojąco i wkrótce obie bliźniaczki trafiły do szpitala. Ponieważ miały wspólną tę damską rzecz, którą nazywa się «naczyniem rozkoszy», dziecko rodziły obie!

Szczegóły ich intymnego życia ogromnie zainteresowały lekarzy i prasę. Siostry zdradziły niektóre sekrety swej sypialni, choć ich zwierzenia różniły się nieco. Róża twierdziła, że kochała się z mężczyzną, Józefa przysięgała, że nie brała udziału w miłosnych igraszkach. Wypowiedź pruderyjnej siostry rozzłościła Różę. Oświadczyła publicznie, że obie, podczas stosunku, doznają takiej samej przyjemności.

Ujawnił się również ojciec dziecka, a nawet poprosił Różę o rękę, ale żaden urząd żadnego z amerykańskich stanów nie chciał udzielić im ślubu w obawie przed oskarżeniem o bigamię".

- Te to miały problem! - westchnęła Edzia, której jej własne rozterki wydały się nagle całkiem niewielkie. - Dzielić się jednym facetem i całe życie chodzić w jednych majtkach!

„Również najstłynniejsi w historii syjamscy bracia mieli zupełnie różne charaktery. Eng i Chang byli zrosnięci w okolicy mostka i mieli wspólną wątrobę. Przyszli na świat w 1811 roku w Syjamie (dzisiejsza Tajlandia). Ich imiona znaczą w rodzinnym języku: «lewy» i «prawy». Zanim stali się sławni i bogaci w Ameryce, zaznali biedy w rodzinnym kraju. Gdy mieli 8 lat, zmarł im ojciec. Nie mając wyjścia,

matka wysłała ich na zarobek - zaczęli jako domokrażni handlarze rozprawiać po wsiach towary. Okazali się wkrótce bezkonkurencyjni. Nie znalazł się nikt, kto nie chciałby wpuścić do swojego domu tej osobliwej pary. Szybko stali się tak sławni, że dowiedział się o nich sam król Syjamu. Zaprosił chłopców do swojego pałacu w Bangkoku, skąd już ich nie wypuścił. Żyli teraz w luksusie, uczestniczyli w ucztach i dworskich ceremoniach, bawiąc króla i jego gości. Tam też ujrzał ich bystry Anglik nazwiskiem Hunter, który w mig pojął, że bracia mogą stać się dla niego prawdziwą żyłą złota. Król nie miał jednak zamiaru pozbywać się bliźniaków, nie chciał nawet słyszeć o tym, by opuścili jego dwór. Dopiero gdy Hunter powiedział mu, że chłopcy zrobią w szerokim świecie znakomitą reklamę jego państwa, zdecydował się rozstać ze swoimi żywymi maskotkami.

I tak Eng i Chang przyjechali do Bostonu, stając się z miejsca niebywałą atrakcją. Na ich występy, organizowane przez Huntera, waliły tłumy. W Londynie pokazywano ich w muzeum Egyptian Hall. Przyjechała nawet cała rodzina królewska, by obejrzeć ten dziw natury. Wkrótce jeździli po całej Europie i Stanach Zjednoczonych, kasując, na spółkę ze swoim menedżerem, ogromne pieniądze.

Zgromadziwszy fortunę, wycofali się z życia „artystycznego” i kupili farmę w Karolinie Południowej. Odtąd wiodli spokojny farmerski żywot, uprawiając ziemię i hodując bydło. Nie zrezygnowali bynajmniej z życia osobistego. Poślubili Adelajdę i Sarę - sympatyczne siostry, córki miejscowego pastora. Kochali się z żonami w trzyosobowej sypialni (trzy noce z jedną, trzy następne z drugą) i dorobili się w sumie 22 dzieci!

W 1874 roku Chang zapadł na bronchit, pociągając za sobą do łóżka zdrowego Enga. Bronchit przeszedł w ciężkie zapalenie płuc. Którejś nocy Eng obudził się i zdał sobie sprawę, że jego brat nie żyje. «Jestem zgubiony! Wybiła mo-

ja godzina!" - krzyknął i dostał gwałtownych drgawek. Zmarł cztery godziny po śmierci brata".

No proszę - pomyślała Edzia - wychodzi na to, że ona sama i ta druga miały więcej szczęścia. Jeżeli już... Jeżeli w ogóle... Załapały się na opcję „soft”, połączenie jedynie kawałkiem skóry...

No ale to przecież bzdury, a ona tylko traci czas. To przez tego Oyamę, to on tak na nią wpływa... profesor Wilczur!

Oderwała się od komputera, bo właśnie ktoś zadzwonił do drzwi. Nikogo się nie spodziewała i w związku z tym nie była specjalnie ubrana. Ani uczesana. Ani leż umalowana.

Ani tym bardziej w nastroju.

Wyglądała jak ryba z wody, może z gatunku tych bardziej tropikalnych, ze względu na kolorowe paznokcie u stóp. Postanowiła więc udać, że nie ma jej w domu i w związku z tym nie otwierać.

Kot spojrział na nią z niemym wyrzutem, na co Edzia wzruszyła ramionami i nie otwierała dalej. Ale dzwonek dzwonił i dzwonił. Ten ktoś po drugiej stronie nie dawał za wygraną.

Tym kimś był Marian.

Marian we własnej, wymuskaney i niezwykle męskiej osobie. Nagły i niezapowiedziany Marian. Marian, który z całą pewnością nie powinien oglądać Edzi w tak żałośnie wymoczkowatym stanie.

Hmmm...

Komu jak komu, ale Marianowi Edzia nie mogła się oprzeć. Nie mogła, ale i nie chciała. Postanowiła więc nie udawać dłużej, że nie ma jej w domu. No bo przecież była.

Jeszcze raz łypnęła przez wizjer i grzecznie przeprosiła Mariana za drzwiami. A potem zrobiła ze sobą, co tylko w tak krótkim czasie mogła, czyli pobieżny makijaż i zmianę dekoracji. Zmiana dekoracji polegała na błyskawicznym

okręceniu się szlafrokiem, ale już innym. Nie błękitnym w infantylne chmurki, tylko czarnym w chińskie smoki, jak z wiedeńskiego domu uciech. Otworzyła drzwi.

Najpierw wszedł purpurowy bukiet róż wielkości młyńskiego koła. A potem cała, powabna i pachnąca, reszta Mariana.

Chyba nie poprosi mnie o rękę? przestraszyła się Edzia. I na wszelki wypadek odezwała się pierwsza. Bo przecież i ona miała mu coś do powiedzenia.

- Marian... Marian... Muszę ci coś powiedzieć.,.

- Wiem, wiem... - powiedział nieuważnie, nawet jakby trochę zniecierpliwiony.

- Wiesz? - zdziwiła się Edzia. No bo skąd miałby wiedzieć, skąd? - Ale co wiesz? Bo ja byłam u lekarza z tą blizną i...

- Wiem, wiem...! - powtórzył Marian z niedokładnie maskowaną niecierpliwością. - Ale nie teraz, nie teraz, później...

Przycisnął ją do siebie gwałtownie, w czym bukiet na pewno mu nie pomagał i zamknął usta tak namiętym pocałunkiem, wobec którego to, kto co i skąd wie, zrobiło się nagle nieważne jak przeterminowana recepta na prozac.

A potem teatralnym gestem wyciągnął do niej rękę z bukietem. I, swoim zwyczajem, spojrzał Edzi w oczy. Bardzo, bardzo przeciągle spojrzał. Spojrzenie to, o zdecydowanie seksualnym podtekście, ładnie kontrastowało z jasnym garniturem i ciemną, ale jeszcze w dobrym guście, opalenizną Mariana.

A on trzymał i trzymał te róże. I patrzył. Tak, że Edzia musiała jakoś zareagować.

- To... dla mnie? - zapytała, uważając bardzo, żeby nie zabrzmiało to zbyt kokieteryjnie. No i nieskromnie. Tylko jak najbardziej naturalnie i może nawet trochę obojętnie.

Ale i tak wyszło, jakby w życiu nic dostała żadnego kwiatka od faceta.

- Dla pięknej kobiety piękne kwiaty! - Marian skłonił głowę z wdziękiem. Pewnie położyłby sobie rękę na piersi, ale przecież już trzymał ten bukiet, więc obie ręce miał zajęte.

- Ale jak to... tak po prostu? - Edzia zakrygowała się jeszcze pro forma. - Bo przecież nie mam dziś urodzin ani imienin...

- Tak po prostu. Na pamiątkę wczorajszej nocy... - Marian wcale nie spuścił oczu - ... i z nieśmiałą nadzieją na następne...

Co było robić w takiej sytuacji.

Zrobili to więc dwa razy na rozgrzebanym łóżku Edzi (dobrze, że zdążyłam zmienić pościel po tym sierściuchu, pomyślała w locie), zrobili to z wielką przyjemnością i w małych odstępach czasu. A kiedy szykowali się do kolejnego podejścia...

To chyba wtedy coś poszło nie tak. Ale co?

I Edzia do dzisiaj nie wie, czy to w końcu była jej wina, czy nic.

No więc kiedy byli już po i Marian leżał bezwładnie na Edzi tak samo jak raz i dwa razy temu, a Edzia cały czas była w siódmym niebie...

To właśnie wtedy on leżał i leżał.

I leżał.

Jednak trwało to dosyć długo... Trochę za długo.

Zwłaszcza że Marian swoje ważył, jak to dobrze odżywiony samiec metr osiemdziesiąt w sile wieku. I gdyby nie był Marianem, na pewno już by nie leżał na Edzi.

Już Edzia wiedziała, jak się pozbyć wykorzystanego męskiego balastu.

Jednak Marian był jak najbardziej Marianem i Edzi było jakoś niezręcznie tak go po prostu z siebie zrzucić. Niezręcznie

i niekobieco. Bo Edzia przy Marianie starała się być przede wszystkim kobieca. I jak na razie nieźle jej szło.

Miała nadzieję, że wyczerpany chwilowo kochanek lada moment sam się podniesie, żeby pójść do łazienki i przepłukać zęby, jak to zwyczajowo robił przed następnym seks-starciem.

Ale nie wstawał. No nie wstawał i już.

Leżał i leżał, a z każdą sekundą był coraz cięższy. Edzia poruszyła się pod nim znacząco i nawet mruknęła mu do ucha, nieudolnie imitując kocie zadowolenie, ale to nic nie dało.

Więc udała, że chce sięgnąć po zegarek na stoliku. Ale też nie.

- Marian... - szepnęła Marianowi do ucha najczulej, jak potrafiła. Czyli naprawdę dość czule. Wdmuchnęła mu do ucha gorące powietrze, powoli, powolutku i pocałowała na koniec. Każdy facet jakoś by na to zareagował, każdy.

Ale nie Marian, chociaż bez wątpienia był facetem,

- Marian... która godzina?-zapytała Edzia z głupia frant.

Nie odpowiedział. Zresztą i tak nie miał zegarka. Ale nawet się nic poruszył, nawet nie otworzył oka. Co już Edzię trochę zaniepokoiło.

- Marian? - zagadnęła nieco głośniej.

- Marian!

- Wszystko w porządku?

- Marian... Dobrze się czujesz?

- Marian, nie wygłupiaj się!

- Marian!

A Marian nic odpowiadał. Nic ruszał się ani nie reagował w żaden inny sposób. Edzia przeraziła się nic na żarty.

Potrząsnęła Marianem z całej siły, nie dbając już ani o kobiecą delikatność, ani też o korzystne postosunkowe wrażenie. Ale Marian wciąż nie reagował. W końcu wysunęła się spod niego, cała spocona z wysiłku i strachu, i miotając się po pokoju jak oszalała, gorączkowo szukała czegoś do ubrania, co oczywiście leżało na wierzchu, przed jej oczami, i co przecież w końcu znalazła. Czarnozłoty szlafroczek w smoki. Zawiązała go pośpiesznie, zerkając na łóżko, czy Marian jednak przypadkiem nie wstał, żeby przepłukać zęby...

Ale Marian prezentował totalny brak reakcji na cokolwiek. Zamknięte oczy, matowe włosy, nieruchoma twarz... To w tej chwili był cały Marian.

I wszystko wskazywało na to, że tak już raczej pozostanie.

Co to, to nie! Edzia nie mogła do tego dopuścić.

- Marian... wstawaj! Wstawaj, proszę cię! Marian, przecież zaraz masz zdjęcia! - poklepała go zachęcająco po policzkach, najpierw delikatnie, potem mocniej i mocniej, aż jej ręce zostawiły purpurowe ślady na jego twarzy. Co normalnie obudziłoby umarłego.

Ale nie Mariana.

- Marian! Marian, Boże, co robić! Co robić?! Ratować. Ratować!

- No tak, no tak! Ratować! Dzwonić na pogotowie! I na policję! - Mówiła sama do siebie, na głos i w dodatku dość nerwowo. - Robią tak w filmach, prawda? Znajdują trupa, upewniają się, że na sto procent trup, i zaraz dzwonią na pogotowie... i na policję... Ale jakiego trupa! Jakiego trupa...? Boże, Boże przecież on żyje...! Dobra, to na policję i na pogotowie... Dzwonię... Dziewięć dziewięć siedem. Czy dziewięć? Ale co najpierw? Co najpierw? Może pogotowie, żeby mogło stwierdzić zgon... Zaraz zaraz, jaki zgon...?!

Zdyszana Edzia usiadła na skraju łóżka, tuż przy coraz bardziej nieruchomym Marianie. Ale żeby zrobić sobie miejsce, musiała przesunąć jego nogę.

Noga Mariana była bardzo ciężka.

- O mamó, co robić! Co... robić...?! - Nasiąknięty przerażeniem głos odbił się od ściany i wrócił do niej jak obcy dźwięk. To ja mam taki głos? - zdziwiła się Edzia. - Dziwne...

Nagle coś znieacka dotknęło jej pleców, aż podskoczyła z przestachu. Ale niepotrzebnie, bo to wcale nie był Marian, tylko kot. Ten sam, co zawsze.

Edzia odetchnęła z ulgą.

- Kot...? Co ty tu robisz? Spadaj stąd, bo tylko przeszkadzasz! No i ślady zacierasz...

Kot jednak nie dał się przepłoszyć tak łatwo, ponieważ uznał, że dzieją się tu zbyt intrygujące rzeczy, żeby mogło go przy tym nie być. Edzia wzięła więc rudego na ręce i przycisnęła do siebie z całej siły. Chyba nawet trochę za mocno, bo kot o mało się nie zadławił i otworzył pyszczek jak ryba, żeby nabrać choć trochę powietrza.

I właśnie to sprawiło, że w Edzi zakiełkowała bardzo konkretna myśl. Ratownicza myśl! Żeby może spróbować ratować bardziej aktywnie...? Znaczą własnoręcznie.

Edzia nigdy nie należała do harcerstwa, nie była więc specjalnie przeszkolona w fachowym ratowaniu życia bliźnim, jak również w stwierdzaniu, czy takowe jeszcze się tli.

Postanowiła jednak spróbować.

Pogrzebała w toalecie i wyciągnęła małe, okrągłe lusterko z Kylie Minouge po drugiej stronie, bo tylko takie akurat miała. Przystawiła Marianowi do ust - podpatrzyła to w jakimś *Kojaku* czy innym *Brudnym Harrym*. Stąd wiedziała, że lusterko powinno zaparować.

Jeżeli, oczywiście, pacjent oddycha.

Lusterko nawet trochę zaparowało, ale Edzia nie wiedziała, czy to od jej spotniałych palców, czy od oddechu Mariana.

Dla pewności przystawiła jeszcze ucho do jego ust. Zero podmuchu. Tak więc dalej nie była pewna, czy Marian oddycha. Raz jej się nawet wydało, że tak i już sama miała odetchnąć z ulgą, ale po dłuższej chwili uważnego przyglądania się jego twarzy i całej reszcie Edzia doszła do wniosku, że chyba jednak nie oddycha. Nie oddycha i, co gorsza, jakby trochę... zmienia kolor.

Na gorszy.

Co, kiedy myślała o tym później, już na trzeźwo i z dystansem, było zwyczajnie niemożliwe. Musiało więc być jedynie autosugestią i mamidtem przerażonego umysłu.

- Marian, Marian! Marian, błagam cię... - W odruchu rozpaczy Edzia potrząsnęła jego bezwładną ręką.

„Nie odchodź”, dokończyła w myśli patetycznie. Zdziwiła się, co też jej przychodzi do głowy w takiej chwili i przez moment była nawet zadowolona, że Marian tego nie słyszał. Co gorsza, przyszło jej również do głowy, żeby może jakoś inaczej wzbudzić w nim jakieś oznaki życia. Tak może jakby bardziej... oralnie...?

Hmmm...

Jednak zaraz odrzuciła tę myśl jako niesmaczną.

Czas płynął, a Marian nadal raczej nie oddychał. I nawet Edzia zdawała sobie sprawę z tego, że coś takiego nie rokuje dobrze. Ale nadal nie dawała za wygraną.

Nerwowo poszukała tętna na szyi. Nie była pewna, po której stronie powinno się znajdować, więc szukała po obu.

Nie znalazła ani po jednej, ani po drugiej.

Ani na szyi, ani na rękach, bo tam też, miała o tym dość ogólne pojęcie, powinno znajdować się tętno. Nigdzie go jednak nie było, a czas uciekał. Uciekał cały czas, co nie było dobre, zwłaszcza dla Mariana. Edzia postanowiła więc wypróbować coś innego.

Postanowiła otworzyć oko Mariana, żeby złapać z nim kontakt wzrokowy. Uznała, że jedno w zupełności wystarczy.

Nic było to takie proste, ponieważ obie powieki, górna i dolna, trzymały się siebie kurczowo, tak jakby Marian specjalnie je zaciskał. Ale Edzia chwyciła rzesy Mariana w dwa palce, szczęśliwie rzesy miał grube i gęste, zdecydowanym ruchem odciągnęła powiekę do góry. I oto jej zaniepokojonym oczom ukazało się białe, spokojnie pływające, rybnie oko Mariana.

Normalnie takiego nie miał. Znaczy na co dzień.

Edzia wzdrygnęła się z obrzydzenia, bo oko naprawdę nie wyglądało szczególnie apetycznie. Ani też żywo. Przeraziła się tego oka i momentalnie zapomniała, że przecież odsłoniła je z takim trudem po to, żeby poświecić latarką, chociaż przy sobie miała tylko zapalniczkę. No i zbadać reakcję źrenicy na światło. Czy ona w ogóle występuje, ta reakcja. Bo jak tak, to może jeszcze nie wszystko stracone?

Tak mówiła Nika, która była przecież detektywem!

Ale oko Mariana zrobiło tak wstrząsające wrażenie na Edzi, że puściła w panice rzesy Mariana, a powieka z cichym plaśnięciem doskoczyła do drugiej. Oko się zamknęło i było po wszystkim.

- Nie, nie, to na nic... dzwonię! - postanowiła Edzia, chociaż na dobrą sprawę powinna zadzwonić dawno temu. - No to dzwonię!

1 zadzwoniła.

- Hallooo? - usłyszała w słuchawce głęboki kobiecy głos. Dojrzały głos, z całą pewnością bardzo dojrzały, ale jeszcze kokieteryjny. - Hallooo... tu pogotowie, słucham.

- Halo, hal...

- Hallooo, pogotowie. Słucham - powtórzyła kobieta już nieco mniej kokieteryjnie.

- Halo... proszę pani, tu jest mężczyzna... i... ja nie wiem, czy... czy żyje!!

- Edzia zaniósła się szlochem, bo właśnie uświadomiła sobie, co powiedziała. *I co to właściwie znaczy.*

A przecież zrobili to dziś dopiero trzy razy.

- Proszę podać objawy - powiedziało służbowo Pogotowie. -1 adres. I proszę się uspokoić.

Edzia nie mogła wydobyć z siebie głosu, co po drugiej stronie słuchawki brzmiało jak próba zaczerpnięcia powietrza przez nadepniętą żabę.

- Proszę się uspokoić, usiąść - Pogotowie zabrzmiało trochę łagodniej. - Usiąść proszę! Wypić coś.

- Wódka może być? - upewniła się Edzia na wszelki wypadek.

- Myślałam o szklance wody - powiedziało Pogotowie niezbyt przyjaźnie.

- Ale rozumiem, że każdego uspokaja co innego... Proszę jeszcze raz powiedzieć, o co chodzi. Powoli i wyraźnie. Muszę zapisać dane.

- Dobrze, dobrze - Edzia poszła za radą Pogotowia i pociągnęła łyk prosto z butelki. - Leży tu mężczyzna. Biały, łat... trochę po czterdziestce.

Niekarany.

- Gdzie dokładnie leży. Adres. Edzia podała adres.

- Dane tego mężczyzny. Imię i nazwisko.

Edzia podała i uprzedzając następne pytanie Pogotowia, wyjaśniła, że tak, to właśnie ten Marian. Ten sam. Ten z *Cyrku*.

- I dlatego prosiłabym o dyskrecję - poprosiła. - No i jak najszybszy przyjazd!

Ale na Pogotowiu nie zrobiło to wrażenia. Żadnego.

- Wic pani, po kogo my przyjeżdżamy? Ho hoo! Nie po takich przyjeżdżamy, niech mi pani wierzy! A nazwisko takie mówi pani coś? - Tu padło nazwisko, które rzeczywiście coś Edzi mówiło.

- Zawał miał w zeszłym tygodniu... Zdążyliśmy w ostatniej chwili. Albo taki jeden... Jeżyna Jerzy... zna pani?

Edzia знаła.

- No. To zabraliśmy go niedawno z planu, jak mu rozrusznik wysiadł... swoją drogą to taka dziwna sprawa była...

z tym rozrusznikiem... Ale co ja tu pani mówię, przecież ja nie mogę takich rzeczy opowiadać! - zmitygowało się Pogotowie. - Bo się nagrywa... I znowu nagana i po premii...! Nic pani nie mówiam, dobrze?

- Dobrze, dobrze... - zgodziła się Edzia. - Ale... proszę pani... on tu cały czas leży! Ja... ja nie wiem, czy jest po co przyjeżdżać!

- Zawsze jest po co! Nie wyparuje przecież! - pocieszyło ją Pogotowie. - Nietrzeźwy?

- Dlaczego nietrzeźwy? - zdziwiła się Edzia. - Trzeźwy! Jak najbardziej trzeźwy!

- Jest pani pewna - Pogotowie zapisywało cały czas.

- Jasne, że tak. Nic nie piliśmy, prawda, Marian? Marian ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

- Oddycha?

- Nie wiem... nie wiem! Próbowałam sprawdzić, ale... - Edzia pociągnęła nosem. - Nie ma też tętna. Przynajmniej ja nie znalazłam...

- Od jak dawna?

- Co od jak dawna?

- Od jak dawna leży w bezdechu.

- Od... jakichś dziesięciu minut.

- Dziesięciu... - Pogotowie dokładnie wszystko zapisywało.

- Piętnastu - poprawiła się Edzia na wszelki wypadek, co Pogotowie również zanotowało skrupulatnie. I zapytało zniemacka:

- Czynność serca jest?

- Nie wiem, nie wiem... - zaszlochała nagle Edzia. - Nie wyczuwam...

- Nie wyczuwa... gdzie stracił oddech?

- No... w płucach chyba... - sprecyzowała Edzia przez łzy. Pogotowie westchnęło ciężko. Ciężko i znacząco.

- Miejsce zdarzenia.

- ... w łóżku.

- Podczas snu? - dociekało Pogotowie.

- Nno nie...

- W jakich okolicznościach.

- No wie pani... - Edzia zawahała się trochę.

- Nie wiem. Ale pani chyba wie? - wyraziło nadzieję Pogotowie.

Edzia znów spojrzała na Mariana, który wciąż leżał nieruchomo i nagle uświadomiła sobie, że to wszystko dzieje się naprawdę. Że to wcale nie jest film.

- Proszę pani, niech ktoś tu przyjedzie! Błagam! Przecież on się w ogóle nie rusza! My tu sobie gawędzimy, a on... Nie ruszył się przez cały ten czas! A może właśnie teraz zachodzą nieodwracalne zmiany w mózgu! I on już nigdy nie będzie taki sam! - rozszłochała się Edzia, bo nagi, bezwładny Marian, którego cały czas miała przed oczyma, przedstawiał sobą naprawdę smutny widok. Zwłaszcza w porównaniu z tym, co wyprawiał z Edzią zaledwie pół godziny temu.

Ni stąd, ni zowąd przyszło Edzi na myśl, że Marian jutro nie pojedzie na zdjęcia. Raczej nic.

O cholera!

1 co będzie? Marian, owszem, miał zginąć, ale przecież nie tak od razu! No i nie na poważnie! Jutro ma przecież trzy duże sceny, w tym dwie ze zwierzętami! I jedna scena zbiorowa, z widownią... Marian i trzydziestu statystów. No i jeszcze krojenie kobiety na części... Marian będzie potrzebny! Gdzie tam potrzebny! Marian będzie po prostu niezbędny.

Żyje czy nie, trzeba go jak najszybciej postawić na nogi.

- No dobrze - westchnęło Pogotowie. - Wysyłam karetkę. Mam nadzieje, że to nie jest jakiś żart. Bo wie pani, że za nieuzasadnione wezwanie... płacimy?

- To jest uzasadnione wezwanie! - oburzyła się Edzia. - Przecież on się cały czas nie rusza!

- Przyjęłam - oświadczyło Pogotowie i wyłączyło się. Teraz pozostało Edzi jedynie miotać się po mieszkaniu w nerwowym oczekiwaniu. Wyciągnęła z lodówki puszkę kukurydzy i zjadła, chodząc w kółko po kuchni. Kot dreptał za nią uparcie, ocierając się nieprzypadkiem ogonem o jej nogi, a Marian wciąż leżał. A może usta - usta...? Nie, tego nie robi. No bo jak on jednak nie żyje...? Nie, nie robi tego! Nawet z Marianem. Zresztą teraz to wołała niczego nie ruszać. Boże, kiedy oni w końcu przyjadą!

Na szczęście nie czekała długo.

Edzia zdążyła już wyjść wszystkie ananasy z puszki, bo po kukurydzy zrobiło się jej jakoś mdło. Wyjedenie ananasów zajęło jej mniej więcej dziesięć minut. Nawet mniej niż więcej. Ale trzeba przyznać, że jadła dość szybko, jeden plaster za drugim.

I kiedy po ostatnim krążku zostało kilka rozgryzionych włókien między zębami, zadzwonił dzwonek u drzwi. Zadzwonił w sposób tak zdecydowany i niecierpliwy, że Edzia, nie zadając zbędnych pytań, natychmiast otworzyła drzwi.

Do mieszkania weszło dwóch młodych sanitariuszy z noszami i jeden brodaty lekarz, wyższy od nich co najmniej o głowę. Miał na sobie biały kitel, tak ciasny, że ledwo opinał jego muskularne ramiona. Wyglądało, że wystarczy jeden gwałtowniejszy ruch i fartuch popęka na nim jak polewa na pierniku.

- Tutaj leży? - upewnił się lekarz na wszelki wypadek. O dziwo, głos miał nadspodziewanie wysoki. Ten głos zupełnie nie pasował do jego potężnej, wzbudzającej respekt już od pierwszego wejrzenia postury.

- Tutaj, tutaj! - przytaknęła nerwowo Edzia. - Tędy, panowie, proszę.

Sanitariusze spojrzeli z ciekawością na Edzię, a zwłaszcza na jej niedokładnie zawiązany szlafrok w smoki. Na tyle niedokładnie, że właściwie mogłaby go nie mieć.

Na szczęście zauważyła to dopiero po ich wyjściu.

Nagi Marian nadal leżał na łóżku, prezentując swoje wdzięki w całej okazałości. Lekarz obejrzał go dokładnie, sprawdził tętno i nacisnął z wyczuciem w kilku miejscach, zwłaszcza przy sercu.

Ale Edzia nie widziała wszystkiego zbyt dobrze, ponieważ lekarz zasłonił jej większą część Mariana swoimi szerokimi plecami. I pewnie dlatego, kiedy później, już po wszystkim Jeżyna prosił ją o szczegóły, Edzia niewiele miała do powiedzenia.

- Niczego przy pani nie zażywał, nie pił podejrzanych płynów? - spytał lekarz jednym tchem, wciąż żwawo krzątając się przy Marianie. -

Alkohol, inne używki? Narkotyki miękkie, twarde?

- Nie, nic takiego! - zaprzeczyła gwałtownie Edzia.

- Wstrzyknięcia dożylnie podejrzanych substancji?

- Nie, nie, na pewno nie...

Lekarz ciężko osiadł na krześle. Wyglądał na porządnie zmęczonego, zwłaszcza na twarzy. Podparł głowę bochnowatą dłonią i zapytał, patrząc Edzi prosto w oczy. A wzrok miał ojcowski i taki bardziej współczujący. Tak więc zapytał:

- Jak to się stało? Okoliczności, szczegóły? Dokładna godzina?

Na co Edzia rozplakała się nagle i gwałtownie, chociaż wcześniej postanowiła raczej tego nie robić. Ale on, ten lekarz, naprawdę niepotrzebnie tak patrzył.

- Co z nim, doktorze?! - zapytała, pośpiesznie ocierając łzy. - Bo... bo przecież on się dalej nie rusza!

Sanitariusze wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Jeden z nich tupnął na kota, który właśnie metodycznie i niezwykle starannie obwąchiwał jego buty.

Lekarz z delikatnością, spotykaną u tych nielicznych lekarzy, którzy nie chcą tak bezceremonialnie i byle gdzie

oznajmiać niekoniecznie dobre nowiny, ujął ją za ramię i wyprowadził z sypialni.

Sanitariusze podreptali za nimi w milczeniu.

- Gdzie możemy spokojnie porozmawiać? - zapytał lekarz, kiedy na moment zatrzymali się w korytarzu. W dużym lustrze odbijały się jego szerokie plecy i kilka grubych kropli potu na karku.

- Tutaj...? - Edzia machnęła ręką w kierunku zielonej kanapy.

Kiedy już usiedli, doktor wyjął z teczki paczkę chusteczek. Rozerwał szeleszczącą folię i wyciągnął jedną z nich.

- No dobrze - powiedział, powolnym ruchem ocierając czoło. - To teraz słucham panią. Jak to wszystko się odbyło?

Edzia spojrzała ze zdziwieniem na sanitariuszy, jakby u nich szukała pomocy. A oni spojrzeli na nią. Z tym, że oni jednak patrzyli niżej.

- Ale... Jak to? To... to chyba ja pana słucham? Bo przecież Marian... tam...

- Słucham panią - powtórzył uparcie i już nie tak ojcowsko. W każdym razie nie tak bardzo.

Edzia pomyślała, że może jednak lepiej opowiedzieć, jak było. Skoro on tak nalega. Może naprawdę ma jakiś ważny powód?

- Czy... czy panowie mogliby wyjść? - poprosiła tylko.

- Przepraszam, ale...

Sanitariusze spojrzeli na lekarza. Dał im znak oczami.

- To może my na korytarzu poczekamy, panie doktorze?

- powiedział ten niższy. - Na klatce?

- Dobrze, panowie, za chwilę was poproszę - kiwnął głową lekarz. - Aha, i zadzwońcie ... wiecie gdzie.

- Słucham panią - zwrócił się do Edzi, kiedy już wyszli.

- Widzi pan... - powiedziała, starannie wydmuchując nos. - Z tymi panami, to... bo głupio mi o tym mówić... tak przy ludziach.

- Tak? A dlaczego? - zainteresował się lekarz.

- Bo... - zawahała się Edzia. - ... no bo to się stało... w łóżku. No wie pan, z Marianem...

O dziwo, na lekarzu nie zrobiło to specjalnego wrażenia.

- Taaak... - powiedział tylko znad okularów. - W łóżku. W jakiejś szczególnej sytuacji?

Edzia skrzywiła się w sobie.

- Żartuje pan, doktorze? Widzi pan przecież, jak tu wszystko wygląda? Łóżko rozbabrane.. my nago... zwłaszcza on. To... to chyba oczywiste? Lekarz pokiwał głową. Jako lekarz pogotowia ratunkowego niejedno już widział i mało co było go w stanie tak naprawdę zdziwić. Więc powiedział tylko:

- Taak... Niech pani mówi dalej. Ja słucham.

- No... to się stało... po trzecim razie. Nagle znieruchomiał. I tak do teraz... Po prostu przestał się ruszać i tak jakby... zastygł? Co z nim, panie doktorze?

Lekarz westchnął ciężko. Miał za sobą naprawdę ciężki dzień. Jedyne, o czym teraz marzył, to święty spokój. Ale akurat tego nikt mu nie chciał dać.

- Ja tu już nic mam nic do roboty - oznajmił, obracając w serdclkowatych palcach paczkę jednorazowych chusteczek i przyglądając się uważnie napisom na opakowaniu.

- Jak to? - przestraszyła się Edzia. - A co z nim?

- Przykro mi - powiedział przeprasząco lekarz. - Ja mogę tylko stwierdzić zgon i zawiadomić kogo należy... Nic więcej nie mogę, proszę mi wierzyć.

- To... to on naprawdę... nie żyje...? Panie doktorze...?

- Przykro mi - powtórzył.

- Ale... czy na pewno? Może by pan sprawdził jeszcze raz...? - poprosiła Edzia.

Lekarz popatrzył na nią z jakąś szczególną uwagą, jak na rzadki okaz owada. Takiej na przykład modliszki.

- Zaraz przyjedzie tutaj lekarz sądowy - powiedział, wstając.

Najwyraźniej zbierał się do wyjścia. - Ja jeszcze

mogę pani podać takie kropelki... Nie będzie się pani tak denerwować... cukier pani ma? I łyżeczkę.

Edzia, jak automat, podała mu jedno i drugie. I zjadła z łyżeczki wszystko, co jej podsunął. A potem podniosła z podłogi kota, który kręcił się przy jej nogach i przycisnęła go do siebie jak poduszkę.

- Mam tylko nadzieję, że to nie był dla pani nikt... szczególnie bliski... - powiedział lekarz niezbyt przekonująco, ponieważ wszystkie okoliczności dookoła wskazywały na coś zgoła przeciwnego. Edzia nie miała siły potwierdzić ani zaprzeczyć.

- Jak to... sądowy? - zapytała zupełnie bez związku z tym, co miała teraz w głowie i w sercu.

Lekarz pozbierał już swoje narzędzia i właśnie zapinał torbę ze świńskiej skóry.

- Nie jestem pewien, czy to naturalny zgon, prawda... To trzeba ustalić. Wyjaśni to sekcja zwłok i... co tam jeszcze będzie trzeba. Na pewno stało się to w dość... niezwykłych okolicznościach. Chociaż nie powiem... w ramionach pięknej kobiety... - westchnął, wycierając na koniec zaparowane szkła okularów w rąbek białego fartucha. - Nie, no co ja mówię, przepraszam panią.

- A... policja? - Edzi zadrżał głos. - Chyba... Czy powinnam zadzwonić... na policję?

- Policja zaraz będzie - uspokoił ją lekarz. - I niech pani nie ściska tak tego kota, bo jeszcze mu pani kark skreśli. A ja już wychodzę i na pewno nie będę go ratował - powiedział, zamykając za sobą drzwi. Prawdopodobnie po to, żeby ją na koniec trochę rozweselić.

Kiedy zabierali Mariana, Edzia pozbierała wszystkie jego rzeczy, włącznie z kilkoma zużytymi wykałaczkami oraz tubką oczyszczającej maseczki z zielonej gliny, która przecież musiała być Mariana, bo Edzia takiej nie używała.

Po Marianie nie pozostał żaden ślad. Przynajmniej w domu Edzi. Oprócz, oczywiście, okazałego bukietu róż, który Edzia wystawiła na balkon, ponieważ nie mogła znieść ich duszącego zapachu. Na balkonie szybko zainteresował się nimi kot, który koniecznie chciał wiedzieć, gdzie kończy się długa, czerwona wstążka, fantazyjnie zwisająca z jednej strony bukietu. No i czy ona rzeczywiście jest taka długa. Edzia jednak nie miała już siły ani ochoty, by interweniować. Zostawiła więc i kota, i róże ich własnemu losowi i oddała się rozpaczy po Marianie. Rozpaczy w pełnym wymiarze.

Ale najpierw się ubrała, bo naprawdę zrobiło się zimno. Może dlatego, że nic miała na sobie zbyt wiele, a może dlatego, że pora była późna i trochę się ochłodziło. A może po prostu z nerwów.

Syrop, podany przez lekarza pogotowia, przestał już działać i Edzia na własnym żołądku odczuła zgubne skutki umierania kochanków w jej własnym łóżku. Kierowana wewnętrznym przymusem pobiegła do łazienki i jednym ruchem pozbyła się kukurydzy z puszki oraz ananasów w plasterkach. Co do sztuki.

I po chwili mogła już jeść od nowa.

Płakała jeszcze długo, a potem postanowiła się położyć. Obiecała przecież Jeżynie, że rano pojawi się na zdjęciach i dobrze byłoby być w jakiej takiej formie.

Nagle poraziła ją myśl, że ona może się i stawi, ale Marian...? Marian to już raczej nie... No, chyba żeby coś się zmieniło, ale trudno było na to liczyć.

A zaraz potem pocieszyła się, że... że przecież ona żyje. Żyje! To, trzeba przyznać, w tej sytuacji był jakiś plus. Zawsze to coś... Żyje... żyje i... i będzie tu spać. Sama! W tym mieszkaniu. W tym łóżku. W tym łóżku, gdzie Marian...

No, to akurat był minus. To był bardzo duży, zdecydowanie minusowy minus,

Nie, Edzia nie była znowu taka, żeby od razu bać się duchów czy coś w tym rodzaju... Nic podobnego! Edzia była zawsze bardzo racjonalną i trzeźwo myślącą osobą.

No, może prawie zawsze.

Bo jednak myśl, że została tu sama, a kot się przecież nic liczył, nie była budująca. Przeciwnie. Była to dosyć destrukcyjna myśl, przynajmniej dla Edzi.

W pierwszym odruchu chciała zadzwonić do mamy i już nawet złapała za słuchawkę, nie bacząc na późną porę, ale... Nie, lepiej nie. No bo co mama na to? Tylko ją pewnie opierniczy, co przecież nie spowoduje, że Edzia przestanie się bać.

Mieć Mariana, Mariana we własnym łóżku i pozwolić mu uciec?! To znaczy umrzeć? Pozwolić, żeby się z tobą nie ożenił?!

Nie, nie, lepiej nie ryzykować. Mama mogłaby tego nie przeżyć. I jeszcze wyjdzie na to, że Marian, przekręcił się przez Edzię! Że to wina jej, Edzi, że mama nie zobaczy w telewizji dalszych przygód Mariana Moreny.

Mama nie... Nika? Pewnie śpi... zresztą ona ma swoje problemy, bo przecież chwilowo jest zdradzoną żoną... Maurycy? Teraz pewnie tańczy...

Ale Edzia wcale nie musiała do nikogo dzwonić.

W rogu ekranu komputera znowu wyświetliło się słoneczko. I Edzia natychmiast kliknęła myszką, oddychając z ulgą, że jeszcze przez chwilę nie będzie musiała gasić światła.

Oyama:

Hop, hop! Gdzie jesteś?

Desperado

Tutaj.

Wystukała Edzia sztywnym palcem.

Oyama:

No i co tam? Jak humorek?

Desperado:

Niespecjalnie: Trochę mi niedobrze. Porzygałam się.

No i Marian zmarł.

Oyama:

????????????????????????????????????

Jak to? Bo trochę nie rozumiem.

Oprócz tego, że się porzygałaś. Szczerze współczuję.

Mięta powinna pomóc.

Desperado:

Jak to jak. Normalnie.

Marian zmarł i teraz właśnie nie żyje.

Oyama:

© Wiesz, że nie lubię takich żartów.

Uprasza się uprzejmie o jakiś inny żart © Z gatunku niemakabrycznych.

I może też nie o blondynkach.

Desperado:

Wcale nie żartuję.

Dopiero co zabrała go policja. Z mojego domu.

Oyama:

E tam © Może on tylko udawał?

Desperado:

Wcale mi nie do śmiechu.

Oyama:

Hmmm... Powiedz coś więcej.

A może piszesz tę swoją telenowelę? To ja ci pomogę! Lubię wymyślać różne dziwne historie. Chociaż wolę takie bardziej do śmiechu.

Desperado:

Nic nie zmyślam! Marian zmarł w moim łóżku! Gdzie normalnie śpię. I co teraz? Boję się jak cholera.

Oyama:

Nie wiem, co dokładnie masz na myśli, ale... czy mogę ci jakoś pomóc? Bo chyba faktycznie nie jesteś w najlepszej formie. Czym się strułaś?

Desperado:

Nikt mi nie pomoże. A jutro zdjęcia.

Oyama:

O rany. Może jednak spróbuję?

Jestem niezły w pomaganiu. Try me! Mogę być twoją bezpłatną próbką.

Desperado:

Jak mam tu teraz mieszkać? Jak?

A jak on przyjdzie się mścić?

Oyama:

Kto taki?

Desperado:

Marian.

Oyama:

Wiesz co, ja do ciebie przyjadę.

Na razie nie wychodź z domu. Faktycznie coś ci zaszkodziło.

Desperado:

Nie, lepiej nie przyjeżdżaj.

Oyama:

Przyjadę.

Desperado:

Nie. Ani się waż!

I, jak to kobieta, po niezbyt długiej chwili wahania napisała mu swój adres.

Otworzyła drzwi, kiedy tylko dotknął dzwonka. Nie było sensu krygować się i udawać zdziwionej czy zaskoczonej przy lekturze albo innych domowych czynności-

ciach, bo i tak po Edzi od razu było widać, że czatowała przy drzwiach. Był niższy, niż myślała, i dużo młodszy. I rudy. Miał trochę za długie włosy, zwłaszcza przy uszach i tam właśnie szczególnie mu się kręciły. Nie wyglądało to najlepiej. Chłopak stał tak przez chwilę, ważąc w myślach, wejść czy nie i popatrywał na nią w milczeniu. Usunęła się trochę, żeby poczuł się trochę bardziej zaproszony, i w końcu wszedł. Przy jej nodze bezgłośnie przycupnął kot, z gracją nakrył łapy pasiastym rudobiałym ogonem i wlepił w niego bursztynowe oczy. To, że widziała go pierwszy raz na oczy, nie miało teraz żadnego znaczenia.

- Marian nie żyje - powiedziała cicho już przy wieszaku. Oyama nieśpiesznie i trochę nieśmiało rozpiął zieloną kurtkę, dużo za ciepłą jak na tę porę roku.

- Ten Marian? Ten, co ... co z nim... ten z *Cyrku*?

- Tak.

- Hmm... no tak. - Oyama nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Skupił się więc na rozplątywaniu zbitej na kamień kulki sznurowadła. O Marianie wiedział tyle, co od Edzi i jakoś podskórnie od początku go nie lubił. Może dlatego trudno mu było wykrzesać z siebie odpowiednią dawkę żalu.

- Czyli to... prawda, co napisałaś? - wołał się jeszcze upewnić. Bo w końcu nie co dzień zdarza się coś podobnego.

- Prawda - kiwnęła głową mechanicznie. Była bardzo blada.

- Jak się czujesz?

- Jak widzisz... - wzruszyła ramionami.

Chłopak popatrzył na nią ze współczuciem. Z perspektywy podłogi, rozczochrana i bez makijażu Edzia wyglądała nie najlepiej. I wyglądało na to, że dokładnie tak się czuła.

Nic kłamała, tego był pewien. Nikt by czegoś takiego nie wymyślił.

- Trochę dużo, jak na jeden dzień... - powiedział.

Nagle i niespodziewanie dla siebie samej Edzia znów poczuła łyzy na twarzy. Popłynęły cienkimi strużkami, kap, kap prosto na głowę chłopaka. No coś podobnego! Normalnie rozplakała się przed obcym i nie związanym z nią emocjonalnie facetem.

A w dodatku napłakała na niego z góry.

Oyama oderwał się wreszcie od sznurowadeł, wstał i odepchnął od siebie nagłą chęć, żeby pogłaskać Edzię po głowie. Albo po policzku. Ale nic, przecież nie można się tak spoufalać. Jeszcze się przestraszy albo zrozumie nie tak.

No bo przecież w ogóle się nie znają.

- To się stało tutaj... tutaj! W tym mieszkaniu! U mnie! I co teraz?! - wybuchnęła z rozpaczą. - Nie wiem... nie wiem, co robić...! I w ogóle... nie wiem... - Edzia zakręciła się bezradnie po kuchni-... to... to herbatę może zrobię...?

Kot deptał Edzi po piętach, próbując zajrzeć jej w oczy, nie wiadomo, czy poruszył go jej żal, czy też po prostu domagał się swojej porcji suchego żarcia.

- ... to wszystko jest takie... takie absurdalne! Chwila... przypadek... i ... i koniec! Takie rzeczy to... to tylko w filmie... A w życiu, w życiu to... nie wiadomo, jak się zachować... rozumiesz? W ogóle nie wiadomo!

Oyama przytaknął, że rozumie.

- ... i jak ja mam tu teraz mieszkać?! - Edzia ukryła twarz w dłoniach. - ... to... to ja herbatę zrobię, tak?

- Ja zrobię. Masz miętę albo krople żołądkowe?

- Tam poszukaj, w szafce.

Znalazł. A potem wyjął jej dzbanek z ręki, nalał wody do czajnika i usiadł na kanapie obok niej, kiedy tylko czajnik zaczął szumieć. Milczeli.

Oyama rozejrzał się po kuchni. Nie było tu za czysto. Porozrzucane papiery, stare gazety, resztki jedzenia, na stole zaschnięte plamy z czegoś brązowego, pod stołem rozgniecione żółtko... No i ten zapach... Trudno zresztą nazwać to zapachem, w kuchni śmierdziało jak diabli starym żarciem

czy czymś... Chyba dawno tu nikt nie zmywał... Co tu kryć - w kuchni był zwyczajny syf. Każdej innej kobiecie zrobiłoby się co najmniej głupio. Każdej, ale widać nie tej. Ta siedziała kompletnie nieczuła i machinalnie podrzucała jeden z leżących na podłodze papierków po czekoladkach Mrci palcami stóp o kolorowych paznokciach.

Kot bawił się innym papierkiem w kotka i myszkę.

Chłopak stanął przed rządkiem kubków, zawieszonych za uszy na metalowych haczykach.

- W jakim chcesz?

- W tym z kaczką - wysmarkała niewyraźnie Edzia.

Ten z kaczką to był trzeci od lewej, niebieski. Popłukał jeszcze wodą z kranu dla pewności i sądząc po tym, co wypłynęło ze środka, dobrze zrobił.

- Jadłaś coś?

- Tak - przytaknęła Edzia i wytarła nos w rękaw zielonej koszuli, którą Oyama przed chwilą powiesił na oparciu kanapy.

- A co?

- To - podniosła papierek jeszcze raz. Edel Vollmilchschokolade.

- Dużo?

Edzia wzruszyła ramionami bez słowa.

- Całe pudełko? - zapytał ostrożnie chłopak i aż go zemdliło na samą myśl.

Edzia znów wzruszyła ramionami.

- No to co.

- A coś konkretnego?

- Konkretnie to jest trzysta milionów kalorii. Chyba wystarczy, nie?

Oyama nie mógł nie przyznać jej racji, chociaż podejrzewał, że trochę się rąbnęła w obliczeniach.

- Co masz w lodówce? Edzia nic odpowiedziała.

Zajrzał więc, nie pytając o pozwolenie. Nie znalazł tam niczego takiego. W ogóle było tam niewiele czegokolwiek. A te trzy zeschnięte na kość plasterki wędliny... nie, zdecydowanie nie należało brać ich pod uwagę. Chyba, że Edzia zechciałaby sobie nimi przeciąć tętnicę szyjną, to wtedy tak.

Była w takim nastroju, że mogłoby jej to przyjść do głowy, więc chłopak dyskretnie wyrzucił do kosza skamieniałą i niosącą śmiertelne zagrożenie połówkę sopocką.

- Jajka są! - ucieszył się, wyjmując tekturowy pojemnik na 10 sztuk, z których tylko trzy miały wgniecioną z boku skorupkę. - Okej?

Wiadomość ta nie zrobiła na Edzi żadnego wrażenia, nadal w milczeniu chwyciła papierki po czekoladkach i podrzucała je do góry. Z tym, że teraz musiała być szybsza od kota, który postanowił robić to samo, używając tego samego papierka, co Edzia.

Oyama machnął jej ręką przed oczami jak rycerz Jedi.

- Jajecznicą może być. I za chwilę była gotowa.

- Jedz, jedz, to się odblokujesz.

Edzia jadła w milczeniu. Jajecznicą wcale nie była taka zła. Nie, trzeba przyznać, że była całkiem dobra. Edzia takiej nie robiła - nie przyszłoby jej do głowy dorzucić do jajek garść oliwek i surowy ogórek.

A może ona jakaś nienormalna jest, pomyślała nad jajkami. Nie zna człowieka, a wpuściła go do mieszkania, ot tak. Obcego faceta, tak po prostu. A może to jakiś zboczeniec? Gwałciciel? Gazownik albo psychopata? W końcu poznali się na forum depresja, gdzie aż roi się od pokreconych świrów... A może on jej czegoś dosypał do tych jajek? To nie było takie niemożliwe.

Ale Edzi było teraz wszystko jedno. Miała za dużo na głowie i za mało sił, żeby to wszystko znieść. Za dużo danych, za mało pamięci. Musiała zresetować mózg, i to natychmiast.

Włączyła telewizję, ale akurat leciał jakiś stary odcinek *Cyrku* i, co za ironia, właśnie w tym momencie jak najbardziej żywy Marian uprawiał dziki seks z blond akrobatką przy słoniach, więc wyłączyła czym prędzej. Włączyła muzykę, ale on ją wyłączył.

- Teraz ciebie chcę posłuchać.

- No i co ja mam z tym zrobić? - zapytała trzy kwadransy później znacznie już spokojniej, za to jeszcze mniej wyraźnie niż przedtem. - Chyba zwariuję albo co... No bo wiesz... on wziął i normalnie wyciągnął kopyta... na mnie, czujesz? Leżąc na mnie! Jak tak można? Powiedz mi, jako facet, jak tak w ogóle można?!... To jest... to jest po prostu...

- Napij się lepiej! O cholera... ta już pusta... Poczekaj, otworzę jeszcze jedną. - Powiedział Oyama, odstawiając na bok pustą butelkę merlota. Stała w karnym szeregu obok butelki z flamingiem na etykiecie i niedokończonego chilijskiego wina o trudnej do wymówienia nazwie, które okazało się wcale nie tak dobre, jak miało być.

- Wicsco... - powiedziała Edzia z nagłą szczerością, choć może niezbyt wyraźnie. - Ja to się w ogóle boję, że on tu przyjdzie... boję się... że... że będzie mnie ten... nawiedzał...!

- Naprawdę? - zdziwił się pogodnie Oyama. - Nieee... Dlaczego miałyby to robić? No, chyba żeby tutaj czegoś za... zapomnieli... Może... może lepiej sprawdź...?

Edzia wstała z kanapy może trochę krzywo, za to jeszcze o własnych siłach i już chciała gdzieś iść, ale coś jej się widać przypomniało, bo zatrzymała się wpół kroku.

- Nie, nie... przecież jego zabrali...! - machnęła ręką - ... i rzeczy też... no to chyba wszystko wziął... ze sobą...? Nic nie zapomnieli... na pewno nie!

- No to co się prze... przejmujesz? - uspokoił ją Oyama.
 - On tu już nie ma czego szukać!
 - No a zdjęcia?! - przypomniała sobie Edzia i włos zjeżył się jej na głowie.
 - Przecież on może wrócić... na zdjęcia!
 - No to co? Tam będzie dużo ludzi... może cię nie zauważy? I najwyżej utrwali się na taśmie jako ten... taki rozmazany... czekaj, jak to... ektoplazma! Najwyżej! - zbagatelizował Oyama. - Weź się już tak nie nakręcaj! Napij się lepiej!
- Edzia się napiła, ale coś jeszcze nie dawało jej spokoju.
- No i to całe dochodzenie...
- Ale Oyama jakoś nie widział problemu.
- E tam, dochodzenie... - powiedział, dolewając jej wina.
 - Podejrzana jesteś, czy co?
 - No nie... - przyznała Edzia. - Przynajmniej na razie...
 - No widzisz. Zmarł człowiek, to fakt. Człowieka szkoda! Ale przecież... to nie ty go załatwiłaś? No nie? Powiedz... powiedz mi tak w zaufaniu.,, to nie ty?
 - Oczywiście, że nie ja... - przytaknęła Edzia. - Ja... to bym go załatwiła zupełnie inaczej! W jakiś ten... przyzwoit-szy sposób... bo wiesz, oglądalność...
- Spojrzała na chłopaka dokładnie w tym momencie, w którym on spojrzał na nią. I było jasne, że myślą o tym samym. O pewnym dyskusyjnym wątku z forum depresja. Takim bardziej kontrowersyjnym wątku. Ale nie czas był teraz o tym mówić. Przynajmniej na razie.
- Nie, na pewno nie tak... - Edzia pociągnęła nosem.
 - No i przede wszystkim... na niby! Nie naprawdę! A potem by sobie... normalnie żył! A teraz co? On ma zdjęcia przecież!
 - No to sama widzisz! Skoro nie masz z tym nic wspólnego... to nie masz się czego bać! On cię na pewno nie będzie... nawiedzał...
 - Ale wiesz co...? - zapytała Edzia. - A może byś tak dzisiaj... został? Bo i tak już późno jest... Dzisiaj tylko, co? Bo trochę się jednak boję...

- Ja? - przestraszył się Oyama. - Dlaczego ja?
- Też się cy... cykasz? - Edzia domyślnie pokiwała głową. - Rozumiem... nie mogę cię lekkomyślnie narażać... na... na...
- Ja? Nie, no co ty! - zapewnił ją Oyama. - Nie mam cykora, żartujesz? Tylko... tylko trochę jestem... no wiesz... zaskoczony.
Edzia naprawdę nie miała zamiaru go zmuszać. W końcu był obcym facetem. Zapytała tylko jeszcze na wszelki wypadek:
- Ale... naprawdę myślisz, że nie przyjdzie? Na sto dwa... dzieścia procent?
Oyama nie odpowiedział. Może coś obliczał w myślach? Te procenty znaczy.
- No dobra... mogę zostać! - powiedział w końcu z ciężkim westchnieniem.
- Nno co ty? Serio? - ucieszyła się Edzia z całego serca. -Ale... ale ty pewnie masz swoje pla... plany...
- Spoko - machnął lekceważąco ręką. - Nie ma sprawy! Mogę zostać, naprawdę. I tak nie mam gdzie mieszkać.
Stuknęli się kieliszkami, kiedy nagle zabzyczał kot.
- Co... co z tym kotem? - zapytał skołowany Oyama.
- To mój... kot... - powiedziała odruchowo Edzia, chociaż przecież zawsze mówiła, że nie jej.
- Aha - przyjął do wiadomości Oyama. - A czemu on tak... bzyczy?
- Bzyczy? Jak to bzyczy? Chyba mruczy, nie? To kot jest, a nie mucha Bzyk! - stanęła Edzia w obronie kota. - Bzyczy, też coś!
- No to posłuchaj - upierał się Oyama - że bzyczy! A jak koło telewizora przechodzi, to najbardziej.
Kot zabzyczał jak na zawołanie. A zaraz potem zadzwonił telefon, którego Edzia nie odebrała, ponieważ pomyślała, że to może być Marian.
- Faktycznie... - przytaknęła Edzia.

- Bzyczy, no nie? - upewnił się Oyama.

- Bzyczy jak cholera - zgodziła się Edzia.

Jej samej jakoś to nic dziwiło, chociaż wiele razy wcześniej słyszała ten dźwięk. Ale nie był to dla Edzi powód do niepokoju. Może dlatego, że nigdy wcześniej nie miała kota?

- A mówiłem, że... że bzyczy! - ucieszył się Oyama. - Coś tam w środku... chyba niedokręconc ma! Trzeba go dać do naprawy!

- Ty, a może on jest chory... - zaniepokoiła się Edzia. - I tak rzezi..., co? Jak myślisz?

- E tam, zaraz rzezi... Normalnie bzyczy... i już! Nie martw się, coś się zrobi! Naprawimy go raz dwa!

Edzia, po raz nie wiadomo już który, wydmuchała nos i przemyła twarz zimną wodą. Spojrzała w lustro. Wyglądała coraz gorzej, a jej twarz coraz mniej przypominała twarz Edzi, do której przez lata zdążyła się już przyzwyczać. Teraz przypominała ona raczej placek ziemniaczany, z koloru i faktury. I to taki, co już swoje odleżał, ponieważ wczorajsza rozpacz Edzi była niezwykle intensywna i szczera.

- Na dobrą sprawę - powiedziała Edzia trochę do siebie, a trochę do kota - jestem teraz dosyć podobna do Mariana... z twarzy. I to ma nawet swoją dobrą stronę...

Kot spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- ... no bo to jest coś, co mnie z nim łączy... w jakiś sposób... taki bardziej metafizyczny. Prawda, kot?

Kot taktownie nie odpowiedział.

Metafizyczny... Może i marna to była pociecha, ale zawsze coś.

Tej nocy Edzia spała na kanapie, a Oyama w kuchni. Edzia rozłożyła mu tam jakiś stary materac i dała swoją koszulkę do spania, żeby Oyama nie czuł się już całkiem jak sierota, której ścielą przy piecu. Oyama stanowczo odmówił

założenia koszulki, twierdząc, że noszenie damskiej bielizny zdecydowanie nie jest w jego stylu. Tak więc spał bez. Żadne z nich nie odważyło się zasnąć w łóżku, w którym zszedł był Marian. Edzia postanowiła, że pozbędzie się łóżka, kiedy tylko będzie mogła. To znaczy, kiedy pozwoli jej na to policja. Noc minęła w miarę spokojnie, a Marian na szczęście ich nie odwiedził. Pewnie miał teraz co innego do roboty, pocieszyła się Edzia. Może właśnie przymierza skrzydła anielskie do roli anioła w nowej telenoweli *Jak w niebie*.

Tak czy siak nadszedł w końcu moment, w którym należało się tym z kimś podzielić. Znaczący tą wiadomością. Podzielić się z osobą, którą mogło to zdołować jeszcze bardziej niż Edzię.

Chociaż z zupełnie, ale to zupełnie innych powodów.

Edzia wzięła telefon i odwróciła się plecami do lustra, ponieważ mimo subtelnej, duchowej więzi z Marianem widok jej własnej twarzy w tym akurat momencie gwałcił jej poczucie estetyki. Schowała się w jakimś kącie, żeby nie obudzić Oyamy.

- Jeżyna? - upewniła się na wszelki wypadek.

- A owszem. Jeżyna - zgodzi! się pogodnie Jeżyna Jerzy. - No co tam słyhać, moje dziecko? Co lam w naszym *Cyrkuł* Co? Pisziesz? Kręci się, rozkręca?

- Marian... Marian... - wyjąkała Edzia przez ściśnięte gardło, bo już było jasne, że Jeżyna nie wie. Szkoda! Edzia liczyła w duchu, że może jednak wie... I to nic ona będzie osobą, która mu to powie. A wiadomo, że nikt nie lubi przynosić złych wieści. W każdym razie Edzia bardzo nie lubiła.

- Mar...

- Marian? - głos Jeżyny nieco stwardniał. Ale może Edzi tak się tylko wydawało. - No, co znowu z tym Marianem? Znów jakiś problem?

- Chyba... chyba tak... - powiedziała Edzia grobowym głosem. - Marian nie żyje.

- No tak, zgadza się. - Głos Jeżyny szybko wrócił do poprzedniej łagodności. - Marian ma zginąć, tak jak się umówiliśmy ... Ale czemu ty się dziecko tak przejmujesz? Piszesz może? Myślałem, że już dawno napisałaś ten odcinek..! Nie przejmuj się tak, przecież to tylko film!

- Marian nie żyje! Była u mnie policja! - zawyła Edzia do słuchawki, chociaż naprawdę starała się być cicho.

Policja. Policja... Przez głowę Jeżyny, a zwłaszcza przez mózgowy ośrodek kojarzenia nagle przebiegły nerwowe impulsy. Coraz bardziej nerwowe. Coraz szybciej i szybciej. Policja?

- Policja?! Co ty mówisz, moje dziecko?! - zająknął się w nagłym przeczuciu. - Żarty sobie robisz? Powiedz, że żartujesz! No powiedz! Żartujesz, tak?

Ale Edzia raczej nie miała nic dobrego do powiedzenia. Tylko całą i smutną prawdę. No i powiedziała:

- Nie. Nie żartuję,

Jeżynie włosy zjeżyły się na głowie.

- Jak... jak to nie żyje? - wyjąkał z trudem. - A... a co mu się stało, że... aż nie żyje?

Edzia nie miała zamiaru zagłębiać się w szczegóły, chociaż jakby nieco się uspokoiła. Tak troszeczkę. A może po prostu część jej zdenerwowania i całej reszty pokrewnych emocji przejął właśnie Jeżyna Jerzy?

Oczywiście, przy pomocy łączącej niezastąpionej tpsa.

- No co się stało... - powiedziała ponuro. - Stało się, że umarł! I już.

- Edzia, co ty... poważnie mówisz? Umarł? Jak to umarł?

- Śmiertelnie poważnie! Wziął i umarł.

Jeżyna nerwowo przygładził włosy, ale chyba rzeczywiście były naelektryzowane, bo zaraz zjeżyły się znowu.

- No, ale... ale... co? Jak to...? Co... miał wypadek? Czy co?

- Tak jakby... - powiedziała Edzia przez zaciśnięte zęby. - Wypadek... No i ten... i teraz nie żyje.

Jeżyna westchnął tak głęboko, że Edzia z drugiej strony usłyszała świszczanie w jego płucach i poważnie zaniepokoiła się o jego rozrusznik.

- Jeżyno? Dobrze się czujesz? - zapytała niespokojnie.

Jeżyna nie odpowiedział. Na dłuższą chwilę po obu stronach zapadło milczenie. A potem Jeżyna westchnął jeszcze raz tak samo świszcząco. I zapytał z rezygnacją w głosie:

- Gdzie to się stało? I ... jak?

Edzia miała skłonność do popadania w skrajności. I miała teraz do wyboru: mogła być oficjalna i pozbierana lub też się rozplakać. A że płakała do tej pory jak bóbr, wybrała to pierwsze. Dla odmiany, no i żeby Jeżyna nie wiedział, że to ją aż lak bardzo obchodzi. I to wcale nie ze względów zawodowych. A przynajmniej nie tylko.

- Okoliczności ustala policja - Edzia wydobyła z siebie coś w rodzaju oficjalnego komunikatu. - I przyczynę zgonu też. Powiadomią nas we właściwym momencie. A ja... -głos się jej załamał. - Jutro będę... przesłuchiwana! Jutro! Jak jakiś przestępca!

Teraz Jeżyna przeraził się nie na żarty.

- Jak to? Przecslucliiwana? Ty... miałaś z tym coś wspólnego? Może trochę niepotrzebnie to powiedziała.

- No... właściwie to...

- Byłaś przy tym?

- No... tak - przyznała niechętnie Edzia. - I to nawet... dość blisko.

W paru słowach opisała mu całe zdarzenie, dość oszczędnie zresztą, koncentrując się głównie na scenach reanimacji oraz swoich dobrych intencjach.

Jeżyna złapał się za głowę a potem za serce.

- O Boże! A przecież uprzedzałem, dziecko! Uprzedzałem! Uprzedzałem czy nie?

- Uprzedzałeś - przyznała uczciwie Edzia, no bo przecież czyż nie uprzedzał? Jak najbardziej tak. Uprzedzał, ale co z tego? Czy

znajdzie się ktoś, kto dierży władzę nad własnymi hormonami? W każdym razie Edzia jeszcze nikogo takiego nie spotkała. A do Jeżyny dopiero teraz dotarło, co to naprawdę znaczy.

- Nie żyje?! I co teraz będzie z naszym *Cyrkiem*?¹. Chociaż sytuacja była bardziej niż tragiczna, rozwiązanie nasuwało się samo.

- Trzeba go czymś zastąpić - powiedziała Edzia, jakby pod wpływem jakiegoś impulsu. Może to było nagłe olśnienie? A może przebłysk instynktu samozachowawczego? Edzia nie wiedziała, zresztą nie wie tego do dziś. Ale właśnie tak powiedziała:

- Trzeba go czymś zastąpić i już!

- Kimś - poprawił Jeżyna.

- Kimś - poprawiła się Edzia. - Jasne, że kimś!

- Ale kim? Znasz kogoś, kto by się nadawał?

Hmm... Edzia nic знаła nikogo, kto chociaż w przybliżeniu mógłby się równać z Marianem. Nawet z daleka i we mgle. I przy naprawdę dobrych chęciach.

- No nie...

- No to mamy kłopot - westchnął ciężko Jeżyna. - Trzeba będzie poszukać. Jest Marian, źle, nie ma, jeszcze gorzej. Ech, życie...

Edzi zrobiło się go żal. W końcu to nie jego wina, że Marian zmarł. Tylko już raczej Mariana...

- Spokojnie, coś znajdziemy! - powiedziała łagodnie. - I rolę zaraz się napisze... Nie martw się, bo to szkodzi na serce... Tylko... kto to ma być? Podobny jakiś, czy może zupełne przeciwieństwo? Jak uważasz?

Jeżyna zastanawiał się dłuższą chwilę.

- Czy podobny? Niekoniecznie... Ale, jakby to powiedzieć... Na pewno musi być równie... charyzmatyczny. Dla kobiet. Wiesz, o co mi chodzi? Takie bożyszcze tłumów. Żeby kobiety za nim szalały... Przynajmniej tak, jak za Marianem.

Edzia spróbowała sobie wyobrazić mamę, zakochaną w kimkolwiek innym. W kimś, kto nie był Marianem. Próbowała kilka razy, ale... nie, to było nie do wyobrażenia.

- Aha, moja droga, bo bym zapomniał - dodał Jeżyna. - Niekonfliktowy! Przede wszystkim ma być niekonflikto-wy. To jest ważne, bo sama wiesz... higiena pracy! No i dobrze by było, moje dziecko, żeby on znał więcej niż dwie miny na krzyż... Jakiś arsenał aktorski żeby miał... nie tylko ładne półdup...

- Nie za dużo wymagasz? - uśmiechnęła się Edzia. - No i czy taki w ogóle istnieje? Może w Hollywood!

Po drugiej stronie słuchawki Jeżyna też się uśmiechnął. Serce już mu się uspokoiło, bo wiedział, że będzie dobrze. Będzie, prędzej czy później. Ale może nawet prędzej, bo zdaje się, że Edzia już złapała wiatr w żagle. No i dobrze. Niech się dziewczyna zajmie czymś pożytecznym, zamiast rozpaczać po tym... Nie, nie! skarcił się w myśli Jeżyna. O zmarłych tylko dobrze...

- No cóż... - powiedział głośno. - Amanta nam trzeba, i tyle! Skoro wypadł nam z serialu główny amant...

- Na brak amanta najlepszy jest nowy amant! - zauważyła Edzia jak najbardziej słusznie. I też jakoś lepiej się poczuła. Może nie jakoś fantastycznie, ale zawsze.

- Otóż to! I trzeba go znaleźć jak najszybciej, moje dziecko. Żeby nam oglądalność nie spadła. Bo wtedy to wiesz... odetną nam kasę i co...? - Jeżyna efektownie zawiesił głos.

- Dupa - powiedzieli jednocześnie.

- A ty, moje dziecko, możesz już coś z grubsza obmyślać. Wiesz, jakiś ciekawy życiorys... charakter, osobowość... No i liczę na to, że pomożesz go wybrać. Na początek proponuję przelecieć parę kaset z ostatnich castingów... Może nieopatrznie pominęliśmy jakiegoś królewicza, bo na pierwszy rzut oka przypominał... żabę?

- Może być problem... bo może będę musiała wyjechać na trochę - powiedziała Edzia sama zaskoczona tym, co mówi. Ale bez wątpienia, dokładnie to powiedziała.
- O, a dokąd? - zainteresował się Jeżyna.
- Eee... w sprawach rodzinnych. Ale jeszcze nie wiem na pewno.
- Aha... No dobrze, moje dziecko. Jak musisz, to jedź. Trudno... Jakoś tu sobie poradzimy. No to pa, kochanie, pa!
- Z kim rozmawiasz? - zainteresował się Oyama, który tymczasem wstał. Wstał tak cicho, że Edzia nic nie usłyszała. Głaskał teraz kota, który garnał się do niego z podejrzanym entuzjazmem.
- Zdrajca - powiedziała Edzia do kota. - Przekupny, interesowny kot! - a do Oyamy: - Powiedziałam Jeżynie o Marianie. Jeżyna to producent *Cyrku*. Taki... w porządku gość...!
- No i co? - zainteresował się Oyama. - Co on na to? Edzia pokiwała głową w zamyśleniu.
- Będzie problem... - powiedziała i do niego, i do siebie. Ale bardziej do siebie.

Oyama stanął przed nią w takiej samej pozie jak ona i tak samo jak ona pokiwał głową.

- Hmm... no tak. Problem... Na taki problem najlepsze jest...

- Co takiego? - Edzia nastawiła uszy.

- Śniadanie.

Inspektor magister Tomasz Kluczyk nie mógł się nadziwić. No bo jak tak można? No jak? Zabawa zabawą, każdy lubi sobie czasem trochę pofiglować, ale... bez przesady!

Żeby zajeździć faceta na śmierć?

Inspektor Kluczyk wzdrygnął się z przerażenia na samą myśl.

A ta, co siedziała na krześle tuż przed jego nosem, najwyraźniej była do tego zdolna. Tak przynajmniej wynikało z akt. Chociaż... zdaniem starszego inspektora coś takiego powinno być widać już na pierwszy rzut oka.

Inspektor nie wiedział, jak coś takiego miałoby wyglądać, ale na pewno nie jak to, co miał teraz przed oczami. Dlatego patrzył długo, uważnie, podejrzliwie i mimo zeznań oraz niezbitych dowodów trochę jednak nie dowierzał...

Patrzył i patrzył, wgapiał się, wgryzał, wwiercał wzrokiem jak młotem pneumatycznym w chodnik, ale i tak, pomimo nadludzkiego intelektualnego wysiłku, do którego i on czasami był zdolny, niczego szczególnego nie zauważył.

Znaczy tego czegoś.

No bo tak: szczegóły anatomiczne... i znów, chyba już po raz setny zerknął na jej biust, rysujący się niechętnie i dość skromnie pod trykotową koszulką ... w normie. W normie i w staniku, tak więc żadnego prowokującego dyndania. Szkoda. Nogi... inspektor znów niby niechcący strącił z biurka jednorazowy długopis Pentel, ostatni z całego pudełka penteli, które jeden po drugim, w regularnych odstępach czasu wyrzucił wcześniej... też w normie. Wszystko inne, twarz, włosy, uszy, jakby się tak jeszcze uważniej przyjrzeć, co inspektor oczywiście zrobił, bo był z tych, którzy lubią mieć pewność... też w normie.

Naprawdę nic szczególnego, w dodatku wszystko mocno uśrednione rozmiarowo.

Nie to, co Zmysłowa Jadźka z drugiego piętra, z przerwą między zębami i z buforami jak arbuzy. Ta jakby cycem przywalila, to...! Ehhh!

Rozmarzył się magister inspektor, westchnął z lubością i aż przeciągnął się na krześle, wyobrażając sobie wiadomo co.

Ale ta, co siedziała przed nim, z miseczką co najwyżej B, zbyt szybko wyrwała go ze stanu słodkiej nirwany.

- Powie mi pan, co się właściwie stało? Czy będziemy lak tutaj siedzieli?

Zmysłowa Jadzka, tak nieromantycznie i brutalnie przepłoszona, odfrunęła w siną dal, nie zdążywszy zrobić swego i pozostawiając inspektora w bolesnej, skoncentrowanej poniżej pępka tęsknocie.

- Została pani wezwana, żeby odpowiedzieć na kilka pytań - powiedział inspektor wytrącony i ześlony, maskując irytację urzędową uprzejmością - w związku ze śmiercią pana Antonowicza.

- A mogłabym odpowiedzieć od razu? - zapytała tak niefrasobliwie, jakby nie miała nic do ukrycia, a w głowie starszego inspektora automatycznie zapaliło się czerwone światło. - I już sobie pójść? Śpieszę się trochę, więc...

I jeszcze spróbowała rozmiękczyć go zalotnym mruganiem oczami. Jego, inspektora Kluczyka! Mruganie mruganiem, ale... faceta t a k załatwić? Tomasz Kluczyk pokręcił głową z niedowierzaniem, po raz nie wiadomo już który.

- Poczekamy chwilę na mojego podwładnego. Właśnie uzupełnia materiał dowodowy... - Inspektor bacznie spojrzał na Edzię, sprawdzając, czy zrobi to na niej wrażenie. Nic zrobiło. - Zaraz powinien przyjść... - Odwrócił głowę w stronę drzwi, skąd dobiegało rytmiczne, miarowe stukanie, coraz głośniejsze. - O, proszę.

- Pani pozwoli. Młodszy inspektor Marek Święty.

- Święty Marek? Jak miło! - Edzi nie udało się powstrzymać błyskawicznie rosnącego w gardle prychnięcia. Na szczęście nie prychnęła na Świętego Marka, tylko tuż obok, na biurko inspektora Kluczyka. Na szczęście Święty Marek nie zauważył tego. Może dlatego, że był niewidomy. A laska, którą z lekka się podpierał, była oczywiście biała.

- To jest właśnie osoba, o której panu opowiadałem - powiedział enigmatycznie Kluczyk, wykonując w stronę Edzi chaotyczny ruch ręką.

- Hmm... - chrząknął Święty Marek, wyciągając dłoń w jej kierunku i z podejrzaną jak na niewidomego precyzją

trafiając prosto w dłoń Edzi. - Więc to pani... Współczuję pani z powodu tej tragedii. To naprawdę przykre.

- Przykre - zgodziła się Edzia skwapliwie i posmutniała nieco.

- Bardzo przykre. I takie... takie... niespodziewane! No właśnie... chciałabym się dowiedzieć o powód. O przyczynę śmierci.

- Interesuje to panią - ni to zapytał, ni to stwierdził inspektor Kluczyk, skrobiąc coś na połówce kartki A-4, którą trzymał zagiętą tak, żeby Edzia ze swojego miejsca nic mogła dostrzec, co on pisze.

- Oczywiście, że interesuje! - Edzia zrobiła zdziwioną minę. - W końcu stało się to na moich oczach!

- I w pani łóżku - uzupełnił Kluczyk, który tak naprawdę wcale nie zamierzał być złośliwy. Przynajmniej nie tak od razu.

- No tak - zgodziła się Edzia. - W łóżku. Moim. AJe... nie chce pan chyba powiedzieć, że to wina łóżka? Nikt nigdy nie narzekał... W tym łóżku nic złego się nie zdarzyło... Nigdy! Nikt nie dostał czkawki ani... ani... nawet przykurczu! Zapewniam pana! Nie mówiąc już o umieraniu.

- Łóżko najprawdopodobniej jest bez winy - uspokoił Edzię Święty Marek, uśmiechając się dobrotliwie w jej stronę.

- Ale jego niewinność trzeba jeszcze poprzeć kilkoma hmm...

rutynowymi badaniami. Oczywiście żartuję - dodał, żeby było jasne. - A co do przyczyny... Powiem pani tak między nami, że... wstępne badania wskazują, że przyczyną śmierci Mariana Antonowicza był najprawdopodobniej hmm... udar mózgu. Ma to jeszcze potwierdzić sekcja zwłok. Za kilka dni będziemy wiedzieli na pewno. Właśnie tak, hmmm...

Edzia była więcej niż zaskoczona. Edzię po prostu zatkało. Całkiem i na dłuższą chwilę.

Było to bardzo niemiłe zaskoczenie, ponieważ Edzia spodziewała się innej, zdecydowanie bardziej romantycznej przyczyny. Że na przykład Marianowi pękło serce. Z miłości do niej, rzecz jasna. Jak, dajmy na to, w porządnej brazylijskiej telenoweli. Bo biorąc pod uwagę nieodwracalność

i całą absurdalność tej sytuacji, jeżeli już musiało się to zdarzyć, to... chociaż z bardziej romantycznych powodów! A tu taki kompletnie prozaiczny klops.

- Udar mózgu??? Ale... jak to? Dlaczego?! Takie coś przytrafia się przeważnie... rozwścieczonym staruszkom, którym uciekł autobus! Albo skrajnym pesymistom! A Marian? Przecież on był miody, w pełni sił!

- Stereotypy, stereotypy... - powiedział zagadkowo Święty Marek. - „W pełni sił”... No właśnie... - westchnął Święty Marek. - W pełni sił on był. O, nawet mi się zrymowało. Hmm... W pełni sił. No i to go zgubiło.

- Jak to?

- Bo on się, wie pani, hmm... prawdopodobnie trochę z siłami przeliczył...

- Przetrenował się chłopak! - wtrącił się Kluczyk ze źle maskowanym zadowoleniem. I dodał wyjaśniająco, poruszając znacząco brwiami i wpatrując się w skołowaną Edzię. - Za dużo śmiesznych ruchów!

Tu nastąpił rozciągnięty w czasie moment milczenia i czujnego patrzenia po sobie w celu zbadania, kto żartuje, a kto nie. I co tu jest w ogóle grane.

Oni patrzyli na nią, ona na nich. Z tym, że po chwili Edzia skoncentrowała spojrzenie na inspektorze Kluczyku, bo wzrok Świętego Marka był taki bardziej nieodgadniony.

Kto by się tego spodziewał! Na pewno nie Edzia. No coś podobnego!

I nagle poczuła w sobie coś w rodzaju perwersyjnego zadowolenia, chociaż nawet ona zdawała sobie sprawę, że w tej sytuacji jest to uczucie absolutnie nie na miejscu i raczej należy się go wstydzić.

- Czyli co, sugeruje pan, że... - zaczęła niskim głosem, zakładając nogę na nogę.

Kluczyk niecierpliwie machnął ręką, przerywając jej w polowie.

- Ja nie sugeruję, proszę pani. Ja mam na to dowody! Wprawdzie jeszcze nie wszystkie, ale... O, tutaj.

Zastuka! palcami w leżącą na biurku teczkę. Teczka była czerwona i tekturowa.

- Prawie cały komplet badań i analiz. Wstępnych - zaznaczył wyraźnie Kluczyk.

- Ale przecież... - zauważyła Edzia głosem wyższym od poprzedniego co najmniej o oktawę - ... od tego się nie umiera!

- Pewnie, że nie! - zgodził się pogodnie młodszy inspektor Święty Marek.

- Ale jak widać i od tej reguły są wyjątki.

- Kto mieczem wojuje, od miecza ginie! - inspektor Kluczyk pokusił się o filozoficzną puentę.

- Czy to pewne?

Święty Marek uśmiechnął się wszechwiedząco, chociaż Edzia wcale nic na niego patrzyła, zadając to pytanie. Patrzyła prosto w czerwoną teczkę.

- Sądowy lekarz twierdzi, że... bardzo prawdopodobne. Życzy sobie pani przejrzeć wyniki? Mam tu czarno na białym.

- Wstępne - znów zauważył inspektor Kluczyk.

- Nie, nie, dziękuję... - wycofała się Edzia dość szybko.

- Wierzę panu na słowo. Ale... czy to jest w porządku? Ta przyczyna...

- W porządku? - zastanawiał się przez chwilę. - Przyczyna jak przyczyna... Zresztą... prywatnie pani powiem, że... hmm... w końcu na coś trzeba umrzeć... a moim zdaniem trudno znaleźć hmm bardziej... no wie, pani, hmm... Rajcującą - inspektor Kluczyk znalazł właściwe słowo.

- Kopnąć w kalendarz w trakcie bara bara... sam bym tak chciał!

- To oczywiście powiedział do Świętego Marka. - Ale może nie tak od razu... Za jakiś czas!

Edzia zaczerwieniła się trochę. Tak samo zresztą jak Święty Marek.

- No tak... ale czy to wszystko nie wydaje się panu trochę... podejrzane?
- Owszem - zgodził się Święty Marek. - Mamy tu parę ciemnych plam...
hmm... tak, nie wszystko jest jasne. Jeszcze.

- Co na przykład?

- Na przykład... hmm... pewna substancja.

- Jaka substancja?

- Hmm... dość podejrzana.

Święty Marek spojrzał pytająco na inspektora Kluczyka. Inspektor patrzył na Edzię, ale nawet gdyby nawiązał w tym momencie kontakt wzrokowy ze Świętym, byłby to kontakt zdecydowanie jednostronny. Tak więc Święty, nie przywołany do porządku przez zwierzchnika, mówił dalej:

- Hmm... nasi analitycy właśnie rozpracowują ją pod mikroskopem. Zobaczymy. Możliwe, że substancja ta... hmm... przyczyniła się do śmierci pana Antonowicza.

- W jaki sposób? - zapytała Edzia.

- Hmm. Miejsce - powiedział po prostu Święty Marek.

- Miejsce?

- Miejsce użycia.

Edzia zrobiła głupią minę.

- Gdzie się tym posmarował - dodał dla ułatwienia Święty.

- W moim mieszkaniu? - domyśliła się Edzia.

- Pudło - powiedział Kluczyk nieco jadowicie.

- W łóżku...?

- Pudło.

No to Edzia już nie wiedziała gdzie.

- Na członku - nie wytrzymał inspektor Kluczyk i zatarł ręce z radości. -

Posmarował go sobie!

- Dość grubą warstwą - uzupełnił Święty Marek. - Zostało tego trochę do zbadania.

- Marian? Na...? - Edzia zaśmiała się może trochę zbyt nerwowo. - To niemożliwe! Marian owszem, dbał o siebie i smarował się tu i ówdzie, ale na pewno nie...

Kluczyk uniósł w górę rzadkie brwi.

- Naprawdę nic pani nie zauważyła? Nie wyczuła? Wyczuła, też coś! Co za kretyn.

Edzia skrzywiła się z niesmakiem i postanowiła, że nie będzie jednak współpracować. Ani wchodzić w szczegóły aż tak głęboko. Nie ma mowy! Grunt to nie patrzeć na Świętego Marka i broń Boże nie nadziać się na jego wszechwidzące spojrzenie.

- A wie pan, że nie? - powiedziała, a w jej głosie zabrzmiała wyraźna nuta agresji. - Jakoś nie wyczułam. Zresztą wszystko działo się tak szybko... Było dość... no, gorąco. Pan rozumie.

- Taaa... - teraz Kluczykowi lekko poczerwieniały uszy.

Lewym kciukiem przysunął do siebie czerwoną teczkę, otworzył ją, pogrzebał w papierach i wyjął jeden z nich, trochę pognieciony. Było to pierwsze oficjalne zeznanie Edzi, które składała u siebie w domu, będąc jeszcze w stanie ciężkiego szoku. Edzia próbowała wprawdzie zneutralizować ów szok ukradkowym wypaleniem skręta w toalecie, ale nie do końca jej się udało.

Efekt był, można powiedzieć, odwrotny od oczekiwanego, a zeznania chaotyczne i przkoloryzowane. Zwłaszcza we fragmentach dotyczących oralnych i manualnych czynności poprzedzających zgon. Tutaj bowiem Edzi poważnie pomieszała się fikcja z rzeczywistością i do tego, co naprawdę robili, hojną ręką dorzuciła to wszystko, czego już nie zdążyli zrobić. Wszystko jako zaistniałe i odbyte.

Nie odkręcała tego potem, kiedy już odzyskała swoje sto procent władzy umysłowej i przeczytała wszystko jeszcze raz. Nie odkręcała, bo było jej głupio. Poza tym - co by komu z tego przyszło, a zresztą... wyglądało na to, że wszyscy w to uwierzyli.

Na przykład inspektor Kluczyk. Uwierzył i dałby sobie rękę uciąć, że każdą z opisanych przez Edzię czynności

z rozkoszą uwieczniłoby na zdjęciu nawet najbardziej wyuzdane i zblazowane erotyczne pisemko.

On sam potajemnie zrobił kserokopię i czytał te zeznania do poduszki, dla lepszego zrozumienia sprawy, a włos jeżył mu się na głowie za każdym razem. Rozmyślał przy tym nad meandrami ludzkiej natury, która każe do tego używać tak przedziwnych przedmiotów... no bo przecież... wafle do lodów?

Inspektor Kluczyk sam by na to nie wpadł.

- Taaa... - oprzytomniał w końcu. - Marian przyszedł do pani o godzinie...?

- Jedenastej czterdzieści pięć. Ale to już zeznawałam - przypomniała Edzia dla porządku.

- Tak, tak. I od razu przystąpiliście państwo do czynności...? - inspektor znów znacząco rytmicznie uniósł brwi.

Co za palant, pomyślała Edzia i kiwnęła głową, że tak.

- Zauważyła pani coś szczególnego? Coś może było hmm... inaczej niż zwykle? - włączył się Święty, błędząc nieobecny wzrokiem po suficie. Ale kiedy rzucił niespodziewane spojrzenie na Edzię, aż się wzdrygnęła. Może Święty nie widział tego, co inni. Ale może właśnie dlatego mógł widzieć to, czego nie widać?

Edzia miała nadzieję, że jednak nie, ale pod wpływem tego spojrzenia znowu postanowiła współpracować. Na wszelki wypadek.

- Szczególnego, szczególnego... Chyba nie... Chociaż... może i tak? Zrobiliśmy to trzy razy.

- No, nieźle! - Święty Marek z uznaniem klasnął w dłonie. - Niezły wynik. Trzy razy to jest coś!

- Tylko trzy razy - sprostowała Edzia.

- Jak to „tylko”? - zdziwił się inspektor Kluczyk. - Czy to znaczy, że...

I rzucił niespokojne spojrzenie na Świętego Marka. A Święty Marek na niego. Jego spojrzenie było równie niespokojne, chociaż trochę nieobecne.

- No tak - potwierdziła Edzia jak gdyby nigdy nic. - Bo normalnie to... siedem-osiem.

Obu funkcjonariuszom zrobiło się... jakby to powiedzieć... no, może nie głupio, ale trochę nieswojo. Tak, nieswojo. Siedem-osiem to było zdecydowanie za dużo jak na ich wytrzymałość.

- I to nie jest dla pani dziwne? - inspektor Kluczyk próbował jeszcze ratować twarz.

- Dziwne? - zdziwiła się Edzia. - Nie, to jest bardzo przyjemne.

Na szczęście Kluczyk miał pod ręką czerwoną teczkę, w której mógł pogrzebać dla niepoznaki, ukrywając to, co czuł w tej chwili.

- Czy wie pani, gdzie przebywał pan Antonowicz, zanim do pani przyszedł?

- Nie, nic wiem. Może był u siebie? - wzruszyła ramionami Edzia. - Musiał gdzieś nocować.

- Gdzieś musiał...

- To nie było go u siebie? To znaczy u niego?

- Ustalamy to - uciał Święty Marek. - Długo znała pani zmarłego?

Edzia zastanowiła się przez moment.

- Długo to może nie... Ale za to chyba... dość dobrze. Inspektor Kluczyk spojrział w jej dekolt ze źle maskowaną odrazą.

- Panu inspektorowi nie chodzi o maniackalne uprawianie seksu, tylko o znajomość psychiki denata... - powiedział nieco ironicznie - ... i jego upodobań. Prawda?

Święty Marek kiwnął potakująco głową.

- No wie pani... jego charakter, tryb życia, hobby... Ot, takie rozpoznanie terenu. Kobiety podobno w tym celują. Bawią się w różne takie, hmm... psychozabawy... No i wyczucie mają dużo większe niż faceci. Podobno.

- Chodzi o to, czy pani go znała jako człowieka, a nie tylko jako samca? - podsumował Kluczyk.

- Aż tak to nie... - przyznała w końcu Edzia i zrobiło się jej trochę głupio.
 - Panie inspektorze... czy wobec mnie zostaną postawione jakieś zarzuty?
 - Nie sądzę. Myślę, że na tym zakończymy. Przynajmniej na razie.
 - To dobrze. Bo chcę wyjechać na kilka dni.
 - Daleko? - zainteresował się Kluczyk.
 - Do Rumunii.
 - W jakiej sprawie, jeśli można wiedzieć?
 - W rodzinnej.
 - Aha... no tak., - powiedział z namysłem inspektor Kluczyk. - No taak... To my... co? - spojrzał pytająco na Świętego Marka, ale Święty nie miał chwilowo za wiele do powiedzenia. Błądził wzrokiem po suficie czy też Bóg wie gdzie. Inspektor Kluczyk znowu musiał zdecydować sam.
 - Hmm... to my nie zgłaszamy zastrzeżeń... chwilowo. Przynajmniej na razie.
 - Trzeba wypożyczyć Mariana - powiedziała Edzia ze świętym przekonaniem w oczach i zerknęła do lusterka, sprawdzając, czy między zębami nie zostało jej nieco maku z jagodzianki. - I to szybko, zanim zmieni kolor.
- Trochę maku jednak zostało, zwłaszcza między lewą dwójką a trójką. Dwójkę Edzia miała lekko krzywą i wystającą, często więc zostawało jej tam to i owo. Edzia wydłubała mak widelczykiem dokładnie, acz bardzo dyskretnie.
- O kolor to ty się nie martw, kochanieńka. Z kolorem poradzimy sobie raz dwa! Nie takie rzeczy się maskowało!
 - uspokoił ją Jeżyna, siedzący po drugiej stronie stolika.
 - Tylko jak by tu go wypożyczyć? Jak to sobie wyobrażasz, moja droga? - zafrasował się nieco, rozdziabując widelcem resztki papieskiej kremówki.

- Normalnie - Edzia wzruszyła ramionami i siorbnęła przez słomkę nieco coli z wysokiej, podłużnej szklanki, na której dumnie przeżył się David Beckham w wersji z włosami. Jeżyna miał Beckhama bez włosów i ten był, zdaniem Edzi, bardziej twarzowy. - Normalnie wypożyczyć! Za pokwitowaniem. Tylko nie wiem, czy już czasem nie jest za późno...

- Za późno? A niby dlaczego?!

- Bo może już go pokroili. Mieli robić sekcję... A wtedy to już nic z tego. Kłapa na amen. Możemy się zamienić na szklanki?

- Kłapa...? - przestraszył się Jeżyna. I zaraz dodał zaskoczony. - Zamienić? A dlaczego?

- Bo... twoja mi się bardziej podoba. No, zamień się! - Edzia zamrugła prosząco oczami. - Zobacz, w mojej jest więcej coli!

Jeżyna z ciężkim westchnieniem przesunął Davida bez włosów w stronę Edzi, która złapała go łakomie na wysokości szyi, podrapała paznokciem po łysej głowie i powiedziała rzeczowo:

- A co do Mariana... w kawałkach przecież nie będziemy go wynosić, bo niby jak? I w czym? Mogłabym w ostateczności wziąć moją torbę podróżną, ale dopiero co ją wyprałam...

Edzia skrzywiła się z niesmakiem na myśl, jakiego uszczerbku na urodzie mogłaby doznać jej prawie prawdziwa torba Louis Vuillon pod wpływem fragmentów nieżywego Mariana, i uśmiechnęła się przepaszająco:

- Raczej wolałabym nie. Kto tam wie, co może z niego powypadać...

- To na nic! - machnął ręką Jeżyna, aż kieliszek z resztką czerwonego wina zakołysał się niebezpiecznie. - Wynosić go po kawałku?

Podejrzane... A jak się doliczą w międzyczasie, że czegoś brakuje? Za duże ryzyko! Nie. Trzeba go wziąć w całości i już.

- To może zdecydujemy na miejscu, dobrze? Bo tak naprawdę potrzebna nam tylko głowa... - sprecyzowała Edzia. - Resztę spoko dorobimy z papier mache... albo przykryjemy kocem!

I popatrzyła z rosnącym zdumieniem na Beckhama z włosami, czule obejmowanego przez palce Jeżyny, Beckhama, który z każdą chwilą nabierał urody i w pół minuty stał się dużo bardziej atrakcyjny niż ten jej łysielec...

W prosektorium o gładkich, białych ścianach, świeżo przetartych środkiem dezynfekującym o drażniącym zapachu, przywitała ich martwa cisza.

- Mogliby chociaż puścić Manu Chao. Albo może jakieś flamenco? - zauważyła Edzia, która poczuła się tutaj jakoś nieswojo.

- Dlaczego akurat to? - zainteresował się Jeżyna, grzebiąc po kieszeniach w poszukiwaniu chusteczki do nosa. Mimo upału miał katar i wciąż rozsiewał bakterie.

- No! Żeby jakoś ożywić atmosferę. Strasznie tu drętwo. Łysy portier z oczami jak piłeczki pingpongowe nie chciał ich wpuścić, twierdząc uparcie, że przecież nie są rodziną ani nawet policją, i kręcąc odmownie głową. Niepotrzebnie powtarzał to tyle razy. Ani Edzia, ani Jeżyna nie mieli wątpliwości, że nie są.

Przekonał go dopiero pięćdziesięciozłotowy banknot, dyskretnie wsunięty przez Edzię do kieszeni jego fartucha.

Na szczęście nie było jeszcze za późno. Marian leżał jakby nigdy nic, w całości i w odpowiedniej temperaturze. Temperaturze, która nie pozwalała na zbyt daleko idące zmiany. Ręce i nogi miał na swoim miejscu, wszystko inne też, jak zauważyła Edzia, uchylając lekko prześcieradło. Wyglądał normalnie, jak Marian. Tylko że nie żył. No ale to da się przecież jakoś obejść.

Leżał w tej samej pozycji, w jakiej zastygł w mieszkaniu Edzi. Miał zamknięte oczy, z lekko uniesioną lewą brwią, co nadawało jego uśpionej twarzy wyraz filozoficznej zadumy.

- Wygląda prawie tak, jakby myślał... - Jeżyna pokiwał głową ze zdumieniem. - No proszę! Czyli faktycznie... wszystko jest możliwe. Cóż... lepiej późno, niż wcale.

- Wygląda jak żywy, prawda? - wyszeptała Edzia tak, jak gdyby Marian mógł ich usłyszeć. - Wygląda, jakby po prostu zasnął po... - urwała, dźgnięta baczny spojrzeniem towarzysza - ... tym, no... po jakimś wysiłku - dokończyła z niejakim trudem. Jeżyna wzniósł oczy do nieba, ale tylko na moment, ponieważ oboje wiedzieli, że nie przyszedli tu kontemplować ani też wdawać się w kompromitujące szczegóły. Tylko po prostu po zwłoki.

- W porządku - zdecydował Jeżyna. - Bierzemy go! Ile czasu potrzebujemy na planie?

- Kilka godzin... sześć, siedem... i jeszcze godzina na przewóz... Jak myślisz, wytrzyma?

Jeżyna westchnął głęboko.

- Powinien wytrzymać... chociaż na dworze gorąco jak cholera.

-- A może mają tu takie specjalne worki...? - Edzia rozejrzała się po pustych ścianach. Były zupełnie gładkie, bez żadnych haków ani wypustek, tak więc worki, które Edzia pamiętała z filmów jako czarne, plastikowe i na suwak i tak nie miałyby na czym wisieć. Nie leżały też nigdzie w zasięgu wzroku. Ale Edzia nie traciła nadziei. - To może mają inne, takie jak do mrożonek w supermarketach? Wiesz, termiczne takie? Byłyby nawet lepsze...

Jeżyna nie wiedział, ponieważ nie miał zwyczaju kupować mrożonek w supermarketach, uważając i mrożonki, i supermarkety za spożywczo podejrzaną. Podrapał się po głowie z frasunkiem.

- Co by tutaj... czekaj, czekaj... mam! Włączymy w hali wszystkie dmuchawy... I temperatura spadnie o kilka stopni!

- O ile konkretnie? - zainteresowała się Edzia.

- Trzy, może cztery... - Radość Jeżyny momentalnie skurczyła się pod spojrzeniem Edzi, które miało dokładnie taką temperaturę, o jaką im chodziło. - Cztery stopnie to max... więcej nie da rady...

- Za mało! - skrzywiła się Edzia. - Dużo za mało! Tu trzeba zadziałać bardziej radykalnie.

Nagle przyszło jej do głowy, że z boku musi to wyglądać co najmniej dziwnie. Nieżywy Marian i oni nad nim, w imię sztuki rozprawiający, jak go oziębic... widok mrozący krew w żyłach... Mrożący, mrożący...

Tak. To było to!

Edzia z radości klasnęła w ręce, aż echo odbiło się od pustych ścian.

Jeżyna wzdrygnął się z przestachu i odruchowo chwycił się siebie w tym miejscu, gdzie normalnie znajduje się serce. U Jeżyny dodatkowo wzbogacone o rozrusznik.

- A jakby tak... obłożyć go lodami? - zaproponowała Edzia z triumfującą miną.

- Lodami?

- No! Lodami. Z Zielonej Budki. Tu niedaleko jest, widziałam po drodze. Wzielibyśmy parę pudełek... tylko na te części, o które nam chodzi! Na twarz i na ręce. Nawet nie potrzeba dużo... Wystarczyłoby... - pomyślała Edzia, a silnie zmarszczone brwi wskazywały na to, że naprawdę myśli - ... z dziesięć litrowych pudełek... Mogą być owocowe. No co tak patrzysz? Mielibyśmy polem na lancz.

Jeżyna patrzył na Edzię z ostrożną uwagą i po mniej więcej dziesięciu sekundach nabrał pewności, że Edzia nie żartuje. Nie żartuje, wytłumaczył sobie Jeżyna, ponieważ jest w szoku, co jest zresztą jak najbardziej zrozumiałe. I w stu procentach ją usprawiedliwia. Jest w szoku, bo cały czas rozpacza po Marianie. Być może swoją rozpacz przeżywa nieco... no, inaczej, niżby się można było spodziewać, to fakt. Ale to wszystko na pewno z szoku.

Jeżyna postanowił więc traktować ją łagodnie, pogodnie przytakiwać, zgadzać się na wszystko i trzymać się na bezpieczną odległość. Tak na wszelki wypadek.

- Dobrze, dobrze, możemy spróbować... - zapewnił ją, podkreślając swoje pokojowe nastawienie spokojną mową i łagodnym uśmiechem. -

Spróbujemy, tak... Na te parę godzin powinno wystarczyć... A potem to już Marian może sobie wyglądać, jak zechce, prawda? Nawet jak Michael Jackson.

- No to super - powiedziała Edzia. - Tylko nie kupuj śmietankowych, dobrze? Nie znoszę ich!

- Zabrać zwłoki? Pan chyba oszalał?! - Łyseму oczy mało nie wyszły z orbit, a dodatkowo zakrztusił się kanapką z żółtym serem. Zaistniała obawa, że Łyśy sam za chwilę może stać się zwłokami, co dodatkowo utrudniłoby sprawę.

Edzia udzieliła mu więc pierwszej pomocy, uderzając pięścią w plecy. Łupnęła kilka razy dosyć mocno, no ale przecież zrobiła to w dobrej wierze. Łyśy w końcu opanował kaszel, a jego oczy jakby pewniej osadziły się w oczodołach.

- Przecież nie na zawsze! Chcemy go tylko wypożyczyć... zwrócimy w stanie nienaruszonym! - zapewniał Jeżyna. - Obiecuję. Mogę nawet zobowiązać się na piśmie.

- Pan żartuje - Łyśy z trudem przełknął resztki sera, przysięgając sobie w duchu, że następnym razem kupi ten w foliowych plasterkach. Ten, co to nie wysycha.

- Wcale nie żartuję! A może... wypożyczymy go pod zastaw? - zaproponował Jeżyna. - Będzie pan spokojniejszy. A po co się tak denerwować, prawda. O, proszę! Ten zegarek ma swoją wartość. Widzi pan? To rolex.

Jeżyna podał Łysemu złote, jeszcze ciepłe cacko. Łyśy oglądał zegarek uważnie, dokładnie. Popukał w szybkę,

sprawdził godzinę, upewnił się, czy zameczek aby się nie zacina i już chciał ugryźć kopertę, żeby się przekonać, czy złoto jest prawdziwe, ale nie zrobił tego, ponieważ zmroził go wzrok tej kobiety.

- On naprawdę jest nam potrzebny. Bardzo... - Edzia już nie mroziła wzrokiem. Teraz kokieteryjnie mrugała rzęsami w stronę Łysego, kierując się kobiecym odruchem odwiecznej, międzypłciowej wojny o dominację.

Łysy zapatrzył się na Edzię, a Edzia wciąż uśmiechała się niewinnie i zachęcająco, a po chwili, jakby onieśmielona jego wzrokiem, z niezwykłą uwagą zaczęła przyglądać się wyłożonym białymi kafelkami ścianom. Chociaż nerwowe przytupywanie nogą zdradzało, że trochę jednak się śpieszy.

Łysy spojrzał na Jeżynę.

Jeżyna był schludnym, domytym starszym panem, który. Łysy musiał to przyznać, wzbudzał zaufanie. No i miał włosy. A każdy, kto miał włosy, ustawiał się automatycznie w hierarchii Łysego dużo wyżej, niż on sam. Co najmniej o głowę.

I Łysemu po dłuższej chwili, ale nie za długiej, jeśli uwzględni się powagę sytuacji, przyszło do głowy, że... że właściwie...

- Ale... po co on państwu? - zapytał jeszcze, broniąc się przed samym sobą i zachodząc w głowę, co zrobi, jeżeli okaże się, że zwłoki potrzebne są im na przykład do... no do czego? Do pierogów z mięsem w barze mlecznym? Do śmiertelnego wystraszenia babci-emerytki i zagarnięcia ukrytych w jej szafie carskich świnek?

- Do filmu! To znany aktor, wie pan... Zrobimy mu tylko kilka zdjęć.

Łysy odetchnął z ulgą. Zwykli nekrofile, jak w zeszłym tygodniu. A już powoli zaczynał się bać.

- Nic mu się nie stanie! Przecież go nie zjemy! - zapewniła z uśmiechem Edzia. - Noo... nic zrobi pan tego dla sztuki?

Łysy zawalczył ostatni raz.

- A co ja zrobię, jak tu się nagle zacznie toczyć postępowanie? - zapytał chytrze. - I co ja powiem, że gdzie przebywa denat? Że na wczasy wyjechał?

- Oj, coś pan na pewno wymyśli! Przecież jest pan inteligentnym człowiekiem. Widać to po oczach - powiedziała Edzia, wdzięcznie przeginając się w biodrze, a w jej głosie zabrzmiało całkiem szczere przekonanie.

Łysy nie miał zamiaru zaprzeczać. Bo niby dlaczego? Skoro widać... a oczy przecież nie kłamią. Zwłaszcza takie, jak jego. I jeżeli oczy są zwierciadłem duszy, to on ma duszę jak stąd do Pragi czeskiej.

A chociaż Łysy napatrzył się w swojej pracy na różne rzeczy, w istnienie duszy wierzył nadal.

Jeżyna powiedział jeszcze coś, co de facto było kropką nad i:

- Zapewniam, że zaraz po powrocie docenimy pana inteligencję. I uprzejmość.

- Po powrocie, bo musimy jeszcze zahaczyć o bankomat - skonkretyzowała Edzia.

Łysy westchnął ciężko z nagłą decyzją i cmoknął z dziurawego zęba.

- Ale proszę zwrócić go na czas! Nic nie zginać, nie skręcać, bo tak mu zostanie. Nie próbować ubierać, nie moczyć. I żeby nic nie zginęło!

Dowód pana i numer komórki poproszę.

Patrzy! jeszcze na Edzię i Jeżynę, dziarsko popychających przed sobą metalowe nosze na kółkach, na których sztywno leżał podłużny kształt, zawinięty w białe prześcieradło.

- Artyści, k... ich mać! - Wzruszył ramionami pogardliwie i schował do kieszeni złotego roleksa.

Nieżywy Marian już od pierwszej minuty swej milczącej obecności wzbudził na planie niezdrową ciekawość. Były wprawdzie jakieś przecieki o jego nagłym zgonie, ale nawet

ci, do których one dotarły, i ci, co przekazywali je dalej, sami nic do końca w nie wierzyli.

Bo przecież Marian był zawsze górą! I zawsze jego było na wierzchu. A z tego, co wiedzieli, Marian miał w planach raczej szefowanie wszystkim Morenom i puszczenie Orskich z torbami na tresowanych wielbłądach, ale na pewno nie śmierć, bo umierać nic zamierzał. Na pewno nie przez najbliższe tysiąc dwieście odcinków *Cyrku...*

Najpierw więc wszyscy chcieli się przekonać, czy Marian naprawdę nie żyje. Ale lak naprawdę. Bo że jest zimny i nie rusza się... nie, to nie było dla nich wystarczającym dowodem.

- Tak to każdy może! - chrząknął pogardliwie Mischczak. - Zimny drań!

- No! - przytaknął Siniec. - Tak leżeć i nic nie mówić to każdy głupi potrafi!

Dopiero ukradkowe wklucie w ramię Mariana wyjętej z dekoracji szpilki, głęboko, aż po kulistą niebieską główkę, przekonało Mischczaka i Sińca, że Marian naprawdę nie żyje.

Z całą pewnością nie.

- O ku... żeż mać! - Mischczak podrapał się po głowie z frasunkiem. - I co teraz? Z nieboszczykiem mamy grać???

- Nie, jak tak, to ja nie gram! - oświadczyła Zuzanna Orska, filmowa eks-kochanka Mariana i na znak protestu dramatycznym gestem rzuciła na podłogę swój jedwabny, śliwkowy szal. Po czym błyskawicznie go podniosła, w ostatniej chwili ratując przez brudnobiałym adidasem Sińca, rozmiar czterdzieści cztery.

- Ja - powiedziała z naciskiem, pukając się w pierś - tutaj w sobie, o tu, mam taką jedną żelazną zasadę: nigdy nie grywam ze zmarłymi. To przynosi pecha!

- Ja też nie! - poparł ją Siniec. I dodał ze źle maskowanym obrzydzeniem.

- Bo taki to... gorzej jak paw w garderobie!

Zrobiło się głośno, bo nagle wszyscy zaczęli mieć coś do powiedzenia na temat praktycznego używania w filmie autentycznych zmarłych. I naraz zaczęli się przekrzykiwać.

- No i co teraz?! - złapał się za głowę ciemnoskóry treser zwierząt, ten, co na ekranie wnikał w psychikę słoni. - Przecież ja mam z nim dwie sceny! Nie przeżyję tego!

- Dzięki Bogu, ja z nim nie gram! - ucieszyła się Misia Orska. I zaraz spojrzała do lusterka, czy aby z wrażenia nie rozmazała się jej konturówka.

- A skąd wiesz? Zmienili scenariusz, więc może lepiej sprawdź... - poradził jej życzliwie Siniec.

Ktoś zaszeleścił plikiem kartek, ktoś komuś wyrwał go z ręki.

Poprawiony scenariusz z uwzględnieniem zaistniałej sytuacji wyglądał jak wyciągnięty z wnętrza kozy.

- Dawaj to! Dawaj! Pokaż, pokaż! Masz? Misia Orska odetchnęła z ulgą.

- Mnie tu nie ma, na szczęście... - powachlowała się ostatnią wersją scenariusza. - Thanks God! Bo nie wiem... chyba musiałabym się zwolnić z pracy!

- O mamó...

- Co jest, źle się czujesz?

Laura, ostatnia kochanka Mariana, złapała się za twarz.

- ...dopisali mi scenę pożegnania... - powiedziała zduszonym głosem. - Niedobrze mi...

- O rany... - Siniec poklepał ją współczująco po ramieniu. - No to stara, trzymaj się!

Ale Laura buntowniczo potrząsnęła włosami. I spojrzała ze wstrętem na wymięty scenariusz.

- I co, ja mam niby... z n i m...? Niedoczekanie!

- Niesmaczne... - skrzywiła się Misia Orska.

- Czy to w ogóle jest zgodne z prawem? - zainteresowała się Zuzanna Orska. - Nie wydaje mi się...

- I sanepidem?

- No i z tą... etyką...? - dorzucił Siniec.

Wszyscy spojrzeli na Edzię, która w myślach gorączkowo szukała wyjścia z sytuacji. Jeżeli nie najlepszego, to chociaż jakiegokolwiek.

- No i co teraz? - zapytał Siniec w imieniu wszystkich zainteresowanych.

- Grajcie tak, jakby żył! - poradziła im Edzia. - Po prostu. Przecież jesteście aktorami, prawda? Nieraz udajecie, że ktoś nie żyje... No to raz możecie udać, że żyje! Czy to taki problem? A on będzie sobie po prostu leżał. Przez cały ten odcinek. Tak jak teraz. Będzie sobie leżał i ciężko chorował. Obłożnie. Już jest nawet obłożony lodami...

- No właśnie! - dodał Jeżyna. - A potem zrobimy sobie małą przerwę na lody! To co, mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia?

Ekipa popatrzyła po sobie niepewnie. Było naprawdę bardzo gorąco.

- No ale jak... - zaczęła Zuzanna Orska - ...przecież te lody zaraz popłyną...

- Dlatego właśnie nakręcimy raz dwa! - Jeżyna dziarsko klasnął w dłoń.

- Raz dwa, raz dwa!

- I bez obaw, nie musicie z nim rozmawiać - powiedziała jeszcze Edzia. - Wycięliśmy wszystkie jego kwestie.

Nie było to wszystko łatwe, ale i tak najgorzej miała ostatnia filmowa kochanka Mariana, Laura.

Laura zwana przez każdego, kto ją poznał bliżej, Koh-i-noorem - z racji niezdrowego upodobania do biżuterii Jabloneksu, którą nosiła dosłownie wszędzie.

Scena rozpacz i ostatecznego wyznania Marianowi miłości na śmiertelnym łożu była tego dnia sceną zdecydowanie najtrudniejszą do zagrania. Laura musiała zbliżyć się do Mariana fizycznie i to na grubość kartki papieru. No, powiedzmy, brystolu.

Laura nigdy wcześniej nie była tak blisko zwłok, gdyż nie miała takiej potrzeby. W tym przypadku potrzeba została sztucznie wykreowana i poparta obietnicą Jeżyny, że zatrudni Laurę w następnej dwudziestoodcinkowej serii *Cyrku* i pozwoli jej wreszcie pokazać, że ona ma również i duszę.

Ale Laura domagała się konkretów.

Tak więc Edzia naprędce wymyśliła, że Laura mogłaby wcielić się w rolę masochistki-intelektualistki, która z rozpaczy po śmierci kochanka pozwala się torturować na cyrkowej arenie, czerpiąc z tego satysfakcję i zapomnienie. Torturować na różne sposoby, narzędziem ostrym i tępym. W każdym odcinku narzędzie miało być inne, a kostiumy gęsto naszywane sztucznymi brylantami. I rzecz jasna, szyte na miarę. Była to całkiem obiecująca obietnica i Laura, po krótkiej chwili wahania, łaskawie się zgodziła.

Czego się nie robi dla sztuki... przekonywała w myślach samą siebie, z obrzydzeniem wstrzymując oddech nad zimnymi ustami Mariana.

W prawdziwym życiu nie zdążyła zostać jego kochanką, czemu cały czas się dziwiła i czego do tej pory skrycie żałowała. Przeszło jej to natychmiast, kiedy niechcący dotknęła policzka Mariana. I stwierdziła, że Marian wcale nie jest w dotyku taki miły. I już raczej nie będzie.

- Kochanie, nie ocieraj mu tak mocno czoła, bo przecież cały puder ścierasz! Delikatnie, proszę! - upomniął czujnie Jeżyna. - Aneta, zamaluj mu to szare na szyi!

Mimo wszystkich niedogodności zdjęcia przebiegły w spokojnej i przyjaznej atmosferze. Jak nigdy przedtem. Może dlatego, że tym razem Marian wyjątkowo do niczego się nie wtrącał? Nie wściubiał nosa, nie krytykował, nie doradzał, jak również nie przedstawiał propozycji nie do odrzucenia. W ogóle jakoś mało go było widać, bo tylko twarz i ręce.

Cała reszta Mariana była szczelnie obetkana kraciastym pledem. I słusznie, ponieważ, jak wiadomo, kraciaste pledy to zwyczajowe okrycie ludzi ciężko chorych. I to nie tylko w telenowelach.

Co więcej, złośliwe uwagi kolegów o jego drewnianej grze Marian przyjmował w całkowitym milczeniu i z pełnym godności spokojem. Można by powiedzieć, z kamienną twarzą. Gdyby żył, zapunktowałby u nich takim zachowaniem jak nic! Może nawet po zdjęciach wzięliby go ze sobą na piwo?

Było więc całkiem miło, choć nie obyło się bez małych trudności technicznych.

W dwóch scenach Marian musiał mieć otwarte oczy. W jednej, kiedy zegnał się z Laurą i nie mogąc już mówić, porozumiewał się z nią wzrokiem, no i w drugiej, kiedy całe życie przelatywało mu przed oczami. Otwartymi.

Tak więc otwarte oczy były raczej niezbędne, przynajmniej przez chwilę. No, ale, niestety, Marian oczy miał zamknięte, i to na głucho.

Na szczęście Edzia wpadła na pomysł, żeby podkłcić je przezroczystą taśmą. Co też po dłuższych manipulacjach, kilku nieudanych próbach oraz jednej propozycji przyszcicia udało się zrobić. Tak że oczy Mariana były w miarę otwarte.

Gorzej, że po zakończeniu zdjęć nie chciały się zamknąć. Jednak i w tym przypadku przylepiec okazał się zbawienny.

Edzia i Jeżyna byli bardziej niż zadowoleni, chociaż pod wieczór gorąco było prawie tak samo jak w południe, a lodów dla nich już nic starczyło.

- Pięknie współpracował, nie ma co... - przyzna! Jeżyna z niejakim niedowierzaniem, kiedy było już po wszystkim. - I nic awanturował się o kasę, jak zwykle.

- Noo... Właściwie zrobił to za friko. Równy gość! - powiedziała z uznaniem Edzia. - Możemy sobie pogratulować, no nic? Tylko...

- ... tylko co? - zaniepokoił się Jeżyna, chociaż przecież obiecał sobie, że ze względu na swój rozrusznik będzie się starał myśleć pozytywnie.

- Tylko teraz trzeba go jakoś dyskretnie oddać.

- Już jesteśmy - uśmiechnęła się Edzia pół godziny później. - Wszystko w najlepszym porządeczku! Niech pan sam sprawdzi. - Jeszcze tylko dyskretnie oderwała kawałeczek taśmy klejącej z lewej powieki Mariana i pieścotliwym gestem przykleiła Łysemu do rękawa.

- Wygląda nawet lepiej niż przedtem. Proszę spojrzeć, jaki ma ładny kolor! O, tu i tu! I tutaj też.

- A to... - Łysy niepewnie wskazał palcem przesadnie różowe jak na wielogodzinne zwłoki miejsce na twarzy Mariana. - Tego to chyba... nie było?

- Pomalowaliśmy go trochę, właśnie tutaj, w tym miejscu, bo nagle zaczął szarzeć! - wyjaśnił Jeżyna.

- Zieleniec - sprostowała Edzia.

- Szarzeć - uściślił Jeżyna. - Zielenieje trochę później. Zdecydowanie za długo trzymasz wędlinę w lodówce, moje dziecko. A dla pana jeszcze... - Jeżyna sięgnął do kieszeni - ...O tutaj... mały dowód wdzięczności.

- Mały? Jak to mały? - Zaniepokoił się Łysy, zerkając czujnie na drzwi wejściowe. - Boja tu wie pan... ryzyko poniosłem...

- Mały, ale o dużej sile nabywczej. - Jeżyna wyciągnął gęsty zwitek banknotów ściśniętych tak, że nic było widać nominałów. - Stratny pan na pewno nie będzie...

Na ten widok Łysemu najwyraźniej puściły nerwy, bo z głośnym świstem uwolnił powietrze z płuc, wprawnym ruchem umieścił zwitek w kieszeni i jeszcze raz spojrzął w stronę drzwi, skąd słychać było zdecydowane, rytmiczne i coraz głośniejsze kroki więcej niż jednej osoby.

- No dobra. Nie ma Mariana, to chyba i nie ma powodu usuwać blizny... co? - zapyta! Oyama ni w pięć, ni w dziewięć.

Edzia chwilowo zapomniała o bliznie i wszystkim, co byto z nią związane, bo ostatnio zdecydowanie za dużo się działo. I to na wszystkich frontach.

- No... może i tak... - powiedziała z zastanowieniem. Bo niby czemu nie? Jej przecież blizna nie przeszkadzała. Tylko Marianowi, ale Edzia już przestała brać go pod uwagę. - Zobaczą jeszcze!

Oyama spojrział na nią spod oka.

- Chyba że...

- Chyba że co?

- No... Chyba żebyś miała ochotę zabawić się w detektywa...?

- Nic mam ochoty - powiedziała Edzia dość stanowczo. - Moja przyjaciółka jest detektywem, wiesz? Tropi zdrady... Ale dopiero co zdradził ją własny mąż... i ty wiesz, że ona tego nie wytropiła...? A poza tym... po co wracać do tego tematu? Odłożone, zapomniane... No bo przecież te papiery... one są jak najbardziej okej!

- No tak... - przytaknął Oyama trochę bez przekonania.

Przed chwilą skończył sprzątać, zrobił pizzę, a teraz głąskał kola, ponieważ zawiodły kilkakrotnie ponawiane próby strącenia go z kolan.

- Nie chcę ci niczego narzucać... ale to nie jest takie zwyczajne, kiedy lekarz nagle mówi coś takiego... Przynajmniej dla mnie... I tak sobie myślę, że może jednak... może dobrze byłoby to sprawdzić? - powiedział, drapiąc kota za uszami, co kotu najwyraźniej bardzo się podobało.

Barrddo!

Edzia spojrzała na niego podejrzliwie, czy aby na pewno dobrze się zrozumieli. Bo równie dobrze mogli się nie zrozumieć.

Oyama na przykład wcale się nie wzruszał, oglądając jej zdjęcie z liceum. Zupełnie nie czuł klimatu, nie popadał

w nostalgiczną zadumę, ani nie uśmiechał się czule na widok bluzek-nietoperzy i włosów na żel. To znaczy uśmiechał się, ale tak jakoś... dziwnie. Zupełnie inaczej niż Edzia. I jeszcze chrząkał znacząco, tak że Edzia sama już nie wiedziała, co to ma konkretnie znaczyć. Oyama należał do generacji X i nie miał z tym wszystkim nic wspólnego. Nic! To było już zupełnie inne pokolenie.

- Ale właściwie po co sprawdzać? Przecież wszystko się zgadza... i papiery w porządku...

- Ale blizna jest!

- No jest... - przytaknęła Edzia, bo co tu było zaprzeczać. - Jest.

Na dobrą sprawę Oyama musiał wierzyć jej na słowo, bo blizny nie widział na oczy. I nie zobaczy, obiecała sobie Edzia trochę bez sensu. Bo nie należy z góry niczego zakładać. Przynajmniej niczego takiego.

- To, że lekarz wysunął durną hipotezę, wcale nie znaczy, że mam zaraz jechać do Rumunii jak jakaś głupia! - powiedziała stanowczo.

- Dlaczego akurat do Rumunii? - zainteresował się Oyama.

- No jak to... - zdziwiła się Edzia. - Bo tam się urodziłam! Ale Oyama dalej nie widział związku.

- No to co? - wzruszył ramionami, nie przerywając głaskania. Kot też spojrzał na nią zdziwiony, ale nic nie powiedział.

- No jak to... - zastanowiła się Edzia. No tak. Właśnie. No bo co z tego?

- Ciekawe, że akurat to przyszło ci do głowy.

- No nic wiem... jakoś tak.

- Jakoś tak? - pokiwał głową Oyama. - Mogę się założyć, że nie bez powodu.

- A myślisz, że co? Intuicja?

Oyama ziewnął szeroko. Kot też, chociaż nie aż tak.

- Nie wiem... Może tak, może nie. Może nawet tak. Ale co ja wróżka jakaś jestem?

Edzia zauważyła mimochodem, że tak naprawdę to ona nie wie, kim on jest. Może i wróżką. Zresztą nawet ten kot podejrzanie się do niego klei... A wiadomo, że wróżka plus kot tworzą jedną całość.

- No dobrze... - wróciła do tematu. - Założmy, że sprawdzę. Sprawdzę! I co będzie, kiedy okaże się, że to jednak prawda?

Oyama zamilkł na chwilę. Słysząc było tylko elektryczne trzeszczenie sierści kota pod jego palcami.

- Noo... to już wtedy od ciebie zależy... co zrobisz i czego nie zrobisz! - Pokiwał głową jak mądry życiowo chiński starzec.

- Ojejku, jaki ty mądry jesteś! - powiedziała Edzia nieco ironicznie, nie chcąc przyznać się sama przed sobą, że na serio zaniepokoiło ją to, co powiedział. Dla bezpieczeństwa postanowiła więc obrócić wszystko w żart.

- No i co wtedy będzie? Co? Jak myślisz, rozpoznamy się? Z moją syjamską?

- Jeśli zechcesz?

- No a jak się nie polubimy? Przecież możemy się sobie nie spodobać. Zniechęcić się. Albo nawet znienawidzić.

Oyama puścił do niej oko.

- Chyba sama w to nie wierzysz. Nigdy nie chciałaś mieć siostry?

- Chciałam, jasne, że chciałam. Zawsze chciałam mieć! Nawet ją sobie czasem wyobrażałam... ale nie w takich okolicznościach...

- Tak? I jak wyglądała?

- Dokładnie tak, jak ja... Dobra, wiem! Wiem, że to brzmi straszliwie melodramatycznie - zastrzegła się od razu.

- A wiesz... - powiedział Oyama z namysłem - ... że to całkiem możliwe? Bliźniaczki zazwyczaj są do siebie podobne... przeważnie. Chociaż zupełnie nic wiem dlaczego...

Edzia rzuciła w niego poduszką. Kol uciekł mu z kolan z wściekłym miauczeniem i Edzia poczuła, że ma u niego

przechlapanc. U kota, rzecz jasna. I nagle przyszło jej coś do głowy, coś zupełnie nie na temat, ale przecież w sam raz na ten moment. Że też nie pomyślała o tym wcześniej!

- Słuchaj, bo ty tak tu sprzątasz i sprzątasz... i... i gotujesz...

- I prasuję - dodał Oyama. - Wyprasowałem ci ciuchy, nawet nie zauważyłaś... I zmywam, i podlewam. Nie żebym ci wymawiał, naprawdę - puścił do niej oko.

- I prasujesz... i nawet nieźle ci idzie...

- Chociaż miałem tu zostać tylko na jedną noc... jakkolwiek by to zabrzmiało - zauważył Oyama.

- No właśnie...

- Właśnie... To co? - zainteresował się Oyama i nawet przestał głaskać kota. Ale tylko na chwilę, bo kot tak uparcie podtykał mu swój tepek pod rękę i tak namolnie pomrukiwał, że Oyama zaraz musiał zacząć znowu. Edzia patrzyła na czyste kubki, lśniąca podłogę i półki bez kurzu. Podlane kwiaty i obrus bez plam. No i na czystego kota, co było o tyle niemiarodajne, że przecież kot mył się sam.

- No właśnie... Bo jak ci tak dobrze idzie... to...

- To co?

- To może zostałbyś moją... yyy... gosposią? Wiesz, taką...

- Wiem, kto to jest gosposia - przerwał jej Oyama z nie-odgadnioną miną. Edzia przełknęła ślinę. Bo jakoś zależało jej, żeby się zgodził. Chociaż nigdy wcześniej nie miała gosposi i na dobrą sprawę wcale nic było jej to potrzebne. I gdyby tylko chciała, mogłaby wynająć normalną, pełnowartościową gosposię z najlepszej agencji gospoś. Kobiętę znaczy.

- No i co? Co ty na to? - zapyłała trochę niepewnie. Oyama zawahał się.

- Bo ja wiem...

Edzia odniosła wrażenie, że szanse, owszem, są i postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

- Sam mówiłeś, że nie masz gdzie mieszkać... - przypomniała mu, w jakim położeniu się znajduje. Że nie za wesołym.

- No tak - przytaknął Oyama.

- No widzisz - ucieszyła się. - To teraz już masz! Tutaj. Jeżeli oczywiście się zdecydujesz. Tutaj mógłbyś mieszkać! No i kot bardzo cię polubił. Dużo bardziej niż mnie.

- Hmm...

- Sam zobacz, jak się do ciebie przywiązał.

Oyama zobaczył. Kot siedział teraz pod fikusem i wcale nie wyglądał na przywiązanego.

- Będę ci płacić! - obiecała Edzia i uniosła dwa palce w geście przysięgi.

- No, to już brzmi lepiej - powiedział Oyama. - Ile? Edzia wydłużyła się mina. Ale tylko trochę.

- A ja myślałam, że ty tak z dobrego serca...

- No tak, z dobrego, z dobrego - przytaknął Oyama. - Pewnie, że z dobrego... Ale na dłuższą metę muszę coś jeść. Co mnie chyba nie przekreśla, prawda?

Nie. To go z całą pewnością nie przekreślało.

Nowy amant do *Cyrku* potrzebny był na gwałt.

Ale żeby go znaleźć i zapłacić dziurę osobową, należało najpierw go poszukać. A był już najwyższy czas. Tego zdania byli i Jeżyna, i Edzia. Oraz wszyscy pozostali, finansowo i emocjonalnie zaangażowani w produkcję.

Edzia zdążyła już, co prawda dość pośpiesznie, nakreślić fabułę z uwzględnieniem zmienionych tak nagle okoliczności życiowych. Teraz tylko pozostało wiarygodnie i z należytymi honorami zutilizować Mariana. Znaczący pozbyć się go na oczach widzów w jakiś ciekawy sposób.

No i, rzecz jasna, wprowadzić nowego bohatera. Którego jeszcze nie było i właśnie dlatego należało go znaleźć. I to jak najszybciej.

Wymagało to wprawdzie pewnego wysiłku ale było możliwe, tak samo zresztą, jak wszystko inne. A co do samego Mariana, Edzia jednego była pewna

- śpiączka i zaginięcie zdecydowanie odpadały. Odpadały, ponieważ mała była szansa, że Marian kiedyś cudownie się odnajdzie, tak jakby tego oczekiwali widzowie. Że będzie zdrowy i cały. I że nadal będzie tak pięknie wyglądał.

Szansa na to była raczej zerowa.

- No to co zrobisz? - zatroszczył się Jeżyna, podsuwając Edzi delcję.

- Nałykam go tabletek! - powiedziała zdecydowanie Edzia, starannie obgryzając biszkopt dookoła galaretki.

- Znaczący, Marian się nałyka... ostatkiem sił. Bo już i tak jest przecież ciężko chory... A tabletki wyjmie spod poduszki, ot tak. No i oczywiście nie uda się go już uratować... Można by nakręcić su per dynamiczną scenę reanimacji! Wiesz, trochę jak na *Ostrym dy...*

Edzia urwała, bo nagle łzy same nabiegły jej do oczu. Zupełnie, jakby coś się jej przypomniało...

- A dlaczego się nałyka, wiesz już? - Zapytał szybko Jeżyna.

Edzia wiedziała. Przetarła oczy w kącikach, ostrożnie, żeby nie rozmazać tuszu, i powiedziała:

- No jasne... Pewnie, że wiem.

Odłożyła na talerzyk objedzoną z czekolady malinową galaretkę, bo galaretek bardzo nie lubiła.

- Przez Laurę. Wszystko przez Laurę! Marian odkryje, że Laura, jego ostatnia kochanka, jest jego rodzoną... córką!

- powiedziała Edzia triumfalnie.

- Córką? - Jeżyna skrzywił się lekko.

- Nie pasuje ci? - najeżyła się Edzia. - A bo co? Jeżyna westchnął ciężko. Jeden i ten sam powód co i raz powracał jak bumerang, ponieważ Edzia z uporem maniaka próbowała przemycać do

Cyrku zdecydowanie zbyt ryzykowne treści. Treści, które mogą zachwiać opinią, że *Cyrk* jest telenowelą dla całej rodziny. I co wtedy? Odpadną reklamy napojów gazowanych, witamin, gum do żucia i pampersów. A na to nie można było pozwolić.

- No wiesz, moje dziecko... - zaczął dyplomatycznie. - Ja się domyślam, że takie odkrycie to może i faktycznie dość... nieprzyjemne odkrycie, ale...

- Ale co?

- Ale pomyśl o naszych telewidzach... moje dziecko! Przecież oni będą to oglądali przy kolacji... z dziećmi...! Umierający Marian i tak zaburzy im apetyt... bo sama wiesz, że nie wygląda twarzowo... a poszarzały...

- Zzieleniały - sprostowała Edzia.

- Zzieleniały... czy też poszarzały Marian bzykający się z własną córką... No nie... Obawiam się, że to już może być trochę za dużo.

Edzia zastanowiła się przez moment, jak by to miało być. Nawet to sobie wyobraziła. I nie mogła nie przyznać mu racji, co też w duchu natychmiast zrobiła. A głośno powiedziała, żeby nie było, że tak od razu na jego życzenie zmienia zdanie oraz całą koncepcję. Powiedziała:

- Moim zdaniem córka jest najlepsza. Jednak. Córka i ojciec. To jest prosty i zrozumiały rodzinny związek. I dla każdego będzie jasne, że coś takiego może być powodem samobójstwa... jak najbardziej!

- Laura jest trochę za stara na jego córkę... - zauważył delikatnie Jeżyna. Ale dla Edzi nie był to żaden problem.

- No to co - wzruszyła ramionami. - Okaże się, że Laura tak naprawdę ma dziesięć lat mniej. I celowo udawała starszą, żeby uwieść Mariana. Bo ona wiedziała, że jest jego córką. Makijaż się robi i...

Jeżyna złapał się za głowę, a potem za serce, co ostatnio robił dość często. A przynajmniej przy niej. Edzia pomyślała,

że nie zniesie powtórki z rozrywki, czyli jeszcze jednej śmierci bliskiej osoby w jej obecności. Osoby równie bliskiej, co Marian, chociaż w zupełnie inny sposób.

- No dobra, dobra... - mruknęła ugodowo. - Ale jak nie córką, to kim? Ciotką? Za młoda... Przyrodnią siostrą? - myślała na głos. - Nie, zdecydowanie córka jest najlepsza... Ale wiesz co, ja się jeszcze zastanowię... Coś wymyślę... W każdym razie Laura musi się okazać kimś w miarę kazirodczym, co generalnie wyklucza bliższe związki. Bo tu musi być dramat! Nieszczęsny Marian zdążył się zakochać, i to po raz pierwszy w życiu tak naprawdę... z całego serca! - W głosie Edzi zabrzmiała egzaltacja.

Jeżyna podejrzliwie spojrzał na Edzię.

- Z tego właśnie powodu serce mu trochę siadło... I dlatego ostatnio zdarzyło mu się nawet zasłabnąć... - dokończyła Edzia nieco mniej pewnym głosem i znów przetarła oczy w kącikach.

Jeżyna delikatnie pogłaskał ją po włosach i podsunął całe pudełko ciasteczek, które Edzia przyjęła z pełnym wdzięczności westchnieniem. Żałowała trochę, że wcześniej nie nakręcili kilku scen, jak to Marianowi nie udaje się wyciągnąć królika z kapelusza, bo mu się, dajmy na to, trzęsą ręce. Szkoda! Byłby dobry podkład dla sercowych kłopotów... No, ale nie wszystko da się przewidzieć, niestety. I tak dobrze, że niektóre rzeczy można załatwić dialogiem.

Aha, i tak nie będzie do końca wiadomo, kto mu te tabletki dostarczył. Te spod poduszki. I czy na pewno o takie dokładnie Marianowi chodziło.

A Nowy pojawi się po to, żeby to wyjaśnić. I pomścić Mariana na wszelki wypadek.

Z tego przejścia Edzia była naprawdę zadowolona. Bardzo dobrze - im więcej komplikacji, tym dłużej trzeba je będzie rozwiązywać. Znaczący - przez więcej odcinków.

Nałykanie się tabletek było tylko jednym ze sposobów, które usłudnie i po koleżeńsku zaproponowano jej na forum depresja. Edzia wahała się wprawdzie, czy jednak nie utopić Mariana w wannie, ponieważ wydawało jej się to zdecydowanie bardziej widowiskowe. Ale wyszło jak wyszło i Marian w dostępnej ostatnio opcji bardziej nadawał się do przykrywania go po same uszy niż obnażania i rozmaczania w wodzie. Natomiast Nowy miał przed sobą niezwykle trudne zadanie.

Miały go pokochać kobiety. Z miejsca i na wieki. A to naprawdę nie jest takie proste, zwłaszcza jeżeli idzie o kobiety w takiej ilości. Zwłaszcza kiedy kobiety te nie zdążyły jeszcze odkochać się w Marianie, który, w przeciwieństwie do Nowego, po prostu był Marianem. I na tym polegała jego wyższość.

Nowy mógł być zwyczajnym czarnym charakterem, podobnie jak Marian. Byłoby to zrozumiałe i uzasadnione genetycznie, ponieważ obaj - i Marian, i Nowy - wywodzili się z gustującego w krętactwach oraz związkach pozamałżeńskich rodu Morenów.

Jednak Edzia nie była o tym tak do końca przekonana. Że mają być podobni, ponieważ obawiała się porównań na niekorzyść Nowego. Bo co jak co, ale ten Nowy zdecydowanie nie był Marianem. Nie miał z nim szans, przynajmniej w oczach Edzi.

Hmm... Jeżeli tak, to Nowy mógł być odmieńcem... uczciwym człowiekiem, który chciał dobrze! Działałby wtedy w ekstremalnych warunkach, ponieważ rodzina Morenów w dziewięćdziesięciu paru procentach składała się z czarnych charakterów.

I to mogłoby być ciekawe.

Tylko że to czarne charaktery są zdecydowanie bardziej pociągające... Zwłaszcza, jeżeli dają choćby minimalną szansę na resocjalizację. I stają się ostatecznie tymi dobrymi, ale dopiero na końcu.

Najlepiej byłoby, gdyby Nowy był bardzo zły, ekstremalnie zły, o niebo gorszy od wszystkich Morenów razem wziętych. I żeby bardzo, bardzo powoli zmieniał się na dobre pod wpływem ... najlepiej jakiejś kobiety albo dziecka. Ale naprawdę bardzo powoli. Tak przez mniej więcej trzysta odcinków.

Tak więc Edzia z rozmachem i dużą przyjemnością wymyśliła mu charakter: bardzo, bardzo zły oraz równie niedobre upodobania.

Czas już był najwyższy, niestety, nie było zbyt dużego wyboru.

Właściwie wyboru wcale nie było... Wszyscy fajniejsi aktorzy, to znaczy lepiej wyglądający i pełniej uzębieni, z większą ilością włosów i jako takim błyskiem w oku byli już wyjęci. Zakontraktowani na wyłączność do innych telenowel. O wielodzietnej rodzinie, prywatnej klinice i gospodarstwie agroturystycznym.

Pierwszy casting odbył się tam, gdzie zawsze, czyli w wytwórni na Chełmskiej. Edzia z trudem przebijała się przez gęsty tłum facetów różnej urody, tłum, który ciasno i szczelnie oblepiał drzwi. Jeden z mężczyzn szturchnął ją łokciem niby niechcący i syknął niecierpliwie:

- No, co się pchasz, mała!

Edzia nic nie odpowiedziała, ale owszem, zwróciła na niego uwagę.

Znaczy zapamiętała sobie. Jeżyna już na nią czekał.

- No jesteś, kochanie! - rozpromieni! się. - Siadaj tutaj, o tu! Stąd będziesz lepiej widzieć. Napijesz się czegoś? Soku, coli? Widziałaś, ilu ich przyszło? Coś się wybierze, nie martw się!

- Mam nadzieję... - westchnęła Edzia i wzięła do rąk plastikowy kubek, do którego Jeżyna nalał jej coli light aż po wrąbek. No bo faktycznie było ich trochę, tych facetów.

- Na pewno coś się znajdzie, przecież takie tłumy...! - zapewnił uspokajająco Jeżyna. - I każdy dostai krótką scenkę do odegrania. Dosłownie kilka zdań. Żeby, no wiesz, moje dziecko, coś pokazał... Cokolwiek.

- Możemy zaczynać? - zapytała wysoka pani z agencji, która wyszukała i pośpiesznie obdzwoniła wszystkie te osoby, zachowując jednak cel poszukiwań w absolutnej tajemnicy. Tak że żaden z nich nie wiedział, że ma oto niepowtarzalną i życiową szansę zagrać w *Cyrku*.

- Możemy, możemy! - powiedzieli zgodnie Edzia i Jeżyna.

- To ja zapraszam pierwszego pana! - zawołała pani w głąb korytarza. - Numer jeden!

Numer jeden po cichu wszedł do sali, kiwnął głową na dzień dobry i stanął dokładnie tam, gdzie mu kazano. Wyglądał na nieśmiałego. Miał cienkie blond włosy, okrągłe, druciane okulary, które nadawały jego twarzy wygląd prymusa, i uśmiecha! się chłopięco.

- Za szczupły... - szepnął dyskretnie Jeżyna. - I trochę za mało męski.

- Za uczciwy - skrzywiła się Edzia. - W ogóle nie wygląda jak szuja!

- Proszę się przedstawić - zachęciła go agentka. - Powiedzieć, w czym pan już zagrał, kilka słów o sobie... no wie pan!

- Mam na imię Dariusz Michalski... - przedstawił się grzecznie pierwszy, wyginając lewe biodro, mimowolnie i zachęcająco. - Grałem już w reklamie telefonów komórkowych, ale to było w zeszłym roku i...

Edzia już nie słuchała. Był za bardzo typowy, zwyczajny, podobnych do niego zbyt często spotyka się na ulicach i w supermarketach. Głos też miał jakiś nieszczególny.

- No, ale może coś potrafi! - szepnął Jeżyna. - A makijaż sceniczny robi cuda. Proszę zagrać! - zachęcił go łagodnie.

Numer jeden jeszcze raz zerknął do kartki, a potem... uklęknął i położył rękę na sercu.

- Kocham cię! - powiedział z emfazą, zwracając się do wyimaginowanej kobiety poza kadrem. - Nigdy jeszcze czegoś takiego nie czułem... do nikogo! Nigdy!

Zabrzmiało to tak, jakby zwracał się do własnego misia, z którym śpi, a więc naprawdę mało wiarygodnie. Nie, to nie było bożyszczce kobiet. Na pewno nie. Brakowało mu do tego kilku ładnych lat, zarostu, porządnej mutacji i pół tony seksapilu.

Edzia spojrzała na Jeżynę, a Jeżyna na Edzię.

- Numer dwa! Poproszę numer dwa!

Numer dwa był wysoki, szczupły i bardzo pewny siebie. Miał błyszczące, sztucznie wybielone zęby, które od razu pokazał w zwycięskim uśmiechu. Miał też blond pasemka we włosach. Które przecież łatwo można zlikwidować! - zauważyła w duchu Edzia. Bo tak na pierwszy rzut oka wyglądał wcale, wcale...

- Proszę się przedstawić... - zaczęła pani z agencji, ale numer dwa dał jej znak ręką, że już on wie, o co chodzi,

- Nazywam się Andrzej Filipiuk - powiedział mocnym męskim głosem. Erotycznie wibrującym, seksownym głosem.

Edzia aż się poprawiła na swoim siedzeniu i dyskretnie zerknęła na Jeżynę. Jeżyna patrzył z zainteresowaniem na faceta numer dwa, co było raczej dobrym znakiem.

- Grałem już w... - i numer dwa zaczął z zadowoleniem wymieniać w czym.

A z każdą wymienioną przez niego nazwą Edzi coraz bardziej rzedła mina. No tak. Stąd te fosforyzujące zęby! Facet grał dosłownie we wszystkim, a zwłaszcza w reklamach past do zębów. Nie grał jeszcze tylko w *Cyrku*. Poza tym brał udział w każdym castingu, więc i dzisiaj przyszedł, no bo dlaczego nie.

- E, dajmy mu szansę! - powiedział cicho Jeżyna, widząc minę Edzi.

- Teraz odegram scenkę - zapowiedział numer dwa. - Proszę o uwagę!

I odegrał. Odegrał nawet dość poprawnie, ale Edzia cały czas miała wrażenie, że patrzy na reklamę prezerwatyw. Albo nici dentystycznych. Może dlatego, że z całego numeru dwa właśnie te wilcze zęby najbardziej rzucały się w oczy?

- Numer trzy! Zapraszam numer trzy!

Numer trzy miał zdaniem Edzi za mało inteligencji w oczach i nazbyt opadały mu powieki, co nadawało jego twarzy wyraz tępej ospałości. Ospały zdecydowanie odpadał jako symbol seksu i godny następcy Mariana. A ponieważ dodatkowo miał krótkie palce, czyli coś, czego Edzia u facetów organicznie nie znosiła, odpadał tym bardziej.

Numer cztery miał za to przerwę między przednimi zębami, co też z miejsca dyskwalifikowało go jako faceta. Edzia nawet nie chciała negocjować z Jeżyną, który proponował, żeby jednak dać mu szansę. Edzia była zdania, że bożyszcze kobiet nie może powodować masowych wybuchów śmiechu u tychże, kiedy tylko otworzy usta. Jeżyna też był zdania, że raczej nie, i dość szybko przestał się upierać.

Numer pięć był tym gościem, który szturchnął Edzię pod drzwiami. Poznał ją i teraz był niezwykle uprzejmy, ale nie miało to już żadnego znaczenia.

Numer sześć, siedem, dwadzieścia cztery... Z każdym coś było nie tak. Jeżeli nie seplenił, to łysiał od czoła. Jeżeli nie łysiał od czoła, to miał złą dykcję albo koguciego głos. Jeżeli nie miał koguciego głosu, to miał krzywe nogi... Jeżeli nogi miał względnie proste, to w ogóle, ale to w ogóle nie umiał grać... A jeżeli już umiał grać, to w ostatniej chwili przyznawał się, że grał u konkurencji...

Pod wieczór, przy numerze sto dwadzieścia pięć, który z kolei prawie w ogóle nie miał brwi, Edzia i Jeżyna już stracili nadzieję, że znajdą kogoś sensownego.

- Oddzwonimy - obiecywała za każdym razem pani z agencji, kiedy wychodził kolejny kandydat. Ale Edzia wiedziała, że nie oddzwonią. Nic oddzwonią, bo nie ma do kogo.

- No i co ty na to? - westchnęła z rezygnacją. - Sam widziałeś przecież... Ale Jeżyna wcale nie wyglądał na załamane.

- Trzeba szukać dalej, moje dziecko - powiedział pogodnie. - Będziemy szukać do skutku. Aż znajdziemy!

A potem Jeżyna sam przejrzał jeszcze kilka starych kaset z różnych castingów, głównie na potrzeby reklam proszków do prania (facet poucza kobietę, w czym ma pracć) i medykamentów (facet poucza kobietę, co powinna łykać na bóle menstruacyjne). Wybrał nawet kilku, ale Edzi żaden się nie spodobał. No jakoś nie. Edzia sama nic wiedziała dlaczego. Ale może dlatego, że żaden z nich po prostu nie był Marianem.

- To nawet nie musi być aktor...! - pocieszał się Jeżyna, przewijając na podglądzie ostatnią kasetę. - Nawet lepiej, żeby nie. Będzie tańszy, a przyuczy się raz dwa! Grunt, żeby dobrze wyglądał, nie łysiał i całował jak należy!

- I żeby miał w sobie coś - zauważyła Edzia.

- I to jest właśnie najtrudniejsze... - westchnął ciężko Jeżyna. - Trudno to wyczuć na pierwszy rzut oka. No i nie da się tego dorobić w postprodukcji.

- Nie da się ... - przytaknęła niewesoło Edzia. - Niestety. A czasu coraz mniej...

Jeżyna zajrzał do notesu.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Za parę dni... - zawahała się Edzia. - Ale jeszcze nie wiem dokładnie.

Jeżyna podrapał się po nosie. Długopisem. Włączonym.

- Hmm... ale będziesz na nagraniu próbnego odcinka?

- Jasne! - obiecała Edzia. - Pod warunkiem, że w ciągu trzech dni znajdziemy aktora.

- Hmmm... trzy dni? Chciałbym w to wierzyć, moje dziecko... chciałbym w to wierzyć!

No i proszę - znaleźli! Zakrawało to na cud, metafizykę i czarną magię do kwadratu, ale jednak znaleźli.

Właściwie to sam się znalazł. Przyszedł prosto z ulicy na drugi z naprędce zorganizowanych castingów, na który tak samo jak poprzednio zwały się tłumy facetów. Facetów, których twarze Jeżyna kojarzył z reklam, reality shows i filmowych epizodów.

Mógł więc im od razu podziękować.

Tamten nie był aktorem, tak jak chciał Jeżyna, i w dodatku jeszcze w niczym nie grał. W żadnej reklamie znaczy. Była to duża korzyść, ponieważ nikt nic nie znał jego twarzy. To była zupełnie nowa twarz, z którą można zrobić wszystko.

Twarz niepodobna do żadnej innej.

A Jeżyna był już tak zmęczony oglądaniem całkowicie przewidywalnych typów ludzkich, których na dłuższą metę można by to podzielić na tych w typie Brada Pitta i tych w typie Keanu Reevcsa, że z prawdziwą ulgą popatrzył na coś innego. Nawet jeżeli to nie było tak piękne, jak Marian. Ale przecież i z niczego można zrobić coś, trzeba tylko wiedzieć, jak się do tego zabrać. A Jeżyna wiedział.

- A to kto? - zapytała Edzia, kiedy z triumfującym uśmiechem zatrzymał kasetę w jednym miejscu.

- Nowy Marian - powiedział z dumą. - Ulepszony! No i co?

Edzia przyjrzała mu się uważnie. Nowy Marian wcale nie był podobny do starego. Był bardzo, bardzo niepodobny, był jak gdyby odwrotny.

Marian był wysoki, ten był niski. Na oko o dobre pół głowy niższy od Edzi. Marian był blondynem, ten był brunetem. Marian miał błękitne oczy, ten miał ciemne. Chyba nawet brązowe, ale Edzia nie wpatrywała się aż tak. Miał za to ładny uśmiech.

Edzia nie pamiętała już dokładnie, jaki uśmiech miał Marian, ale przecież w każdej chwili można to było sprawdzić.

A ten... no cóż. Taki negatyw.

- I co ty na to? - Jeżyna spojrzał na Edzię z uśmiechem. - Pasuje?
- Czy ja wiem... skoro nie ma nikogo lepszego... - bąknęła Edzia. Sama nie wiedziała.

Jeżyna klasnął w dłonie z podejrzanym entuzjazmem.

- Lepszego?! A wiesz, że nie ma? Ten był najlepszy! Edzia wcale nie była taka pewna. Ale i tak przecież zaraz wyjeżdżała, bo udało jej się zdobyć bilet w jakiejś zaskakująco promocyjnej promocji dwa dni wcześniej, niż planowała. Głowę miała więc zajęta czym innym, a zresztą naprawdę nie było już czasu na czeze gadanie. Zapytała więc tylko:

- Ale czy... czy on... czy uważasz, że on...

- Czy ma w sobie coś? - Jeżyna domyślnie pokiwał głową. - O tym, moja droga, nie nam wyrokować. O tym zadecydują miliony.

Edzia zostawiła cały *Cyrk* pod opieką Jeżyny z absolutnym zaufaniem, ponieważ wiedziała, że ręce Jeżyny jak najbardziej się do tego nadają. I będą trzymać wszystko w garści jak należy aż do jej powrotu. I poleciała. Poleciała szukać czegoś, o czym nie była przekonana, że w ogóle istnieje. Nawet w przybliżeniu. Ale wiedziała, że trzeba to sprawdzić i póki tego nie zrobi, nie zazna spokoju.

Szczerze mówiąc, bała się trochę. Nawet bardziej niż trochę. I chociaż przecież latała już do różnych dziwnych i najbardziej odległych miejsc na świecie, bardzo egzotycznych miejsc o pokręconych nazwach, jak na przykład Cuernavaca, czuła, że tak daleko jak teraz jeszcze nigdy nie była.

- Co się tak nakręcasz! Nakręcasz i skręcasz - powiedział Oyama poprzedniego dnia, pakując jej torbę. Ubrania fachowo poukładał w kostkę, zupełnie jakby miał doktorat z pakowania, ale i tak znów nic zmieściła się jej suszarka.

- Trzeba w końcu kupić większą torbę... - westchnęła Edzia.
- Albo mniejszą suszarkę - odrzekł Oyama. I dodał jeszcze, widząc jej minę, z jaką studiowała mapę Rumunii. - Nie nastawiaj się, plis! Nie mogę na to patrzeć!

- Na co?

- No, jak się tak... nastawiasz!

- Nie nastawiaj się, łatwo powiedzieć - wzruszyła ramionami Edzia. Bo Edzia nie spodziewała się niczego dobrego. Spodziewała się natomiast tabunów zebrzących dzieci i wróżących Cyganek w kwiecistych spódnicach. Policjantów, Scuritate i Drakuli. Jednym słowem - spodziewała się Trzeciego Świata. Trzeciego, a może nawet czwartego.

Ale kiedy po dwóch godzinach wysiadła z samolotu i oślepiło ją sierpniowe słońce, stwierdziła ze zdumieniem, że dookoła jest zaskakująco normalnie.

Ale może to tylko tak, dla zmytki.

W hali przylotów pasażerowie poszli odebrać swój bagaż, jak to na lotnisku. I nic nie wskazywało na to, żeby coś komuś zginęło. Ludzie nie wyglądali też na przyczapionych, zastraszone ani przesadnie ostrożnych. Wyglądali na zupełnie zwyczajnych, mniej lub bardziej śpieszących się podróżnych, a lotnisko - na normalne, europejskie lotnisko, no może takie bardziej z Europy Wschodniej. Jak na przykład polskie lotnisko.

W każdym razie nigdzie w pobliżu nie pasły się stada kóz, ani leż nie stały byle jak sklecone szałas, w których, jak Edzia słyszała, sypia większość mieszkańców tego kraju. Nawet panowie w mundurach, siedzący w małych budkach i mający władzę przepuszczać ludzi przez bramkę lub też nie przepuszczać, byli całkiem mili. Jeden z nich zapytał ją w kulawej angielszczyźnie, w jakim celu przyjechała. Odpowiedziała mu równie kulawo, że chce poznać ich piękny

kraj. Tak poradziła jej Nika - przede wszystkim nie rzucać się w oczy. Celnik uniósł w górę zdziwione brwi, ale przystawił pieczętkę w paszporcie i machnął ręką, że może iść. Iść, ale dokąd?

Jeszcze raz wyciągnęła z torby swój akt urodzenia. Man-galia... gdzie to jest? Dokładnie gdzie, bo że nad Morzem Czarnym, to już wiedziała. Nazwa ta kojarzyła jej się wyłącznie z wodą toaletową, której kiedyś, używała jako środka odkażającego na obozie wędrującym przez Bieszczady. Wtedy, kiedy miała trochę za ciasne trampki. Magnolia. Do dziś pamiętała ten duszący zapach, który w założeniu miał przywabić facetów, a przywabia! co najwyżej pszczoły. Za to w dużych ilościach. Jak się dostać do Mangalii? Edzia nie wiedziała, postanowiła więc zasięgnąć języka. Odnalazła budkę informacji, w której sympatyczna pani w stosownym mundurku oraz uczesaniu w kok udzielała informacji chętnie i z uśmiechem. Niestety, wyłącznie po rumuńsku. Co raczej nie wniosło wiele i nie spowodowało, że Edzia poczuła się poinformowana.

Nie mówiła po angielsku ani pani z kokiem, ani pani, którą zawołała tamta pani do pomocy. Ani jeszcze jedna pani, ani też kierownik tych pań. Żadna z tych osób nie mówiła po angielsku, za to po rumuńsku radziły sobie całkiem nieźle. Gorzej było z Edzią, która nic nie rozumiała. Poza oczywiście słowem „Mangalia”, które i tak znała już wcześniej.

Złowiła uchem znajome świergotanie i wyciągnęła telefon z plecaka.

- No co tam?

- Stoisz na lotnisku i nie wiesz, co dalej - powiedział wszechwiedząco Oyama, a Edzia rozejrzała się uważnie dookoła.

- A ty co, śledzisz mnie?

- Nie, ale... chyba zaczynam cię wyczuwać! - roześmiał się chłopak. - Do Mangalii spokojnie dojedziesz autobusem. Oczywiście, jeśli wsiądziesz do właściwego. Wiesz. Tego, co jedzie do Mangalii.

I chyba tylko po to, żeby ją dobić, wyjaśnił, jakim autobusem, a potem podał godzinę i cenę biletu. Aha, i jeszcze powiedział, gdzie jest dworzec. Tego to już było za wiele.

- Za kogo ty mnie uważasz? Za jakiegoś jełopa?! - chciała wiedzieć Edzia. - Myślisz, że co? Że ja nie wiem? Nic znajdę? Że wcześniej nie sprawdziłam, gdzie jest ta cholerna Mangalia?!

- Nie, no skąd... gdzieżbym śmiał! - powiedział Oyama z całą szczerością, na jaką było go stać. - Ja? Ja jestem tylko zwykłą gosponią! Ty tu rozdajesz karty!

Nie do końca wiedziała, czy Oyama żartuje i co dokładnie ma na myśli, więc na wszelki wypadek postanowiła nic zadrażniać. Zwłaszcza z takiej odległości. Z zagranicy znaczy.

- Aha... - powiedziała trochę niepewnie. - A skąd ty to wszystko wiesz? O której mam autobus...? - Edzia trochę się zdziwiła. Trochę się też zaniepokoiła. - Jesteś Duchem Świętym, czy co?

- A jak myślisz, kochanie?

Edzia chwilowo nie myślała, bo było gorąco i w ogóle. Zresztą była zmęczona podróżą. No ale... skąd on wiedział, skąd?

- Z internetu - zlitował się Oyama. - W internecie jest wszystko!

Edzię zawsze trochę wnerwiało, że to nie ona wpadła na jakiś genialny pomysł. Obojętnie, z jakiej dziedziny, no, może z wyjątkiem fizyki.

Wnerwiało, chociaż trzeba przyznać uczciwie, że próbowała z tym walczyć. Ale jednak wnerwiało, zwłaszcza jeżeli pomysł był tak prosty.

- Wiem, wiem... już dobra, dobra. Internet! - powiedziała trochę zezłoszczona. - To... to może lepiej kota pilnuj, dobrze?

- Spokojnie! Z kotem nieźle się dogadujemy. Co tam mamrociesz? - zwrócił się do kogoś obok. A potem do Edzi: - Kot cię pozdrawia! Mówi, żebyś szybko wracała, bo już zaczął się do ciebie przywiązywać... No to co, chyba... milej podróży? Tak?

- Tak - zgodziła się Edzia i schowała telefon. Kochanie. Powiedział do niej „kochanie”. Ale chyba tylko

z rozpeędu? A może to było do kota? Tak. Na pewno do kota.

A najgorsze było to, że wszystko się zgadzało, nawet cena biletu. Oyama miał nad nią wirtualną przewagę. Rzecz jasna, chwilową.

Edzia wsiadła do starego, rozklekotanego autokaru i wybrała miejsce przy jakimś dziecku z zezem. Niestety, dziecko z zezem było pierwsze i to ono zajęło miejsce przy oknie.

Autobus jechał szybko, od czasu do czasu podskakując na jakiejś dziurze.

Co chwila napotykali jakąś przeszkodę, a przykład przedziwnej konstrukcji pojazdy, które Edzia uznała za rolnicze, bo miały z tyłu jakieś metalowe drapaki i koła. Mijali też wozy z sianem, drewnem i ludźmi, zaprzężone w wychudzone konie. Widzieli również kilka barwnych cygańskich taborów, z których dobiegała dyskotekowa muzyka oraz odgłosy kłótni.

- Czyli Cyganie jednak tak całkiem nie wymarli! - ucieszyła się Edzia, rada, że chociaż jedno jej wyobrażenie o Rumunii jako tako się potwierdziło.

Kilka razy stado owiec i krów zablokowało im drogę, a wtedy kierowca zatrzymywał autobus i osobiście przeganiał całą menażerię. A potem mijali morza betonowych konstrukcji i domy, zbudowane do połowy, z zardzewiałymi, sterczącymi ze ścian kikutami drutów. Wiele miejsc wyglądało tak, że nie wiadomo było, czy dom właśnie budują, czy może już

rozbierają. Jechali i jechali, aż w końcu monotonne kołysanie i szum autobusu uspiii najpierw dziecko z zezem, a potem Edzię.

Mangalia przywitała ją zapachem morza, rozgrzanego słońcem kurzu i świeżo parzonej kawy. Uliczki były ciasne, suche i gwarne, pełne roześmianych ludzi, zavalone tonami winogron, które soczystymi kaskadami spływały z pozbijanych byle jak drewnianych skrzynek.
- Ładnie - powiedziała Edzia sama do siebie. - I ciepło! Można by pozwiedzać.

I natychmiast pożałowała, że wzięła tak dużą torbę. Torba, wypchana jak należy, to znaczy właśnie tak, jak teraz, groziła trwałym kalectwem przy dłuższym noszeniu. Beznadzieja! Trzeba było wziąć mniejszą i lżejszą, za to bardziej poręczną. No i na pewno bez suszarki.

Z zatłoczonych knajpek, szarych od papierosowego dymu dobiegały podochoconc męskie głosy i muzyka, która z niczym jej się nie kojarzyła.
- Hospital? - Zagadnęła nieśmiało kilka osób, ale każda z nich przecząco kręciła głową.

Nie dowiedziała się, gdzie jest szpital, za to nagle poczuła głód.

Widocznie to był ten moment, w którym dobrze byłoby coś zjeść.

Weszła więc do pierwszej z brzegu knajpki, zadymionej i hałaśliwej jak inne. Już na pierwszy rzut oka widać było, że to raczej lania knajpka, jedna z tych, które przyciągają gości pseudoludowym wystrojem wnętrza i obietnicą szybkiego odpędzenia głodu niewielkim kosztem.

Usiadła przy jedynym wolnym stoliku, nakrytym kolorową chustą. Ktoś z obsługi położył przed nią kartę, z której jednak niewiele wynikało, przynajmniej dla Edzi, ponieważ karta była po rumuńsku, jak zresztą wiele innych rzeczy

w tym kraju. A Edzia była już tak zniechęcona próbami dogadania się na lotnisku, że nie chciała w to wchodzić jeszcze raz.

- Miczi - prze sylabizowała więc, wskazując na chybił trafił. Wydało się jej trochę za mało, więc dodała: Czjorbe de burta!

Kelner, wysoki i wprostowany jak kij od szczotki, z długą, chudą twarzą, na której widać było ślady po dawnym trądziku, powiedział coś do niej. Rzecz jasna, po rumuńsku. Jednak z tonu jego głosu nie wynikało, że w karcie nie ma tego, co Edzia zamówiła, albo że wystąpiły jakieś inne nieprzewidziane lub dyskwalifikujące zamówioną potrawę okoliczności. Więc Edzia już nie dociekała, co też on takiego powiedział. Czekwała. Ludzie jedli, rozmawiali, wchodzili i wychodzili. Pili, gestykulowali. Wyglądali normalnie, zachowywali się normalnie. Zwyczajnie, jak to w knajpce. No, może tylko więcej się śmiali i śpiewali jakoś chętniej niż u nas, pomyślała Edzia.

Patrzyła na nich spod oka i stwierdziła, że żadna z obecnych tu osób nie wygląda na potomka hrabiego Draculi. Z całą pewnością nie, jeżeli brać pod uwagę wielkość i kształt zębów oraz ogólne wizualne podobieństwo do wampira. Uzębienie było raczej w normie, wyjąwszy kilku szczerbatych staruszków.

Nikt też nie próbował jej wróżyć, czym Edzia była nawet z lekka zawiedziona. Za to jedna z kobiet, chuda i pomarszczona, z którą przypadkiem spotkała się wzrokiem, uśmiechnęła się do niej przyjaźnie. Ale Edzia się nie odśmicchnęła, bo nie miała odwagi.

W powietrzu unosiły się pojedyncze słowa, metalicznie dźwięczne, ale dla niej zupełnie bez znaczenia. Pachniało jedzeniem. Jej jedzenie ciągle nie przychodziło, chociaż

Edzia kilka razy spojrzała znacząco na kelnera z długą twarzą i starała się wyglądać na jeszcze bardziej głodną, niż była. Na kelnerze nie zrobiło to wrażenia. On nigdzie się nie śpieszył.

Z tego czekania Edzia zrobiła się głodna jak wilk.

Myślała o jedzeniu, o Oyamie i o kocie. Ale z tych trzech rzeczy chyba najbardziej o Oyamie. Chociaż naprawdę była bardzo głodna, a jedzenia jak nie było, tak nie było.

Nie, no bez przesady! Już miała wstać i wyjść, i kupić sobie na ulicy jakąś szybką bułkę, kiedy jej wzrok po raz nie wiadomo już który padł na menu. Usiane kolorowymi reklamami, leżało teraz „masłem na dół”. A na samym środku, między salonem fryzjerskim i dużymi literami reklamował się... szpital. Normalnie szpital! Szpital w Mangalii.

Krzyżyk i adres.

Do jej stolika podszedł kelner z tacą, a Edzia z trudem powstrzymała grymas obrzydzenia. Okazało się, że zamówiła jakieś kotleciki z Bóg wie czego i flaczki, które też nie wyglądały na szczególnie jadalne. Nawet dla tych, którzy bardzo lubią flaczki, a Edzia do nich nie należała.

No cóż, pomyślała, trzeba się uczyć języków obcych!

Schowała menu do kieszeni i położyła pieniądze między pełnymi talerzami. A potem wyszła, odprowadzana zdziwionym spojrzeniem kelnera, który szybko podszedł do stolika, przeliczył monety i wpatrywał się z uwagą w talerz pełen flaczków, czy aby nie odstraszyła tej kobiety jakaś zabłąkana mucha.

To musiało być gdzieś nad morzem. Tak przynajmniej wynikało z miniaturowej, wydrukowanej pod adresem mapki. O ile oczywiście Edzia dobrze ją odczytała, co wcale nie było takie pewne. Woląca więc nie eksperymentować. Podała menu taksówkarzowi, leniwie wystawiającemu twarz do

słońca na pobliskim parkingu i bez słowa stuknęła palcem w niewielki kwadracik.

- OKI - powiedział taksówkarz i nie wiedząc czemu mrugnął do niej okiem. - *Plastic surgery?*

- *No!* - zaprotestowała Edzia. I zaraz się ucieszyła. - *Do you speak English?*

- *A little.* - Kierowca pokazał palcem, jak mało.

- *What do you know about it?* - jeszcze raz pokazała szpital na mapce.

- *Nothing special. You will see* - i przestał się odzywać. Może po prostu nie znał więcej angielskich słów.

Dojechali do miejsca, które musiało być kiedyś pokazową częścią uzdrowiska.

Stały tu okazałe niegdyś hotele, które teraz aż się prosiły o remont, opustoszałe i smutne. Było trochę ludzi i kolorowych sklepów, ale w powietrzu unosił się jakiś melancholijny smutek, razem z kurzem, wyrzucanym w alejach spod kopyt końskich i kół wożących wczasowiczów bryczek.

Taksówkarz zatrzymał się przed jednym z budynków.

Był to stary szpital, z całą pewnością najbardziej ponury, jaki Edzia kiedykolwiek widziała. Szary kłocowaty budynek, obłożony grubym tynkiem, który odpadał całymi płatami. Niewielkie okna, zakratowane grubym drutem, nie przepuszczały zbyt wiele światła. Naprawdę nie wyglądał zachęcająco. **I** niepokojąco przypominał więzienie.

- *It's here* - taksówkarz odwrócił się do niej i powiedział jeszcze - *ten dollars.*

Edzia wygramoliła się z samochodu i zapłaciła bez słowa. Poczekała jeszcze chwilę, aż taksówkarz odjedzie, bo nie chciała, żeby ktokolwiek był teraz przy niej.

Powoli podeszła do drzwi. Zatrzymała się. Odeszła, usiadła na stojącej nieopodal ławce, pomalowanej szarą, łuszczącą się już farbą. **I** nagle uświadomiła sobie, że właściwie to nie wie, po co tu przyszła. Nie wie, po co tu w ogóle przyjechała.

Zostawiła mieszkanie i kota obcemu facetowi jak jakaś głupia i przyjechała tutaj, do dzikiego kraju, sprawdzać coś, nie wiadomo co i nie wiadomo po co... Bo jak do tej pory wszystko wskazywało na to, że cała ta wyprawa była psu na budę. Że była bez sensu, że to zwyczajna strata czasu! I dlatego nie mogła się nadziwić, że ona, Edzia, taka inteligentna i przewidująca kobieta, która potrafiła we wszystkim odnaleźć sens lub jego brak, tu jest! Że oto siedzi teraz tutaj, tysiące kilometrów od domu, zupełnie bez sensu.

- *Ei, ce faci aici?*

Edzia leniwie otworzyła oczy. Leżała na ławce z nogami przewieszonymi przez poręcz. Jedno ramię miała pod głową, drugie podgięte i chyba zdrewniałe, bo nagle poczuła, jakby zaatakował je tabun mrówek. Z całą pewnością nie była to najwygodniejsza pozycja do drzemki i Edzia obiecała sobie, że na drugi raz ułoży się bardziej ergonomicznie.

Ktoś potrząsał jej ramieniem. Gruba kobieta ze śladami ospy na błyszczącej twarzy i koroną czarnych włosów, przetykanych srebrnymi pasmami. W uszach miała duże, złote kolczyki, co upodabniało ją do Cyganki. Brązowe oczy patrzyły uważnie i życzliwie, a usta rozciągnęły się w uśmiechu.

Miała na sobie kwiecisty stylonowy fartuch, poplamiony i pozapinany nie na wszystkie guziki. Spod fartucha wyzierał fragment wyblakłej blad różowej koszulki. Uśmiechnęła się, a skóra dookoła oczu zmarszczyła się promieniście.

I patrzyła na Edzię tak, jakby ją znała.

Za to Edzia jej nie znała i akurat co do tego miała całkowitą pewność. Nie odezwała się więc (no bo zresztą po jakiemu? po jakiemu?), patrzyła tylko lekko nieprzytomnymi oczami, z których jedno było trochę bardziej rozmazane.

Kobieta powiedziała coś jeszcze, przeciągając śpiewnie niezrozumiałe dla Edzi słowa, i zrobiła taki gest, jakby

chciała odgarnąć jej włosy z twarzy, ale Edzia odsunęła się gwałtownie. Tamta wzruszyła ramionami, usta jej się zdziwiły i, mamrocząc pod nosem, kolebistym krokiem wolno poczłapała do bramy.

Edzia ziewnęła szeroko i leniwie odgarnęła włosy z twarzy. Spojrzała na zegarek. Spojrzała jeszcze raz. Dochodziła czwarta. Przespała prawie dwie godziny!

O mamó!

Postanowiła dłużej nie rozważać i nie roztrząsać, a już na pewno nie przesypiać, tylko działać. Działać!

Stała teraz przed szpitalem w Mangalii i miała nadzieję, że jest to jedyny szpital w tej miejscowości. Że więcej ich tu nie ma, a przynajmniej nie w pobliżu. Rozejrzała się jeszcze dookoła dla pewności.

No chyba, że ten, o który jej najbardziej chodzi, to nie ten, przed którym stoi, tylko jakiś inny, który na przykład jest gdzieś dalej albo co gorsza już nic istnieje. I wtedy szukaj wiatru w polu.

Tak czy siak, trzeba sprawdzić co się da.

Popchnęła szare drzwi, pokryte lekko łuszczącą się farbą i weszła do środka, prosto w półmrok poczekalni. Umieszczone pod sufitem niewielkie, okrągłe okno filtrowało promienie słońca, mieszając je z kolorowymi drobinkami kurzu i kiedy Edzia stanęła w świetlistym kółku, utworzonym przez, wpadający z góry snop światła, poczuła się jak bohaterka filmu szpiegowskiego.

Może przez ten dreszczyk emocji.

Podeszła do okienka recepcji i już chciała zapytać (ale o co? o co? i po jakiemu?), kiedy młoda, wysoka recepcjonistka z dużym pieprzykiem na policzku uśmiechnęła się uprzejmie i odezwała pierwsza.

Jak było do przewidzenia, odezwała się po rumuńsku. Jak było do przewidzenia, Edzia nie zrozumiała ani słowa. Ale recepcjonistka wcale nie czekała, aż Edzia jej odpowie. Chwyliła

słuchawkę telefonu tak gwałtownie, aż przewrócił się stojący obok wazonik z błękitnego szkła.

- *Doctore Escu, deja estet Este!* - Powiedziała radośnie podnieconym głosem.

- *Doctorul vine.* - Powiedziała do Edzi.

Wychyliła się ze swojego okienka i spojrzała w głąb korytarza, podzielonego na równe części szarymi drzwiami. - *Vine imediat, cat ai clipi din ochi!*

Edzia też spojrzała. Już z daleka dostrzegła siwego, starszego mężczyznę w białym kitlu, który szybko z rozwianym włosom szedł w ich stronę, szeroko uśmiechając się... do niej? Nie, chyba do recepcjonistki... Tak, na pewno. Edzia rozejrzała się na boki, ale nikogo więcej nie było.

- *Ai venii, draga?* - Objął ją serdecznie i przytulił do białego fartucha. - *Nu ma asteptam sa vii asa devreme!*

Edzia nie zdążyła zaprotestować, z całej siły przycisnęła do sztywnego płótna, wypełnionego facetem, którego widziała pierwszy raz na oczy. Pachniał oficjalnie, szpitalnie, jakimiś dezynfekaliami. Nie wiedziała, jak się zachować ani po jakimu odezwać.

W końcu wykrztusiła przez ściśnięte gardło:

- *Sorry... but... I can't speak...*

Uścisk zeszywniał nagle. Mężczyzna powoli odsunął ją od siebie na długość ramienia i uważnie popatrzył w oczy. Już się nic uśmiechał. Miał szczupłą, wąską twarz i siwe włosy do ramion, rozdzielone pośrodku głowy równym przedziałkiem. Niewielkie, brązowe oczy z cienkimi powiekami. Bystre oczy. Czujne oczy. Oczy krótkowidza. I krótkie rzęsy. Był trochę podobny do charta afgańskiego. Nie, nie tylko trochę, był naprawdę bardzo podobny. Po chwili uśmiechnął się znowu i poczochnął ją po włosach jak nieletniego urwisa.

Ale kiedy jego dłoń zahaczyła o kolczyk Edzi, zwisający z ucha srebrną łożką, twarz mu się ścięła.

Spojrzał ukradkiem na recepcjonistkę, ale ta przeglądała jakieś kartoteki i nie zwracała już na nich uwagi.

- Proszę ze mną - powiedział cicho i jak najbardziej po angielsku.

Wziął ją za rękę, trzymał mocno, chociaż Edzia czuła, że jego dłoń lekko drży.

I rozglądając się uważnie dookoła, zaprowadził ją do jednego z gabinetów, zamkniętych szarymi drzwiami bez szybki.

- Proszę usiąść - wskazał krzesło po drugiej stronie biurka.

Miał wąskie, kościste dłonie. I już nie był taki miły. Nerwowo przesunął stos papierów, schował popielniczkę, przestawił jakąś lampkę, na koniec włożył ręce do kieszeni fartucha. Przyglądali się sobie przez chwilę.

Milczenie zaczęło ciążyć, więc Edzia pomyślała, że dobrze byłoby je przerwać. A jeżeli ktoś musi zacząć pierwszy, to proszę bardzo, niech to będzie ona.

- Cieszę się, że zna pan angielski - powiedziała uprzejmie. - Z nikim się tu nie mogłam porozumieć.

- Naprawdę? - zdziwił się jakby trochę ironicznie, co nieco zbiło Edzię z tropu. - A z kim pani tutaj rozmawiała?

- Noo... tutaj to właściwie z nikim... Tylko jakaś kobieta mnie zagadnęła, tu, przed wejściem. No i ta recepcjonistka...

- Jak wyglądała? - zainteresował się nagle.

- Ta kobieta?

Kiwnął twierdząco głową.

- Bo ja wiem... - zastanowiła się Edzia. - Starsza, gruba, miała włosy...

I zrobiła gest, opisujący fryzurę kobiety w fartuchu z nylonu lepiej niż wszystkie angielskie i rumuńskie słowa razem wzięte. Lekarz pokiwał głową z zadowoleniem.

- W porządku. To sprzątaczką. Ktoś jeszcze? Edzia pokręciła głową, że nie.

- Dobrze... W takim razie... - powiedział powoli, zwijając w palcach jakiś paperek.

- Co panią do mnie sprowadza? Czy coś pani dolega? Słucham panią.

- Tak naprawdę, to... nie. Właściwie... jestem całkiem zdrowa! - uśmiechnęła się do niego, ale usta doktora ani drgnęły.

- Ale przyszła pani do szpitala. Po co?

Edzia rozsunęła plecak i pogrzebała w nim po omacku. Iiłyo lam dużo za dużo wszystkiego, i to na dodatek luzem. Tego, co potrzeba, oczywiście nic mogła znaleźć. Nigdy więcej plecaków bez kieszonek ani kosmetyczek z zepsutym zamkiem! Ani też zużytych gum do żucia w tych plecakach. - Zanotowała na marginesie myśli.

Lekarz nie spuszczał z niej wzroku.

W końcu znalazła. Wyciągnęła ostrożnie spomiędzy skotłowanego swetra i okularów, oblepionych roztopionym z gorąca czekoladowym batonikiem. Podała lekarzowi przez biurko. Wziął z wahaniem, rozłożył powoli i ostrożnie. Oglądał długo, ze zmarszczonymi brwiami, kiwając machinalnie głową.

- To po polsku - odpowiedziała Edzia, jakby miało mu to cokolwiek ułatwić.

- Wiem - kiwnął głową, nie odrywając wzroku od dokumentu.

- Wie pan, co to jest? - zdziwiła się Edzia. - Naprawdę?

- Wiem.

Edzia szybko nabrała powietrza w płuca, bo w gardle nagle zaczęła jej rosnać jakaś kosmata kula ze skłębionej, szarej sierści. Chciała zapytać, dopóki jeszcze może mówić, zanim ta kula szczelnie i bezpowrotnie wypełni jej usta.

- Więc... Czy... czy to jest... to miejsce? Panie doktorze. Lekarz milczał.

Wciąż tylko patrzył i patrzył w tę wyświechtaną, poprzecieraną na rogach kartkę. Wpatrywał się

w nią z taką uwagą, jakby zapisano na niej coś bardzo szczególnego. Losy świata na przykład. Albo wzór na perpetuum mobile. Albo coś takiego, co mogłoby i jego dotyczyć. Jego, Escu.

Ważyt coś w sobie. Długo, bardzo długo. Trwało to tyle czasu, że Edzia zwątpiła, czy kiedykolwiek się odezwie. Ale w końcu odpowiedział, nie odrywając oczu od wypłowiałych polskich słów:

- Tak... Tak, to jest to miejsce.

Kula w gardle Edzi zamieniła się w jeża. W kolczastego jeża i w zdziwienie, że tak łatwo poszło. Ona zapytała, on odpowiedział. Tak po prostu.

- Więc... urodziłam się tutaj, czy tak? W tym szpitalu? - upewniła się jeszcze, czy aby dobrze się zrozumieli. No bo w końcu oboje rozmawiali w mniej lub bardziej obcych językach.

- Tak.

Lekarz dyskretnie spojrział na zegar, wiszący nad jej głową. Jednak nie na tyle dyskretnie, żeby Edzia tego nic zauważyła. Zauważyła i odwróciła się odruchowo. Było piętnaście po czwartej.

- Tutaj pracował mój ojciec - powiedziała. - Wiele lat temu.

- Tak - potwierdził Escu, przelękając z niejakim trudem ślinę, jakby nagle dostał zapalenia migdałków. - Wiem.

- Był chirurgiem.

- Tak. Tak jak ja.

- Tak? To może... może pan go znał? - zapytała Edzia z rozpędu, chociaż zdawała sobie sprawę, że było to bardzo mało prawdopodobne.

- Taak... Znałem - przyznał Escu po chwili, z niejakim ociąganiem. - Znałem...

- Naprawdę? - ucieszyła się Edzia. - I co, pracował pan z nim?

- Byłem u niego na... jak wy na to mówicie? Na praktyce - powiedział po polsku.

Edzia nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu. Jeź w szyi stracił kolce i zmniejszył się już do rozmiarów gruszki. Ulegałki.

- Mój ojciec przyjmował mnie na świat. Tutaj. Wie pan o tym?

Lekarz zamilkł. Już nie patrzył na nią, niezwykle zainteresowany papierkiem, który od ciągłego zwijania zaczął się kruszyć i opadać na biurko miękkimi drobinkami.

- Był przy moim urodzeniu - nie poddawała się Edzia. Lekarz milczał.

- Tak mi zawsze mówił... - w głosie Edzi zabrzmiała cienka nutka niepewności.

Zapadło milczenie i trwało na tyle długo, że Edzia pomyślała, że może jednak lepiej będzie pójść stąd sobie jak najszybciej.

Łańcuszek ze złotym kółeczkiem z Toledo, zahaczony o jakiś guzik, zadrapał ją lekko w szyję. Sięgnęła tam i odczepiła, a ciepły wisiorek, spływając niżej, dotknął zmienionej skóry.

- A może o tym coś pan powie? - uniosła bluzkę do góry, odsłaniając bliznę.

Lekarz ukrył twarz w dłoniach. Nie chciał patrzeć. Nie chciał nic mówić.

- Proszę! - zachęciła go Edzia. - Jest pan przecież lekarzem, prawda?

Chirurgiem, tak? No, niech się pan tak nie boi!

Paznokcie zbieleły mu od kurczowego zaciskania powiek, a na czole załśniły kropelki potu, kiedy powiedział schrypniętym głosem:

- Nic boję się.

- Więc... co to za blizna?

Escu zastanawiał się przez chwilę.

- Ojciec pewnie coś pani powiedział - odezwał się w końcu spomiędzy złożonych rąk.

- Coś mi powiedział - przytaknęła Edzia. - Coś. Ale ja chcę znać prawdę. Oderwał ręce od twarzy, a Edzia zobaczyła, że w kilku miejscach zostały czerwone ślady. Spojrzał na nią ciężkim wzrokiem i powiedział powoli, starannie dobierając słowa, jakby bardzo zależało mu na tym, żeby dobrze go zrozumiała:

- Obawiam się, że nie będę mógł pani pomóc. Kolczasta uległa w szyi Edzi znów była jeżem.

- Dlaczego?! - zapytała rozpaczliwie. - Przecież ja tylko chcę wiedzieć! Tylko wiedzieć! Czy to coś złego?!

Lekarz rozłożył ręce w geście bezradności i pokręcił odmownie głową.

- Przecież pan go znał... - powiedziała prosząco Edzia. Escu odwinął rękaw fartucha i znacząco spojrział na zegarek. Edzia poczuła, że jej szanse topnieją jak śnieg na patelni.

- No to kogo, kogo do cholery mam zapytać?! - wybuchnęła. - Kogo?! Ojciec nie żyje... a mama... mama już...

Lekarz nie wyglądał na zaskoczonego.

- Tak, znałem twojego ojca - powiedział z westchnieniem. - To był dobry lekarz. Był moim nauczycielem. A potem przyjacielem. Ale ja nie żyłem jego życiem. Nie o wszystkim mi opowiadał. I naprawdę nie o wszystkim wiem.

- Nie chce pan mówić... - w głosie Edzi zabrzmiała determinacja. - Ale przecież takie rzeczy można sprawdzić! Są przecież dokumenty, archiwa... Tutaj powinny być, w tym szpitalu...

- Proszę pani...

- Mam do tego prawo. Mam prawo wiedzieć!

- Proszę pani... to było tak dawno temu, sto lat temu... - machnął ręką Escu, jakby to, o czym mówili, było starsze od najstarszych dinozaurów. Edzia nagle poczuła się głupio.

- Trzydzieści parę.

- No właśnie.

- Tak.

- Tak... Ale po co pani to wszystko? - powiedział, znowu uciekając wzrokiem przez niedomyte okno. - Tak, to zastarzała blizna. Długa. Stara i... rozrośnięta. Ale przecież można ją usunąć. I po kłopotcie.

- Skąd pan wie? Że długa i stara? - zdziwiła się Edzia. - Przecież nawet jej pan nie obejrzał...

- Można ją usunąć - powtórzył lekarz, jakby nie słysząc.

- Wiem! - zniecierpliwiła się Edzia. - Wiem, że można! Mogłam ją usunąć u siebie. W Polsce. I zrobię to, zrobię! Zaraz jak tylko wrócę! Nie po to tu przyjechałam.

Lekarz spojrzał na nią uważnie.

- Tak? A po co?

- Dowiedzieć się paru rzeczy.

- Na przykład?

- Na przykład, skąd się wzięła ta blizna? Na przykład... Wie pan, że od polskiego chirurga usłyszałam dość zaskakującą teorię?

- Tak...? - Escu nieco zadrżał głós.

- A tak. I ciekawa jestem, czy pan, jako chirurg, potwierdzi ją, czy nie...

- Ja nic wiem... - Escu bezradnie rozłożył ręce. - Ja nie wiem, czy będę mógł pani pomóc...

Edzia postanowiła przestać bawić się w Wersal.

- Coś panu powiem - powiedziała twardo, patrząc mu prosto w oczy. -

Jeżeli od pana niczego się nie dowiem, zwrócę się do dyrektora szpitala o wgląd do dokumentów. Na temat mojego urodzenia. Tutaj. I operacji.

Operacji, która została tu przeprowadzona. Na mnie. I muszą się na to znaleźć dokumenty! Choćby na to, że się tu urodziłam. - Zablefowała, nie mając pojęcia, czy tak stare dokumenty nie zostały już dawno przerobione na papier toaletowy lub też w jakiś inny sposób nie utonęły w pomroce dziejów.

Lekarz westchnął głęboko. Odruchowo sięgnął do kieszonki w fartuchu, jakby po papierosa, ale ręka zawisła mu w powietrzu i po chwili opadła na kolano z suchym plaśnięciem.

- Co pani chce ode mnie usłyszeć? - zapytał zrezygnowany.

- Czy... czy to prawda, że ta blizna powstała w wyniku... rozdzielenia bliźniąt - wypaliła Edzia, zamykając oczy ze strachu. - Czy to prawda, że mam syjamską siostrę.

Escu przez chwilę z namysłem pocierał szorstki policzek.

- Chodźmy stąd - powiedział po prostu.

Wyszli ze szpitala bocznymi drzwiami. Nie spotkali już tamtej

repcjonistki z pieprzykiem na policzku, ani grubej sprzątaczk.

Stali teraz twarzą w twarz w jakiejś ciasnej uliczce, na której oprócz nich nie było nikogo. Żadnego człowieka, ani nawet bezpańskiego kota.

Słońce schowało się za murem jednej z ruder i Edzia poczuła nagły chłód.

Nie było tu żywej duszy, tylko wszechobecna, kłująca w uszach cisza, z rzadka przerywana stukaniem pootwieranych na oścież okien kamienic, w których już dawno nikt nie mieszkał.

- Ma pani gdzie spać? - zapytał Escu obcesowo i jakoś szorstko.

Edzia poczuła się trochę dziwnie. Dziwnie i nie do końca bezpiecznie.

Uzucie to nic miało nic wspólnego z tym napędzającym adrenalinę

byciem bohaterką sensacyjnego filmu, którego doświadczyła wcześniej,

byciem choćby nawet bohaterką drugoplanową. Przeciwnie. Miało za to

dużo wspólnego ze zwyczajnym strachem a nawet, nie bójmy się tego

słowa, paniką.

Edzia nagle bardzo zatęskniła za domem. Bardzo. Zatęskniła wręcz gwałtownie. Za swoim własnym, najwłaśniejszym,

bezpiecznym domem. I nawet za tym kotem. W końcu nie był taki najgorszy... Wiele by dała, żeby teraz usiąść na kanapie z kotem w ramionach, bardzo wiele! Obiecała sobie, że nie będzie już go zwalczać. Ani głodzić. Jeżeli tylko kiedykolwiek wróci do domu. I może go nawet nie wysterylizuje.

Ale teraz czuła się zagrożona oraz wyprowadzona w pole, i gdyby Escu ogłuszył ją albo też pociął jakimś chirurgicznym narzędziem, które na pewno ma w kieszeni, nikt by się o tym nie dowiedział. Nikt! Ani mama, ani Nika, Maurycy czy Słodki, ani też Jeżyna. Ani nawet Oyama.

Bo przecież nikt dokładnie nie wiedział, gdzie ona jest. Tak naprawdę Edzia sarna do końca nie wiedziała, więc na wszelki wypadek wołała nikogo nie wprowadzać w błąd. Co chyba nie było tak do końca słuszne. No, a Oyama nie wiedział, bo... on i tak za dużo wiedział! Edzia czasami miała wrażenie, że on wie więcej o niej niż ona sama. A to wcale nic było takie fajne, przynajmniej dla niej.

A gdyby nagle coś... to przecież Escu pozostałby na wolności i nadal byłby szanowanym chirurgiem... A fachowo pocięte kawałeczki Edzi błąkałyby się bezpiecznie po obcym kraju na wieki wieków!

Swoją drogą, to nawet fajna scena... przyszło Edzi do głowy zupełnie nie a propos. Idealna do *Cyrku*. Morena mogłaby wywabić Orskiego na pustkowie... z dala od ludzi

i zwierząt...

Tak. Edzia postanowiła to zapamiętać. I wykorzystać, jeżeli kiedykolwiek jeszcze będzie miała okazję.

Rozejrzała się dyskretnie w poszukiwaniu kogoś, na kogo mogłaby ewentualnie liczyć w razie czynnego ataku ze strony Escu, bo w torbie nie miała nawet pilniczka, jednak nikogo takiego nie zauważyła. Była tylko ona i on.

Ale Escu na razie nie atakował, tylko czekał cierpliwie i patrzył na nią pytająco.

- Nocleg? - odpowiedział jej, być może sądząc, że nie zrozumiała pytania. - Hotel?

- Coś znajde... - Bąknęła Edzia, niepewnie wzruszając ramionami, bo wcześniej jakoś o tym nie pomyślała. -A... a czemu pan pyta?

- Nie mogę dzisiaj z panią rozmawiać - powiedział Escu, nie patrząc jej w oczy. - Naprawdę nie mogę... Proponuję, żebyśmy spotkali się jutro. Jutro, na przykład o ... drugiej? Po południu? Tymczasem pani sobie odpocznie, wyśpi się, uspokoi... Na pewno jest pani zmęczona po podróży... prawda?

Owszem, Edzia była zmęczona, ale nie aż tak.

Przede wszystkim drżała z niecierpliwości, co Escu ma jej do powiedzenia. Ale starała się tego nie okazywać. Wiedziała, że teraz to ona jest górą. Bo Escu najwidoczniej ma coś do ukrycia. I właśnie dlatego jej powie to, co Edzia chce wiedzieć. Żeby Edzia nie odkryła tego, co on ukrywa i nie powiedziała komu innemu.

A zresztą i tak miała zostać. Nie liczyła przecież, że tak szybko czegośkolwiek się dowie.

- Tutaj niedaleko jest taki hotel... - powiedział Escu powoli. - Mały hotelik, ale schludny. Może się tam pani zatrzymać... bez obaw.

Nabazgrat jej numer domu na pudełku od zapalek.

- Nie odprowadzi mnie pan? - Zdziwiła się Edzia, bo wydawało się jej, że raczej powinien. Że tak wypada. W końcu jest kobietą i do tego w obcym kraju.

- Nnie... przykro mi, ale nie mogę... Mam jeszcze pilne sprawy do załatwienia... Ale trafi pani bez problemu, jestem pewien. To dwie ulice stąd. O tam, w tamtą stronę... - Machnął ręką w tamtym kierunku. Ten hotel prowadzi... taki jeden Holender. Dogada się pani... on doskonale mówi po angielsku!

Escu rozejrzał się dookoła i zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko i zapytał:

- Czy ktoś tu z panią jest? Z kim pani przyjechała?

- Nie, jestem sama - odpowiedziała Edzia odruchowo, czego też natychmiast pożałowała.

Escu nerwowo drgnął jakiś mięsień przy ustach. Ale on sam ukrył się natychmiast w chmurze dymu.

- Ale... ktoś chyba wie, że pani tu jest? Mówiła pani komuś? Matka?

- Tak - powiedziała Edzia na wszelki wypadek. - Mówiłam. Matka wic. Escu pokiwał głową ze zrozumieniem.

- No dobrze. To ja przyjdę jutro po panią. Do tego hotelu, o drugiej. Edzia wzruszyła ramionami.

- A skąd pan wie, że tam będzie? Że w ogóle będzie wolny pokój?

- Wiem - powiedział Escu.

I co miała robić? Poszła w stronę, którą jej wskazał, odprowadzana jego uważnym spojrzeniem.

A kiedy była już na tyle daleko, żeby widzieć co najwyżej rozmazane kontury jego postaci, Escu wyciągnął z kieszeni telefon.

Mama Edzi niecierpliwie zazgrzytała kluczem w zamku. Śpieszyła się, bo chciała szybko podlać kwiaty i zdążyć na popołudniowe powtórki wczorajszych odcinków *Cyrku*. W razie czego, pocieszyła się, obejrzę tutaj!

Chociaż sama przed sobą musiała przyznać, że *Cyrk* jednak najlepiej smakował we własnym domu.

Zgrzytała i zgrzytała, ale nie mogła otworzyć. Sprawdziła, czy to na pewno te klucze. Bo może nie te? Ale te. Te! No to o co...?

Mama Edzi przypomniała sobie, że przecież Edzia zainstalowała w domu jakąś gosposię! Na czas swojego wyjaz-

du, o którym jej, własnej matce, powiedziała w ostatniej chwili! **I** nawet nie podała daty powrotu. No tak, starej matki to się nie informuje... Bo i po co? Przed starą matką wszystko się ukrywa, wszystko! Nawet gosposię... Stara matka na złom!

Gospośia... Mama Edzi z dezaprobatą pokręciła głową. Bardzo nie podobał się jej ten pomysł, bardzo! Wpuszczanie obcych ludzi do domu i wysługiwanie się tanią siłą roboczą! To zupełnie jak w serialu *Maria*, gdzie bogacze posługiwali się pokojówkami i kucharkami wyłącznie w niecnych celach, jak na przykład otrucie innego bogacza.

Mama Edzi i w tym była na bieżąco.

Gospośia! Też coś... W dodatku taka, której mama Edzi nie widziała na oczy, i w związku z tym, jak mogła ocenić, czy gospośia jest dostatecznie wykwalifikowana? I czy się w ogóle nadaje? No jak?

Mama Edzi westchnęła ciężko, ale nie zdążyła poddać tematu głębszej analizie, ponieważ drzwi otworzyły się nagle i mamę Edzi zatkało.

Po drugiej stronie stał chłopak. Obcy, młody i do tego rudy. Rudy!

- Co... co pan tu robi? - wyjąkała mama Edzi z nagłym przestraszeniem. I odruchowo spojrzała na numer mieszkania. Czy to aby to mieszkanie. Ale to. To!

- Mieszkam - odpowiedział chłopak z uśmiechem.

- Jak to? Przecież tu mieszka moja córka! - sprostowała mama Edzi.

- Owszem - zgodził się chłopak. - Ja tu jestem tymczasowo. A pani to pewnie... mama?

- Mama Edzi - uściśliła mama Edzi.

- Miło mi. Oyama - przedstawił się Oyama. - Ale proszę, proszę! - szerokim gestem zaprosił ją do środka. I słusznie, ponieważ mamę Edzi zatkało tak bardzo, że aż zapomniała wejść.

Weszła i z miejsca podejrzliwie rozejrzała się po mieszkaniu. Nie była zadowolona, chociaż sama przed sobą musiała przyznać, że nie powinna aż tak tego okazywać. Bo naprawdę nie było się do czego przyczepić. Przejechała ręką po szafce w miejscu, gdzie jej palec zawsze, bez pudła, pokrywał się szarym nalotem. Ale tym razem nie został jej na dłoni nawet miligram kurzu. Mamę Edzi bardzo to zdziwiło. Tak bardzo, że aż podniosła dywan. No proszę! Znikły choinkowe igły jeszcze ze świąt, które Edzia zawsze podmiatała dla wygody pod spód. Wyparowały też zacieki przy zlewie, które przecież były tam od zawsze, czyli od czasu, kiedy w życiu Edzi pojawił się rzeczony zlew.

Mama Edzi pogrzebała jeszcze w doniczce z kwiatkiem w nadziei, że może tam...?

Ale nic. Kwiatek nie był przesuszony, brak też było uszkodzeń mechanicznych jak również pasożytów w rodzaju przedziorka.

Przędziorek pojawia się przy chronicznym zaniedbaniu i u Edzi nigdy go nie brakowało... No proszę... ten też nie. Ani ten...

Parapety czyste, szyby bez tłustych śladów po palcach. Naprawdę nie było się do czego przyczepić.

I to właśnie było podejrzane.

Mama Edzi była poważnie zaniepokojona, ponieważ mieszkanie było posprzątane z a bardzo. Ciekawe, co ten chłoptaş miał do ukrycia, że tak dokładnie wszystko wyczyścił...? O proszę, i nawet uchwyt do szafki przykręcił... ciekawe...

Jednak nic nie wskazywało na to, żeby coś zginęło albo miało zaraz zginąć. Mama Edzi nie zauważyła nigdzie paczek ani pakunków przygotowanych do wyniesienia. Komputer stał na swoim miejscu, telewizor też...

Zniknęła za to sterta ubrań z fotela. Edzia organicznie nienawidziła prasować i zawsze gromadziła góry prania, z której wyciągała na oślep pojedyncze sztuki odzieży, kiedy już naprawdę nie miała co na siebie włożyć.

- A to...? - zaczęła podejrzliwie, ale chłopak nie dał jej dokończyć.
- Te ciuchy stąd? - powiedział z uśmiechem. - Spokojnie! Są w szafie.
- Jak to, wszystkie? Zmieściły się? - zdziwiła się mama Edzi.
- Owszem - przytaknął. - Chce pani zobaczyć?
- A owszem!

Chłopak otworzył szafę, w której leżały równiutko poukładane ubrania Edzi. Wszystkie, co do jednego, ułożone w kostkę i uprasowane. Mama Edzi nie zdążyła ochłonać ze zdziwienia, kiedy chłopak zapytał jak gdyby nigdy nic:

- Napije się pani kawy?

Nalał do czajnika wody pod kreskę, dokładnie tyle, ile trzeba. Mama Edzi widziała wszystko.

- A do kawy mam placek śliwkowy, chyba niezły...? Mama Edzi wahała się tylko przez chwilę.
- No, faktycznie niezły... - Wymamrotała potem z pełnymi ustami. - Świeżutki i taki... śliwkowy...! Gdzie kupiłeś? Tu w tej cukierni na rogu?
- Nic kupiłem. To znaczy... kupiłem... - uśmiechnął się chłopak w zakłopotaniu - ... kupiłem trochę za dużo śliwek.. . Nie wiedziałem, że słoików jest tak mało ... i połowa potłuczonych... No a powidła z tych wszystkich śliwek... - znów się uśmiechnął - ... no i pomyślałem, że będzie lepiej, jak resztę zużyję do ciasta...

Mamie Edzi ostatni kawałek wypadł z ust. Może to i dobrze, bo inaczej przecież nie mogłaby mówić. A w tym właśnie momencie zadzwonił telefon. Rzuciła się, żeby odebrać, ale chłopak był pierwszy.

- To ja - powiedziała Edzia.
- No słyszę. Cześć - odpowiedział Oyama nieco lakonicznie. Ukradkiem zerknął na mamę Edzi, która nawet nie próbowała udawać, że nie słucha.

Hmmm... To nie było ciepłe przyjęcie, pomyślała Edzia. Może po prostu bolał go ząb albo co? W każdym razie Edzia postanowiła nie skreślać go zbyt pochopnie.

- Co tam u was? - zainteresowała się życzliwie. - Znaczy u ciebie i kota? Oyama wahał się przez chwilę.

- Noo... jakby ci tu... no, żyjemy sobie. Nawet, yyy... nieźle...

Ale jego głos zabrzmiał nieco piskliwie, a nawet kogucio, zwłaszcza w końcówce. Tak jakby jednak nic szło za dobrze. W każdym razie nie aż tak.

- Ale wszystko w porządku? - upewniła się Edzia na wszelki wypadek.

- W porządku - zapewnił ją nieprzekonująco.

- Na pewno? - spytała Edzia nieco podejrzliwie.

- Tak... - zapewnił Oyama prawie zupełnie szczerze. - W jak najlepszym porządeczku! - I dodał jeszcze: Twoja mama cię pozdrawia!

- Skąd wiesz? - zdziwiła się Edzia.

- No bo ten... siedzi tutaj - powiedział Oyama dość oficjalnie. - Tu na fotelu siedzi. I pozdrawia.

- O matko - zrozumiała nagle Edzia. - Biedaku! To dlatego jesteś taki drętwy?

- No.

- To daj mamę, dobrze?

Edzia wzięła głęboki oddech. Była przygotowana na wszystko, a przynajmniej tak jej się wydawało.

- No cześć, mamó. Jak się masz?

- A co ty tam jeszcze robisz? - zazgrzytała mama. - Myślałam, że już wracasz! Nic nie mówiłaś, że...

Edzia już chciała zauważyć, że owszem, mówiła. Jak najbardziej mówiła! Tylko że wtedy mama była zajęta czym innym. Mama przeżywała kolejną noc przedślubną Mariana i Laury, i nawet złośliwie skomentowała jej zbyt wyzywają-

cy strój. Właśnie to Edzia chciała mamie powiedzieć, ale nie bardzo miała kiedy. Więc tylko machnęła ręką.

Ale mama Edzi tego nie widziała, więc mówiła dalej, bo niby dlaczego miała sobie przerywać?

- Dopiero co wróciłaś przecież! I co, znowu wyjazd?! W głowie ci się przewracało, matki nie szanujesz... a ja tu się zamartwiam! To nie wiesz, jak nie lubię, kiedy samolotami latasz...? No nic... stara, zniechęcała matka o wszystkim dowiaduje się ostatnia... - mama Edzi przeciągle i znacząco pociągnęła nosem - ... jak zwykle...!

Nagle konfidencyjnie ściszyła głos:

- Ale, ale! Co tu robi ten chłopak? No wiesz ty co?! Ja przychodzę, pukam, a tu... obcy facet otwiera! Obcy! A przecież miała być gosposia! Mówiłaś, że gosposia będzie... A ten facet to ten, co mówiłaś? Nie za młody trochę? Bo wiesz, tacy to...

Tu już Edzia bez pardonu weszła jej w słowo.

- Nie mam. To nie ten.

Co mamę Edzi zbiło nieco z tropu.

- Nie ten? - spytała trochę niepewnie, - A który?

- Nie. Nie ten - odparła ponuro Edzia. - Tamten właśnie zmarł.

- Aha... - powiedziała z namysłem mama Edzi, której zakłopotanie już ustąpiło miejsca wrodzonej podejrzliwości. - To co w takim razie t e n tu robi?

- Mieszka! - wzruszyła ramionami Edzia. - Kotem się opiekuje, kwiatki podlewa. To jest właśnie moja gosposia. Taka bardziej... niestandardowa.

- Aha... Kotem się opiekuje... ale jakim kotem? - zdziwiła się mama. - Jakim kotem? Przecież tu nie ma żadnego kota!

Edzia przez jedną krótką chwilę nie mogła połapać się w tym, co właściwie mama powiedziała. I jak to się przekłada na rzeczywistość. No, ale połapała się w końcu.

- Daj mi go do telefonu, dobrze? - poprosiła uprzejmie, lecz stanowczo.

- Kogo? - nie zrozumiała mama. - Kota? Przecież...
- Gosposię daj!
- Ale... ale... - zaczęła mama, ale Edzia przerwała jej w pół słowa:
- Proszę - poprosiła najbardziej stanowczo, jak umiała.
- Ja bardzo, bardzo proszę.

W końcu mama niechętnie oddała słuchawkę, mamrocząc pod nosem coś, co z grubsza dotyczyło nieuzasadnionej wyższości kotów nad starymi matkami.

- Co z kotem? - zaskoczyła Oyamę Edzia. - Gdzie kot? Ale Oyama nie dał się zaskoczyć. A przynajmniej nie tak od razu.

- Nic, a co ma być? - jego głos zabrzmiał najnaturalniej w świecie.
- No jak to... - zdziwiła się Edzia. - Mama mówi, że go nie ma. Gadaj, gdzie kot, ale już!

Zapadło milczenie, które jednak nie mogło trwać zbyt długo, ponieważ obie strony miały świadomość kosztów. Znaczący, że impulsy leczą non stop.

- No, mów! - ponagliła Edzia.
- No tak... jest pewien problem... - przyznał niechętnie Oyama. - Faktycznie, chwilowo go tu nie ma... ale spokojnie, spokojnie! Nie zjadłem go! Kot żyje i ma się dobrze. Problem jest... jakby to powiedzieć, ... techniczny.

Edzię ogarnęło nagle nieprzyjemne przeczucie, że kot najprawdopodobniej nie jest w dobrych rękach. Że raczej w złych. I co one teraz robią z tym kotem, te ręce. Raczej nic dobrego...

- Problem... techniczny? O czym ty mówisz? - zapytała trochę nerwowo. - Co z moim kotem? Miałeś się nim opiekować!

Jeżeli ktoś tu stracił zimną krew, to na pewno nie Oyama.

- Wyluzuj, kochanie - powiedział powoli i wyraźnie.
- Twój koteczek, ten rudy skurczybyk, jest naprawdę pod dobrą opieką!

Edzia odetchnęła z ulgą. Ufff. No, spokojnie... już dobrze. Nie ma nic gorszego, niż nakręcać się bez powodu. A wszystko przez mamę i jej znerwicowane fluidy, które rozsiewała naokoło. Edzi przyszło do głowy, że Oyama należy się dodatek za pracę w szkodliwych warunkach. Tak. Jak najbardziej się należy.

- No to gdzie kot jest teraz? - zapytała już znacznie spokojniej.

- W najbardziej bezpiecznym miejscu, jakie znam - powiedział Oyama ze świętym przekonaniem w głosie. - Gdzie włos mu z głowy nie spadnie!

Ani z ogona.

- Czyli gdzie?

- Na policji.

Edzia była pewna, że się przesłyszała.

- Gdzie??

- No, słyszałaś. Na komisariacie został - powiedział Oyama. - Do wyjaśnienia.

- Do wyjaśnienia... czego?

- Bzyczenia! Bo nie wiem, czy wiesz, ale... mało który kot bzyczy.

Zapewniam cię - powiedział Oyama przekonująco. - A jak już zaczyna bzyczeć, to znaczy, że nie jest dobrze! I warto go wtedy oddać do naprawy - wyjaśnił Oyama i dorzucił kilka stów o tym, jak to dokładnie wyglądało.

Mówił dość oględnie i miejscami nawet enigmatycznie, bo mama Edzi cały czas nadstawiała ucha, udając, że z uwagą przegląda program telewizyjny.

Po wysłuchaniu tych rewelacji Edzia rozplakała się ze śmiechu. I powiedziała:

- Nie wierzę... nie, nie wierzę! To za głupie, żeby było prawdziwe.

- Nie wierzysz, to nie wierzysz - powiedział Oyama. - A kot jest na policji i tyle! Zatrzymany, czujesz?! Chcą zobaczyć, co tam w nim siedzi.

Prześwietlają go, no i może będzie operowany...

- Biedny! - pożałowała go Edzia. - Żeby tylko go nie uszkodzili...!
- Nie martw się, panuję nad sytuacją... - uspokoił ją Oyama. - Wszystko będzie dobrze. Wrócisz, a kot będzie jak nowy...! Lepiej powiedz, co u ciebie. Znalazłaś coś?

Edzia wzięła głęboki oddech.

- Noo... chyba coś znalazłam... mam nadzieję...

- No to gadaj, gadaj!

- Tylko że... Nie, to jest takie pokręcone... że sama w to jeszcze nie wierzę... naprawdę... nawet nie wiem, jak o tym mówić...

- No co ty? - ucieszył się Oyama. - Chcesz powiedzieć, że twoje niusy przebijają kota Żelazny Żołąd?

- Chyba... chyba tak... - przytaknęła Edzia. - Przy tym, czego się dowiedziałam, kot to przyszcz... Oczywiście biorąc na poważnie to, co mi o nim nagadałeś...

Edzia zamilkła i Oyama wyczuł, że jakoś posmutniała. I to raczej nie z powodu kota.

- Powiesz coś jeszcze? - zapytał najciszej, jak umiał.

- Jeszcze nie.

Kota zarekwirowała policja, ponieważ niepokojąco bzy-czał od środka. Bzyczenie było dość charakterystyczne w wyrazie, głuche i niskie, i pojawiało się w ściśle określonych okolicznościach. Nie można go było bez końca lekceważyć i udawać, że to jakieś przesłuchy. Kot zosta! więc zatrzymany na komisariacie, celem ustalenia przyczyny bzyczenia, które nie nosiło wprawdzie jeszcze znamion przestępstwa, ale już było bardzo podejrzane.

Szczególnie w kontekście ostatnich wydarzeń.

Weterynarz, do którego Oyama udał się z kotem, aby zdiagnozował bzyczenie oraz ewentualnie uwolnił kota od

tej przypadłości, nie chciał się podjąć tego zadania. To znaczy nie chciał się podjąć tak od ręki, bo w końcu przecież się zgodził i nawet obiecał, że zrobi to szybko i ze znieczuleniem. Ale pod jednym warunkiem.

Kot zostanie najpierw pokazany policji. Bo może coś zawierać. Jakiś ładunek na przykład. Może nawet wybuchowy?

Oyama nie miał nic przeciwko. On również był zaniepokojony bzyzieniem, więc nie zwlekał z okazaniem kota.

Na komisariacie potraktowano i Oyamę, i kota nadzwyczaj protekcjonalnie.

Kiedy odczekali już swoje pomiędzy dwoma zapijaczonymi wielbicielami Ich Troje, Oyama i kot zostali poproszeni o złożenie wyjaśnień oraz podpisu.

Ale nie tak od razu. Wcześniej posadzono Oyamę o robienie sobie żartów i znęcanie się nad zwierzętami.

No i zabieranie czasu oraz zawracanie głowy policji.

- Wlepmy mu mandat! Albo kolegium... - zaproponował inspektor Kluczyk. - I niech sobie idzie!

- Dobry pomysł, inspektorze - przytaknął młodszy inspektor Święty Marek.

Pomysł ten wzbudził entuzjazm także w Rozalii, osobistej sekretarce Kluczyka oraz kapralu Łabądku. Czyli, można powiedzieć. Kluczyk uzyskał sto procent poparcia. A to znaczy, że był to naprawdę dobry pomysł, pomyślał z zadowoleniem inspektor Kluczyk.

I prawdopodobnie zostałby on zaraz wprowadzony w życie, gdyby nie telefon. Telefon należał do inspektora Kluczyka i właśnie zadzwonił.

Wtedy kolektywnie stwierdzono, że kot faktycznie bzyczy. Wszyscy obecni byli bardziej niż zaskoczeni, bo sam fakt bzyczenia nie ulegał już wątpliwości.

Z całą pewnością nie było to zachowanie typowe dla kotów, nawet rasowych. Musiał się z tym zgodzić nawet inspektor Kluczyk. Przyszło mu też do głowy, że może jednak zbyt pochopnie pozwolił Edzi wyjechać za granicę. Bo

z Rumunii to już tylko jeden skok do takich, na przykład, emiratów. Albo Konga. Albo nawet jeszcze dalej. On, inspektor, bynajmniej by tak zrobił, mając coś do ukrycia. A potem szukaj wiatru w polu! Tymczasem trzeba było działać.

- Wezwać sapers! Natychmiast! - zdecydował Kluczyk.

- A po co? - Zdziwił się Święty Marek, mrugając powiekami i mimochodem wyprowadzając starszego inspektora z równowagi, ponieważ Kluczyk odebrał to mruganie jako podważanie jego, inspektora Kluczyka, autorytetu.

- Co twoim zdaniem tam jest? - Inspektor wskazał oskarżycielsko na rude futerko.

- Chyba... kot? - zawahał się Święty Marek, bo przecież nie widział zbyt dokładnie.

- W środku - powiedział Kluczyk przez zaciśnięte zęby.

- W kocie? No nie wiem... nie znam się za dobrze na zwierzętach... pewnie wątróbka, płucka... mózdzek?

Inspektor pokiwał głową z dezaprobatą i postawił sprawę jasno:

- Dłubałbyś w kocie dla zabawy?

- No nie... - odpowiedział Święty Marek nieco wstydliwie, a jego oczy raczej nie kłamały. - Ja to... w ogóle bym nie dłubał! Nie jestem zoofilem.

- To tak, jak ja - zapewnił pośpiesznie inspektor Kluczyk. - Nie bzykam na służbie zwierząt futerkowych. Po godzinach zresztą też nie! Ale mam poważne obawy, że to tutaj... to może być... zamach!

Na Świętym Marku zrobiło to spore wrażenie.

- Zamach?! - wzdrygnął się z przestrawieniem. - Na nas dwóch? Czy tylko na pana?

- Na ciebie czy na mnie, jakie to ma znaczenie?!

- Dla mnie ma... - westchnął Święty Marek. - Dwudziestego wygasło mi ubezpieczenie na życie... Więc w razie czego to pan pójdzie na pierwszy ogień, dobrze?

- Dlaczego? - obruszy! się Kluczyk.
- Bo panu kończy się dopiero w grudniu...
- To pewnie sprawka tych z komisariatu obok... sukinsyny... Taką świnię nam podłożyć... - Kluczyk ruchem brody wskazał rudego kota, który chwilowo nie bzycał. - ... Wiesz, co teraz będzie? Bum! I statystykę dni bez wypadku trafi nagty szlag! I już na pewno nie zostaniemy Komisariatem Roku...

Uświadomiwszy sobie, co to właściwie znaczy dla jego komisariatu, a zwłaszcza dla jego ambicji, inspektor Kluczyk rozpaczliwie ukrył twarz w dłoniach. Na dłuższą chwilę. Ale chwila minęła, krytyczny moment został przeczekany i inspektor postanowił, że tanio skóry nie sprzeda. O nie, nie podda się tak łatwo! Nie po to tyle razy wychodził cało z gorszych opresji, żeby teraz dać się pokonać kotu nadziewanemu bombą zegarową. Jego głos stał się bardziej zdecydowany, a ruchy sprężyste.

- Chłopaka spisać. Obszukać, może też coś ma. Na osobności i ostrożnie! Reszta... do was mówię - dźgnął palcem w stronę kaprała Łabądka i swojej własnej sekretarki Rozalii Pocięchy, która brak zawodowego doświadczenia z powodzeniem rekompensowała biustem o rozmiarze osiemdziesiąt ef - ... ukryć się za biurkiem albo jazda do wucetu, ale już! Rozalia i Łabądek czujnie spojrzeli sobie w oczy z tym, że wzrok Łabądka momentalnie odruchowo zsunął się niżej. Łabądek widąc doszedł do wniosku, że nie można narażać na straty bogactwa naturalnego i postanowił ratować Rozalię.

Do wucetu żadne z nich nie poszło, bo musieliby przejść obok kota, który z każdą sekundą stawał się coraz bardziej groźny. Ukryli się więc za biurkiem, a Łabądek dla większego bezpieczeństwa przycisnął do siebie Rozalię z całych sił. Żeby w razie czego lepiej zamortyzować uderzenie. Na szczęście nie trwało to długo.

Saper przejechał po kocie wykrywaczem min wte i wewte, a potem jeszcze dokładnie obmacał go dłońmi. Ku uldze wszystkich czterech pracowników komisariatu, saper oświadczył, że wewnątrz kota z całą pewnością nie ma bomby. Ani też niczego tak czy inaczej wybuchowego.

- Ale jednak coś tam jest? Prawda? - dociekał inspektor Kluczyk.

- No jest - przytaknął saper.

- Coś metalowego. Tak? - inspektor szukał jakiegoś punktu zaczepienia.

- Metalowego - zgodził się saper.

- Ale co to może być?

Saper podrapał się po głowie. Pomyślał chwilę.

- Nie wiem - powiedział w końcu.

- A może on coś zezarł? - podpowiedział inspektor Kluczyk.

- Może i zezarł... - przytaknął saper i spojrzał na zegarek - a może i nie...

To ja już pójde, dobrze? Bo za pół godziny rozminowuję pizzerię Horrendum. Ma wybuchnąć dokładnie za... dwadzieścia osiem... nie, dwadzieścia siedem minut... A to aż na Bielanych. Kawał drogi, nie? No i mogę nie zdążyć.

Inspektor Kluczyk machnął ręką, że może iść. Nawet on musiał przyznać, że wiele się nie dowie od sapera, który zamiast gonić teraz na sygnale do zagrożonej niebytem pizzerii, wystawił twarz do słońca, wiszącego nad komisariatem jak czerwona dynia i nieśpiesznie zaciągnął się papierosem. Ciągle nie było wiadomo, co takiego kot w sobie ma. Zatrzymano go więc na 24 godziny do wyjaśnienia. Oyama pomógł Świętemu Markowi wypełnić właściwy formularz, złożył podpis i poszedł do domu. To znaczy do domu Edzi.

Czekała na niego w obskurnej hotelowej knajpce, którą wskazał jej poprzedniego dnia. Escu przyszedł punktualnie,

czujnie rozglądając się dookoła. Nie miał dziś na sobie lekarskiego kitla, tylko jakiś stary, wypłowiały płaszcz, który kiedyś był czarny. Długie, siwe włosy schował pod kapeluszem, mocno nasuniętym na czoło. Nie chciał, żeby Edzia przyszła do szpitala.

- Jak się spało? - zapytał od niechcienia, zaciągając się papierosem.

- W porządku - odpowiedziała Edzia, bo nie było na co narzekać. Ani też o czym mówić. - Ten Holender... to jakiś pana znajomy?

Escu nie odpowiedział.

Prowadził ją bocznymi uliczkami, wąskimi i prawie bez ludzi. Przeciskali się między odrapanymi domami, obwieszonymi suszącą się bielizną, która na ceglanych ścianach wyglądała jak biżuteria w stylu etno. Z góry od czasu do czasu wpadało słońce, zatrzymując się na kamieniach i dziurach w chodniku.

Kilka wychudzonych, bezpańskich kotów z wściekłym miauczeniem umknęło im spod nóg.

Doszli do plaży. Stało tam kilkanaście parasoli, niedbale powtykanych w piach. Pod parasolami siedzieli ludzie, rozmawiali, spali, grali w karty. Minęli kilka knajpek, w których można było połknąć na gorąco świeżo usmażone mule. Przeszli obok śmiesznej starej karuzeli bez dzieci. Kilka osób pozdrowiło ich podniesioną dłonią, ktoś zanucił coś po rumuńsku. Gruby mężczyzna z tłustymi włosami uczesanymi w kitkę przyjaźnie zagadał do lekarza, który odpowiedział mu coś szybko w śpiewnym języku, i pociągnął Edzię za sobą.

Teraz, bez swojego białego kitla, wyglądał po prostu jak dość zdenerwowany starszy pan, zadziwiająco podobny do psa rasy chart afgański.

Na plaży wszyscy byli zajęci sobą, kartami, czasopismami, ale on poprowadził ją tam, gdzie nie było nikogo.

Plaża w tym miejscu była szeroka i piaszczysta, całkiem pusta. Kolorowe parasole zostały za nimi.

- Co tam jest? - Edzia wskazała miejsce na wzgórzu gęsto zarośnięte żywopłotem, zza którego z trudem można było dostrzec zarysy jakiejś budowli. Wzgórze otaczała siatka, gęsto najeżona kolczastym drutem. Pilnowało go kilku żołnierzy, ale Edzia nie mogła dojrzeć z daleka, czy byli uzbrojeni, czy nie.

- Co jest? Film jakiś tu kręcą? Wojenny?

Escu nasunął kapelusz jeszcze bardziej na oczy.' Rozejrzał się czujnie dookoła i powiedział prawie szeptem:

- To... własność władzy.

- Jak to „władzy”? Prezydenta?

- To jego rezydencja.

- Prezydenta - upewniła się Edzia. - No to rozumiem, dlaczego tak pilnują.

- Nie prezydenta... - powiedział Escu jeszcze ciszej. I znowu się rozejrzał.

- W każdym razie nie obecnego...

- Tylko czyja? - Edzia też odruchowo zniżyła głos do szeptu.

Escu nerwowo przełknął ślinę.

- Jego. Słońca Karpat!

Edzia nie dosłyszała. I naprawdę nie widziała powodu, żeby Escu tak przesadnie ściszał głos.

- Co takiego? - zapytała pełnym głosem.

- Ceausescu... - powiedział Escu samym ruchem warg.

Edzia zupełnie nie rozumiała tego strachu. Prawdę mówiąc, przyczajony Escu z rozbieganym wzrokiem powoli zaczął ją irytować.

- Ale czemu pan się tak boi? - zapytała. - Przecież on od dawna nie żyje...

No i wszystko się zmieniło! I teraz jest już... normalnie?

Escu pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Jego przecież już nie ma! - powtórzyła Edzia z nutką irytacji w głosie. -

To nie Elvis, który żyje wiecznie!

Escu roześmiał się ironicznie.

- Nie żyje, tak - przytaknął. - Ale dalej pilnują tego, dzień i noc. Tego tam!

- ruchem brody wskazał na oplątaną drutem budowlę.

- Dlaczego? - zdziwiła się Edzia. - Po co? Escu machnął tylko ręką.

- Lepiej już chodźmy stąd. I tak za długo się tu kręcimy

- To po co tutaj w ogóle przyszliśmy? - zapytała Edzia, której nijak nie udawało się znaleźć sensu w tym wszystkim, znaczy w tym spacerze po plaży i całym tym kamuflażu. No i w tych półsłówkach. Ani sensu ani też żadnej myśli przewodniej.

- Zaraz się pani dowie - obiecał Escu. - Ale znajdziemy inne miejsce.

I znaleźli.

- Jest jeszcze tyle tajemnic... - westchnął znacząco doktor - ... tajemnic, które na zawsze pozostaną niewyjaśnione... tylu ludzi, którzy przepadli i nigdy się nie odnajdą... tylu ludzi, których znam... znałem.

Siedzieli teraz na małej, zacisznej przystani nieopodal, gdzie kiedyś było pewnie mnóstwo gości, a kelnerzy nie nadążali donosić owocowych drinków.

Kiedyś, w socjalistycznej prehistorii, musiało być tu okazale i bogato. To było widać po oblażących dziś z farby stolikach na pękających i dumnie wygiętych królewskich nóżkach i metalowych krzesłach w stylu empire.

Teraz oprócz nich nie było tu nikogo, a pomost, nieodnawiany od niepamiętnych czasów, trzeszczał suchotniczo i straszył wielkimi dziurami, w które można było zapaść się aż po kolana. Metalowe części dawno zżarła rdza, a w wodzie pływały butelki i puszki po coli.

Ale wcale nie tak dużo... mniej więcej tyle, co u nas! przyznała uczciwie Edzia, przypominając sobie plażę w Chałupach. *Tutaj* też dotarły kolorowe parasole reklamujące piwo, colę i iody, no i te wszystkie inne globalne gadżety.

- Poczekaj chwilę - powiedział Escu i zerwał się od stolika. Podeszedł do wyblakłej budki z dykty, stojącej kilkanaście metrów dalej. Zagadnął grubą, rozkołysaną właścicielkę, która najwyraźniej już zamykała. Edzie dobiegł jej podniesiony, gniewny głos. Nic zrozumiała, co powiedziała tamta, była jednak pewna, że kobieta się na coś nie zgadza.

Jednak po chwili uśmiechnięty Escu przyniósł do stolika dwie butelki z czymś, co miało dziwny i niezbyt zdrowy fioletowy kolor.

- Fanta jagodowa! - powiedział ucieszony jak dziecko. - Limited edition - odczytał z etykiety. - Przebój sezonu!

Po chwili przyniósł też lody w pucharkach z grubego szkła. Edzia rzuciła się na nie łakomie, starając się nie przeliczać łyków na kalorie.

Przynajmniej nie tak od razu. Ale nie zjadła wiele, ponieważ [ody okazały się słodkie do niemożliwości.

- Te nazwiska dzisiaj strach wymawiać - mówił Escu przyciszonym głosem. - Dzisiaj nawet bardziej niż wtedy, chociaż przecież... pani mówi: już po wszystkim... - uśmiechną! się do niej łagodnie i jakby trochę bezradnie. - To nie tak... Wcale nie jest po wszystkim! Wiele pogrzebanych spraw nadal żyje własnym życiem, głęboko pod ziemią... Edzia w skupieniu chłoneła każde jego słowo. Starła się nie oddychać, nie poruszyć nawet powieką. Przeczynała, że to może być wstęp do czegoś ważnego.

Czegoś bardzo ważnego. Najważniejszego.

- Był taki generał, Milea. Vasile Milea... Znałem go. To nie był mój przyjaciel, ale go znałem. On by! ministrem obrony narodowej. Wtedy, kiedy to wszystko się działo, kiedy uciekał Ceausescu... wtedy w grudniu... - Escu ukrył twarz w dłoniach. - Pani wie...? Nigdy nie wyjaśniono okoliczności jego śmierci. Leża! w swoim gabinecie... ja mogłem tylko stwierdzić zgon... A dwie godziny później Ceausescu uciekł helikopterem z dachu domu partii...

Escu wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Wyciągnął jednego i zapalił. Nie poczęstował Edzi, jakby wiedział, że nie pali. Albo może nie wiedział zwyczajnie, jak się zachować. Zamknął oczy, zaciągając się głęboko.

- Pocisk trafił prosto w serce - powiedział, wypuszczając z siebie szeroką smugę dymu. - Miałem mówić, że to samobójstwo... **I** trochę to nawet tak wyglądało, bo pistolet leżał obok...

- Kazali panu?

Escu znowu zamilkł, a Edzia postanowiła, że nie będzie się już wtrącać. A przynajmniej się postara.

- Milea był ważny - odezwał się w końcu. - On... on naprawdę dużo wiedział... Bardzo dużo... Ja myślę, że on to wszystko chciał powstrzymać... w ostatniej chwili... Chodzą słuchy, że wezwał wojsko do obrócenia broni przeciw Securitate... Nie wiem, jak było naprawdę, i już pewnie się nie dowiem... Albo taki Gica Popa... Też był generałem... Tego znałem lepiej. To Gica wydał wyrok na Ceausescu, na nią i na niego.

Coś zaszeleściło w pobliżu i Escu urwał spłoszony.

- Oficjalna wersja: samobójstwo... - za szeptał z goryczą, kiedy po trzykroć upewnili się, że szelest jest pochodzenia organicznego i pochodzi od przebiegającego nieopodal bezpańskiego psa.

- Popęłnił samobójstwo! Samobójstwo, słyszysz?! **I** to kto, Gica! Nie wierzę w to! Nie wierzę, bo go znałem, dobrze go znałem! **I** wiem, że to niemożliwe... A wielu innych, tych co byli blisko i wiedzieli wiele, też szybko zmarło... Szef wywiadu wojskowego... na zawał serca. - Escu roześmiał się ironicznie. - Bzdury! To był zdrowy facet, zdrowy jak byk! Wiem, bo jestem lekarzem. A on był moim przyjacielem.

Edzia była wstrząśnięta.

- Ale... dlaczego tak się stało? Wic pan?

- Teraz nikt już nie dojdzie prawdy... - Escu rozłożył ręce.
- A ci, co ją znali... Wiesz... kiedy nie wiadomo, o co chodzi...
- ... chodzi o pieniądze? - domyśliła się Edzia.
- O duże pieniądze! - przytaknął Escu. - O bardzo, bardzo duże pieniądze. O majątek rodzinny Króla Karpat... Niektórzy sporo o nim wiedzieli... no, ale to właśnie oni nie żyją... Akurat oni... dziwne, prawda?

W głowie Edzi zaświtało nagie podejrzenie.

- A mój ojciec? Czy on też miał z tym wszystkim coś wspólnego?
 - Był dobrym lekarzem. I przyjacielem. Bardzo dobrym
 - powiedział enigmatycznie Escu. Patrzył przed siebie, machinalnie skrobiąc łyżeczką o dno pucharu, w którym zostało jeszcze trochę lodów.
 - No i pewnie dobrym ojcem, prawda? - spojrzał na nią uważnie.
 - Tak - potwierdziła Edzia zdławionym głosem. - Był dobrym ojcem... Zapadło milczenie. Edzia bała się pytać dalej, a Escu... kto go tam wic, o czym bał się dalej mówić. Ale Edzia nie po to tu przecież przyjechała, żeby milczeć. A już na pewno nie przez cały czas. Przyjechała po to, żeby pytać, i zagłębiać się w historię swojej rodziny, a nie tego obcego kraju, Rumunii, gdzie wszyscy mówili po rumuńsku, a Edzia nic nie rozumiała. Zresztą Edzia nie znała za dobrze nawet historii własnego kraju.
 - No tak - powiedziała bardzo uprzejmie. - To wszystko jest bardzo ciekawe, co pan mówi. Bardzo! Może to nawet jest temat na książkę. Albo na film przygodowy? Ale mnie interesuje co innego. Blizna. - Dotknęła jej ręką, a blizna siedziała sobie tam, gdzie zwykle. - Może porozmawiamy teraz o bliźnie.
- Mężczyzna leżał na piasku. Włosy rozpełzły mu się wokół głowy jak wężowe włosy Gorgony. W pobliżu leżało kilka niedopałków. Escu zdecydowanie za dużo palił.

- Blizna, blizna... - westchnął głęboko. - Tylko nie chcę, żeby pani szukała po szpitalnych archiwach - zastrzegł od razu. - Nagrzebie się pani tylko, kurzu nałyka... A to takie niezdrowe... i czas pani straci... A po co? Nie ma tam tego, czego pani szuka. Nic ma. A ja mogę mieć kłopoty - powiedział, odpalając kolejnego papierosa. - A po co komu kłopoty...?

Przewrócił się na brzuch. Edzia widziała teraz jego profil. Z profilu Escu jeszcze bardziej przypominał charta afgań-skiego, czujnego i wietrzącego. Chociaż podobno charty af-gańskie są wyjątkowo mało inteligentne. Jeżeli nawet, to ten z całą pewnością był wyjątkiem.

- To, co pani usłyszy, wiem tylko ja. Teraz, kiedy pani... ojciec nie żyje. Nikt więcej. Nikt! I nic ma miejsca, w którym mogłaby to pani sprawdzić. Może mi pani uwierzyć albo nie. Na słowo. Tylko na słowo... Tak, jak pani uwierzyła swojemu ojcu.

- Niech... niech pan mówi! - poprosiła Edzia, a żołądek ścisnął się jej do wielkości laskowego orzecha.

Escu ze świstem wypuścił z siebie kłęb dymu. I zaczął mówić, patrząc spod oka nie wiedzieć czemu na jedną z tych srebrnych łązek, zwisających jej z ucha. A powinien raczej patrzeć w oczy, jak byłoby bardziej dramatycznie, pomyślała później Edzia. Ale to było naprawdę dużo później.

Escu powiedział:

- Tak, to prawda. Z tą blizną.

Edzia nagle poczuła, jak drewnieją jej usta.

- Tak. One naprawdę były zrosnięte. Te dziewczynki. Edzia była już cała z drewna. I poczuła, jak trudno nabrać powietrza w drewniane płuca. Bo takie płuca w ogóle nie przyjmują powietrza i tak bardzo trudno wtedy oddychać, tak bardzo trudno, że chyba lepiej przestać, chociaż na chwilę.

- I to ja je rozdzielałem - dodał Escu, strzepując popiół na poszarzały piasek. - Ja. Nie twój ojciec.

- Pan? Jak to...? Jak to możliwe? Pan...? Przecież pan był wtedy... praktykantem? - wydusiła z siebie Edzia z niehumanym trudem. - Sam pan przecież powiedział... Stażystą! To chyba... nie miał pan za wiele doświadczenia...?

Escu uśmiechnął się smutno. Po papierosie znowu został tylko pet.

- Nie miałem - przyznał łagodnie i tak jakoś... przepraszająco. - No nic... Prawdę mówiąc... to była moja pierwsza operacja.

Teraz to już Edzię kompletnie zatkało.

- Ale... dlaczego? Jak to? Kto panu...?

- Tak było trzeba. Tak wyszło... - uciął Escu. Znowu leżał na plecach, patrząc w niebo zmrużonymi oczyma. Po chwili wyjął z kieszeni czarne okulary i zakrył nimi pół twarzy, chociaż słońce wcale nie świeciło tak mocno.

- Trzeba?! - Edzia aż się zagotowała. - Trzeba?! Ryzykować czyjeś życie? Przecież to jakaś... totalna amatorszczyzna! Czy chce pan powiedzieć, że... że pan się na nas... uczył?!

Ani ułamek emocji Edzi nic udzielił się Escu. Patrzył na nią przez czarne szkła spokojnie i nawet z lekkim uśmiechem. Z uśmiechem pobłażania, jak na dziecko domagające się trzeciej waty cukrowej.

- Nie - powiedział łagodnie. - Oczywiście, że nie. Co za pomysł! W normalnych warunkach na pewno bym tego nie zrobił.

- Co znaczy w normalnych?

- Widzi pani... trudno mi konkurować z tym, co powiedział pani ojciec, ale... - Escu spojrział na nią z wahaniem. - Nie wiem, czy mogę wchodzić w to wszystko tak... ja...

- Niech pan wchodzi - poprosiła Edzia. - Proszę! Escu nerwowym ruchem odgarnął włosy z twarzy.

- Bo widzi pani... ta cała historia... jak by tu pani... To wcale nie stało się w szpitalu.

- Nie w szpitalu? - zdziwiła się Edzia. - A gdzie?

- Tutaj - powiedział Escu i wbił w piasek kolejnego pęta.

- Jak to tutaj?

- Tutaj - powtórzył, patrząc na jej minę z lekkim rozbawieniem.

- Tutaj? Na tej plaży? Niech pan nie żartuje! W życiu nie uwierzę, że operował pan na plaży! - powiedziała ostrożnie Edzia, ale sama już nie była pewna, w co jeszcze ewentualnie mogłaby uwierzyć.

Escu wzruszył ramionami. Miał nieodgadniony wyraz oczu, może dlatego, że były zakryte czarnym plastikiem.

- Nie. Jasne, że nie. Tutaj operować? Musiałbym upaść na głowę! Operowałem w szpitalu. Na tej plaży się urodziłyście.

Edzia znowu zaniemówiła.

- Operacja nie była bardzo skomplikowana. Byłyście zrosnięte tylko skórą... W tym miejscu - zrobił ruch, jakby chciał dotknąć blizny, ale Edzia odskoczyła jak oparzona. - Miałycie szczęście... mogło być dużo gorzej. Wspólne organy wewnętrzne, części ciała... Gdyby tak było, nie przeżyłaby żadna z was.

- To znaczy... - w Edzi zakiełkowało straszliwe podejrzenie. Bo... ona przeżyła. Ona tak.

- Czy ta druga... czy...?

- Ryzykowałem, ja wiem - ciągnął Escu, jakby nie dosłyszał. - Ale nie miałem wyjścia... Wtedy takie „przypadki” to był łakomy kąsek dla różnych takich... eksperymentatorów, ja wiem...? A jeśli w grę wchodziły dzieci, o które i tak nikt by się nie upomniał...

Edzia nagle poczuła łzy pod powiekami. A przecież nie chciała się rozpłakać, nic teraz. Nie przy nim. Więc szybko założyła czarne okulary, jak Escu.

- Biedna mama... Nigdy mi o tym nic opowiadała... Nie wiem dlaczego... dlaczego? Może pan wie?

Lekarz milczał. Edzia pomyślała, że on też pewnie nie wie.

- Może to był dla niej za duży szok? - odpowiedziała.
- Twoja mama? Ona nic nie wiedziała - powiedział Escu.
- Jak to nie wiedziała? - zachnęła się Edzia, bo było to dla niej ci) najmniej dziwne. - Mogę zrozumieć, że poród to dość... ekstremalne przeżycie. A zwłaszcza poród na plaży... Ale chyba można się zorientować w trakcie, ile dzieci się rodzi? Czy nie?

Escu nie odpowiedział.

Jak to nie wiedziała, jak to nie wiedziała..? tłukła się w głowie Edzi jakaś pijana kukulka i nie mogła przestać. Jak to nie wie... Edzia spojrzała na Escu, który na wszelki wypadek uciekł wzrokiem w morze.

- Czy to znaczy, że...

- Tak. To nie była twoja mama.

- No to... super. Super, nie ma co! - powiedziała Edzia, chociaż czuła przez skórę, że nie to powinna powiedzieć w tej sytuacji, zupełnie nie to. Na jej wyczucie powinny tutaj paść o wiele poważniejsze i bardziej nośne słowa. Może nawet i melodramatyczne, bo sytuacja do takich należała. Przynajmniej ona tak by to rozwiązała, w swojej własnej telenoweli *Cyrk*. Tylko że akurat ta sytuacja była prawdziwa. I właśnie przewracała jej własne, jak najbardziej prawdziwe życie do góry nogami.

- Blizna nie jest tą blizną, którą miała być... - powiedziała Edzia z namysłem, próbując przynajmniej uporządkować fakty. - Z mamą to samo... Nie, no po prostu... super! Mam nadzieję, że moja mama o tym wie. Że nie jestem jej rodzoną córką!

Escu nic nie powiedział. Może dlatego, że przypalał właśnie kolejnego papierosa. Jako lekarz powinien zdawać sobie sprawę, jak bardzo jest to szkodliwe, zauważyła Edzia w myśli. No, chyba że lekarzem też nie był.

- Ciekawe, czego jeszcze się tu dowiem? Nie, no proszę, doktorze, niech pan mówi! - zrobiła dłonią zapraszający gest. - Ależ proszę! Niech pan sobie w ogóle nie przeszkadza. Może jeszcze czymś mnie pan zaskoczy...? Ja po prostu kocham takie niespodzianki!

- To stało się tutaj, na tej plaży... - powiedział powoli Escu. - Wtedy to była prywatna plaża. I tak jak i ta willa, należała do niego. Do Ceausescu. I mogli tutaj przebywać jedynie ci, którym on na to pozwolił.

- Pan mógł? - zdziwiła się Edzia.

- Mogłem - przytaknął Escu. - Tak, mogłem. Pomagałem i jemu. On... miał do mnie zaufanie, tak... Nigdy go nic zawiodłem. Więcej proszę nie pytać. To pani nie dotyczy, a i dla pani lepiej będzie nie wiedzieć. Edzia przełknęła ślinę.

- Urodziła was kobieta, którą., kochałem - powiedział Escu, patrząc w morze.

Do Edzi znaczenie tych słów nie mogło dotrzeć przez dłuższą chwilę.

- Czy to znaczy, że... nie wiem, jak zapytać, ale czy pan...

- Nie - uśmiechnął się domyślnie Escu. I dodał uspokajająco: - Spokojnie! Ja nie jestem twoim ojcem. To znaczy... waszym. Nie jestem. Niestety...

- No dobrze... to w takim razie... kto nim jest? Mój ojciec? To znaczy ten, którego nazwisko noszę? - Edzia już się trochę pogubiła.

Escu nachmurzył się.

- Chyba lepiej nie wiedzieć. Lepiej dla pani.

- Lepiej, gorzej, teraz to już wszystko jedno... - Edzia machnęła ręką. - Niech pan mówi, doktorze. Po prostu niech pan mówi.

- Skoro tak... - Escu wciąż wpatrywał się w morze. - Jak pani chce... Ten człowiek... to był taki... aktywista partyjny, na imię miał Mircca. Miał władzę, miał wszystko...

Wysokie stanowisko w rządzie od lat... Miał też żonę i dzieci. A ona była jego kochanką. Tak - Escu uśmiechnął się smutno. - Wolała to, niż być moją żoną.

Edzia poczuła, jak twarda gęła znowu rośnie jej w gardle. Na szczęście Escu na nią nie patrzył. Rysował coś machinalnie na suchym jak pył, białym piasku.

- Była jego sekretarką. Banał, prawda? - spojrział na nią ze smutnym uśmiechem.

Edzia nie odpowiedziała. Ale pomyślała, że faktycznie banał, banał i klasyka.

- Kochała go - powiedział to tak, jakby i dziś trudno mu się było z tym pogodzić. - Jak bardzo go kochała! Była w ciąży... I miała nadzieję, że wszystko się ułoży. Że on zostawi dla niej żonę i dzieci. Że będą razem. Że on ją naprawdę kocha... Tak jak mówił jej za każdym razem, kiedy szli do łóżka.

- Skąd pan to wie? - zapytała Edzia zdławionym głosem.

- Wiem. Lubiła mnie trochę - Escu przesypywał piasek między palcami. - Tylko lubiła... Ale i tak byłem szczęśliwy... Pomagałem jej czasem.

- Odrzuciła pana... a pan jej pomagał...? - zdziwiła się Edzia. - Dlaczego?

- Co za pytanie! - obruszył się Escu. - Jak mogłem nie pomóc?

Człowiekiem jestem, prawda? A ona nie miała lekko z tym... - Escu zmelt w ustach grube słowo.

W oddali przepełnęła motorówka, wypełniając ciszę warkotem motoru i radia. Poczekali, aż trochę ucichnie.

- Wiedziała, że urodzi bliźnięta? Escu pokręcił przecząco głową.

- Nikt tego nie wiedział. Ale bardzo cieszyła się z dziecka. Bardzo! I nigdy nie pomyślała, że mogłaby... no wie pani. Że mogłoby go nie być. Chociaż on jej to proponował. Proponował! - prychnął Escu. - On nalegał!

Nad ich głowami przeleciały jakieś ptaki, skrzecząc wniebogłosy. Escu odprowadził je wzrokiem i na moment zatrzymał go na twarzy Edzi.

- A kiedy to się stało... - zamilkł na chwilę z mocno zaciśniętymi powiekami - kiedy się urodziłyście... Tego wieczoru szukałem jej w domu. Tamten... tamten wynajął jej takie małe mieszkanie, niedaleko stąd. Żeby mieli gdzie się spotykać... no, a potem już tam została... Jakieś lekarstwa jej miałem zanieść, czy książkę... Nie pamiętam już. Nie było jej, drzwi zostawiła otwarte. A zawsze zamykała, wic pani, ona zawsze bała się czegoś... Czy pani to rozumie? Czy pani też się lak boi?

Edzia patrzyła na niego bez słowa. Tak. Bała się, teraz na pewno się bała.

- Ja czułem, że coś jest źle, czułem po prostu - ciągnął Escu. - Wołałem ją... Wołałem i wołałem. Nigdzie nie było... A potem pobiegłem na plażę, właściwie sam nie wiem czemu... Instynkt jakiś czy co...? Wie pani, ona zawsze lubiła tam przesiadywać. Śpiewała sobie albo patrzyła na fale... No i była. Leżała na piasku... - urwał nagle.

Edzia też z trudem powstrzymywała płacz.

- I co... nikt nie zauważył? Nie pomógł? - wyszeptała przez ściśnięte gardło.

Escu odwrócił wzrok.

- Nikogo nie było. Nawet strażnika... Tak, to było dziwne - pokiwał głową. - Tak... o tej porze powinien tam być przynajmniej jeden strażnik... Ale może był? Może uciekł? Może nie chciał nic widzieć? - Escu zmarszczył brwi. - Nie wiem, nie wiem... Nikt tego później nie sprawdzał. W ogóle nikt niczego nie sprawdzał... Całą sprawę zatuszowano. Nikt o tym nie mówił, nikt nie wspominał tej kobiety... Tak jakby nic się nie stało! Jakby nigdy nie istniała... On, Mircea... On był przecież żonaty...! A na takie historie wtedy nic patrzono przez palce... Skandal by go zniszczył. Więc

pewnie lepiej bytu nie mówić... - Escu uśmiechnął się z goryczą. - Ale on bardzo szybko znalazł sobie nową sekretarkę. Prawie jak sama ładna, jak ona... Edzia siedziała jak skamieniała.

- Kiedy przybiegłem, jeszcze żyła. Tyle krwi...! Dzieci leżały... - Escu ukrył twarz w dłoniach. - Byłyście zrosnięte... ale żywe. Przytulone do siebie. Gdyby nie to, że stało się to kilka chwil wcześniej, to... To był ostatni moment. Dla was. Dla niej było już za późno.

Edzia wyszeptała przez ściśnięte gardło:

- A on? Ojciec? Ten... biologiczny... Wiedział o wszystkim...?!

Escu machnął ręką.

- On? Dowiedział się na wakacjach. Sam go zawiadomiłem. Pojechał z żoną za granicę... Ale to nie był dobry człowiek. Lepiej niech pani już o niego nie pyta - spojrział na nią prosząco. - Proszę...

- Będę pytać. Będę! Bo chcę wiedzieć - Edzia była zdecydowana na wszystko.

- Powiedziałem mu, że kobieta i dziecko zmarli przy porodzie - wyznał Escu jednym tchem.

- I...?

Escu pogardliwie wzruszył ramionami i skrzywił się z niesmakiem.

- Przyjął to do wiadomości. Ot tak, po prostu. Przecież miał wakacje...

- I co byto potem?

- Nic.

- Jak to... nic? Nikt nie szukał, nie...

- Nic. Ani żadnego dochodzenia, ani sekcji, wszystko szybko, po cichu... Ja o to zadbałem. Tak było lepiej dla dzieci... Tylko że teraz nie ma nawet grobu... Żadnego miejsca... Nie ma dokąd pójść, żeby...

- A co z... nim? Teraz?

- Nie wiem... - powiedział powoli Escu. - Po tym wszystkim... ślad po nim zaginął. Po nim i po jego rodzinie. .. Zniknęli, ot tak - Escu pstryknął z palców. - Wyjechali gdzieś pewnie, bo nie mieli czystych rąk... i wcale nie chodziło o nią... wcale... Gdzieś się zaszyli, może w jakimś ciepłym kraju? W każdym razie... ja go nie szukałem.

Edzia siłą powstrzymywała łzy.

- A ta cała... operacja? Jak to było?

Escu znowu zamilkł. Twarz mu poszarzała.

- Postanowiłem, że lepiej będzie rozdzielić dzieci jak najszybciej, dla ich bezpieczeństwa.

- Pan postanowił? - zdziwiła się Edzia. - Pan? A mój ojciec? Co z nim?

- Nie - Escu zamachał rękami. - To nie tak! Pani ojca nie było wtedy w mieście. Tak to się nieszczęśliwie złożyło. Musiał wyjechać, taki pech! A trzeba było się śpieszyć... Widzi pani, nie wszyscy mi uwierzyli... że tak to się właśnie wszystko odbyło... A i on, Mircea, jeszcze z tych swoich wakacji dzwonił do mnie, wypytywał... zaczynał węszyć... Nie mogłem powiedzieć mu prawdy, bo źle by się to dla pani skończyło... - powiedział poważnie, patrząc jej prosto w twarz.

- Ale szczęście w nieszczęściu... mój przyjaciel, lekarz a twój... ojciec... - Escu znów spojrzał uważnie na Edzię - twój ojciec chciał zaadoptować dziecko. Bardzo chciał. Myślał o tym od dawna. Nie mogli z żoną mieć własnych. No i ona miała już swoje lata... - pomyślałem, że mógłby wziąć dziewczynkę...

- Jak to wziąć? - zdziwiła się Edzia. - Tak po prostu? Przecież to nie rzecz!

- Tak po prostu - przytaknął Escu. - I to nawet legalnie. No, prawie legalnie - poprawił się z uśmiechem. - Załatwiłem lewe papiery. Bez problemu! Trochę to kosztowało, ale... - uśmiechnął się - ... tak naprawdę... bez problemu.

- Ale... dlaczego tylko jedną? Dlaczego? Nie mógł wziąć obu?

Lekarz zamilkł na dłuższą chwilę.

- Nie mógł - powiedział w końcu.

- Nie mógł czy nie chciał? - domagała się odpowiedzi Edzia.

Znow zapadło milczenie. Na bardzo długo.

- Nie mógł... Nie mógł! - wybuchnął w końcu. - Gdyby tylko dziewczynka przeżyła... wtedy na pewno... - Escu ukrył twarz w dłoniach.

- Na pewno...

Edzie coś ścisnęło za gardło.

- To nie moja wina...! - krzyczał Escu, bijąc pięściami w piach. -

Przysięgam, nie moja! Przysięgam na wszystko! Robiłem, co mogłem, przysięgam!

- Niech już pan nie mówi - poprosiła cicho Edzia, głaszcząc go po ramieniu. - Już dobrze... ja wiem... Czy moja... matka nie wiedziała, że dziewczynki były dwie? - zapytała Edzia przez łzy. - Tylko to proszę mi powiedzieć.

Escu otarł dłonią usta, w kąciку których zebrało się trochę wilgoci.

- Nie... nie wiedziała - westchnął ciężko Escu. - No to teraz już pani wie...

Zna pani prawdę... I co teraz?

- Nie wiem, nie wiem...

- Jeżeli można coś poradzić... Niech pani o tym zapomni jak najszybciej. Niech pani wyjedzie! Niech pani żyje, jakby nic się nie stało. Niczego już się nic odwróci, nie odmieni. Można tylko płakać...

- Jak to zapomnieć? Jak można o czymś takim... Doktorze... tak może mówić tylko osoba, która ... Ma pan rodzinę?

- Nie.

- Żona, dzieci?

- Nie - powiedział Escu. - Nikogo.

- Przykro mi... - powiedział później Escu, patrząc jej w oczy ze współczuciem. - Ja wiem, że nie to wolałabyś usłyszeć...
- Dlaczego nikt mi wcześniej nie powiedział? - Edzia znów dotknęła ręką blizny. - I te... wiewiórki? Co za bzdura! I po co? Po co to wszystko? Escu rozłożył ręce trochę bezradnie. W jego oczach zalśniły łzy.
- Chcieli ci oszczędzić cierpienia... - powiedział łamiącym się głosem. - Zrobili to z miłości... jestem pewien... chcieli dobrze! Ja zrobiłbym tak samo...

Edzia spojrzała na niego nieco podejrzliwie.

- Nie powiedziałby pan?

- Nie... No bo niech mi pani powie... co by to dało? W czym by to pomogło? W niczym - odpowiedział sam sobie. - Gdyby pani wiedziała... czy łatwiej byłoby pani żyć z tą świadomością? Czy to by coś zmieniło?

- Wiedziałabym chociaż...

- Wiedziałaby pani... i co? Byłoby łatwiej? Inaczej?

- Uważa pan, że lepiej nic wiedzieć? Escu milczał przez chwilę.

- Nie wiedzieć... Może czasami tak? - zaczął ostrożnie, patrząc gdzieś ponad jej głowę. - Może czasami lepiej wiedzieć coś innego... w zamian?

- Wiewiórki... - powiedziała Edzia sama do siebie. - Wystarczyły mi wiewiórki...

- Co takiego?

- Nic - odparła Edzia. - Nic takiego.

- I co teraz? - zapyta! Escu.

- Nie wiem - Edzia trochę bezradnie rozłożyła ręce. - Teraz to chyba... wyjadę... nie mam tu już czego szukać... I usunę tę bliznę... Tak, usunę. Jak najszybciej.

Edzia powoli, bardzo, bardzo powoli zamknęła za sobą obłuszczone z farby drzwi. Oparła się o nie plecami. W głowie szumiało jej całe Morze Czarne i, tak na oko, pół Śródziemnego.

Usiadła na krześle i oparła czoło o stół.

Z bliska, jak w powiększeniu, widziała każde włókienko i każdy splot kolorowej serwetki, którą przykryto wypalone papierosem w blacie stołu duże, czarne serce. Po jednym z frędzli mozolnie wspinał się maleńki zielony pajaczek, dla którego wejście na samą górę równałoby się pewnie wejściu człowieka na Mount Everest, bez termosu z herbatą i w samych pepegach. Pajaczek wspinał się z widocznym trudem i tak jakby się rozglądał... Może zmylił drogę?

Postanowiła pomóc pajaczkowi, bo miała przecież dobre serce i była dużo większa. Delikatnie wzięła go na palec, chociaż przecież brzydziła się pajaków, żeby przenieść gdzieś wyżej tam, gdzie on sam gramolił się tak hurraoptymistycznie, nie mając bladego pojęcia, ile jeszcze przed nim, no i w ogóle, co go tam czeka. A przecież Edzia wiedziała to z góry.

Ale pajaczek spadł z jej palca i natychmiast przepadł bez wieści w szerokich szczelinach drewnianej podłogi.

- Sorry... sam byś pewnie lepiej sobie poradził... - powiedziała Edzia do podłogowej szpary i poczuła się jeszcze gorzej.

Podparła dłonią rozpalony policzek, a potem objęła rękami płonąca twarz. W głowie wciąż jej szumiało i jedyne, co Edzia mogła teraz zrobić, to napić się wody. Tak, tylko tyle. Napić się wody, a potem zanurzyć się w niej po same uszy.

- Człowieka! - powiedziała chrapliwym głosem. - Chociaż jednego.

Rozejrzała się po pokoju, ale nikogo w nim nie było. Oprócz niej, oczywiście, ale Edzia miała już dosyć gadania z samą sobą.

Pokój był mały i z jednym tylko oknem, którego w dodatku nie można było otworzyć. Mebli tu było niewiele, tylko

wąskie, pojedyncze łóżko, stolik z serwetą i stara szafa na ubrania, w której straszyły dwa rzędy powyginanych metalowych wieszaków. W szafie czuć było dziwną, niezdrową stęchlizną, która natychmiast zaatakowała wszystkie komórki węchowe, kiedy tylko Edzia nieostrożnie włożyła tam głowę.

- Pewnie ktoś tu kiedyś kogoś przechowywał, doszła do wniosku Edzia na podstawie pobieżnej analizy zapachu i na wszelki wypadek postanowiła nic w niej nie wieszać.

- Dzwonię. Dzwonię do Niki! - powiedziała do siebie Edzia, wyciągając telefon. - Nie mogę tak gadać sama do siebie, bo zwariuję. Albo, co gorsza, dostanę rozdwojenia jaźni.

I zadzwoniła.

Ale wcale nie do Niki, tylko do Oyamy, co dla nich obojga było dużą niespodzianką. Z tym, że dla Edzi nieco większą, no bo przecież miała zadzwonić do Niki. To właśnie Nika знаła się na rozwiązywaniu zagadek jak nikt inny, przynajmniej teoretycznie. I zawsze umiała powiedzieć, co należy zrobić i w jakiej kolejności. A Oyama ciągle zadawał niewygodne pytania.

Ale jakoś tak omsknął się jej palec... sam z siebie. Niechący.

Uznała więc szybko, że widać tak miało być i wszystko, co miała powiedzieć Nice, opowiedziała jemu. Znaczący swojej gospośi. Wszystko jak było, ze szczegółami. Co mówił Escu, co mówiła Edzia. I co z tego wszystkiego jej zdaniem wynikało. Opowiadała mu to długo, żmudnie, popłakując trochę.

Oyama wysłuchał uważnie, w skupieniu, nie ponaglaając jej nawet wtedy, kiedy w słuchawce następowały przeciągające się ponad normę przerwy. A pierwsze jego słowo, które wypowiedział, kiedy tylko Edzia zamilkła, brzmiało:

- Lipa.

Edzia zaniemówiła. No, prawie.

- Co... co takiego? - wyjąkała z trudem.

- To, co słyszysz. Lipa! - powtórzył Oyama. - Przeliterować mam? Lipa. Jedna wielka lipa!

Edzi znowu łzy napłynęły do oczu. I nawet nie próbowała ich zatrzymać.

- Jak... jak możesz! Jak ty w ogóle możesz tak mówić?! - zapytała z rozpaczą w głosie, bo wszystkiego by się po Oyamic spodziewała, wszystkiego, ale na pewno nie czegoś takiego. - Serca nie masz czy co?! Ale Oyama tak łatwo nie tracił zimnej krwi.

- To chyba jasne - powiedział nadzwyczaj spokojnie, co natychmiast wzbudziło w Edzi podejrzenie, że z Oyamy rzeczywiście wyparowały wszystkie ludzkie uczucia, co do jednego.

- Co? Że nie masz serca?

- Że lipa.

No tak. Że też od razu na to nie wpadła! On po prostu zwariował, ten cały Oyama. Zwariował! Albo teraz, albo już wcześniej, zanim się poznali, i starannie to przed nią ukrywał... I co gorsza, był teraz w jej mieszkaniu. Ten szaleniec. A ona chwilowo nie miała na to żadnego wpływu.

- Dla mnie to nie... nie jest oczywiste - powiedziała powoli Edzia, gasząc w sobie ostatnie ogniska rozpaczy i natychmiast zdwijając czujność. - Czy mógłbyś... Możesz mi to jakoś... wyjaśnić?

- Jasne, jasne! Ale proszę, najpierw się uspokój. Napij się czegoś... A może ja zadzwonię później, powiedzmy... za pół godziny? I wtedy pogadamy, co?

Ja? To ja mam się uspokoić? Edzia z całej siły uszczypnęła się w rękę, przekonując się od razu, bo zabolęło jak licho, że jednak nie śpi. Ona ma się uspokoić! Ona! Ale odpowiedziała, dziwiąc się w duchu sama sobie:

- Nie, nie. Nic później. Teraz. Nie rozłączajmy się, bo...
- głos jej zadrżał i z trudem przełknęła ślinę, dopowiadając:
- proszę...
- No dobrze, dobrze... - odezwał się ugodowo Oyama po drugiej stronie. - Ale już się uspokój. I może ten... wydmuchaj nos, bo czasami to już nie wiem, czy jeszcze mówisz, czy już... no wiesz, to naprawdę utrudnia porozumienie. Zwłaszcza na taką odległość.
- Edzia posłusznie wydmuchała nos.
- Już. Faktycznie lepiej.
- No dobra - zaczął Oyama. - Sorry, że cię tak cisnę, ale... Widzisz, z mojej strony to wygląda trochę inaczej.
- Tak? A jak?
- Po pierwsze... - powiedział z namysłem, żeby nie powiedzieć za dużo, tylko w sam raz - widzisz, mnie to nie dotyczy... Tak bardzo jak ciebie, ma się rozumieć. Więc jestem w miarę obiektywny. Po drugie, słucham tego wszystkiego, co opowiadasz... słucham i słucham... nie gniewaj się... jak kiepskiego melodramatu! A po trzecie... widzisz, ja nie siedzę w telenowelach... Nie oglądam, ani nie piszę scenariuszy. Ja z tym nie mam nic wspólnego!
- Telenowełe? A co to ma do rzeczy? - zdumiała się Edzia. - Zwariowałeś? Ja ci tu opowiadam moją życiową tragedię, a ty... ze szczegółami., a ty... Co oni ci zrobili na tej policji? Elektrowstrząsy?
- Trochę jednak ma,.. Zapewniam cię, że ma - Oyamę naprawdę trudno było wytrącić z równowagi. Może nawet w ogóle nie było to możliwe? - Ale po kolei.
- Właśnie. Po kolei.
- Facet, ten Escu? Tak? No więc Escu uraczył cię wzruszającą opowieścią, tak?
- Tak... - przytaknęła odruchowo Edzia, nie bardzo wiedząc, do czego on zmierza.

- Trochę jak z mydlanej opery, tak? Nawet nie trochę... Tyle że w pigułce.
- W pigułce?!

W pigułce. No tak. Czemu nie przyszło jej od razu do głowy, że może on zwyczajnie coś wziął? Psychotropy jakieś albo co... I dlatego tak dziwnie gada. W pigułce!

Zaglądałaś do mojej apteczki? chciała zapytać Edzia, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Nic, nie będzie go leraz demaskować. Później. Teraz to on ma przewagę. Trzyma łapę na jej kocie!

Tymczasem Oyama mówił dalej, zupełnie nieświadomy tego, że Edzia zrobiła już z niego beznadziejny przypadek lekomana i właśnie zastanawia się nad tym, gdzie by go zapisać na detoks.

- No tak. Bo jakby ci ten cały Escu opowiadał to wszystko kawałek po kawałku, ze wszystkimi szczegółami, to by pewnie do zimy nie skończył. I byłoby jakieś „następne pokolenie” albo co...

- Zwariowałaś? - przerwała mu Edzia. - Zwariowałaś... albo chcesz mnie obrazić...? Ja w ogóle nie wiem, o czym ty gadasz?!

- Spróbuj spojrzeć na to z boku.

Edzia spróbowała. I nawet zobaczyła co nieco, ale nie były to radosne widoki, tylko same tragiczne i krwawe, więc rozplakała się znowu.

- Chyba nie mogę... nie... bo wiesz... bo to mnie dotyczy... cholernie mnie dotyczy...!

- Rozumiem - powiedział spokojnie Oyama. - To może z innej strony. Facet podał bardzo dużo szczegółów, prawda?

Edzia głośno wydmuchała nos.

- No tak... podał. Podał! Ale dlaczego mówisz o nim „facet”? On mi przecież... uratował życie, można powiedzieć. Należy mu się...

- Tak powiedział - przerwał jej Oyama. - Wierzysz mu?

- Tak! Dlaczego mam nie wierzyć? - zdziwiła się Edzia. - Blizna przecież jest... jest!

- Jest. Ale to żaden dowód.

- Dla mnie tak.

Oyama westchnął tak głęboko, że Edzia usłyszała to aż w Rumunii.

- A nie wydaje ci się dziwne, że facet opowiada nieznajomej osobie takie rzeczy? Zakazane? Coś, co może go narazić na co najmniej nieprzyjemności? Co ja gadam... nieprzyjemności! - parsknął ironicznie. - Za takie gadki facet może sobie nieźle nagrabić! Widzi cię pierwszy raz na oczy i co? Opowiada ci wszystko z detalami? O dyktaturze? Nazwiskami rzuca? I ty wierzysz, że to prawda? Tak to tylko, nie gniewaj się., w twoich telenowelach bywa.

- To znaczy jak? - chciała wiedzieć Edzia

- Tak, że... że wszystko się nagle wyjaśnia na pstryknięcie palcem. Na samym końcu, w ostatnim odcinku! I wszystko nagle staje się oczywiste, i jest tak prześlicznie, cudownie proste. Na samym końcu, więc jasne, że już nie ma czego szukać... Bo przecież koniec to koniec. Happy end! I potem można już spokojnie wrócić do domu. I ty to łykasz... Za długo już w tym siedzisz po prostu!

Edzia nie do końca mogła się z nim zgodzić, ale kontrar-gumentowanie i dochodzenie do wspólnego zdania postanowiła przełożyć na później.

- No tak... ale dlaczego mówisz... że nieznajomej? Nieznajomej osobie? - zdziwiła się tymczasem. - Przecież pokazałam mu dokumenty... Wiedział, kim jestem! I... i... przecież mógł czuć do mnie jakiś... sentyment? Co? Nie wiem... No bo ... uratował mi życie... można powiedzieć... No i kochał tamtą kobietę...! Był przy jej śmierci i... Edzia znów się rozkleiła, ale nie za bardzo miała na to wpływ. Łzy popłynęły same.

- I tak rozpaczał, kiedy...
- Rozpaczał, rozpaczał... ale zobacz, nie ma nawet śladu! Żadnego znaku!
- Oyama znów sprowadził ją na ziemię. - Grobu nie ma żadnego, prawda? To trochę dziwne. Nie uważasz?
- Może i dziwne... Ale przecież dokładnie powiedział mi dlaczego. Właśnie żeby nie było śladu! - wyjaśniła jemu i sobie Edzia.
- Posłuchaj - powiedział Oyama. - Przecież to wszystko mogło wyglądać zupełnie inaczej.
- Inaczej? - zdziwiła się Edzia. - Dlaczego inaczej? Na przykład jak?
- A tak. Załóżmy, że nie było żadnego Ceausescu... to znaczy był, ale nie odegrał tu żadnej roli. Siostry syjamskie, owszem, były. Matka albo zmarła przy porodzie, albo... wersja optymistyczna: podrzuciła dzieci do szpitala, bo... no, załóżmy, że była w szoku. W każdym razie miała jakiś powód. Operacja się udała. Nie była skomplikowana, tak? A potem dzieci zwyczajnie zostały na przykład... sprzedane. Jedną dziewczynkę kupił twój ojciec. Jedną. Może nie stać go było na dwie? A tamten, co sprzedawał, może nie chciał negocjować i dołożyć drugiej gratis, bo chciał zarobić...? Albo może miał jakiś inny powód? Więc twój ojciec kupił jedną, bo już bardzo chcieli z żoną mieć dziecko... Było to, jak możesz się domyślić, bardziej niż nielegalne. Więc szybko wrócił do kraju. Z nową córką na lewych papierach.
- A co z tą drugą? - zapytała Edzia.
- Nie wiem... - powiedział Oyama. - Może też czasem ogląda swoją bliźnię? Gdzieś tam, na końcu świata?
- Brzmi to zdecydowanie zbyt fantastycznie! - powiedziała ostrożnie Edzia.
- Nie bardziej niż tamto - odparł Oyama. Edzia przyznała w duchu, że faktycznie nie.

- Ale nie przywiązuj się zbyt do tej wersji - zastrzegł Oyama. - Bo przecież mogło być jeszcze inaczej. Zupełnie inaczej. I tylko ty możesz ustalić jak.

Edzia miała w głowie cały kosmos, przynajmniej w tej chwili.

- Zastanów się jeszcze - poprosił Oyama. - Żebyś nie żałowała, jak już wyjedziesz, że jednak może wyjechałaś... za wcześnie?

- A właściwie dlaczego tak napierasz? - zapytała Edzia. - Co? Żebym ja to wszystko sprawdzała i w ogóle. Przecież to ciebie wcale nie obchodzi.

Nie dotyczy. Sam powiedziałeś, nie?

Zapadło milczenie. Na dość długo. Wreszcie Oyama powiedział:

- Nie dotyczy mówisz... No nie dotyczy, *ale*... obchodzi. I może jednak trochę...? Bo widzisz... ja kiedyś sam tak nie sprawdziłem... jak tobie radzę, żebyś sprawdzała. I żałuję tego do dziś.

- Dziewczyna? - domyśliła się Edzia.

- Chłopak - sprostował Oyama.

- Aha...

Edzia owszem, przyjęła to do wiadomości, ale poczuła lekkie, leciutkie rozczarowanie, co w tej sytuacji było zdecydowanie nie na miejscu. Lubi chłopców... No cóż, bywa i tak. Jak już trafi się fajny facet, to zaraz okazuje się, że pedzio...

- To był mój przyjaciel - powiedział Oyama. - Miał kiedyś problem... duży problem... Nie będę ci teraz o tym... I poprosił mnie o pomoc. To było coś naprawdę poważnego... Wyśmiałem go, myślałem, że żartuje... w telewizji był mecz i... A potem okazało się, że... że jednak nie żartował. Jednak nie... A przecież mogłem sprawdzić... Mieszkał tylko dwie ulice dalej...

Edzi zrobiło się go żal. Najchętniej pocieszyłaby go jakoś. Ale jak? W każdym bądź razie... No tak, ale on przecież woli chłopców. Ale zawsze mogła pocieszyć go słownie.

- Nie wiem co powiedzieć... - powiedziała mu na pocieszenie. - Przykro mi, naprawdę.

- W porządku. Nic nie mów. Tylko widzisz... No to już teraz wiesz, dlaczego jestem za sprawdzaniem.

Edzia wiedziała i już się nie dziwiła. Postanowiła też nie kpić i nie czepiać się za bardzo. A przynajmniej się postarać.

- No dobrze... Ale... dlaczego Escu miałby kłamać?

- Nic wiem. - Powiedział Oyama. - Może kłamię, a może nie? Naprawdę nie wiem! Ale ty możesz się dowiedzieć. Jeżeli tylko zechcesz.

- Zastanowię się jeszcze - obiecała mu Edzia i dodała zupełnie nie na temat: - Wiesz... tak mi teraz przyszło do głowy, że... że fajnie mieć gosposię. Że taka gosposia to... dobra rzecz...

- Aha... - odpowiedział Oyama trochę niepewnie. - No to... fajnie...

A potem pomyślała, że chyba niepotrzebnie mu to powiedziała. Bo on jeszcze coś sobie pomyśli... No, ale niby co? Przecież to była prawda, najprawdziwsza prawda. Bo z tą gosposią to był naprawdę bardzo dobry pomysł.

Dwie godziny później Edzia była już zdecydowana. Zadzwoiła do Oyamy, żeby ucieszyć go dobrą wiadomością, ale efekt był niezupełnie taki, jakiego oczekiwała. Szczerze mówiąc, efekt był zupełnie odwrotny, ponieważ w głosie Oyamy zabrzmiało absolutne, czyste zdumienie.

- Wracasz? Jak to: wracasz?

No jak to: jak to? Co to za pytanie? I co to w ogóle za zdziwienie.

Zamiast, na przykład, skakania z radości albo chociaż dajmy na to, błysku w oku, że wraca. Co najmniej błysku.

- Normalnie - odburknęła Edzia trochę mało asertywnie. - Przemyślałam to i... Zaraz wsiadam w samolot i fru! Może

być? - spytała na wszelki wypadek trochę bardziej uprzejmie. W razie, gdyby on jednak chciał dobrze.

- Nic, no pewnie, że może być... Jasne, że może być...!

- powiedział Oyama z wahaniem. - Jak uważasz. Ja się cieszę, owszem... no i ten... yyy... kot już się stęsknił... Przynajmniej takie sprawia wrażenie, na pysku... Tylko...

- Tylko co.

Wahanie w głosie Oyamy było dość silnie wyczuwalne.

- Tylko... No, tylko nie wiem, czy to jest dobry pomysł. Tak w ogóle - powiedział na wydechu. - Z tym wracaniem teraz.

- Tak?!

- Tak. Moim zdaniem to jest zły pomysł.

Edzia była niemile zdziwiona. Może dlatego, że spodziewała się bardziej entuzjastycznej reakcji. Może nic od razu batoników... to jest... baloników i wiwatów, ale... Zdecydowanie bardziej na tak. Dużo bardziej.

- Przemysłałam to. Przyjechałam, odkryłam, zobaczyłam!

- powiedziała i już było słychać, że jest zirytowana nie na żarty. - Może ty masz jakiś lepszy pomysł, ale mój jest właśnie taki.

- Przyjechałaś, usłyszałaś... - powiedział z naciskiem Oyama. - Usłyszałaś! A to trochę nie to samo. I ty wiesz dlaczego.

- To co ja mam zrobić twoim zdaniem? - zapytała Oyamę z nagłą pretensją w głosie. - Powiedz mi! Wskaż drogę, prowadź! Bo rozumiem, że ty wiesz lepiej?!

Na wszelki wypadek Oyama udał, że pretensji w głosie Edzi w ogóle nic było, co nawet nieźle mu wyszło.

- Jak to co? Mówiłem ci już. Ale jeszcze raz powtórzę: sprawdzić! Sama sprawdzić. Własnoręcznie! Na własne oczy.

Edzi nagle przyszło do głowy, że on jednak najprawdopodobniej chce dobrze.

- Sama mam zdecydować, a ciągle mi doradzasz... - powiedziała już trochę łagodniej.

- Doradzam, bo cię... ten, bo mnie pytasz. No to doradzam.
- Aha.
- No tak.
- Tak...

Po obu stronach słuchawki zapanowało nagłe i niczym nieuzasadnione milczenie, i to takie bardziej skrepowane. W każdym razie nieuzasadnione niczym logicznym. W końcu Oyama przerwał je pierwszy.

- Dobra - zdecydował. - Od tej pory, godzina szesnasta piętnaście czasu europejskiego, przestaję doradzać. Over! Teraz tylko cię proszę: sprawdź to. Proszę! Co ci szkodzi? Zrób to dla siebie samej!

- Ale przecież on podał tyle szczegółów... - powiedziała Edzia z wahaniem. - **I** naprawdę... ciężko mi było tego słuchać. Bardzo ciężko. Nie chciałabym... jeszcze raz...

- Co do szczegółów, to przypominam, że ja też parę rzuciłem - przypomniał szybko Oyama w obawie, że Edzia zaraz się rozpłaczę. - Nastukałem ci tyle szczegółów, że hej! Jakby tak policzyć, to nawet więcej niż on! Dużo więcej! I mogę jeszcze, od ręki, ile chcesz. Czyli co, kto ma rację? Ten, kto ma przewagę? A tuja mam przewagę, ilościową. Edzia nagle pożałowała, że nie ma go pod ręką, bo chętnie zrobiłaby mu krzywdę. Od ręki i z przyjemnością.

- Chodzi ci o ilość czy o jakość? - powiedział jeszcze, jakby tamtego było mu mało.

Edzi przemknęło przez głowę, że mord w afekcie bywa czasami całkiem uzasadniony. W absolutnie pojedynczych, wyjątkowych przypadkach, jak na przykład ten.

- Ale przecież on tu mieszka, pracuje... znał ojca! To był jego przyjaciel. Dlaczego miałby kłamać? Czemu ty jesteś taki podejrzliwy? I dociekliwy? I szczegółowy. To chyba jakaś obsesja!

- Od kogo to wiesz? Że przyjaciel.

- Noo... - pomyślała głośno Edzia. - Od niego...

- A no właśnie - powiedział Oyama, co Edzię natychmiast zirytowało jeszcze bardziej, ponieważ takie teksty za bardzo załatywały jej własną mamą. A Edzia nie miała ochoty tego słuchać, nawet, kiedy stwierdzenia takie padały z zupełnie innych, całkiem... no, w każdym razie z innych ust. Zwłaszcza wtedy.

- Właśnie, właśnie! - prawie wcale go nie przedrzeźniała.

- A kto miał mi niby o tym powiedzieć? Przecież ojciec już nie żyje, tego akurat jestem pewna. Widziałam jego grób

- zaznaczyła złośliwie. Ale Oyama i tym razem udał, że nie słyszy.

- Właśnie - wszedł jej w słowo. - Wiesz tylko od niego! Od tego całego Escu. A ojciec... Czy on kiedykolwiek ci o nim opowiadał?

- Nie, no skąd! Nic! Przecież do niedawna byłam ich rodzoną córką! Znów na moment zapadło milczenie, i tym razem to Edzia przerwała je pierwsza.

- E tam! - zabrzmiało to tak, jakby wzruszyła ramionami. - Trzeba wierzyć ludziom. Ja tam wierzę.

- A trzeba, trzeba - przytaknął Oyama. - Ale tylko w to, w co się da uwierzyć.

- Tak?

- Tak.

- To co, nie wierzysz mu?

Oyama zawahał się, bo jednak pewne elementy tej przedziwnej opowieści brzmiały całkiem przyzwoicie.

- Nie do końca... - powiedział ostrożnie. - Ja bym to sprawdził... W każdym razie - ja.

- No i dobrze - powiedziała Edzia, zamykając temat. - Ty tak, a ja nie. Dla mnie ta sprawa jest oczywista. I skończona, więc sam rozumiesz... wracam do domu.

- Jak uważasz... - powiedział Oyama. - Chociaż... mam dziwne wrażenie, że... uciekasz? No ale... jak sobie chcesz.

- Masz rację - powiedziała Edzia, sznurując usta. - To tylko takie wrażenie. Nie uciekam, tylko wyjeżdżam. Normalnie, samolotem. W kieszeni czarnych, przybrudzonych i trochę za dużych spodni Edzi zadzwonił telefon. Wygrzebała go spomiędzy pustych opakowań po batonach i odkleita paznokciem przyschnięty do wyświetlacza kawałek czekolady.

- Edzia? - usłyszała Edzia w słuchawce i od razu wiedziała, że jest dobrze. Głos Jeżyny tryskał szczęściem jak fontanna di Trevi. Albo nawet jeszcze bardziej.

- Edzia...! Posłuchaj mnie, dziecko! - wyszeptał do słuchawki tak radośnie, jakby podawał Edzi pewniaki w lotto. - Muszę ci coś powiedzieć!

Co, trzeba przyznać, Edzię jak najbardziej zainteresowało, tak bardzo, że zatrzymała się w ustronnym miejscu przy toaletach, żeby posłuchać w spokoju.

- No mów, co takiego?

- Ten nowy...! Ten... nowy! - Jeżynie ze szczęścia najwyraźniej zabrakło tchu, co mogło być niebezpieczne, bo przecież miał ten rozrusznik. A Edzia wiedziała, że w takiej sytuacji zbyt silne wzruszenia bywają zgubne.

- Ten nowy...? - pomogła mu powoli i spokojnie. - Ten, czyli...?

- No ten! - Jeżyna miał to na końcu języka. - No! Jak mu tam...

Anlymarian! Właśnie puściliśmy próbny odcinek. Wiesz, tak dla sondażu... żeby zobaczyć, czy go kupią.

- No i co?

- Ojej, jakby ci tu moje dziecko... No sukces! Powalający, totalny sukces! Gdzieś za jej plecami z głuchym hukiem odlatywał samolot.

- Naprawdę? - ucieszyła się Edzia z małym poślizgiem. Nie, naprawdę się ucieszyła, tylko... Chyba myślała o czym innym. Samo jej się myślało, jakoś tak zupełnie bez jej udziału.

- Tak!!!!!! - głos Jeżyny wpadł ze szczęścia w górne rejestry. - On jest boski! Po prostu boski! Ta gra, ten uśmiech... a całuje! Mmmm! No miodzio! Moja droga, przecież on ich wszystkich rozłożył na łopatki! Widzowie zakochani w siedemdziesięciu sześciu procentach! Mówię ci, moje dziecko: za-ko-cha-ni! I kobitki i faceci... od razu zrobiliśmy badania i...! No coś podobnego.

- No to super... cieszę się bardzo...

- Tak? Bo jakaś smutna mi się wydajesz, dziecko? - zauważył Jeżyna. - Ale może dlatego, że coś tak okropnie szumi...? Gdzie ty w ogóle jesteś?

- Na lotnisku.

- Aha, to może dlatego... No, ale co... cieszysz się, moje dziecko? Co? Kręcimy się dalej, na wieki wieków! To już postanowione! Victoria! - krzyknął Jeżyna dziarsko. - Cieszymy się!

- Cieszę się, cieszę! Super, naprawdę... - powiedziała Edzia już prawie całkiem wesoło. - A ty jak myślisz. Jeżyno? Dlaczego on się tak spodobał? Co? Co on takiego w sobie ma?

Jeżyna zastanawiał się przez chwilę.

- Czy ja wiem, co on tam w sobie ma, moje dziecko? Ja tam nie wiem... Dla mnie, powiem ci na ucho, to on nic nie ma... Tylko nie mów nikomu, co ci powiedziałem! Widziałaś go przecież, chude to, małe, bidne... chuchro takie...

Edzia, owszem, pamiętała. Bolesny kompromis... No, ale naprawdę nie było z czego wybierać.

- Ale widzowie już za nim szaleją...! Kto ich tam wie, dlaczego... Magia ekranu, ot co! - powiedział z zadowoleniem Jeżyna. - Może on z drugiej strony telewizora wygląda na kogoś innego? I wiesz co? Jak tak dalej pójdzie,

to Marian okaże się marnym prototypem! I raz dwa przepadnie w zbiorowej niepamięci! No, ale powiedz, co u ciebie, dziecko, bo ty chyba jakaś markotna jesteś...? Co? Powiedz staremu Jeżynie...

- Nie, nic takiego... naprawdę. Wracam już. Zaraz lecę.

- Aaa! To świetnie, moje dziecko! Świetnie! Znaczą dzisiaj mamy same dobre wiadomości! No to przyjeżdżaj, przyjeżdżaj, bo my tu wszyscy czekamy na ciebie! Tyle pracy, tyle pracy! No mówię ci... Musimy się zastanowić, jak najlepiej poprowadzić tego nowego... No i kontrakt z nim podpisać raz dwa, żeby go nam konkurencja nie ukradła...

Edzia czekała na samolot.

Czekała i czekała, i miała jeszcze sporo czasu do odczekania. Miała też nowiutką kartę kredytową w bardzo ładnym złotym kolorze, ze zdjęciem, na którym wyglądała na nadzwyczaj z siebie zadowoloną i parę lat młodszą.

Postanowiła więc wykorzystać i jedno, i drugie.

Tym bardziej że sklepy bezcłowe wabiły ją swoim syrenim śpiewem. Tak przynajmniej Edzia odbierała ten zew, jako bardzo, ale to bardzo uprzejme zaproszenie. Nadzwyczaj uprzejme i obiecujące.

A Edzia nie umiała odmawiać. No jakoś nie. Może dlatego, że miała dobre serce? Poszła więc za głosem instynktu prosto do perfumerii, kilku sklepów z ciuchami oraz alkoholem, tłumacząc sobie, że w takich sklepach alkohol jest tańszy niż w innych, no bo przecież bez cła.

I nie wypada, po prostu nie wypada go nie kupować! Nie kupować go byłoby absolutną głupotą.

Na koniec zatrzymała się przed sklepem z biżuterią, chociaż sama biżuterii za bardzo nie nosiła. Przestała po tym, jak zadrapała kiedyś różową cyrkonią w pierścionku czułe miejsce pewnego naukowego pracownika. Zadrapała aż do

krwi. Pierścionek byt zaręczynowy, a Edzia - oficjalnie zaręczona z naukowym pracownikiem. No, ale potem nic już z tego nie było, a Edzia jeszcze przez pół roku oblewała u niego każde kolokwium. Nosila tylko kolczyki.

Pomyślała o mamie i o jakimś drobiazgu dla niej, który pewnie i tak mama natychmiast zgubi albo schowa w sobie tylko wiadome miejsce, jak wszystko inne. No ale przynajmniej przez chwilę się ucieszy...

Tylko kolczyki.

Edzia bardzo, bardzo starała się omijać trudne myśli, a zwłaszcza tę jedną, najtrudniejszą, tę, że spotkanie z mamą niechybnie nastąpi. Tak czy siak. I to raczej wcześniej niż później.

Nastąpi i co wtedy? Raz Edzia obiecywała sobie, że wykrzyczy jej w oczy całą prawdę. Raz planowała napisać szczery do bólu list i wystać go, unikając wszelkich kontaktów z mamą do czasu jego przez nią przeczytania... Albo znowu dochodziła do wniosku, że najlepiej będzie podejść do tego z dystansem i jakoś inteligentnie sprowokować mamę, ale jak? Jak? Żeby sama zaczęła mówić i raz na zawsze, z ręką na sercu, odwołała te pieprzone wiewiórki.

W każdym razie jakoś będzie trzeba się zachować.

Trzeba przyznać, że Edzia nic była przyjaźnie do mamy nastawiona. Tak, do mamy. Bo przecież nie przestanie jej tak nazywać tylko dlatego, że przypadkiem dowiedziała się, że ona nią nie jest.

Tylko kolczyki...

Tylko kolczyki. Edzia delikatnie dotknęła jednego z nich. Podłużna łązka, ciepła od jej ciała, zakotysata się łagodnie. Tylko kolczyki.

On tak patrzył. Na kolczyki. Dziwnie jakoś, na te jej kolczyki właśnie. Najpierw ją przytulił, jakby... a potem...

jakby... jakby ją poznał? Jakby ją znał. Jakby ją już gdzieś widział. I to nie raz.

Bilety przepadły, ale pal to licho. Nie poleciała tym samolotem.

Ale do Oyamy też nie zadzwoniła, co to, to nie! A niech tam sobie czeka, podlewa kwiatki i szuka z kotem wspólnego języka. Niech szaleje na forum depresja i oszałamia się polopiryną es!

Rodzina, która wynajęła jej pokój, była pogodna, hałaśliwa i bardzo wielopokoleniowa. Prababcie, dziadkowie i cała reszta, aż po niemowlęta, wydające z siebie na przemian kaskady radosnego pogruchiwania i resztki ulanego pokarmu, zajmowała całą kamienicę. Kamienicę pełną pokoi o skrzypiących, drewnianych podłogach, tajemniczych zakamarków, schodów i galeryjek.

A do tego wszyscy, co do jednego, byli rasowymi Cyganami. To jest Romami, zajmującymi się od wieków porywaniem dzieci, wciskaniem patelni ludziom, którzy wcale ich nie potrzebują oraz obieraniem z pieniędzy podczas wróżenia z kart.

Edzia doskonale o tym wiedziała. I owszem, zdawała sobie sprawę z zagrożenia, ale powoli przestała zwracać na to uwagę.

Gospodarze, oboje tędzy, ciemni, jowialni i jakoś szczególnie do siebie podobni, nie mogli się nadziwić, że Edzia naprawdę chce się u nich zatrzymać. Że się nic pomyliła. I naprawdę chce tu spać, jeść, chodzić po tych spróchniałych schodach i omijać wpadające od czasu do czasu pod nogi karaluchy,

Oni sami najchętniej by tu nie mieszkali, ale raczej nie mieli wyjścia, a ta obca kobieta chciała zatrzymać się właśnie u nich, chociaż przecież mogła znaleźć sobie dużo lepsze miejsce.

Mogła, to było widać już na pierwszy rzut oka. Gospodarze wiedzieli, że przyjechała z daleka, za dobrze była ubrana i miała zbyt śmiały błysk w oku, żeby mogła być stąd.

A jednak postanowiła zostać. I to może nawet na dość długo, jeżeli dobrze zrozumieli to, co starała się im wytłumaczyć w obcym języku, chaotycznie pokazując w kalendarzu jakieś daty. I powiedziała, że dobrze zapłaci, wyciągnęła nawet kartę kredytową, na co gospodarz roześmiał się z całej duszy, a wraz z nim cała reszta jego rodziny.

I na koniec przyzwalająco machnął ręką. Niech sobie mieszka!

Gospodarz zgodziłby się nawet, gdyby powiedziała, że zostaje do końca świata. Tak, zgodziłby się. Jej obecność oznaczała przecież więcej jedzenia dla nich wszystkich, dużo więcej. Oznaczała, że nie wyłączą im prądu jak w zeszłym roku i może jeszcze buty dla średniego wnuka, żeby przez trzy lub nawet cztery dni w tygodniu mógł chodzić do szkoły.

Od razu poczuli więc sympatię do tej osoby, której twarzy nie mogli nawet dobrze obejrzeć, bo zasłaniała ją kolorowym kapeluszem z szerokim rondem.

Edzia dostała pokój na samej górze. Była to dziupla z dwoma małymi, kwadratowymi okienkami o podwójnych szybach, między którymi zaschło kilka rachitycznych pajaków.

Gospodyni ze wstydliwym uśmiechem zabrała stojący na środku pokoju zardzewiały dziecięcy nocnik i szerokim gestem pokazała, że Edzia może się rozgościć.

Kamienica naprawdę była bardzo zniszczona. Tynk odpadał płatami, a pod spodem kruszyły się bladożółte cegły. Tu i ówdzie Edzia zauważyła szare naloty pleśni. W życiu nie zamieszkałaby w czymś takim, w życiu. Gdyby nie to, że okna tej kamienicy wychodziły prosto na szpital.

Minęło kilka jałowych dni.

Edzia co rano siadała przy stoliku, ciasno przystawionym do jednego z łuszczących się okien i po raz nie wiadomo który zadawała sobie pytanie, co ona tutaj jeszcze robi. I po co tu właściwie siedzi, na własne życzenie, zamiast w tym czasie siedzieć zupełnie gdzie indziej, na przykład u siebie w domu.

Byłoby taniej i zdecydowanie bardziej higienicznie.

Codziennie o ósmej rano śliczna jak z obrazka córka gospodyni, Elena, której wdzięku nie odbierał nawet lekki zez w lewym oku, przynosiła jej na górę czerwoną, plastikową tacę ze śniadaniem. Stawiała ją przy łóżku Edzi i mówiła coś, śpiewnie przeciągając samogłoski. Edzia oczywiście nie rozumiała ani jednego słowa, ale na wszelki wypadek kiwała potakująco głową. A potem Elena uśmiechała się na pożegnanie i wychodziła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Codziennie Edzia ostrożnie podchodziła do tacy. Uważnie badała wzrokiem to, co na niej leżało, koncentrując się zwłaszcza na kozim serku i jakiejś paście, najprawdopodobniej z ryby, o czym świadczył zapach. A potem zamykała oczy i brała głęboki oddech, zanim wzięła do ust pierwszy kęs tego czy owego.

Bała się salmonelli, jadu kiełbasianego i pałeczek pleśni oraz tego wszystkiego, o czym nie wiedziała i czego na pierwszy rzut oka nie było widać, a co mogło być jeszcze bardziej trujące. Dużo bardziej.

Ale o dziwo, jadła. Jadła to, co jej podawali, i zupełnie nic jej nie było. Jadła, pisała i wyglądała przez okno. I do nikogo nie dzwoniła, nawet do Oyamy, który z kolei dzwonił do niej jak wariat, wprawiając Edzię w podejrzenie miły nastrój. A potem masami nagrywał się na sekretarkę i wysyłał tuziny esemesów, powodując niechcący, że Edzia miała dobry humor od rana do wieczora. I może dlatego nie wszystkie

esemcsy kasowała. Niektóre zostawiła sobie na pamiątkę i wracała do nich, kiedy tylko dopływ świeżych esemesów na chwilę spowalniał swój bieg.

„Kiedy wracasz?”

„Czemu się nie odzywasz?”

„Nie interesuje cię, co w domu?”

„Żyjesz?”

„Mam nadzieję, że żyjesz i wszystko ok”.

„Wszystko jedno żyjesz czy nie, ale mogłabyś już wrócić.”

„Kot tęskni i ja też.”

„Kot dostał choroby sieroczej, wyje do księżycy.”

„Wracaj! Kot jest w stanie krytycznym!”

„Wracaj, ale już! Bo kotem poszczuję!”

Tak. Były to zdecydowanie miłe esemesy i, trzeba przyznać, ewoluowały dość interesująco. Edzia szybko złapała się na tym, że podejrzanie lubi je dostawać. Była to zresztą jedyna jej rozrywka, przynajmniej w tym momencie. Bo poza tym życie nagle stanęło w miejscu, a taki stan wcale nie był tym, o co Edzia chodziło i do czego była przyzwyczajona. Edzia znosiła dość ciężko niekończące się siedzenie przy oknie i wpatrywanie się w szarą, obłazłą z farby bramę szpitala.

Codziennie widywała ludzi, wchodzących do szpitala i wychodzących z niego wiele godzin później, po skończonym dyżurze. Zaczynała ich już nawet rozpoznawać, zwłaszcza kobietę w koronie z włosów, tę, która zaczepiła ją wtedy na ławce i starszego mężczyznę ze świecą już z daleka jak latarnia łąsą czaszką.

Widziała też Escu, który przychodził i odchodził, zawsze uważnie rozglądając się dookoła. Zazwyczaj miał na sobie tamten długi, wypłowiały płaszcz, ale czasami zakładał coś innego. Zawsze jednak jego długie, siwe włosy już z daleka go zdradzały.

Tak, codziennie widywała Escu i nic z tego nie wynikało.

Na dobrą sprawę nie wiedziała, jak długo tu jeszcze wytrzyma, i wciąż pytała sama siebie, w imię czego tu siedzi, nudzi się i trzy razy dziennie ryzykuje życiem i zdrowiem na śniadanie, obiad i kolację.

A, i jeszcze musi odczekać swoje w kolejce do łazienki, bo dziwnym trafem, zawsze, kiedy pukała do pomalowanych żółtą farbą drzwi, ktoś tam był. Zawsze. Pysznic też pozostawiał wiele do życzenia, a sam jego wygląd raczej odstraszał, więc Edzia zdecydowała się na bolesny kompromis i postanowiła myć się co drugi dzień.

Kiedy wypadał dzień bez mycia, natrętnie stawała jej przed oczami biała, czyściutka łazienka, jej własna. Łazienka, w której nigdy nie brakowało mydła, płynów do kąpieli, żeli, maseczek oraz ręczników. Ani też wszelkich środków, zarówno płynnych jak i w granulkach, skutecznie zabijających wszelkie zarazki.

- Kiedy wrócę, zrobię sobie piling wszystkiego! - obiecała sobie Edzia bardzo uroczyście. Piling wszystkiego gwarantował naprawdę głębokie oczyszczenie, zarówno cielesne jak i duchowe, przynajmniej w oczach Edzi.

Kiedy wróci... No właśnie kiedy?

Przyszło jej nagle do głowy, że może nigdy. Bo może uschnie przy tym oknie tak samo, jak te dwa pająki między szybami. Uschnie taka nieumyta i czekająca nie wiadomo na co.

Ale wcale nie musiała czekać aż tak długo.

Tego dnia, a właściwie już późnym popołudniem, Edzia siedziała przy oknie i szkicowała kolejne odcinki telenoweli *Cyrk*. Na stoliku przy oknie stała herbata, którą tym razem przyniosła jej młodsza siostra Eleny, Maria, ponieważ Elena poszła na randkę. Potajemnie i do tego w spodniach! A przecież Cyganki mogą nosić jedynie spódnice do kostek.

Dziewczynka była bardzo podekscytowana, opowiadając Edzi to wszystko. Mówiła i mówiła, jąkała się, powtarzała każde słowo kilka razy. Gestykulowała gorączkowo. A Je Edzia i tak nie rozumiała, a jakoś chciała zrozumieć.

Na szczęście dziewczynka potrafiła rysować, wyjęła więc długopis z rąk Edzi i narysowała Elenę, spodnie, chłopaka i czerwone serce nad ich głowami na jednej z kartek papieru, których Edzia używała do swoich notatek.

Edzia szybko poskładała wszystko do kupy, ponieważ jako osoba doświadczona w płodzeniu setek odcinków telenoweli doskonale wiedziała, jak z kilku różnych kawałków złożyć jedną całość tak, żeby była w miarę sensowną całością.

A potem dziewczynka wyszła, wynosząc z pokoju przekonanie, że oto właśnie zostały przyjaciółkami na śmierć i życie oraz paczkę miętowych gum do żucia, które Edzia podarowała jej w dowód sympatii.

Edzia wróciła do pracy, co wymagało od niej sporo wysiłku, ponieważ osobiście wolałyby pójść na spacer. Na plażę albo gdzie indziej, wszystko jedno gdzie. Ale wiedziała, że musi czekać, więc przerzucała zapisane kartki, coś dopisywała, coś skreślała. I sama dziwiła się swojej małej ciekawości co do spraw i ludzi, którym bądź co bądź układała koleje losu. Dochodziło do tego, że Orscy mieszała się jej z Morenami, i już w końcu sama nie wiedziała, kto kogo ma zabić czy też zaciągnąć do łóżka i dlaczego. I nawet chwilami kompletnie przestawało ją obchodzić! A to jej się nigdy, ale to nigdy wcześniej nie zdarzało.

I właśnie wtedy, przy bramie szpitala, po drugiej stronie ulicy dostrzegła osobę, dla której tu wróciła. Dla której siedziała kamieniem w obcym domu, łykając kurz, dla której zrobiła tyle niezaplanowanych, nieracjonalnych i całkowicie niezgodnych z jej naturą rzeczy.

Zobaczyła samą siebie.

Stała przed drzwiami szpitala, najwyraźniej na kogoś czekając.

Edzia gorączkowo przetarła oczy, a potem jeszcze szybę, dla pewności. A potem z całej siły uszczypnęła się w rękę, bo wydawało jej się, że śni.

Że śni albo że patrzy w lustro.

Wpatrywała się w nią i nie miała już żadnych wątpliwości. Tamta była taka sama, jak ona. Jak Edzia. Figura, włosy, twarz... A przecież nikt lepiej niż Edzia nie znał tej twarzy, na którą od lat spoglądała co chwilę, znowu i znowu, spoglądała do lusterka w kształcie kwiatka... To ona miała tę twarz z lusterka. Jej twarz, twarz Edzi.

Edzia już nie potrzebowała sprawdzać, czy tamta ma bliznę. Wiedziała, że ją ma, bliznę albo ślad po niej, kiedy pewnego dnia blizna dała o sobie znać.

Patrzyła i patrzyła.

Był z nią mały, może pięcioletni chłopczyk z czarnymi, kędzierzawymi włoskami, w jasnej bluzce z Myszka Miki. Edzia zauważyła go dopiero teraz, kiedy podjechał do tamtej kobiety na hulajnodze z zielonymi kółkami, a kółka za każdym obrotem rozżarzały się migotliwymi błyskami.

Ze szpitala wyszedł Escu. Już z daleka Edzia poznała jego rozwianą, siwą głowę. Tamta rzuciła mu się na szyję, przytuliła, podpięte wysoko włosy odsłaniały uszy bez kolczyków.

Chłopiec piszczał radośnie, okrążając ich to z jednej, to z drugiej strony. Edzia widziała, jak lekarz objął ją ramieniem i rozejrzał się uważnie dookoła, a po chwili wszyscy razem znikli pomiędzy opustoszałymi hotelami.

Nie mogła dłużej czekać. Nie po to przecież tutaj została, na pewno nie po to, żeby czekać! Zerwała się ze swojego miejsca i wybiegła na korytarz, a schody pod jej stopami

trzeszczały tak rozpaczliwie, jakby za chwilę miały się rozsypać w gruzy. Z któregoś z tych przepaścistych pokojów, pełnych wyii-niałych dywanów i plastikowych zabawek wyjrzała gospodyni, gruba Cyganka owinięta w kolorowy szal. Spojrzała na Edzię ze zdziwieniem, ale zanim zdążyła cokolwiek krzyknąć, za Edzię zatrzęsnęły się drzwi.

Biegła szybko, żeby ich nie zgubić. Biegła wąskimi uliczkami, takimi jak te, którymi tak niedawno prowadził ją Escu.

Escu, ten cholerny afgański drań! Oszukał ją, że nie ma rodziny, nikogo, nikogo bliskiego!

Kim była dla niego tamta? Córka? Żoną?

Nie, ona nie wyglądała na córkę... nie zachowywała się jak córka... Kim dla niego była? myślała gorączkowo Edzia, skradając się za nimi i chowając w zalomkach murów, gdy tylko Escu niespokojnie oglądał się za siebie.

Nic wiedziała, czy trafi z powrotem, ale co tam, najwyżej znowu zapyta o szpital. Może znowu spotka tego taksówkarza, tego, co to zna angielski.

Tu przecież nie ma zbyt wielu taksówkarzy...

Trafi czy nie, w tej chwili to zupełnie się nie liczyło.

Tamci stanęli przed starym domem, jednym z wielu takich samych na ulicy. Co to była za ulica? Edzia nie mogła odczytać nazwy, która i tak kończyła się w połowie zardzewiałej tabliczki.

Zatrzymała się dostatecznie daleko, żeby nie mogli jej dostrzec. Nasunęła głębiej na oczy kolorowy kapelusz z rafii. Kapelusz miał szerokie rondo i Edzia liczyła na to, że będzie ją dobrze chronił przed palącym słońcem. A teraz kapelusz chronił ją nie tylko przed słońcem, ale i przed spojrzeniem Escu, które paliło jeszcze bardziej.

Escu wyjął z kieszeni klucz, otworzył furtkę, która zaskrzypiała piskliwie i weszli do środka. Chłopiec pędem pobiegł przed siebie i znikł w otwartych na oścież drzwiach

domu, tupiąc z całej siły po kamiennej posadzce... A tamta kobieta, kobieta z twarzą Edzi, wskoczyła na jego hulajnogę i śmiejąc się w głos, odjechała w głąb podwórza. Escu rozejrzył się uważnie dookoła, zanim zamknął za sobą drzwi.

Edzia wracała w tamto miejsce wiele razy. Chowiała się za załomkiem muru, osłonięta kolorowym rondem i z daleka patrzyła.

Widziała, jak tamta rozwiesza pranie na sznurze. Kolorowe dziecięce koszulki, długie, kwieciste spódnice... i jeszcze jakieś koszule, w kratkę i w paski, i kilka gładkich, może to nawet były męskie koszule, ale z daleka Edzia nie potrafiła tego rozpoznać.

Widziała, jak podnosi ramiona do góry takim samym gestem jak Edzia, kiedy przed lustrem cierpliwie i po wielokroć podnosiła metalowe ciężarki. Ale tamta uśmiechała się przy tym łak, jak Edzia nie uśmiechała się nigdy.

Widziała, jak czyta książkę, leniwie bujając się na hamaku, jak odpycha się nogą od drzewa, żeby łagodne kołysanie nie ustawało. I jak potem śpi w tym hamaku, a książka śpi w trawie, bo widać właśnie teraz jest czas na sen.

I tak samo jak Edzia odgarniała włosy, kiedy wpadały jej do oczu. I malowała paznokcie lakierem w porzeczkowym kolorze. I jak głaskała dużego, rudego kota, który miał wyjątkowo puchaty ogon, co upodabniało go do przerośniętej wiewiórki...

Robiła to, co robią szczęśliwe kobiety. I wyglądała na szczęśliwą kobietę. Edzia widziała też, jak tamta podlewa kwiaty w ogrodzie i chyba nawet coś do nich mówi, delikatnie dotykając kolorowych główek. A może tak jej się tylko wydawało, Edzia była jednak dość daleko. Ale widziała, jak tamta gra z chłopcem w piłkę i w chowanego i jak potem razem robią kanapki. Widziała, jak chłopiec rozsmarowuje twarożek po stole, a ona wcale się nie gniewa.

Nie gniewała się, bo chłopiec był mały i nie umiał jeszcze dobrze robić kanapek. Nie gniewała się, bo przecież była jego matką.

Wciąż o tym myślała.

Nie mogła się skupić na czymkolwiek innym, zasnąć, uczesać się ani tym bardziej pisać, a losy Morcnów i Orskich nagle przestały mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Teraz ważne było co innego. To, co się dzieje naprawdę.

Edzia sfabrykowała już tyle możliwych, mniej lub bardziej prawdopodobnych scenariuszy tego spotkania, ich spotkania, ich poznania się i wzajemnego przywitania, że modliła się tylko, żeby się jej w decydującym momencie kompletnie nie pomieszały w głowie.

W pierwszej wersji miały się spotkać niby przypadkiem w jakimś publicznym miejscu.

Edzia obeszła prawie pół Mangalii w poszukiwaniu najlepszego miejsca. Najlepszego, czyli takiego, w którym dramatyzm sytuacji i radość ze spotkania mogłyby wybrzmieć jak należy.

Ostatecznie wybrała kilka, z których te najbliższe - placyk przed szpitalem i rynek, na którym co trzeci dzień odbywał się targ warzywny, gromadzący tłumy kupujących, i któraś z pobliskich kafejek, zawsze pełnych gości, były zdecydowanie najlepsze. Zarówno pod względem romantycznej estetyki, jak również pod względem widowni.

Tak więc lokalizacja i scenografia były już mniej więcej ustalone i należało tylko poczekać na odpowiedni moment. Bo przecież miały się spotkać niby przypadkiem, ot tak. Żeby czasem nie wyszło na to, że to Edzi bardziej zależy.

A więc spotykają się. Spotykają. No więc spotykają się i... Załóżmy, że spotykają się w jakiejś kafejce, w której tamta, dajmy na to, na chwilę przysiadła. A Edzia weszłaby tam

niby przypadkiem i stanęła przed nią w kapeluszu. Stałyby naprzeciwko kobiety o twarzy identycznej jak jej własna. No i dobrze. Ona stoi. Tamta ją zauważa... Teraz Edzia powolnym ruchem zdejmując kapelusz, włosy rozsypują się na ramiona i spływają po plecach, tak samo, jak u tamtej... Ona patrzy, patrzy, a jej oczy robią się coraz większe... A niech patrzy, proszę bardzo! Edzia da jej czas, dużo czasu i pozwoli przyglądać się sobie tak długo, jak będzie trzeba.

Ale przecież tamta mogłaby się wystraszyć i zechcieć na przykład uciec... Tak, mogłaby. Edzia i to brała pod uwagę. W takiej sytuacji Edzia miała w planie zasłonić sobą drzwi i zamknąć jej drogę odwrotu. Sobą. Tamta może i by się trochę szarpała, ale w końcu wróciłaby na swoje miejsce i usiadła zrezygnowana i pokonana, i wreszcie gotowa posłuchać tego, co Edzia ma jej do powiedzenia.

I wtedy Edzia powiedziałaby tak:

- Co to... jak... co to ma znaczyć?! - Tak właśnie by powiedziała, patrząc na nią z niebotycznym zdumieniem.

Z tym, że zdumienie i szok musiałyby być tutaj odpowiednio wygrane.

Zresztą Edzia nie miała wątpliwości, że tak właśnie będzie. I że wcale nie będzie musiała niczego grać. Ani zdumienia, ani szoku... „Co to ma znaczyć?” Hmm... czy to nie zabrzmiało czasem zbyt... agresywnie? I jakoś tak... inkwizytorsko? Tak jakby Edzia miała pretensje do tamtej, że wygląda tak samo jak ona...? A kobiety bardzo tego nie lubią, ponieważ każdej wydaje się, że jest wyjątkowa i jedyna w swoim rodzaju. Nie, chyba jednak będzie lepiej powiedzieć tak:

- To... to niemożliwe! - I tu mocne podkreślenie niebotycznego zdumienia wyrazem twarzy. Hmm... też chyba nie, bo to jakieś takie... słabe... i trochę jak z filmu science fiction. Nie. Ostatecznie Edzia zdecydowała, że powie tak:

- To... ty?! To naprawdę ty?! - Dałaby jej tym samym do zrozumienia, że wie więcej niż ona. Żeby tylko tamta nie

wystraszyła się za bardzo i nie uciekła tak od razu pod wpływem szoku. A ona, ta druga, odpowiedziałaby tak:

- Tak... to ja... - Tak by odpowiedziała...? Tak. Nic. Nie, to byłoby za proste. Za prostackie nawet. To niech ona lepiej powie:

- Kim ty jesteś?! - Chociaż przecież od razu widać kim. Że nią. Znaczą jej syjamską.

I wtedy Edzia powiedziałaby tak:

- Twoją siostrą. - I tamta musiałaby od razu uwierzyć, bo podobieństwo aż bije po oczach. Chyba, że ma jakąś wadę wzroku... ale Edzia miała nadzieję, że nie. Bo Edzia przecież nic miała...? Aha, i wtedy wszyscy goście w kawiarni przestaliby jeść i pić i patrzyliby tylko na nie.

Patrzyliby i słuchali z zapartym tchem i nikt nie odezwałby się ani słowem, no może z wyjątkiem tamtej, która by powiedziała:

- Jak to? Przecież ja nie mam siostry! To jakaś pomyłka! - I już by chciała wstać i wyjść.

Na co Edzia, rzecz jasna, by jej nic pozwoliła i powiedziała by tak:

- Spójrz mi w oczy i powtórz to, co przed chwilą powiedziałeś! - Tak by powiedziała. Tak, to jest fajne. Mocne! Z tego przejścia Edzia była bardzo zadowolona.

I potem, kiedy tamta nie miałaby już żadnego argumentu na nie i wszystko stałoby się jasne w mgnieniu oka, rzuciłyby się sobie w ramiona. I może nawet pokazałyby sobie blizny, te magiczne znaki, zupełnie jak w romantycznych lub średniowiecznych baśniach. Pewnie by się też popłakały, no, ale trudno. Na wszelki wypadek Edzia postanowiła się nic malować.

Edzia miała nadzieję, że tamta tak właśnie powie. W dodatku, że powie to po angielsku. No i że wszystko, co powiedziała wcześniej, też było po angielsku. Bo gdyby nie, no to... raczej skucha... Sytuacja bez wyjścia... albo nie... nie,

jest wyjście! Wtedy, założyła naprędcę Edzia, po prostu rzucą się sobie w ramiona. Bez słów.

No i dobrze byłoby, żeby tamta była bez dziecka, bo dziecka Edzia jakoś nie uwzględniła w scenariuszu. AJe gdyby jednak dziecko było, to trudno... jakoś to będzie. Coś się zaimprovizuje przecież! Najważniejsze, żeby się spotkać.

Edzia nawymyślała tego tyle, ponieważ wolała się zabezpieczyć. Bo zwyczajnie bała się, co to będzie, kiedy naprawdę staną twarzą w twarz. Co się rzeczywiście wydarzy i co Edzia tak naprawdę będzie czuła. Tego, niestety, Edzia nie wiedziała na pewno i wolała chociaż z grubsza przećwiczyć już dziś, w kilku wariantach, jak się wtedy zachowa.

W drugiej wersji Edzia natykała się na tę drugą na rynku, pośród główek kapusty albo innego warzywa. Na targu był zawsze taki tłum i harmider, ludzie się przepychali, przekrzykiwali nawzajem, nadeptywali sobie na stopy i potracali się co chwila, że nikogo nie zdziwiłoby nagle zderzenie twarzą w twarz... Edzi by to w każdym razie nic zdziwiło. I miała nadzieję, że tamtej też nie zdziwi. Zderzyłyby się więc i... dialog Edzia miała już opanowany. Wersję bez dialogu - też.

Trzeci wariant zakładał nieobecność Escu i rozgrywał się przed szpitalem. To znaczy Escu miało nie być w każdym z wariantów, ale przed szpitalem szczególnie, bo właśnie tam mógł być najbardziej. W każdym razie Edzia miała wyczekać na moment, kiedy tamta znalazłaby się przed szpitalem, tak samo jak wtedy, kiedy zobaczyła ją po raz pierwszy.

Edzia dopadłaby tamtą przed drzwiami i zapytała o coś, o godzinę na przykład. I tamta musiałaby przecież zauważyć, że są identyczne. I dalej potoczyłoby się już samo.

Wersji było kilka, ale w każdej z nich wszystko dobrze się kończyło. Cudem odnaleziona siostry rzucały się sobie w ramiona, opowiadały jedna drugiej całe swoje życie, pakowały się i wracały razem do Polski. A tam Edzia załatwiała jej

pracę w ambasadzie i żyły razem długo i szczęśliwie. Nie rozstawały się już ani na moment, a mama Edzi była z tego powodu podwójnie szczęśliwa. Albo też... może inaczej? Mama Edzi niczego się nie domyślała i zaczynała zupełnie inaczej patrzeć na córkę, która okazywała jej teraz dwa razy tyle miłości, obdarzała podwójną porcją uwagi... Odwiedzała ją dwa razy częściej i zjadała dwa razy więcej mielonych kotletów... Byłoby fajnie...! Hmm... Edzia nie wiedziała, czy tamta się zgodzi, no bo to dziecko i w ogóle... Ale była przekonana, że na pewno jej to zaproponuje, i może nawet zapłaci za bilet.

I wtedy znowu ją zobaczyła. Tak, jak sobie wyobrażała w wersji numer dwa, przy jakimś straganie, w tłumie ludzi na rynku.

Tamta stała przy wozie z arbusami wielkości młyńskich kół, arbusami, które pękały z suchym chrzęstem, kiedy tylko dotykał ich nóż sprzedawcy w zaplamionym sokiem fartuchu. Miała na sobie szeroką spódnicę w wielkie, purpurowe róże, długą do samej ziemi. Edzia nie wiedziała, czy sama nałożyłaby taką. Raczej nie, ale teraz może nawet tak.

Handlarz wyciągnął do niej rękę z dużym, krwistym kawałkiem. Tamta roześmiała się głośno i wbiła w niego zęby z całej siły, nie bacząc na tryskający dookoła sok.

Miała pomalowane na porzeczkowo paznokcie i była sama.

Sama! Sama! zapaliła się żaróweczka w głowie Edzi. Jaka lam żaróweczka, zapaliła się cała elektrownia.

Sama!

Teraz, teraz!

Teraz, proszę, teraz! Błagała samą siebie, no bo przecież kiedy, jeśli nie teraz?

Wyszła ze swojej kryjówki na sztywnych nogach, z ma-ciupkiego kiosku, zapakowanego gazetami, do którego weszła przypadkiem, tylko na chwilę, a jej szyja była teraz ściśnięta i cała zatkana gazetami jak ten kiosk.

- Teraz - powiedziała do siebie półgłosem.

Wiedziała, że tamta ją rozpozna. Wystarczy, że Edzia zdejmie teraz kapelusz i wysypie włosy, długie i co do jednego takie same jak u tamtej, żeby w sekundę wywrócić jej życie do góry nogami.

Wystarczy, że spojrzy jej w twarz. Teraz! Sięgnęła ręką do szerokiego ronda, ale ręka nie wiedzieć czemu zastygła w połowie drogi.

Ona jest szczęśliwa, tamta ona. I Edzia to widziała, widziała przecież na własne oczy.

Szczęśliwa tutaj, teraz.

Ręka opadła niżej, do tego miejsca w cienkim zalomku koszuli, gdzie zaczynała się szorstka ścieżka skóry. A ta blizna tu zostanie, powiedziała Edzia do siebie, a trochę też i do niej. Na pamiątkę.

I kilkoma pośpieszonymi krokami minęła samą siebie, łakomie i ze śmiechem oddzielającą arbuzową soczystą czerwoność od zielonej skórki.

Tym razem mama nie miała na sobie szarego prochowca.

To nawet dobrze, bo dziś było równie gorąco jak poprzednio. Mama była ubrana mniej więcej stosownie do okoliczności, to znaczy dość lekko. No, może z wyjątkiem długich skórzanych butów, które w otoczeniu mnóstwa mikroskopijnych kłapek i sandałów wyglądały na jej nogach co najmniej dziwnie.

Ale Edzia nie zwracała już na to uwagi. Starła się tylko nie rozplakać nagle i bez sensu, co było bardzo, ale to bardzo prawdopodobne, zważywszy na podejrzanę ścisną w gardle.

- No! Wreszcie! - powiedziała mama trochę przez nos jak zawsze, kiedy była trochę obrażona. - Co to za fanaberie jakieś! Jak tak można w ogóle! Jeździć i jeździć bez sensu!

Jakby co dobrego z tego było! Ale nie, ty byle dalej od starej matki... do grobu chcesz mnie wpędzić? Tak?! Albo i lepiej: do domu starców starą matkę oddać... Tak, na pewno! Już ja wiem, jak... - Tu najwyraźniej zabrakło mamie argumentów, bo błyskawicznie przerzuciła się na inny temat. - A czy ty wiesz, ile dookoła wypadków jest? Śmiertelnych? Samolotowych? - Zastanowiła się przez chwilę. - Bardzo dużo! - odpowiedziała sama sobie wymijająco. - A im kto więcej lata, tym bardziej...

- Cieszę się, że przyszedłeś, mamo! - Edzia przytuliła mamę z całego serca, zamykając jej tym samym odpływ słów z gardła. Mama miała taką miękką twarz, jak porośnięta mchem brzoskwinka. - Cieszę się, naprawdę!

- Tak? - zdziwiła się mama, kiedy tylko uwolniła tchawicę. - Naprawdę? Bo myślałam, że nie lubisz, jak cię odbieram z lotniska...

- Tak? - teraz to Edzia się zdziwiła. - To dlaczego mnie zawsze odbierałaś?

- Bo... ja to lubię! - mama mrugnęła okiem może trochę nie w jej stronę, za to szelmowsko. - No chodź już, bo taksówka czeka!

Najpierw poszły po bagaż, a potem do wyjścia.

- Oj, bym zapomniała! - mama nagle złapała Edzię za rękaw, aż ta wzdrygnęła się z przestachu. - Ty wiesz, co się stało?

Zatrzymały się w drzwiach.

- Co takiego?

Mama przybrała uduchowiony wyraz twarzy.

- Mamę nowego magika! - powiedziała z przejęciem.

- W *Cyrku*. Ty wiesz? On jest... boski! Po prostu boski! Tak czaruje, że...! I oczy ma takie... mówię ci! Takie... A jak spojrzy, to... uhh!

Mamie nagle zabrakło słów, co naprawdę nie zdarzało się często.

- A Marian? - wtrąciła Edzia.

- Jaki Marian...? - mama zamruwała oczami ze zdziwieniem. - jaki Ma... a... ten! No... właściwie to ja nie wiem, co się z nim dzieje... chyba żyje... czy nie? Bo już nie wiem, kto wygrał ten zakład, Rostkova czyja...

Wiesz, ten o pięćdziesiąt złotych!

Edzia nie podejrzewała, że mama może być tak niestała w uczuciach. I tak niefrasobliwie rozrzutna.

- No nieważne. Ale ten nowy... Borys... - mama westchnęła głęboko i miłośnie. - Mój Boże! To jest dopiero mężczyzna! Wysoki, postawny... piękny. Piękny! Taki... - mama zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów - ... akurat dla ciebie... Pięknie byście razem wyglądali, pięknie...!

Edzia postanowiła nie mówić mamie, ile on ma wzrostu, len Borys.

Nawet w przybliżeniu. Niech lepiej nie wie. W końcu to tylko film!

- I widać, że to wrażliwy człowiek! Nawet, jak tego królika z kapelusza wyciąga, to... łak patrzy na niego, łak patrzy... I widać, że mu go żal...! - Wzruszyła się mama.

- Czujący taki! Zwierzęta lubi... Mówię ci... Koniecznie musisz go zobaczyć!

Mama odruchowo zerknęła na zegarek i złapała się za głowę.

- Ojej! Tak tu stoimy, a czas leci! I taksówka czeka!

- przypomniała sobie i pobiegły na postój.

- Musztardowa sześć - zadysponowała mama, kiedy już się rozmościły na tylnych siedzeniach.

- Nie, mamó - powiedziała z uśmiechem Edzia. - Jedziemy do mnie.

I podała taksówkarzowi swój adres. Mamę najprawdopodobniej zmylił łagodny ton głosu Edzi.

- Jak to? Przecież ja obiad ugotowałam! - zaprotestowała z wyrzutem w oczach. - Przecież ja kotlety mam... i sałatkę

świeża! Musztardowa sześć - rzuciła taksówkarzowi prosto w plecy.

- Dobrze, mam - powiedziała Edzia z ręką na klamce. - W takim razie ty jedź do domu. Musztardowa sześć. A ja zamówię sobie inną taksówkę. Mama zamilkła. Edzia też nic nie mówiła. Taksówkarz też nic nie mówił, zresztą on tu miał najmniej do powiedzenia. Po prostu czekał, aż każą mu jechać.

I doczekał się.

- Nno dobrze... - zgodziła się mama z wahaniem, po dłuższej chwili. - Skoro tak to... proszę jechać.

I podała adres Edzi.

Nie odzywały się do siebie przez całą drogę. Prawdopodobnie każda myślała o czym innym. Jak również o tym, o czym teraz myśli ta druga.

- Wejdiesz? - zapytała Edzia przed bramą kamienicy. Zapytała dość ugodowo. - Wejdz na herbatę chociaż... bo kotletów raczej nie mam...

Mama wahała się przez moment.

- Nee... nic mogę... - powiedziała przeprasząco - Bo zaraz *Cyrk*.

Zresztą... chyba ktoś tam na ciebie czeka? - tu mama efektownie zawiesiła głos i pytająco uniosła brwi.

Mama miała niezdrową skłonność do uogólniania i wyciągania wniosków z niepełnych danych.

- Nie - zdecydowała ostatecznie. - Jadę do domu! Dzisiaj Borys umówił się z Laurą na rzucanie nożami! Będzie się na niej uczył, więc wiesz... muszę szybko...

Edzia pocałowała mamę w policzek.

- No to pa, mam!

A kiedy taksówka już odjeżdżała, a mama zakręcała okno, bo nade wszystko nic znosiła przeciągów, Edzia zdążyła rzucić w znikającą szczelinę:

- 1 wiesz co? Powoli zaczynam lubić, jak mnie odbierasz z lotniska!

- Tak? - zdziwiła się mama. - Naprawdę? Bo zawsze... - i urwała nagle. A potem mrugnęła okiem może nie do końca w jej kierunku, za to z całą pewnością szelmowsko.

Edzia weszła do domu z biciem serca, ciągnąc za sobą za małą, za to bardzo ciężką torbę. Czy mocniejsze bicie serca wzięło się z wysiłku ciągnięcia torby, czy też z czegoś zupełnie innego, lo już wiedziała tylko Edzia.

Oyama otworzył jej natychmiast, zupełnie jakby łowił uchem każdy szmer na korytarzu. No i dobrze, przynajmniej był w domu, a nie szwendał się z kotem po komendach jak jakiś żul! zauważyła w duchu Edzia z dużym zadowoleniem.

W mieszkaniu było czysto i pachniało ciastem, a konkretnie szarlotką. Edzia знаła ten zapach z domu mamy, której owszem, zdarzyło się czasem upiec szarlotkę i nawet nie zapomnieć przy tym o jabłkach, zanim się aż tak nie zestarzała.

A kot wcale nic wyglądał na kota po przejściach. Znaczący takiego, co już swoje odsiedział. Wyglądał na normalnego, rudego kota o przeciętnej inteligencji, może tylko nieco lepiej odżywionego niż przedtem. I zdecydowanie mniej zestresowanego. Podbiegł do niej, ochoczo strosząc ogon i zaczął przyjaźnie ocierać się o jej nogi. I nawet ze dwa razy zamiauczał na powitanie, na co Edzi zrobiło się miło.

Za to Oyama uparcie udawał, że wcale na nią nie patrzy, co już nie było takie miłe. Ale w końcu zrozumiała, bo przecież to ona przez tyle czasu unikała kontaktu, przyznała uczciwie Edzia.

Wyjął jej z rąk torbę i plecak i postawił obok rzędu wy-szczotkowanych na lustro butów.

- A co z kotem? - zagadnęła przyjaźnie Edzia, żeby się może jakoś po ludzku przywitać.

Oyama wzruszył ramionami, że nic.

- Kot został dokładnie wypatroszony - powiedział dość oficjalnie. - I okej. Jest czysty!

Co Edzię z kolei zastanowiło i zaniepokoiło. Kot wprawdzie trochę bzyczał, ale przecież nie było mowy o jakimkolwiek patroszeniu go!

- Chcesz powiedzieć, że co...? Że ten kot.., że naprawdę coś w sobie miał?

Oyama spojrział na kota, który z kolei spojrział na Oyamę z wyraźnym niesmakiem w oczach, zupełnie tak, jakby Oyama mu obiecał, że nikomu nie powie. Na co Oyama o mało nie przewrócił się ze śmiechu. Śmiał się i śmiał jak wariat, więc w końcu i Edzia zaczęła się śmiać.

- Coś! - jego śmiech zaczął przechodzić w fazę łkania. - Coś! Małe co nieco! Wiesz co? Ten twój sierściuch był po prostu cały nafaszerowany elektroniką!

- Jak to...? - śmiech zamarł Edzi na ustach. - Co ty...?

- No masz! Miał w sobie tyje tego... tego sprzętu... że ja dziękuję!

- Sprzętu? Co za sprzętu?!

Oyama zdołał się już trochę uspokoić. Otarł łzy w kącikach oczu i powiedział:

- Twój kotek miał w sobie kupę szpiegowskiego złomu! Nadajnik, mikrofon... taki mały chip...

- Nadajnik...? W kocie?! Ale po co? Po co??

- Po to, żeby cię podsłuchiwać, kochanie! Żeby cię namierzać i wiedzieć, co tam sobie kombinujesz przy biurku... Co tam szykujesz dla Orskich i Morenów! A zwłaszcza dla Morenów...

Edzię kompletnie zamurowało. Zupełnie tak, jakby się dowiedziała, że właśnie przyznano jej Oscara za scenariusz, który był jeszcze w planach. Chociaż, jeżeli miałyby wybierać między kotem a Oscarem, zdecydowanie wybrałyby to drugie.

- Ale... kto to zrobił? Kto tego kota... tak... Konkurencja? *Przekrety?* - domyśliła się Edzia.

Oyama wzruszył ramionami.

- Nie, żadna tam konkurencja! To Marian! Świętej pamięci Marian, nasz rodzimy MacGyver!

- O mamó... - powiedziała Edzia, bo tylko to była w stanie powiedzieć w tym momencie. - Proszę cię... bo robi mi się niedobrze...

- A to sobie usiądź, o tu! - zakrzętnął się Oyama i szybko podstawił jej krzesło, a potem nalał wody do kubka z kaczką. Edzia wypła jednym haustem i odetchnęła głęboko. Sytuacja została opanowana.

- Ale jak...? Jak on to... z tym kotem?

- Normalnie. Kot miał w sobie nadajnik, Marian odbiornik, dostroił go tylko jak należy i już...! Mógł sobie słuchać z... bo ja wiem... kilkuset metrów? Słuchał ciebie i wszystkiego naokoło... nawet burczenia jelit.

- Moich? - przestraszyła się Edzia.

- Kota - wyjaśnił uprzejmie Oyama. Edzia dalej nie rozumiała jednego.

- Ale po co? Po co?!

- Podśluchiwał cię, bo chciał facet wiedzieć, co go czeka...! Dziwisz się? Sama wiesz, że ostatnio był w dosyć niewesołym położeniu... a kiedy zorientował się, że na serio chcesz go ukatrupić, to... - Oyama z podejrzanym pośpiechem uciekł wzrokiem na ścianę - ... sama wiesz...

- Dobra, dobra, nic już nie mów... - wymamrotała Edzia, która nagle zrozumiała nagły afekt Mariana. No i to, dlaczego tak uważnie oglądał jej kota pewnego poranka... - Faktycznie... podpytywał mnie... Podpytywał i coś tam sugerował... I nawet wydawało mi się to dość podejrzanę... ale wiesz, potem... to wszystko stało się tak szybko...

- Dobra, już się tak nie usprawiedliwiał! Błądzić ludzka rzecz... Każdemu może się zdarzyć... - pocieszył ją Oyama.

- I co, czyli to on mi tego kota podrzucił...? - myślała głośno Edzia. - Nigdy bym nie pomyślała... Ale zobacz, jaka zmyłka z tą urodzinową kartką...! Pomylił dzień... A przecież gdyby napisał dobrą datę, to pewnie szybciej zatrzymałabym kota, a tak... Przecież nie miał pewności, że go komuś nie oddam... temu, kto faktycznie ma urodziny...?

Oyama puścił do niej oko.

- przecież on prowadził nasłuch na bieżąco...! Trzymał rękę na plusie i na pewno by na to nie pozwolił... a poza tym... pozbyć się kota? Jak mogłabyś?! Przecież ty masz dobre serce...?

Edzia spojrzała na niego podejrzliwie.

- Kpisz sobie czy co?

- Nie, no skąd... gdzieżbym śmiał! Ale kto inny wpuściłby obcego faceta do domu i wyjechał, ot tak? A kot to kot... Trochę mniejsze zagrożenie niż facet, no nie? No powiedz, kto by tak zrobił?

Edzia nie odpowiedziała, bo nie знаła nikogo takiego.

- No i widzisz... ciebie nie było, a tu trwała „operacja kot"! Na całego! A powiedz ci, jak to dokładnie wyglądało? W tym kocie? - zapytał Oyama nieco retorycznie, bo i tak już się zabierał do wyliczania. -

Wszystko widziałem na własne oczy!

- Może lepiej nie mów... Biedny kot! - westchnęła współczująco Edzia. - Ale czy to wszystko nie pozostawi w nim jakichś śladów? Urazów psychicznych? Czy on dalej będzie sobą?

- Będzie, będzie! Bez obaw! - uspokoił ją Oyama. - Chociaż... na pewno nie będzie już tak bogaty wewnętrznie!

- No a ten cały... chip? Co z nim?

- Został na policji jako dowód rzeczowy.

Edzia wzięła kota na ręce i oglądała go uważnie. Z tej i z tamtej strony, od przodu i od tyłu. Kot patrzył na nią też dość uważnie, chociaż może tak bardziej po kocjemu. I już zupełnie po kocjemu, na koniec starannie obwąchał jej nos.

- A właściwie to... gdzie był ten chip? Konkretnie gdzie, w którym miejscu... bo jak tak mu się przyglądam, temu kotu, to... naprawdę nie wiem... Nie widzę dobrego miejsca... ani dostatecznie dużego, żeby... Spojrzała pytająco na Oyamę.
- Hmm... - zafrasował się nieco - jakby ci to powiedzieć...
- Trzymałam w domu kota z chipem w dupie?! - Powiedziała Edzia grobowym głosem, patrząc niedowierzająco na Oyamę.
- I co z tego! - wzruszył ramionami Oyama. - Nie przejmuj się! Mało to takich? A swoją drogą... niezły łeb z tego Mariana! - skomplementował Oyama. - Naprawdę! Byle kto by na to nie wpadł... no i to przecież wymaga dużej precyzji! Naprawdę: szacuneczek! Umieścić podsłuch w...
- Przestań już!
- A to jeszcze nie wszystko... Rozrusznik tego jak mu tam... Jeżyny... to też jego sprawa. Mariana.
- Poważnie? - zdziwiła się Edzia, ale nie aż tak. Bo to akurat było dość prawdopodobne. Zwłaszcza w świetle ostatnich wydarzeń. - A skąd wiesz?
- Nie uwierysz, ale... od policji! - roześmiał się Oyama. - Ten cały Święty Marek to straszny plotkarz...! Umówiłem się z nim na odbiór kota i od razu wszystko mi wyśpiewał... Że rozrusznik stanął na planie, to wiesz. Przyjechało pogotowie... ledwo go uratowali. A to był Marian...
- A czym on to zrobił?
- Wsadził mu do kieszeni krótkofalówkę nastrojoną na jakąś wysoką częstotliwość i puścił sygnał... tak to chyba mniej więcej wyglądało...
- Jeżyna wie o tym?
- Pewnie tak, bo i on się spotkał ze Świętym Markiem. Na jakieś wyjaśnienia czy co... A i jeszcze coś... na policji

mówili o jakiejś substancji... podobno zapewnia niewiarygodną potencję...? Bardzo byli tym podnieceni... i mają to dalej badać... Podobno Marian miał z tym coś wspólnego.,, mówili, że miał to przy sobie, kiedy... ten. Wiesz może, o co im chodziło?

- Nie... nie wiem... - powiedziała Edzia mało wyraźnie i uznała, że w *takim razie* całą rewolucyjną teorię o *Homo megaerectus* może sobie wsadzić w buty. Szkoda.

- Aha... A wracając do kota... Wiesz, to wcale nie było takie trudne! - powiedział Oyama. - Umieścić ten chip w... w wiadomym miejscu. Wystarczyło tylko...

Perspektywa rozmowy o rzeczach technicznych przeraziła Edzię nie na żarty.

- Nie, nie! Nie mów! Błagam, nie mów! - złożyła błagalnie ręce.

- Co ci? - zapytał podejrzliwie Oyama.

- Nie mów! Wierzę ci na słowo!

- Co znowu?

- Ze na słowo? Przestań, znowu zaczynasz? A co w tym złego? Kot już przecież wyłuskany, Marian nie żyje... - wyliczała Edzia. - W końcu komuś trzeba wierzyć, no nie? A ty nie jesteś znowu taki najgorszy...

Nagle Edzi przyszło coś do głowy.

- O rany! Przecież Marian nie żyje! Marian nie żyje, czyli co? Czy to znaczy, że ja... że odziedziczyłam tego kota? Że to taki jakby... testament?

- Testament... - westchnął znacząco Oyama, nic wiadomo czemu wznosząc oczy do nieba.

- Czyli wychodzi na to, że powinnam go zatrzymać? Bo inaczej może grozić mi jakaś... klątwa?

- No... chyba na to wychodzi... - powiedział Oyama i bardzo się postarał, żeby zabrzmiało to jak najbardziej poważnie.

- O rany... Od razu wiedziałam, że ten kot coś w sobie ma! - powiedziała Edzia z dyskretnie manifestowaną dumą,

jako świeżo upieczona właścicielka wyjątkowego Kota z Wnętrzem.

- Ale powiedz szczerze,, te dziwne odgłosy... naprawdę nie byłaś tym zdziwiona? - Oyama uniósł w górę brwi. - Zaniepokojona?

- Nie, wcale. Myślałam, że to komórka.

- Komórka? - nie zrozumiał Oyama.

- No, telefon. Że wysyła jakiś sygnał czy coś. Czasem tak się zdarza, prawda? Nic zwracałam na to uwagi, w końcu dookoła ciągle coś bzyczy. Lodówka bzyczy, komputer bzy-czy... Na dobrą sprawę to... wszystko bzyczy! To i kot też... Ale właściwie po co, wystarczyło przecież zamiauczyć... no nie? - Edzia delikatnie pogłaskała rudzielca, aż zamruczał z zadowolenia. Głaskała nadzwyczaj ostrożnie, żeby go czasem nie uszkodzić.

Zapadło milczenie i szybko zaczęło gęstnieć. Na szczęście była jeszcze la szarlotka.

- No i co teraz? Będiesz pisać? Pewnie masz trochę zaległości, co? - zapytał Oyama, kiedy podał już Edzi herbatę i ciasto, które rzeczywiście okazało się całkiem udane i jak najbardziej jadalne.

Po raz kolejny zauważył w duchu z niepokojem, że Edzia chyba jakoś wyładniała czy co. Ale może po prostu nie pamiętał dokładnie, jak wyglądała przed wyjazdem. Zresztą wtedy głównie płakała i piła wino, co jej się trochę rzucało na urodę.

Edzia przełknęła ostatni kęs szarlotki, starając się nie zwracać uwagi na kalorie. Ani na Oyamę.

- No i widzisz... - powiedziała trochę niepewnie, wybierając palcem okruszki z talerza, jeden po drugim. - Właśnie ten... nie wiem...

Oyama spojrzał na nią z bezpiecznej odległości. No tak. Może trochę schudła... Albo to on miał coś z oczami. No ale przecież nie miał... Na tym komisariacie już go sobie dokładnie obejrzeli.

- Czego nie wiesz? Nie będziesz pisać? Pewnie zmęczona jesteś... To może trochę odpocznij... albo się wykąp? Od razu lepiej się poczujesz. O właśnie, wykąp się! To dobry pomysł, od razu...

- Miałaś rację - powiedziała Edzia znad kubka z Myszką Miki. Z oczami w kubku.

- Tak? - Oyama nadstawił uszu.

- Z tym lekarzem. Ten Escu... Miałaś rację, oszukał mnie. On to wszystko zmyślił.

Oyama pokiwał głową. I nie patrzył już na Edzię, ani na kota. Tylko gdzieś dalej, nie wiadomo gdzie.

- Widziałaś ją? - zapytał cicho.

Edzia kiwnęła głową, że tak. Oyama odstawił czajnik.

- Nie podeszłaś - powiedział, jakby skądś to wiedział. A Edzia już nie dociekała skąd.

Pokręciła głową, że nie.

- Jest...?

Edzia kiwnęła głową, że tak.

- Taka sama.

Oyama nie zapytał już, co Edzia z tym zrobi i co będzie dalej. Czy w ogóle coś będzie, czy też może nie. Oboje wiedzieli, że to zależy tylko od niej. Że to już jest, można powiedzieć, sprawa rodzinna.

- I wiesz co... - powiedziała Edzia, głaszcząc kota, który nieopatrznie zapuścił się w te rejony, dziwiąc się szczerze, że Edzia go nie przegania.

Chociaż akurat jego naprawdę mało co mogło zdziwić.

- Tak?

- Te telenowele...

- Tak?

- Cały ten *Cyrk*... już jakoś... - Edzia wzruszyła ramionami, a herbata w kubku zakołysała się niepokojąco. - Ja już sama nie wiem...

- Tak?

Oyama też nie wiedział. Siedział i patrzył, jak Edzia odkleja palcem cytrynę z boku kubka, a potem zjada ją, zostawiając skórkę i nie krzywiąc się ani razu.

- Sama nie wiem... - powtórzyła Edzia. - Ale tak mi przyszło do głowy, że może spróbuję ... Bo wiesz, tak sobie pomyślałam o jakiejś może... większej formie? To mogłaby być jakaś naprawdę fajna historia! Co? No wiesz, coś nowego, kręcącego! Może nawet... film przygodowy?

- No! - powiedział z uznaniem Oyama. - Dobrze! To mi się podoba! I wymierzył w jej kierunku rewolwer, naprędce wykonany z własnych palców.

- Tylko żebyś się za szybko nie wycofała. No i za żadne skarby nie mów tego Jeżynie! - zaśmiał się, ale zaraz posmutniał jakoś, nie wiadomo czemu.

- Tak! Spróbuję, na pewno - powiedziała Edzia, odstawiając pusty kubek.

- Bo właśnie teraz się zdecydowałam.

- To świetnie! - ucieszył się Oyama. - Widzę, że naprawdę dużo się zmieniło... Tu też okej. - Rozejrzał się dookoła.

- Wszystko posprzątane, poprasowane, w szafach... trochę poprzekładałem ci bieliznę, nie gniewasz się? Kot już prawie zdrowy. Tylko popatrz!

Kot rzeczywiście wyglądał na prawie zdrowego. Wprawdzie chwiał się jeszcze co nieco na łapach, zwłaszcza kiedy szybkim ruchem próbował ściągnąć ze stołu plasterki wędliny, nabijając ją na pazury, co jeszcze nie bardzo mu szło. Ale minę miał całkiem dziarską i futerko już zaczynało mu błyszczeć.

- No, przecież widzę! - Edzia rozejrzała się dookoła.

- Tak czysto to tu nigdy nie było, nie mówiąc już o zapachu szarlotki...!

Mmm... pycha! Dzięki!

- Hmm... no tak - powiedział Oyama i wstał z krzesła.

- To co? W takim razie... chyba na mnie czas.

- A tobie co? - zdziwiła się Edzia. - Zwariowałeś?

- Nie, dlaczego? - odparł Oyama. - Ty wróciłaś, ja wychodzę. Przecież tak się umawialiśmy... No i już spakowany jestem, o! - pokazał na wypchany plecak przy drzwiach.

O mamó! Edzia przypomniała sobie, że faktycznie tak się umawiali.

- Nie! Nie możesz teraz wyjść! - wyrwało się jej niechcący.

- A dlaczego? - zdziwił się Oyama.

- Bo... bo to by było takie... młódmratyczne. Jak z brazylijskiego tasiemca! A ty przecież tego nie znosisz! I co, jeszcze może oboje się rozplączemy na pożegnanie i padniemy sobie w objęcia? A potem się okaże, że...

- Możemy paść... - bąknął Oyama. - Czemu nie... Ale... zaraz potem wychodzę.

Edzia wyciągnęła ciężką artylerię.

- A co będzie z kotem? Przecież on już się do ciebie przyzwyczał! A mnie wspomina jako traumę! I oprawcę! Narazisz go na taki szok?!

Kot akurat nie wspominał, tylko ocierał się o nogi Edzi, jakby nigdy nic.

- Ty nie jesteś normalna, wiesz? - poinformował ją Oyama, ale na chwilę przestał wychodzić. - Poza tym nawet nie wiesz, jak mam na imię.

Edzia faktycznie nie wiedziała.

- To mi powiedz - poprosiła, jakby nigdy nic. Ale Oyama nie powiedział.

Zaproponował za to:

- To już wolę napisać.

- Żartujesz?

- Nie - powiedział Oyama i naskrobał coś na papierowej serwetce.

Edzia przeczytała.

- O rany - wyrwało jej się. - No trudno. Jakoś przeżyję.

- Tak...? To znaczy...

- Nie chcę, żebyś wychodził - Edzia z góry wiedziała, że pakuje się w kłopoty i nic sobie z tego nie robiła. Bo coś

w środku Edzia, intuicja czy inne Bóg wie co, podpowiadało jej zupełnie co innego.

Oyama zawahał się na moment. Przeczochrał włosy ręką i powiedział:

- W sumie... to mógłbym ci pomóc przy tym filmie... no nie?

Przygodowym... Jeżeli oczywiście się nie wycofasz.

- Nie wycofam się - obiecała uroczyście Edzia i była to jedyna rzecz, której była naprawdę pewna tego wieczoru.

- Zobacz, zmieniłam kolor! - Przywitała ją radośnie Nika. Naprawdę nie musiała tego mówić, ponieważ zmieniony

kolor od razu rzucał się w oczy. Wściekły pomarańcz, rodem prosto z włoskiej knajpy. I to takiej, w której kolory ścian mają za zadanie raczej odciągnąć uwagę od jedzenia i robią to nadzwyczaj skutecznie.

- Ślicznie, nie?

Edzia taktownie rozwiązywała sznurówkę.

- I tutaj, o tu, takie aniołki powieszę. Takie drewniane, wiesz. Dwa.

Zielony i granatowy, żeby mi pasowały do po-marańczu. A może lepiej lila? Co? jak myślisz?

- A co się stało? - nie wytrzymała Edzia.

- Nic - wzruszyła ramionami Nika, ale zaraz klasnęła w dłonie: - A wiesz, że zaczęłam tańczyć flamenco?! I kupiłam sobie cudną spódnicę z falbanami, taką do ziemi! Zaraz ci pokażę... Piękna i taka... laka niepraktyczna! - westchnęła z zachwytem. - I od jesieni zaczynam studiować archeologię śródziemnomorską, tak dla siebie, wiesz... dla własnej przyjemności. - Wyraźnie podkreśliła słowo „własnej”.

- No, no, no! - wyraziła swój podziw Edzia. Bo też by sobie postudowała archeologię, ot tak, dla własnej przyjemności.

- Aha, i zapisałam się jeszcze na kurs podwodnego ratownictwa - dorzuciła Nika na deser. Śmiała się i śmiała,

i miała przy tym dziwny wyraz twarzy. Taki jakiś... no, ale zdecydowanie przyjemny. Edzia dawno u niej takiego nie widziała, ostatnio to chyba jeszcze przed ślubem.

- Ratownictwo? - powiedziała ostrożnie. - Jesteś przekonana?

- Tak - potwierdziła Nika, a w jej głosie zabrzmiała stuprocentowa pewność. - Jak najbardziej! Bo mam na to ochotę. I jeszcze kota weźmiemy, a co!

Weźmiemy? Czy Edzia dobrze usłyszała „weźmiemy”?

- Nie, nic... No dobrze... a co na to...

- Wyprowadził się! - podpowiedziała Nika z uśmiechem. A uśmiech ten był jak najbardziej radosny i szczery. Wcale nie przez łyzy. I żadne tam robienie dobrej miny do złej gry. Nie, nic z tych rzeczy.

- Spokojnie! - powiedziała do Edzi, która stała jak siup i nie bardzo wiedziała, jak się zachować. - Dobrze zrobił! Zrobił mi przysługę. Zrobił miejsce dla czegoś innego.

No tak. Tego akurat Edzia sama mogła się domyślić. Przecież wszystko było inaczej. Inne ściany, inne ciuchy, inna fryzura. Inne życie.

Inny facet?

- Cóż, życie jest jak penis: zawsze za krótkie. Po co je komplikować? - powiedziała zagadkowo Nika, szeleszcząc kusząco spódnicą, złożoną z miliona falban i potrząsając sztucznym kwiatem, wczepionym we włosy. Sztucznym, za to czerwonym i bardzo twarzowym.

W głowie Edzi zakiełkowało nagłe podejrzenie. Podejrzenie dotyczyło tego, co było raczej niemożliwe, ale Edzia zdecydowała się zapytać, ponieważ od niedawna była zdania, że jednak należy dociekać i upewniać się. A poza tym - przecież wszystko było możliwe. Też zaczęła być takiego zdania całkiem niedawno. Więc zapytała:

- Przespałaś się ze Słodkim? Nie. Jednak nie. Zapytała:

- Czyżbyś weszła w bliższe porozumienie ze Słodkim? Też nie. Bo tak naprawdę zapytała z głupia frant:

- A co tam u Słodkiego? Wiesz coś może?

- A tak... ostatnio zaprzyjaźniliśmy się trochę... - Nika uśmiechnęła się od ucha do ucha. Tak że i Edzia nie mogła się nie uśmiechnąć. - Wiesz, że Dariusz i ja mamy zadziwiająco podobny stosunek do świata...? No widzisz! Ja też jestem zaskoczona... Dopiero co to odkryliśmy... i zresztą cały czas odkrywamy... I wiesz, to odkrywanie jest takie... ekscytujące...! Dariusz! Zawsze mówiła do niego po nazwisku, ewentualnie „ty pieprzony ginekologu”, zauważyła w duchu Edzia. A to niespodzianka!

- Teraz jestem szczęśliwa! - powiedziała Nika, a wszystkie falbany uniosły się w powietrze, kiedy zakreśliła szalony piruet. No i dobrze. Bo przecież, to było najważniejsze.

Edzia wyszła od Niki ze świętym przekonaniem, że życie faktycznie jest jak penis - krótkie i proste. Czym też postanowiła podzielić się z Oyama, chociaż może nic lak od razu.

Oyama czekał na nią przy kiosku. W ręku miał jakieś gazety i bukietik polnych kwiałów. A przecież miał kupić tylko gazety.

- Ale następnym razem pójdziesz ze mną, dobra? - powiedziała Edzia, wyciągając rękę po kwiaty, które były jak najbardziej dla niej. - A przecież mogłeś już teraz! Poznałbyś sławnego detektywa... Bo ona kiedyś na pewno będzie sławna, zobaczysz! Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak się upierałeś. Zupełnie jak osioł jakiś! Następnym razem pójdziesz i już!

- No dobra, dobra, pójdę... - westchnął Oyama z rezygnacją. - Mówi się trudno... Ale ona i tak już wie... wcale mnie nie musisz pokazywać! Mogę się założyć o... o co chcesz!

- Hmm... naprawdę? To brzmi zachęcająco... - zdziwiła się Edzia. - A niby skąd?

- A bo to widać... kochanie... A poza tym, jak przystało na detektywa, obserwuje nas teraz przez lornetkę - powiedział Oyama i pocałował Edzię zupełnie nie jak gosposia.

Siedzieli w kawiarnianym ogródku, leniwie sącząc colę spomiędzy topniejących kawałków lodu. Ostre słońce wypalało oczy, więc sięgnęła do torebki po czarne okulary.

- Pojechała? - zapytał mężczyzna trochę niespokojnie, zaciągając się papierosem aż po samą podświadomość.

- Tak - odpowiedziała mu z uśmiechem, już w okularach i nie do rozpoznania. Miała wysoko podpięte włosy, które odsłaniały smukłą szyję i małe, gładkie uszy bez kolczyków.